



*Gabriella Anderson*

*Fascynujący  
portret*

---

*Londyn, 1854*

- Jest pan pewien, że to nie pomyłka? - Ivy wyprostowała się w fotelu z wklęsłym oparciem.

Prawnik spojrział na nią zza binokli.

- Mam honor rozmawiać z lady Ivy St. Clair, córką Geralda i Phoebe St. Clairów, hrabiego i hrabiny Dunleigh, nieprawdaż?

-Tak.

- Wobec tego nie ma mowy o żadnej pomyłce.

Ivy spojrzała na brata, ale on tylko wzruszył ramionami. Potem skrzyżował je na piersi i oparł się o ścianę.

- Ale skąd ten legat? - Ivy potrząsnęła głową. - Z jakiej racji lord Stanhope miałby mi coś zapisywać? Nawet go nie znałam!

- Nie zostałem upoważniony do udzielania odpowiedzi na podobne pytania. - Prawnik zdjął binokle i przetarł szkła chusteczką.

Ivy pomyślała, że powierzchowność pana Jenkinsa pasuje jak ulał do wystroju jego gabinetu. Prążkowane tapety w kolorze czerwonego wina i orzechowa boazeria prezentowały się niezwykle godnie i szacownie. O prawniku można by powiedzieć to samo.

- Co konkretnie otrzyma w spadku moja siostra? - spytał Christopher.

- Dom w hrabstwie Devon i tysiąc funtów gotówką. Pan Jenkins znów włożył binokle.

- Nieźle się obłowiłaś, Ivy - podsumował Christopher. Nieźle?! To był prawdziwy dar nieba. Może ten legat nie uczynił z niej

milionerki... ale i tak dech jej zapało, gdy prawnik wymienił sumę. To było w najwyższym stopniu zdumiewające!

- Z legatem wiąże się jednak pewien warunek. Musi go pani spełnić, zanim dom i pieniądze przejdą w pani ręce - wyjaśnił pan Jenkins. Wyjął z szuflady biurka kopertę i położył ją na blacie.

Ze swego miejsca Ivy zdołała odczytać nazwisko na kopercie. Jej własne nazwisko.

Prawnik wstał zza biurka i podszedł do stojącej pod przeciwległą ścianą szafki. Z jej wnętrza wydobył jakiś prostokątny, płaski przedmiot owinięty w szary papier i powrócił z nim do swych gości.

- Lord Stanhope polecił mi wręczyć to pani, lady Ivy, nim zapozna się pani z jego listem. - Z niezwykłą ostrożnością odwinął gruby papier.

Zgodnie z przewidywaniami Ivy był to obraz. Kiedy go ujrzała, przestał dla niej istnieć nie tylko doradca prawny, ale cały świat. Z portretu spoglądały ku niej bystre, jasnobłękitne oczy. Portretowany był młodym człowiekiem, ale nikt by go nie nazwał niezgrabnym młokosem. Mocny zarys szczęki znamionował silny charakter. Poważne spojrzenie świadczyło o inteligencji. Ivy dostrzegła jednak niepokojące błyski w niebieskich oczach. Ich właściciel miał prawdopodobnie skłonność do psych figlów. W szelmowskim spojrzeniu kryło się jeszcze jakieś przesłanie, ale nie zdołała go rozszyfrować.

Cóż to za bzdury! Przecież to tylko obraz, zamalowane płótno, nic więcej. Jeśli te oczy są tak wymowne, to jedynie dowód wielkiego talentu malarza.

- Nie spotkałem tego faceta podczas ubiegłego sezonu - skonstatował jej brat. - Na szczęście! Trudno rywalizować z kimś takim. Wyobrażam sobie, jak damulki lgną do niego!

- Kto to jest? - spytała Ivy.

- Lord Stanhope nie upoważnił mnie do udzielania podobnych informacji. Być może znajdzie pani odpowiedź w jego liście. - Prawnik popchnął kopertę w stronę Ivy.

Christopher przechwycił list po drodze. Ivy cmoknęła na znak dezaprobaty i ostentacyjnie wyciągnęła rękę. Brat oddał jej kopertę. Spojrzała na kilka słów skreślonych śmiałym pismem.

- Zgodnie z wyraźną instrukcją lorda Stanhope'a ma pani tydzień na podjęcie decyzji, czy zamierza pani spełnić jego życzenie.

- Mam nadzieję, że z jego listu dowiem się, o co chodzi - powiedziała Ivy, chowając kopertę do woreczka.

- Jestem pewien, że tak będzie, choć - oczywiście - nie czytałem tego listu.

- A jeśli nie zgodzę się spełnić jego prośby? - spytała.

- W takim wypadku dom oraz pieniądze przejdą na własność głównego spadkobiercy: bratanka zmarłego lorda, obecnego hrabiego Stanhope'a.

- Mieć coś takiego w rękę i wypuścić?! - obruszył się Christopher.

- Proszę zabrać ze sobą ten portret, lady Ivy. Któryś z moich kancelistów zanieś go do powozu. Zechce pani łaskawie powiadomić mnie o swej decyzji pod koniec tygodnia... albo wcześniej. - Pan Jenkins uśmiechnął się i wstał na znak, że posiedzenie dobiegło końca.

Ivy również podniosła się z fotela.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić nam tyle cennego czasu. A zatem, do zobaczenia za tydzień, panie Jenkins.

- Czy możemy się spotkać o tej samej porze co dziś?

- Tak, bardzo mi to odpowiada.

Prawnik otworzył drzwi wiodące do kancelarii i skłonił się Ivy, gdy go mijala. Christopher pospieszył za siostrą.

Gdy wracali powozem do domu, Ivy wpatrywała się w portret. Te błękitne oczy miały jakąś tajemną moc: przyciągały ją niczym magnes, przemawiały cło niej, budziły w niej nieznane dotąd uczucia...

- Któż to może być...? Jak ci się zdaje, Ivy? Pytanie Christophera wyrwało ją z zadumy.

- Chyba ktoś... ważny. To doskonały portret.

- Wiesz co? Ojciec i mama wcale by się nie ucieszyli, że przywozisz do domu obcych facetów! Mnie się to także nie podoba, jeśli mam być szczery.

- Uspokój się, osiołku! Wcale nie przywożę do domu obcych facetów, jak to określasz.

- No to ich portrety! A na tego tak się gapisz, aż się niedobrze robi.

- Mój słodki braciszku, przecież to tylko malowidło!

- O, Boże... „Słodki braciszku”! Gdyby to ktoś usłyszał, stałbym się pośmiewiskiem Londynu! - Porzuciwszy gderliwy ton, Christopher pocałował siostrę w czubek głowy. - No, zabierz się wreszcie do tego listu, marudo! Może dowiemy się w końcu, co to za jeden. - Rozsiadł się wygodnie z głową opartą o poduszki.

Ivy wydobyła z woreczka list lorda Stanhope'a. Złamała pieczęć i wyjęła z koperty trzy arkusiki welinu.

*Moja droga Ivy,*

*Wybacz, że tak poufale zwracam się do Ciebie, ale wydaje mi się, że znamy się od lat i żyjemy w przyjaźni. A któż używa w rozmowie z przyjacielem oklepanych formułek i oficjalnych tytułów...? Zresztą, gdybym nawet nie miał racji, i tak nie możesz mnie już ofuknąć ani zasypać wyrzutami. Kto by się kłócił z nieboszczykiem?! (Wybacz ten niesmaczny żarcik, ale przez całe życie byłem żartownisiem. Dzień bez psoty, kawału czy dowcipu uważałem za stracony.)*

Ależ z niego dziwak - pomyślała Ivy. Ma doprawdy osobliwe poczucie humoru!

- No i co ci napisał? - dopytywał się Christopher.

- Opanuj się! Nie skończyłam jeszcze czytać.

- To się pospiesz! Umieram z ciekawości, o co tu w końcu chodzi.

- Jeśli nie przestaniesz mnie zadreć, odłożę czytanie listu na potem. Wrócimy do domu, zamknę się w swojej sypialni i będę miała wreszcie spokój.

- Już jestem cicho. - Christopher skrzyżował ramiona na piersi i zrobił taką minę, jakby w ogóle nie interesował się sprawami siostry. Przy czym nie spuszczał z niej wzroku ani na chwilę.

Obserwując tę błazenadę, Ivy roześmiała się i powróciła do listu.

*Jestem pewien, że zdziwił Cię ten nieoczekiwany legat od nieznanego. Otóż dawno, dawno temu zakochałem się w pięknej dziewczynie. A w dodatku, jakimś cudem, ona również mnie pokochała. Nie zapomniałem nigdy tamtego sezonu, który spędziliśmy wspólnie. Te tańce, te tajemnicze szepty, te ukradkowe spotkania... Niestety byłem tylko młodszym synem, bez tytułu, majątku i nadziei na poprawę sytuacji. Rodzice mojej ukochanej nie wyrazili zgody na nasz związek i czym prędzej wydali ją za kogoś innego. Wiesz, o kim mówię, Ivy? Moja ukochana Phoebe to twoja matka. Z rozpaczą w sercu przyglądałem się, jak przed ołtarzem przysięga miłość i wierność twojemu ojcu. Ja również złożyłem wówczas uroczystą przysięgę, że nie będę jej narażał na takie cierpienia, jakie sam znosiłem. Doszedłem do wniosku, że najlepiej się jej przysłużę, znikając całkowicie z jej życia. Ale nigdy o niej nie zapomniałem.*

No, cóż... To wyjaśniało dziwną reakcję mamy na wieść o śmierci lorda Stanhope'a i o jego zapisie dla Ivy. Matka westchnęła, szepnęła „Haroldzie...” i pospiesznie opuściła pokój, ocierając łzy.

*Dowiedziałem się, że urodziła swemu mężowi syna, a potem Ciebie i twoją siostrę. Mniej więcej w tym czasie zmarł mój starszy brat, a ja odziedziczyłem jego tytuł i jego fortunę. Miałem już wszystko... ale nie wynagrodziło mi to największej straty, jaką poniosłem. Nie wskrzesiło utraconej miłości Ot, ironia losu! Już Ci wspomniałem, że lubię żarty. Los również ma poczucie humoru i bawi się naszym kosztem.*

*Nie myśl, że zgorzkniałem w moim bólu. Wręcz przeciwnie! Mierzi mnie ciągle utyskiwanie i walenie głową w mur. Phoebe była szczęśliwa, ja pogodziłem się z losem. Zawsze jednak z daleka obserwowałem ją i jej dzieci. Zadowolilem się rolą obserwatora, dyskretnego, ale zaangażowanego.*

*Z trojga dzieci Phoebe właśnie Ty, Ivy, byłaś moją ulubienicą. Twój brat i twoja siostra to również ciekawe osobowości. Brakuje im jednak tej iskry bożej i siły witalnej, która z Ciebie promieniuje. Jak wspaniale umiesz poskromić natrętnych wielbicieli! Jesteś dla nich zawsze miła i uprzejma, ale trzymasz ich na dystans. Nikt jeszcze nie skradł Ci serca. Wyobrażam sobie, jak ta niezależna postawa irytuje i trwoży twoich rodziców!*

*Ivy zaśmiała się cichutko. Lord Stanhope rzeczywiście znał ich na wylot!*

*Pozostawiam Ci więc w spadku dom i nieco gotówki, byś mogła zachować niezależność nawet po wyjściu za mąż. Ale najpierw musisz spełnić moje życzenie. Podróże kształcą, wszyscy o tym wiemy. Podróże pomagają spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy. I*



*nieraz się zdarza, droga Ivy, że u kresu podróży czeka nas spełnienie najskrytszych marzeń.*

Spełnienie najskrytszych marzeń...? Ivy potrząsnęła głową. U kresu podróży nie czeka jej nic prócz przykrego obowiązku. Nic prócz małżeństwa z Neville'em Foxworthym, markizem Wynbrooke. Zmarszczyła brwi. Po chwili wróciła znów do listu.

*Do tej pory Jenkins z pewnością przekazał Ci portret. Masz go zawieźć do Walii i wręczyć jednemu z moich przyjaciół. Z pewnością będzie zły, że przetrzymałem obraz zbyt długo. Odmówi przyjęcia portretu. Jestem pewien, że tylko ty, Ivy, możesz go do tego skłonić.*

*Moja gospodyni, pani Pennyfeather, będzie Ci towarzyszyć w tej wyprawie. Wyraziła już zgodę. To niezwykła kobieta, z pewnością wywiąże się doskonale z roli przyzwoitki. Mój powóz i mój stangret także czekają na twe rozkazy. Wszystkimi szczegółami zajmie się Jenkins. Droga Ivy, mam nadzieję, że zechcesz spełnić prośbę starego przyjaciela, który zawsze dobrze Ci życzył, choć nigdy go nie poznałaś. Wierzę, że czeka Cię wielkie szczęście, na jakie zasługujesz. Szkoda, że świadkiem tego radosnego wydarzenia nie będzie już twój stary przyjaciel Stanhope*

Na ostatniej kartce welinu widniało nazwisko i adres człowieka, któremu miała wręczyć obraz: Auburn Seaton, ksiązę Tamberlake, Gryphon's Lair, Betws-y-coed, Walia.

Jeśli nie zapomniała ze szczętem geografii, posiadłość lorda Tamberlake'a znajdowała się na terenie Snowdonii.

Dziwne... Nigdy dotąd o nim nie słyszała.

Złożyła list i schowała go znów do koperty. Cóż za osobliwa prośba! Każda firma przewoźnicza mogła dostarczyć przesyłkę pod wskazany adres. Czemu lord Stanhope obarczył tym zadaniem właśnie ją? Nie wyjaśnił tego w swoim liście... Ale, szczerze mówiąc, Ivy nie potrzebowała żadnych wyjaśnień.

Usta jej wygięły się w lekkim uśmiechu. Jeżeli wyjedzie do Walii, termin uroczystych zaręczyn znów się odwlecze.

Uśmiechała się od ucha do ucha, chowając list w zanadrze.

- No i co? Wiesz już, co to za jeden?

- Kto taki?

- Jak to kto? Mężczyzna z portretu! - Christopher spojrzał na nią jak na wariatkę.

- Lord Stanhope nic mi o nim nie napisał.

- No to o czym ci napisał?

- Prosił, żebym zawiozła ten obraz do Walii i wręczyła jednemu z jego przyjaciół.

- Wykluczone!

- Wykluczone! - orzekła Phoebe St. Clair, hrabina Dunleigh. - Nawet o tym nie wspominaj. Ominęłoby cię uroczyste otwarcie sezonu!

- Komu zależy na kilku idiotycznych balach?!

- Idiotycznych?! Ivy, nie pozwolę, by moja córka...

- No, no, mamó! Nie irytuj się. - Ivy poklepała wzburzoną hrabinę po ramieniu. - Przecież to tylko krótki wyjazd, a nie zerwanie zaręczyn!

- Nie mów takich strasznych rzeczy, Ivy!

- Tylko żartowałam.

- Z pewnych spraw nie wolno żartować! Doskonale wiesz, że musisz pierwsza iść do ołtarza. Dopiero wtedy zaczniemy szukać odpowiedniego męża dla Georginy.

Ivy pożałowała, że nie może zamienić się na miejsca z młodszą siostrą.

- Obiecałam przecież, że wyjdę za lorda Wynbrooke'a.

- Strasznie długo zwlekaliśmy z oficjalnym ogłoszeniem waszych zaręczyn. - Hrabina nerwowo wymachiwała wachlarzem. - Co ludzie o nas powiedzą?!

- Nic nie powiedzą, bo zaręczyny nie zostały jeszcze ogłoszone. A ja wrócę za dwa, trzy tygodnie. - Ivy podniosła się z sofy i podeszła do okna. Spojrzała na zachód. Bardzo chciała wyjechać, ale mama robiła trudności. Jak ją przekonać...? I nagle doznała olśnienia. - Taka byłam pewna, że sprawię ci radość, spełniając prośbę twego dawnego przyjaciela...! No, cóż... myliłam się. Widać niewiele dla ciebie znaczył.

Lady Dunleigh westchnęła: „Kochany Harold...!”, wyjęła chusteczkę i przytknęła ją do oczu.

Choć podziw Ivy dla rodzicielki wzrósł, odkąd dowiedziała się o jej młodzieńczej miłości, bez skrupułów wykorzystwała matczyne wspomnienia, by przeciągnąć ją na swoją stronę. Siadła znów przy matce i wzięła ją za rękę.

- Zaraz po moim powrocie powiadomimy cały świat o naszych zaręczynach. Przysięgam! Pozwolę ci nawet wybrać dla mnie toaletę na tę uroczystość.

Hrabina natychmiast się rozpromieniła.

- Już ją obmyśliłam! Znalazłam kolor, który najlepiej pasuje do twojej karnacji i podkreśli twoje oczy... Jaka szkoda, że nie jesteś blondynką jak twoja siostra!

Ivy odwróciła się do okna, by ukryć uśmiech triumfu. Cóż z tego, że ma nijakie włosy: ani kruczoczarne, ani złote? Cóż z tego, że ma zwyczajne piwne oczy? Niech sobie Georgina kolekcjonuje poematy na cześć swej niebiańskiej i złocistej urody!

- A jednak to wykluczone! Nie mogę sama z tobą pojechać. Nie mogę nawet dać ci do towarzystwa pokojówki. Podczas twojej nieobecności Georgina weźmie udział w kilku balach... Pokojówka będzie nam koniecznie potrzebna. Nie chcesz chyba, żeby twoja siostra poniosła klęskę na samym początku sezonu... tylko dlatego, że zachciało ci się błąkać po dzikich bezdrożach...

- Nie potrzebuję pokojówki, mamó! Lord Stanhope zdążył przed śmiercią wszystko zaaranżować. Jego gospodyni pojedzie ze mną jako przyzwoitka. A Christopher także ma wielką ochotę wybrać się z nami do Walii.

Z pewnością tamtejsze dzikie bezdroża są spokojniejsze i bezpieczniejsze niż Londyn podczas tego matrymonialnego jarmarku!

- dodała w duchu.

- Gospodyni w roli przyzwoitki?! To nie do pomyślenia!

- Powiemy, że to nasza daleka, uboga krewna. Albo coś w tym rodzaju. I Christopher też tam będzie. Zgódź się, mamó, bardzo proszę! Nie chcesz chyba, żebym zlekceważyła ostatnie życzenie biednego lorda Stanhope'a?

- Oczywiście, że nie chcę! Kochany Harold...! nie zapomniał o tobie w swym testamencie... - Twarz matki rozjaśniła się nieco zagadkowym uśmiechem. Hrabina zaczęła bawić się koronkowym kołnierzykiem. Co chwila wznosiła oczy do góry. - Zapisał ci domek w Devon...

- Owszem, ale pod warunkiem, że wykonam powierzone mi zadanie.

- Trudno mi oswoić się z myślą, że już go nie ma wśród nas...

- Więc pozwól, bym spełniła jego ostatnie życzenie! -zawołała Ivy i wstrzymała dech.

Lady Dunleigh skinęła głową.

- Tak, musimy uszanować jego wolę. Pojedziesz do Walii, moje dziecko. Wy tłumaczę wszystko twojemu ojcu i przekonam lorda Wynbrooke'a.

Ivy z całej siły przygryzła wargę, żeby się opanować. Miała ochotę krzyknąć z radości. Jeszcze trzy tygodnie swobody, nim schyli kark pod ciężkie jarzmo. Wyjdzie za Wynbrooke'a, bo rodzice się tego domagają. Ale nie musi udawać entuzjazmu z tego powodu. A gdyby jej narzeczonemu nie spodobał się ten nagły wyjazd? No cóż... nie jest jeszcze jej panem i władcą.

- Powtórz mi raz jeszcze, na czym polega twoje zadanie.

- Muszę wręczyć pewien obraz hrabiemu Tamberlake'owi.

Osobiście.

Hrabinie zaparło dech. Zbladła jak ściana.

- Nie pisnęłaś nawet słówka o Tamberlake'u... Ivy podbiegła do matki.

- O co chodzi, mamó?

- Najdroższa córeczko, nie puszczę cię tam!

- Ależ, mamó! To bardzo proste zadanie. - Ivy skrzyżowała ramiona na piersi. - Zresztą sama pozwoliłaś mi jechać do Walii.

- Nic nie rozumiesz, dziecino. Nie chodzi o twoje zadanie... tylko o niego.

- O kogo?!

- O tego potwora Tamberlake'a! Mówią o nim: „książę bez twarzy”...

„Potwór!... Książę bez twarzy...”

Słowa matki rozbrzmiewały gromkim echem w głowie Ivy, gdy ze stojącego przed bramą z kutego żelaza powozu wpatrywała się w widniejący za nią szary, kamienny budynek. W żadnym z okien nie paliło się światło. Wznoszące się po obu stronach budowli wieżyczki nie dodawały jej uroku; raczej upodabniały ją do fortecy. Kamienne ściany porosły mchem. Nikt nie zadbał o to, by przesłonić czymś sterczące z dachu kominy. Ani śladu jakichkolwiek ozdób architektonicznych... jeśli nie liczyć sylwetki gryfa na żelaznej bramie.

- Ten dom nie spogląda na nas życzliwym okiem -stwierdziła Ivy.

Christopher zerknął przez okno powozu.

- A czegoś się spodziewała? Toż to Walia! Pani Pennyfeather poklepała Ivy po ramieniu.

- Założę się, że w zimie mieszkańcy tego domu czują się w nim bezpiecznie i wygodnie.

Ta kobieta umiała znaleźć dobre strony w każdej sytuacji! Okazała się idealną towarzyszką podróży. Była bystra i roztropna, przyjemnie się z nią rozmawiało. Lord Stanhope potrafił sobie dobrać personel. Pod koniec wyprawy trudno się będzie z nią rozstać!

Ivy zerknęła na niebo. Ono również nie było przychylnie nastawione do podróżnych. Psia pogoda nie poprawiła im humoru. Od

tygodnia niebo nad ich głowami przesłaniały szare chmury, pełne deszczu, który utrudniał podróż, zmieniając drogi w bagniska. Dzisiaj wyglądało to jeszcze gorzej niż zwykle.

W tej ponurej scenerii nietrudno było uwierzyć w istnienie księcia-potwora. Ivy miała wrażenie, że zabłąkała się na karty jakiejś powieści grozy. Odludna okolica otoczona pasmem szarych gór nadawała się idealnie na matecznik niesamowitych stworzeń. Kto wie? Może i jej przyjdzie szukać schronienia w górach...? Matka nie będzie zadowolona, jeśli podróż się przeciągnie. Ale przecież Ivy nie miała żadnego wpływu na kaprysy aury... choć bardzo by ją ucieszyło, gdyby deszcz lał przez kilka tygodni.

Z westchnieniem oderwała się od okna i oparła głowę o poduszkę. Podróż była niezbyt wygodna, mówiąc delikatnie. W wielu zajazdach pomieszczenia były brudne, a jedzenie obrzydliwe. Kiedy dotarli do Walii, stan dróg wyraźnie się pogorszył. Po każdym wstrząsie Ivy zastanawiała się, czy jej siniaki kiedykolwiek zbledną i znikną. Na razie tylko ich przybywało.

Woźnica zszedł z wysokiego kozła i otworzył bramę. Po kilku minutach ekwipaż znów się zatrzymał, tym razem przed frontem budynku. Ivy niecierpliwiła się: kiedyż ten stangret zejdzie znów z kozła i otworzy jej drzwi? Christopher z wyraźną niechęcią wstał, pomógł siostrze wysiąść i stanął przy bocznej ścianie powozu.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zaczekam tutaj. - Zapalił krótkie cygaro i znów oparł się o bok powozu.

- Jak sobie życzysz.



Ivy po schodkach wspięła się do drzwi frontowych. Pani Pennyfeather poszła w jej ślady. Stangret został przy powozie.

Ivy dostrzegła wiszącą na drzwiach mosiężną kołatkę w kształcie gryfa z kółkiem w ostrym dziobie i szponiastą łapą wzniesioną groźnie do góry. Schwyciła za kółko. Rozległo się skrzypienie: rzadko widać używana kołatka głośno zaprotestowała.

Nie daj się ponieść wyobraźni!

Ivy odpędziła od siebie niemądre myśli i zastukała dwukrotnie. Żadnej reakcji. Zmarszczyła brwi.

- Czyżby nikogo nie było w domu?

- Powiadają, że księżę nigdy nie opuszcza swej siedziby - odparła pani Pennyfeather.

- Ja też tak sędzę. Znów chwyciła kołatkę.

Drzwi otwarły się tak raptownie, że mosiężny pierścień wyślizgnął się jej z ręki. Wydała okrzyk zdumienia. W drzwiach stał mocno zbudowany, siwy mężczyzna.

- Czym mogę służyć?

- Chcę się widzieć z księciem. Mam...

-Jego książęca mość nie widuje się z nikim. Do widzenia.

Majordomus zatrzasnął drzwi.

Ivy gapiała się na kołatkę. Gryf uśmiechał się szyderczo.

Odwróciła się do pani Pennyfeather.

- Zatrzasnął mi drzwi przed nosem!

- Coś podobnego!

Widząc, że pani Pennyfeather jest tak samo zbita z tropu jak ona, Ivy sapnęła z irytacji, odwróciła się do drzwi i ponownie zastukała.

Tym razem majordomus otworzył znacznie szybciej.

- Książę pan nie życzy sobie żadnych wizyt.

- Ale ja nie przyszedłam z wizytą! Ja... Drzwi znów zamknęły się z hałasem.

- Cóż to za grubianin! Co za czarna niewdzięczność...! - zaczęła wykrzykiwać Ivy.

- No, no, milady! Proszę się nie gorączkować. - Pani Pennyfeather poklepała ją po ramieniu. - Nie warto się unosić, to nic nie da.

Christopher przestał podpierać powóz. - Wracajmy do wsi. Musimy wystarać się o jakiś nocleg. Jutro możemy znowu tu przyjechać, jeśli chcesz.

- Nie ruszę się stąd! Potrafię być równie uparta, jak on. Będziemy tu warować, póki nas nie wpuszczą!

Pani Pennyfeather uniosła brwi.

- Jak sobie pani życzy, milady.

Ivy zastukała znów kołatką i zawołała:

- Tak łatwo się mnie nie pozbędziecie! Jestem tu i zostanę!

Christopher wzruszył ramionami i ponownie skupił się na cygarze.

Ivy omiotła wzrokiem fasadę domu. Miała wrażenie, że w jednym z okien na piętrze coś się poruszyło, ale nie była tego pewna. Skrzyżowała ręce na piersi i oparła się pokusie pokazania języka temu komuś na górze.

Przez pół godziny stała pod drzwiami, przestępując z nogi na nogę. Nie dała za wygraną. Pani Pennyfeather przestała już namawiać ją, by wróciła do powozu. Christopher ignorował siostrę całkowicie. A ona przysięgała sobie w duchu, że nie ruszy się spod tych drzwi, zanim majordomus nie zaprosi ich do środka.

Nie odstraszył jej nawet deszcz, który właśnie zaczął padać.

Z urazą spojrzała na zaciągnięte chmurami niebo. Czyżby sprzysięgło się z księciem przeciw niej? A niech tam! Przetrzyłaby choćby potop.

- Ivy, wracaj do powozu - odezwał się Christopher. - Całkiem przemokniesz!

- Wielkie rzeczy! - Miała ochotę tupnąć nogą, ale się powstrzymała. - Nie ruszę się stąd!

- Nie bądź głupia! Znajdziemy jakieś przyzwoite lokum we wsi - przekonywał.

- Nie!

Wbiła wzrok we drzwi.

- Nie oczekujesz chyba, że będę razem z tobą sterczał na deszczu?

Rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

- Niczego od ciebie nie oczekuję.

Christopher wsiadł do powozu. Pani Pennyfeather westchnęła i osłoniła szalem głowę i ramiona.

- Nie musi pani stać ze mną na deszczu. Proszę wrócić do powozu jak mój brat! - Ivy leciutko popchnęła swą towarzyszkę w stronę pojazdu.

- Jakżebyś mogła?!

Pani Pennyfeather stała jak przymurowana na górnym stopniu.

- Naprawdę nie ma sensu, żebyśmy obie zmokły. Do powozu krokiem marsz! - rzuciła rozkazującym tonem Ivy i mrugnęła szelmowsko do przyzwoitki.

- Może się pani rozchorować, milady!

- Od kilku kropel wody? - Ivy zniżyła głos. - Jestem pewna, że zaraz nas wpuszczą!

- Poczekam na to razem z panią - upierała się pani Pennyfeather.

Stangret zaproponował panience swój parasol, ale odmówiła.

Przeciwnik mógłby uznać to za dowód słabości z jej strony.

Upłynął kolejny kwadrans. Ivy trzęsła się z zimna, ale stała uparcie na pierwszym stopniu. Zwątpiła już w pomyślne zakończenie swojej misji, tylko nadzieja, że majordomus otworzy wreszcie drzwi, powstrzymała ją od ucieczki. Znów jej się zdawało, że dostrzega jakiś ruch w tym samym oknie, co poprzednio. Kiedy jednak uniosła głowę, by przyjrzeć się dokładniej, krople deszczu wpadły jej do oczu i przesłoniły widok.

Idiotka! Kompletna z ciebie idiotka! Christopher ma rację. Ojciec też jest tego zdania. Każdy obdarzony odrobiną rozsądku zrezygnowałby dawno temu.

Ivy westchnęła. Była zziębnięta, mokrzusieńka i głodna jak wilk. Z koafiury pozostały smętne resztki. Przemoczona spódnica przylgnęła do krynoliny, wyginając swoim ciężarem jej obręcz. Pani Pennyfeather wyglądała równie żałośnie. Ivy ogarnęło poczucie winy. Prawda, że namawiała ją, i to kilkakrotnie, by schroniła się w powozie. Nie uciszało to jednak wyrzutów sumienia.

Ivy znów westchnęła. Cóż... mogą tu wrócić jutro.

Już miała odwrócić się i odejść, gdy nagle mosiężny gryf wypadł jej z rąk. Drzwi otwarły się. Stał w nich majordomus.

- Jego książęca mość kazał was wpuścić do środka. Ivy miała ochotę krzyknąć z radości, ale jakoś zapanowała nad sobą.

Obie kobiety weszły do frontowego hallu. Korytarze wiodące od wejścia do wnętrza domu nie były oświetlone. Chcąc zrobić miejsce dla pani Pennyfeather, Ivy odsunęła się od drzwi. Poślizgnęła się na mokrej posadzce, ale zdołała utrzymać równowagę.

Christopher wbiegł do środka zaraz za obiema paniami.

- Brawo, Ivy! Nie przypuszczałem, że ci się to uda! - Strząsnął z czupryny krople deszczu.

- Powiem woźnicy, gdzie ma wprowadzić powóz -oznajmił lokaj i skierował się w stronę drzwi.

- Najpierw niech przyniesie nasz bagaż - poleciała Ivy.

Majordomus uniósł brew.

- Musimy przebrać się w suche ubrania. Chyba nie chcecie mieć sadzawki w hallu? - Wzięła się pod boki.

Po raz pierwszy służący odpowiedział dość uprzejmie:

- Jak pani sobie życzy.
- I niech nie zapomni o pakunku!
- Przekażę mu polecenie panienki.
- Nie panienki, tylko milady - pouczyła go pani Pennyfeather.

Majordomus nic na to nie odpowiedział. Otworzył parasol i wyszedł, by przekazać stangretowi instrukcje.

Kap... kap... kap... Do uszu Ivy dotarł cichy odgłos spadających kropel. Spojrzała w dół. Niewiele mogła dostrzec w mdłym świetle, ale i tak wiedziała, że woda spływa na posadzkę z jej spódnicy. Szurnęła nogą, chcąc zagłuszyć to kapanie, ale mlaskanie biota pod stopami było jeszcze obrzydliwsze niż ściekanie kropel wody. Majordomus powrócił.

- Poleciałem woźnicy przejechać na tyły domu. Teraz wskażę pokój, gdzie panie będą mogły się przebrać.
- A co ze mną? - zagadnął Christopher z wesołym uśmiechem. Lokaj zmierzył go od stóp do głów.
- Pan może poczekać w salonie. Proszę za mną. - I ruszył przodem.

Ivy otrząsnęła się, podkasła przemoczoną spódnicę i podążyła za majordomem. Im bardziej zapuszczali się w głąb domu, tym mroczniej było na korytarzu. Za Ivy kroczyła pani Pennyfeather. Pozostawili Christophera w salonie i weszli na piętro. Było tam równie ciemno, jak na parterze.

Służący zatrzymał się pod jakimiś drzwiami i zwrócił się do kobiet.

- Tutaj mogą się panie przebrać. Za chwilę przyniosę bagaż. Nie zatrudniamy pokojówek, więc muszą panie jakoś sobie poradzić bez nich.

Otworzył drzwi.

Ivy weszła do pokoju. Idąca w ślad za nią pani Pennyfeather zagadnęła majordoma:

- A potem? Dokąd mamy... Drzwi się zamknęły.

- Hm! Widać w tym domu nigdy nie słyszano o dobrych manierach - stwierdziła Ivy i zaczęła rozpinąć stanik sukni. - Nawet nas nie poinformował, jak mamy się do niego zwracać. Uznał zapewne, że nie zabawimy tu długo, więc nie warto się nam przedstawiać.

Pani Pennyweather stanęła za nią i rozsznurowała jej gorset.

- Istotnie, mieszkańcy tego domu zachowują się dość ekscentrycznie. Być może nie są przyzwyczajeni do takich atrakcji.

- Atrakcji?!

- Rzadko miewają gości. Nowe twarze i plotki stanowią na prowincji główną atrakcję.

- No, tym razem atrakcja jest bardzo przemoczona! Ivy wyswobodziła się ze stanika. Trzymając górną część sukni jak najdalej od ciała, pozwoliła, by spódnica opadła na podłogę bezkształtną, ciężką od wody masą. Ivy rozejrzała się po pokoju. W jednym kącie stolik i krzesło. Na kominku ani śladu ognia. Okna zasłonięte kotarami. Na szczęście majordomus zostawił im świecę. Przejął ją dreszcz. Na ciele pojawiła się gęsia skórka.

Powiesiła mokry stanik na oparciu krzesła, podniosła spódnicę z podłogi i rozpostarła na stole niczym obrus. Z obrąbka ściekała woda.

- Dobrze, że nie ma tu dywanów! Całkiem by przemokły.

- Ale ogień na kominku bardzo by się przydał - mruknęła pani Pennyfeather.

Skąpe umeblowanie pokoju sprawiło, że Ivy zaczęła się zastanawiać nad stanem majątkowym gospodarza. Czyżby był tak biedny, że nie mógł sobie pozwolić na wyposażenie całego domu? A może z zasady jest wrogiem komfortu...? Znow przebiegł ją dreszcz. W tym domu nie było niczego, co mogłoby sprawić mieszkańcom choć odrobinę radości.

Mimo woli przypomniały jej się słowa matki: „Potwór! Książę bez twarzy!”

Jakiż stwór żył tu w wiecznym odosobnieniu i mroku...?

Ktoś zastukał do drzwi. Ivy aż podskoczyła.

- Kto tam? - spytała pani Pennyfeather.

- To ja, gospodyni... Mój mąż zaniósł bagaże pań do sąsiedniego pokoju.

- Bardzo dziękujemy.

- Kiedy się już panie przebiorą, proszę zadzwonić. Przyjdę i zaprowadzę panie, gdzie trzeba.

Usłyszawszy, że kroki gospodyni cichną w oddali, Ivy podeszła do drzwi prowadzących do przyległego pokoju-

- Przynajmniej możemy się przebrać w suche rzeczy! W ciągu pół godziny wytarły się i zmieniły suknie. Ivy zdołała nawet upiąć



mokre włosy w coś w rodzaju koka. Matka zapewne załamałaby ręce na jej widok, ale taka toaleta musiała wystarczyć na pierwszą wizytę w znajdującym się na odludziu walijskim dworze. Zwłaszcza po ulewnym deszczu! Ivy pociągnęła za sznur od dzwonka.

Po kilku minutach zjawiała się gospodyni. Była niska i krępa.

- Widzę, że już się panie osuszyły. Chodźmy! Jego książęca mość niebawem się z państwem spotka.

Sprowadziła je na parter.

W hallu było równie ciemno, jak pół godziny temu. Ivy zawadziła spódnicą o jakiś stołek i krynolina się rozchybotwała. Zmarszczyła brwi i poprawiła suknię, wyrzekając w myślach: po jakiego diabła ustawiać na korytarzu jakieś meble, których nie widać po ciemku? Każdy może się o nie potknąć i zrobić sobie krzywdę!

Gospodyni zatrzymała się przed jakimiś drzwiami i otworzyła je.

- Zechcą panie tu zaczekać.

Ivy miała już wejść, ale nagle stanęła jak wryta.

- O, Boże! Zapomniałam o liście lorda Stanhope'a do księcia Tamberlake'a. Schowałam go do neseseru i został w powozie.

- Czy nie można z tym zaczekać? - spytała gospodyni.

- Nie - odparła Ivy. - Muszę wręczyć ten list księciu razem z pakunkiem.

- Zaraz go przyniosę - ofiarowała się pani Pennyfeather.

- Jak pani uważa. - Gospodyni wzruszyła ramionami. - deszcz ustał, ale na dziedzińcu pełno błota i kałuż. Pokażę pani, jak tam dojść. - Zwróciła się do Ivy: - A pani niech lepiej tu zaczeka.

Ivy weszła do pokoju. Jedynym źródłem światła był ogień na kominku. Zasłony zaciągnięto tak szczelnie, że z zewnątrz nie przenikał ani jeden promyk słońca. O, Boże! Jeśli księżę chciał zamienić swój dom w grobowiec, to nieźle mu się udało.

W jednym z dwóch foteli przy kominku siedział Christopher. Na widok siostry uniósł kieliszek w górę.

- Księżę pan ma pierwszorzędny koniak!
- Rada jestem, że coś ci przypadło do gustu.
- Porządny ogień, dobry koniak, wygodny fotel... Czego więcej chcieć?
- Dobrze się składa, że masz takie skromne wymagania.

Odwróciła się do niego tyłem i próbowała rozejrzeć się po pokoju. Kiedy oczy jej przywykły do ciemności, uświadomiła sobie, że większa część pomieszczenia tonie w mroku. Panowała tu cisza; słychać było tylko trzaskanie ognia na kominku. Gdyby nie obecność brata, czułaby się samotna i odgradzona od świata - nieszczęsna branka szatańskiego lorda Tamberlake'a. Omal nie parsknęła śmiechem, ale jakoś się opanowała. Podeszła do przeciwległej ściany i wróciła na poprzednie miejsce. Pakunek, który miała doręczyć księciu, stał niedaleko kominka, oparty o ścianę. Nie dostrzegła w pokoju żadnych innych obrazów. Jaka szkoda zostawiać taki piękny portret komuś, kto nie docenia dzieł sztuki!

Przez kilka następnych minut czekała w napięciu, że ktoś - wszystko jedno kto - podejdzie do niej. Ale pani Pennyfeather nie kwapiła się jakoś z powrotem. Christopher siedział z błogą miną i

delektował się koniakiem. Zniecierpliwiona sapnęła, podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz.

- Czego tam szukasz? - spytał Christopher. Cofnęła się od drzwi, jakby dopuściła się jakiegoś niecnego czynu.

- Niczego! Pij koniak i nie marudź.

Brat uniósł brew i zgodnie z jej radą łyknął koniaku-Ivy znów wyjrzała na korytarz.

Spod drzwi naprzeciwko sączyła się smużka światła. Ciekawość popchnęła dziewczynę do działania. Po cichutku przeszła na drugą stronę korytarza, ostrożnie uchyliła drzwi i zajrzała do wnętrza.

Nie wiadomo, co spodziewała się zobaczyć, ale ujrzała o prostu bibliotekę. Większa część pokoju tonęła w ciemności lecz druga, mniejsza, była oświetlona blaskiem ognia wesoło trzaskającego na kominku i światłem lampy. Na wszystkich ścianach były półki. Na każdej z półek stały książki, jedna przy drugiej. Ivy otworzyła usta ze zdumienia. Tyle tomów! Jej ojciec również miał bibliotekę, ale trzymał tam przede wszystkim broń palną i cygara.

W porównaniu z innymi pomieszczeniami pokój wydawał się tak jasny, że oczarował Ivy. Weszła do biblioteki. Ktoś nagle zamknął książkę. Ivy w popłochu rozejrzała się na wszystkie strony. Choć nikogo nie zobaczyła, serce jej biło gwałtownie, jakby popełniła jakiś straszny grzech. Przejął ją dreszcz i podbiegła do ognia. Wyciągnęła obie ręce, chcąc je ogrzać.

- Nie przemarzłaby pani aż tak, gdyby nie sterczała na deszczu.

Ivy odwróciła się błyskawicznie w stronę, skąd dochodził ten głos. Zdołała przeniknąć wzrokiem ciemność i dostrzegła głęboki fotel z wysokim oparciem. Sterczały z niego męskie nogi w brunatnych spodniach i czarnych butach. Reszta postaci była niewidoczna w mroku.

- K... kim pan jest?

- O ile mi wiadomo, jestem osobą, z którą pani chciała się koniecznie spotkać - odparł tajemniczy głos. Siedzący w fotelu mężczyzna wstał i zaszył się w jeszcze ciemniejszym kącie.

- Auburn Seaton, księżę Tamberlake, do usług.

Tamberlake dostrzegł zdumienie na twarzy nieznajomej. Ze swego mrocznego zakątka przyglądał się, jak przetrawia zaskakującą informację i, podjąwszy decyzję, prostuje się dumnie. Każda myśl odbijała się na jej twarzy. Dziewczyna wahała się, czy podejść do niego, czy też przywitać się oficjalnie, z daleka. Zwyciężyły wpajane od dzieciństwa zasady dobrego wychowania. Złożyła niski, niemal dworski ukłon.

- Dzień dobry, wasza książęca mość. Jestem lady Ivy St. Clair.

- Miło mi panią poznać.

- Bardzo wątpię! - Wyprostowała się. - Zrobił pan wszystko, co w ludzkiej mocy, milordzie, byśmy czuli się pod pańskim dachem obco i niezręcznie.

Zbliżyła się do niego o krok, Tamberlake zrobił krok do tyłu. Przypominało to układ taneczny.

- Nie, nie! Proszę zostać przy kominku. Musi się pani ogrzać. Zatrzymała się, a potem wróciła do kominka.

- Cóż za wzruszająca troska o moje zdrowie! Szkoda, że nie doszła do głosu wcześniej. Nie musiałabym moknąć na deszczu.

Tamberlake roześmiał się. Doprawdy, niezwykła kobieta!

- Czemu więc narażała się pani na zapalenie płuc dla takiego grubianina?

- Bo przysłał mnie do pana lord Stanhope.

Na krótką chwilę odżyło w Auburnie wspomnienie dawnej przyjaźni, ocknęły się odrzucone i stłamszone uczucia.

- Jakże się miewa poczciwy stary Stanhope? Lady Ivy nie odpowiedziała od razu.

- Bardzo mi przykro. Myślałam, że już pan o tym wie. On... nie żyje.

Książę nie był przygotowany na taki cios. Odszedł jedyny człowiek, który stał niezłomnie przy nim - pomimo wszystko.

Wykrztusił z trudem:

- Będzie mi go brakowało.

- Proszę mi o nim opowiedzieć! Nie miałam szczęścia poznać go osobiście.

- Jak to? Powiedziała pani przed chwilą, że to on panią przysłał...?

- No, tak... Ale to bardzo skomplikowana sprawa. Zapisał mi coś w testamencie pod warunkiem, że dostarczę księciu osobiście pewną paczkę.

- Paczkę?

- Przyjechałam tu wyłącznie w tym celu.

- Doprawdy? - Co też Stanhope mógł mu przysłać?! - Wobec tego gdzie ona jest?

- W salonie.

- W tym pokoju, w którym miała pani na mnie czekać? Policzki jej pokraśniały. Nie wiedzieć czemu zapragnął dotknąć ich, poczuć bijący od nich żar.

- Może zechciałaby pani tam pójść? Zjawię się za chwilę i wrócimy do naszej dyskusji.

Ivy wymknęła się czym prędzej z biblioteki. Tamberlake westchnął, sięgnął po laskę i ruszył wolnym krokiem. Wszedł do salonu, nie zamierzał jednak witać tych... Jakie określenie pasuje do tych natrętów...? No cóż, mimo wszystko byli jego gośćmi. Lady Ivy stała przy kominku, jakiś młodzieniec obok niej... Któż to mógł być? Pewnie ktoś z rodziny. Stali tak blisko siebie... Auburnowi wcale się to nie podobało.

- Pozwoli pan, milordzie - odezwał się młody człowiek - że się przedstawię. Christopher St. Clair, wicehrabia Styles. Brat Ivy.

Brat? Tamberlake poczuł nagłą ulgę.

- Mam nadzieję, Styles, że mój koniak przypadł ci do gustu.

Christopher obracał kieliszek w rękę, bursztynowy płyn wirował.

- Co jak co, ale trunki w tym domu są pierwsza klasa! - odparł z szerokim uśmiechem.

Zuchwalstwo młokosa wydało się księciu zabawne. Podeszedł do kredensu, na którym pani Beaker (jak zawsze) postawiła imbryk z herbatą. Tamberlake zignorował go (jak zawsze). Nalał koniaku do kieliszka i zerknął w stronę Ivy. Odsunęła się od kominka i zmierzała w jego stronę.

- Proszę siadać, lady Ivy. Najlepiej w fotelu koło kominka. Bijący od niego żar z pewnością panią rozgrzeje.

Spojrzała w jego stronę.

- Ale ja...

- Może nalać pani herbaty? Od tak dawna nie miewam gości, że zapomniałem, jak należy ich podejmować.

- Z przyjemnością napiję się herbaty.

Książę odstawił kieliszek na blat kredensu i zdjął przykrywkę z imbryka. Nalał do filiżanki ciepłego płynu.

- Z cukrem i mlekiem?

Lady Ivy usadowiła się w fotelu.

- Z samym mlekiem, bez cukru.

Ruszył w stronę kominka, omijając z rozmysłem najlepiej oświetlone zakątki, i zaszedł dziewczynę od tyłu. Ukryty za oparciem fotela wyciągnął ku niej lewą rękę z filiżanką.

- Proszę, oto pani herbata.

Spojrzała w górę, nie mogła jednak obejrzeć się do tyłu.

Dostrzegł błysk zdziwienia na jej twarzy. Wzięła od niego filiżankę.

- Dziękuję.

Ich palce zetknęły się przy podawaniu herbaty. Zdumiała go miękkość i delikatność jej dłoni. Cofnął pospiesznie rękę i wrócił na swe dawne miejsce obok kredensu. Wziął do ręki kieliszek i wypił spory łyk koniaku. Trunek rozgrzał go skuteczniej niż żar bijący od kominka. Obejrzał się znowu na lady Ivy. Jej ciemne włosy lśniły w blasku ognia jak polerowane drewno. Ciekawe, czy są w dotknięciu jeszcze bardziej jedwabiste niż jej dłonie?

- Wasza książęca mość... - odezwała się Ivy.

- Słucham?



- Jakoś mi głupio zwracać się do ciemnego kąta. Może zechciałby pan usiąść obok nas przy kominku?

Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz. Ogarnęła go bolesna rezygnacja. Z góry wiedział, że musi stanąć przed nimi twarzą w twarz, ale starał się jak najbardziej odwlec tę chwilę.

Zanim jednak wynurzył się z cienia, drzwi się otwały i do salonu weszła towarzyszka lady Ivy.

- Znalazłam! - oznajmiła, machając trzymaną w rękę kopertą.

- Bardzo dziękuję. Zajęło to pani sporo czasu. Już się bałam, że znikła pani na zawsze - powiedziała Ivy, odbierając od niej list.

- Na dziedzińcu jest większe blocko, niż myślałam. - Pani Pennyfeather opadła na wolne krzesło.

Ivy spojrzała znów w stronę kryjącego się w cieniu Tamberlake'a i zmarszczyła brwi.

- Pani Pennyfeather, oto nasz gospodarz, lord Tamberlake. Kobieta zerwała się na równe nogi.

- Boże święty! Myślałam, że jesteśmy sami! - Zmrużyła oczy, próbując coś dostrzec w gęstym mroku, potem zaś wykonała głęboki dyg. - Proszę mi wybaczyć niestosowne zachowanie, wasza książęca mość!

- Niechże się pani tym nie przejmuj. Proszę siadać. Auburn cofnął się w najgłębszy cień, wstydzając się własnego tchórzostwa, a równocześnie ciesząc się, że godzina najcięższej próby jeszcze nie wybiła.

- No, przyłącz się wreszcie do nas, Tamberlake! - odezwał się Christopher. - Chciałbym stuknąć się kieliszkiem z gościnnym gospodarzem!

- Bardzo mi przykro, ale wolę pozostać w cieniu.

Na chwilę zaległa w salonie przytłaczająca cisza. Potem lady Ivy wstała z fotela i zwróciła się twarzą do księcia.

- Lord Stanhope napisał do pana ten list. Przyrzekłam wręczyć go panu wraz z paczką. - Wyciągnęła ku niemu rękę z listem.

Tamberlake nie mógł już dłużej zwlekać. Odstawił pusty kieliszek na kredens. Chwycił laskę i ruszył w stronę znajdującej się przy kominku trójki.

Najpierw dostrzegli wynurzającą się z mroku laskę. Książę opierał się na niej całym ciężarem, wysuwając do przodu okaleczoną nogę. Kiedy znalazł się w kręgu światła, pani Pennyfeather wciągnęła głośno powietrze. Christopher najpierw znieruchomiał z kieliszkiem podniesionym do ust, potem wypił jego zawartość duszkiem.

Kiedy Ivy spojrzała na niego, jej oczy rozszerzyły się. Tamberlake ze ściśniętym sercem wpatrywał się w jej twarz. Zaraz odbije się na niej przerażenie i wstręt...! A jednak nic podobnego nie zobaczył.

Ivy spojrzała prosto w jego prawe, zdrowe oko, potem musnęła wzrokiem miejsce, gdzie niegdyś znajdowało się lewe. Teraz zakrywała je porcelanowa maska.

- Proszę, oto list.

Auburn sięgnął po kopertę, którą mu podawała. Był pewien, że dziewczyna odruchowo cofnie rękę, ale tak się nie stało. Musnął palcami jej dłoń... przylgnął do niej na ułamek sekundy... Nie wzdrygnęła się. Odebrał więc kopertę i schował ją do kieszeni.

- Nie przeczyta książkę tego listu? - zdziwiła się.

- Nie w tej chwili.

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Jej reakcje diametralnie różniły się od jego oczekowań.

Wzruszyła ramionami.

- Portret, który miałam panu doręczyć, także tu jest. -Wskazała owinięty w papier obraz.

- Portret? Wspomniała pani tylko o jakiejś paczce. Spojrzał na pakunek i nagle ogarnął go lodowaty chłód.

Czuł, że za chwilę wydarzy się coś strasznego.

- Tak. Portret jest w tej paczce.

Sięgnął po niewielki, płaski pakiet i zdarł papier okrywający malowidło. Z płótna spojrzała nań twarz... Jego własna, dawna twarz. Odwrócił się raptownie do dziewczyny.

- Nie sądziłem, że jest pani zdolna do tak okrutnego szyderstwa, lady Ivy.

- O czym pan mówi? Nie rozumiem...

- Proszę się przyjrzeć uważnie tej podobiznie. A potem mojej twarzy. Wspaniały żart, nieprawdaż?

Ivy zapało dech.

- Ten portret... To przecież pan!

- Oczywiście. Mam nadzieję, że ubawiła się pani za wszystkie czasy.

-Ja... Ja nie miałam pojęcia...! - Spojrzała na niego oczyma pełnymi łez.

- Sądzi pani, że w to uwierzę?

Nim zdołała zaprzeczyć oskarżeniu, do salonu wkroczył Beaker.

- Proszę o wybaczenie, wasza książęca mość. Mamy poważny problem.

- Oprócz tego, którym właśnie mnie uraczono? Gospodarz odwrócił się plecami do Ivy. Zaprotestowała gwałtownie, ale udał, że nie słyszy.

- O co chodzi, Beaker?

-O powóz tych państwa. Jest uszkodzony.

- Mało mnie to obchodzi. To ich problem.

- Oczywiście, milordzie, ale dziś już za późno wzywać ze wsi stelmacha. Czy mam zaprząć do powozu księcia Pana?

Książę zwrócił się do młodego Stylesa. Na Ivy ani spojrzął. Może Bóg da, że nigdy jej już nie zobaczy!

- Mój powóz odwiezie was tam, gdzie zamówiliście sobie nocleg.

- Sęk w tym, że nigdzie go nie zamówiliśmy - burknął niechętnie młody człowiek.

- Chcieliśmy najpierw wręczyć księciu przesyłkę - wtrąciła się do rozmowy Ivy. - Byliśmy pewni, że nie potrwa to długo i zostanie nam mnóstwo czasu na znalezienie kwatery. Skąd mogliśmy

przewidzieć, że przez pańskie kunktatorskie sztuczki sprawa się aż tak przewlecze?

W głosie Ivy brzmiał gniew. Nim Tamberlake zdołał się pohamować, spojrzał na nią. Łzy już jej wyschły; miała zaciśnięte usta i oburzoną minę. Jakim prawem gniewała się i oburzała?!

- Przygotuj pokoje gościnne, Beaker. Nie ma rady, muszą tu zostać na noc. - Ukłonił się sztywno. - Proszę wybaczyć, ale w tej sytuacji nie potrafię udawać jowialnego gospodarza.

Opuścił pokój, nie obejrzawszy się ani razu na nieproszonego gościa.

Ivy wierciła się niespokojnie, nie mogła uleżeć w łóżku. Nie wiedziała, co się z nią dzieje: czy jest wściekła, czy zrozpaczona. Wieczorny posiłek okazał się kompletnym niewypałem. Pani Beaker (Ivy zdążyła już poznać nazwisko gospodyni) podała im zimną kolację. Tylko pani Pennyfeather i Christopher coś przekąsili. Pan domu w ogóle się nie pokazał. Wszyscy położyli się wcześniej do łóżka, ale Ivy nie mogła zasnąć. Wyjątkowo przykry incydent z portretem nadal ją nękał, choć powtarzała sobie w duchu, że nie ponosi żadnej winy. Ale jak mogła nie rozpoznać na obrazie lorda Tamberlake'a? Ogarnął ją głęboki smutek. Przez dwa tygodnie marzyła o mężczyźnie z portretu. Teraz połowę jego twarzy przesłaniała maska, ale podobieństwo i tak rzucało się w oczy.

Powróciła myślą do chwili, gdy się spotkali. Ciepły tembr głosu księcia rozgrzewał ją bardziej niż gorąco bijące od kominka. Dotyk jego ręki był tak delikatny, że zadrżała na samo wspomnienie. Co

prawda, jego maniery pozostawiały wiele do życzenia... I jak mógł pomyśleć, że ona, Ivy, byłaby zdolna do tak okrutnego szyderstwa?!

Ivy jęknęła, zrzuciła z siebie kołdrę i wstała z łóżka. Otuliła się szlafrokiem i zapaliła świeczkę od niewielkiego ognia, który rozpalono na kominku w jej sypialni. Po tym koszmarnym dniu potrzebowała światła, jak najwięcej światła!

Przypomniał jej się jedyny pokój w Gryphon's Lair, w którym było jasno i przytulnie. Biblioteka! Jeśli nie może zasnąć, przynajmniej coś sobie poczyta.

Bezszelestnie zeszła po schodach na parter i stanęła przed drzwiami biblioteki. Uchyliła je i przekonała się, że w pokoju jest jasno jak w dzień. Dziwne! Czemu książkę każe tu palić w nocy? Wślizgnęła się do biblioteki i podeszła do półek z książkami.

- Zawsze pani myszkuje po cudzych domach?

Wrzasnęła przeraźliwie i bezwiednie uniosła ręce do gardła.

- A pan zawsze bawi się w chowanego i straszy ludzi? Lord Tamberlake wynurzył się z ciemnego kąta.

- Ja? Siedzę spokojnie w bibliotece od Bóg wie ilu godzin. To pani włóczy się po cudzym domu w środku nocy. Za mało zła wyrządziła pani za dnia?

Poczuła znów wyrzuty sumienia, choć wiedziała, że są bezpodstawne.

- Nie mogłam zasnąć, więc... - urwała nagle. - Ale księcia to z pewnością nie interesuje. Czy mogłabym - za pańskim pozwoleniem, oczywiście! - wybrać sobie jakąś książkę i wrócić z nią na górę?

- Bardzo proszę - odparł Auburn z ukłonem. Zirytowała ją ta ostentacyjna uprzejmość. Odwróciła się tyłem do Tamberlake'a i próbowała odcyfrować tytuły na grzbietach stojących na półce książek.

- Czemu nie mogła pani zasnąć? Czyżby obleciał panią strach przed kryjącymi się w tym domu potworami?

Nawet się nie obejrzała, tylko rzuciła przez ramię:

- Niech pan nie gada głupstw! - Ponownie skoncentrowała uwagę na książkach.

- Może lęka się pani tylko jednego potwora? Sądząc po głosie, podszedł znacznie bliżej.

- Nie wierzę w żadne potwory! - oburzyła się.

- Doprawdy?

Poczuła na karku jego oddech. Obróciła się błyskawicznie. Książę znajdował się bardzo blisko - dwadzieścia, może trzydzieści centymetrów od niej. Oparła się o półkę z książkami.

- Dobrze wiem, jak mnie przezywają w wielkim świecie. Czy po to pani przybyła do Gryphon's Lair? Żeby zobaczyć potwora?

W oddechu Tamberlake'a wyczuła lekki zapach koniaku.

- Nie natknęłam się w tym domu na żadne potworności. Nie licząc, oczywiście, potwornych luk w pańskim wychowaniu. - Ivy wyprostowała się i zaczęła mu wymachiwać palcem przed nosem. - Potrafię zrozumieć, że zerwał książę wszelkie kontakty z wielkim światem. Ale to nie usprawiedliwia pańskiego grubiaństwa!

Książę uniósł jedną brew. Może zresztą uniósł obie, ale lewą zasłaniała porcelanowa maska. Była różowa i połyskliwa. Z pewnością zimna w dotyku i niewygodna. Ivy palnęła bez zastanowienia:

- Przez cały czas nosi pan to różowe paskudztwo, milordzie?

Palce Tamberlake'a dotknęły twardej powłoki zakrywającej jedną czwartą jego twarzy.

- Noszę maskę wówczas, gdy stykam się z obcymi ludźmi. I podczas spotkań z matką. Gdy jestem sam, wkładam tylko opaskę na oko.

- Więc czemu paraduje pan w masce po nocy? Wszyscy już poszli spać.

Auburn spojrzał na nią bardzo wymownie. Ivy oblała się gorącym rumieńcem.

- Nie przeczuwał pan chyba, że spotkamy się w środku nocy!

- No, nie... ale wolałem się zabezpieczyć, na wypadek gdyby pani była lunaticzką. Ależby pani doznała szoku, budząc się ze snu i widząc przed sobą takie monstrum!

- Pański widok miałby przyprawić mnie o szok? Bzdura!

- Być może. Za to ja omal go nie doznałem na widok pani. Nie widuję na ogół tak lekko odzianych pańienek błakających się po moim domu. - Dotknął przelotnie przezroczystego szlafrocza, który narzuciła na nocną koszulę.

Boże wielki...! Zupełnie zapomniała, co ma na sobie. Co prawda, jej nocna koszula była zapięta pod szyję, miała długie rękawy i niemal



wlokła się po ziemi... ale nie był to strój, w jakim wypadalo pokazywać się dżentelmenom. Policzki Ivy zapłonęły znów rumieńcem.

Tamberlake roześmiał się.

- Proszę spokojnie poszukać jakiejś lektury i nie bać się niczego. Ten potwór z pewnością nie pożre pani... tym razem. -Pochylił się ku niej i przesunął palcem po jej policzka

Chwyliła pierwszą książkę z brzegu i uciekła z biblioteki co sił w nogach. Zwolniła dopiero wtedy, gdy znalazła się w swoim pokoju. Zamknęła drzwi na klucz, oparła się o nie i próbowała zaczerpnąć tchu.

Przyczyną tej panicznej ucieczki nie był wstyd z powodu nieodpowiedniego stroju, lecz dziwne emocje, które zrodziły się w niej pod pieśczożliwym dotykiem jego palca. Serce tłuło się jej w piersi nie dlatego, że biegła zbyt szybko po schodach. Książkę miał w sobie coś, co przemawiało do niej wielkim głosem... tylko nie rozumiała jeszcze tego języka.

Wdrapała się na łóżko z książką przyciśniętą do piersi.

Umościwszy się wygodnie na poduszkach, spojrzala na tytuł. Mary Shelley Frankenstein.\*

Ivy jęknęła, zrzuciła książkę z łóżka i zdmuchnęła świecę.

*\*Słynna powieść grozy, wydana w 1818 r. Tragiczne losy naukowca i stworzonego przezeń potwora.*

Tamberlake odprowadził wzrokiem wybiegającą z biblioteki Ivy. Niech to szlag! Podniósł rękę do czoła i poczuł pod palcami maskę. Zerwał ją z twarzy i cisnął na fotel. Martwe, wymalowane na porcelanie oko łypnęło nań szyderczo. Niech to jasny szlag!

Pokuśtykał z powrotem na dawne miejsce, opadł na fotel i chwycił stojący obok kieliszek. Wypił łyk koniaku i skrzywił się. Starczy na dziś tego picia! Co prawda, nie był to zwykły dzień, i jeśli można powiedzieć, że ktoś ma powód, żeby się zalać, to jemu z pewnością powodów nie brakowało.

Na wszelki wypadek lepiej mieć kieliszek pod ręką.

Padające od lampy światło i blask bijący z kominka sprawiały, że pokój był skąpany w jasności. Auburn rozkoszował się nią. Biblioteka stanowiła jego sanktuarium; była jedynym pomieszczeniem, w którym odsłaniał twarz i wystawiał ją na światło. Ale ona wtargnęła nawet tutaj!

Przesunął ręką po twarzy, czując pod palcami wypukłe blizny i głębokie bruzdy, które przeorały mu czoło i policzek.

Zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu. Niepożądane wspomnienia wdarły się znów do jego umysłu. Nagłe szarpnięcie... powóz przechyla się, by runąć wreszcie na bok... Ostry ból w nodze zgiętej pod dziwnym kątem...

Brzęk rozbitego szkła... Rosnące przerażenie, gdy od płomyka przewróconej lampki zajmuje się tapicerka i rozszerzający się

strumień ognia zbliża się do jego twarzy... Coraz więcej dymu, duszącego i przesłaniającego wszystko oprócz pomarańczowych języków...

Usiadł prosto i otworzył swe jedyne oko. Od lat te przerażające sceny nie jawiły mu się tak plastycznie, nawet w koszmarnych snach. Dobrze wiedział, komu to zawdzięcza. Oczywiście lady Ivy!

Po chwili z niechętnym pomrukiem przyznał, że potępił ją zbyt pochopnie. Jeśli już musiał kogoś oskarżać, to chyba tylko Stanhope'a. Ale przyjaciel już nie żył, a lady Ivy była pod bokiem.

Co też Stanhope'owi strzeliło do głowy? Po co przysłał do Gryphon's Lair tę pannicę?! Nie stroniła od sprzeczki, nie zlekła się jego okaleczonej twarzy... Była pierwszą kobietą, która spoglądała na niego bez lęku i obrzydzenia. Nawet dawna narzeczona, która przysięgała, że go kocha, nie mogła na niego patrzeć po wypadku. Dlaczego Ivy nie obawiała się go? Nie wiedział, co o niej myśleć!

Nie była piękną - ot, przeciętna szatynka z piwnymi oczami. Ale emanowała z niej radość życia. Książę czuł, jak bardzo go pociąga ta dziewczyna. Rozkoszował się jej bliskością, podobnie jak płuwał się w świetle, przebywając samotnie w bibliotece. Gdziekolwiek pojawiała się Ivy, wraz z nią wkraczało życie - nawet tam, gdzie (zdaniem Tamberlake'a) nie było żadnej nadziei na odrodzenie.

Niech stąd wyjedzie, im prędzej, tym lepiej! Nie chciał, by mu przypomniano, że za bramami Gryphon's Lair kwitnie życie. Że jest jeszcze inny świat, do którego on nie ma już wstępu. Wygnali go

stamtąd ludzie, którzy tak garnęli się do niego, gdy był jeszcze piękny. I cały.

Z gniewnym pomrukiem przeszedł do salonu i przyniósł stamtąd obraz. Ustawił go naprzeciw siebie. Zasiadł znów w fotelu i wpatrywał się w swój portret. Był wówczas młodszy o sześć lat. Teraz stuknęła mu już trzydziestka. Na żadnej ze ścian nie było lustro, ale Auburn dobrze wiedział, jak wygląda. Połowa jego twarzy niewiele się zmieniła przez ten czas... Tak, ale druga połówka była najlepszym dowodem, jak wiele może się zdarzyć w ciągu kilku lat.

Jakież to żarty stroił sobie z niego Stanhope...? Tamberlake dotknął kieszeni kamizelki. List zaszeleścił pod jego palcami. Wyciągnął go z kieszeni i spojrzał na kilka słów skreślonych na kopercie.

Tak, to było pismo Stanhope'a. Auburn otworzył kopertę.

*Drogi przyjacielu,  
założę się, że miałbyś ochotę mnie zamordować. Niestety, w chwili gdy czytasz te słowa, jest już na to za późno.*

*Tamberlake potrząsnął głową. Stanhope miał zawsze skłonność do niesmacznych żartów!*

*Ale pomówmy serio. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, iż wtrącam się w Twoje osobiste sprawy. Wiem, jak cenisz sobie prywatność.*

*Jakże było mi Ciebie brak, przyjacielu! Londyn zionie nudą, odkąd zabrakło Twoich błyskotliwych powiedzonek i Twego poczucia humoru.*

Książę omal nie parsknął śmiechem. Stanhope wiecznie mu dopiekał uwagami na temat włóczęgich się za nim wielbicielek, z których każda starała się za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. I utrzymywał (nie wiadomo, czy serio, czy żartem), że adoratorki olśnione są geniuszem Auburna.

*Mam nadzieję, że zachowałeś wspomnienie naszej przyjaźni, w imię której przysyłam Ci ten portret. Chciałeś go zniszczyć po tym strasznym wypadku, ale ja temu zapobiegłem. Spójrz teraz na ten portret, Tamberlake! Przyjrzyj się uważnie własnej twarzy sprzed kilku lat i odpowiedz szczerze na pytanie: co w niej widzisz?*

*Książę odłożył list i przyjrzał się bacznie twarzy na portrecie. Cóż miał przed sobą? Podobiznę człowieka o doskonałych niemal rysach, człowieka stojącego u progu życia. Człowieka, który nie wypróbował jeszcze swych sił i nie przeszedł żadnej ciężkiej próby. Choć Auburn spoglądał na portret tylko jednym okiem, pochwycił błysk w błękitnych tęczówkach pięknego modela. O czym myślał wówczas, gdy pozował malarzowi? Nie mógł sobie przypomnieć. Potrząsnął głową. Ten portret nie miał dziś dla niego żadnego znaczenia. Był reliktem przeszłości, nic nieznaczącą pamiątką. Podobizną kogoś dawno zmarłego. Sięgnął znów po list.*

*Jeśli wystarczająco okrzepleś i stałeś się takim człowiekiem, za jakiego Cię uważam, dostrzeżesz to samo, co ja. Piękny obraz, nic więcej. Mężczyzna przedstawiony na tym płótnie już nie istnieje... a raczej nigdy nie istniał. Tym gorzej dla tych wszystkich dzierlatek, które się za nim uganiały albo usychały z tęsknoty!*

*Lady Ivy w niczym ich nie przypomina. Ani nie wiednie z powodu nieodwzajemnionej miłości, ani się za nikim nie ugania. Potraktuj ją z szacunkiem, jak na to zasługuje. To ja wysłałem ją do Ciebie, więc jeśli musisz kogoś zmieszać z błotem, przeklinaj mnie ile wlezie. Nieboszczykowi to nie zaszkodzi.*

Tamberlake roześmiał się. Stanhope przejrzał go na wylot!

*Nie zamierzam prawić Ci morałów, drogi chłopcze, ale przestań wreszcie ukrywać się bez powodu i wróć do świata żywych.*

„Przestań się ukrywać”?! Wcale się nie ukrywał! Po prostu nie miał ochoty stykać się z bandą kretynów z wyższych sfer. Durniów, którzy widzieli jedynie okaleczoną twarz i chromą nogę. Nie potrafili dostrzec tego, co kryje się w głębi... Tylko lady Ivy była do tego zdolna.

To odkrycie zaniepokoiło go. Lepiej nie myśleć o tej dziewczynie. Lepiej w ogóle nie myśleć o innych ludziach. Wyssane z palca rady Stanhope'a nie miały nic wspólnego z realnym światem.

*Niech Ci się szczęści w dalszym życiu, drogi chłopcze! Bardzo sobie cenilem naszą przyjaźń. Mam nadzieję, że od czasu do czasu pomyślisz o mnie z sympatią.*

*Stanhope*

Tamberlake zmiął list i zamierzał go wrzucić do ognia, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Wygładził pogniecione arkusiki, złożył je starannie i schował między stronami grubej książki. Don Kichot. Stanhope pochwaliłby ten wybór.

Nazajutrz Ivy zbudziła się wczesnym rankiem. Przeciągając się rozkosznie, stwierdziła, że określenie „zbudziła się” nie odpowiada sytuacji. Jak może zbudzić się ktoś, kto w ogóle nie spał? A ona przez całą noc nie zmrużyła oka. Kiedy czarne niebo poszarzało, wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Na błękitne niebiosa nie warto było czekać.

Mimo nocnej awantury z księciem czuła się w jego domu swobodnie i swojsko. Z pewnością nie ucieszyłoby to jego wysokości. Bez kłopotu trafiła do jadalni. Na kredensie nie stały żadne dania, w powietrzu nie rozchodziły się żadne kuszące wonie. Widocznie mieszkańcy Gryphon's Lair nie zaliczali się do rannych ptaszków.

Przejął ją dreszcz. Ranki w Walii bywały zimne; chętnie by się ogrzała przy kominku. Ruszyła prosto do biblioteki. To najbardziej przytulny pokój w całym domu. Może tam zdoła się trochę rozgrzać. I poczyta sobie coś przed śniadaniem.

Dotarłszy do drzwi biblioteki, Ivy zawahała się. Jeśli jest tam książkę, nie będzie mu przeszkadzać. Ale Tamberlake podobnie jak ona siedział wczoraj do późnej nocy. Z pewnością jeszcze to odsypia! Z jakiego powodu miałby cierpieć na bezsenność? Ośmielona tym rozumowaniem otworzyła drzwi.

Na kominku nie rozpalono dotąd ognia, ale w popiele żarzyły się jeszcze od wczoraj węgielki. Ta odrobina ciepła powinna jej na razie wystarczyć.

Kiedy odwracała się od kominka, jej spojrzenie padło na portret. Myślała, że książkę zniszczy obraz, ale nie, stał oparty o ścianę i

doskonale widoczny. Niemal na honorowym miejscu. Całkiem słusznie: taki piękny portret! I wspaniale uchwycone podobieństwo!

Ivy oddaliła się od kominka w poszukiwaniu interesującej lektury. Zbyt późno uprzytomniła sobie, że nie odniosła poprzedniej książki. Leży nadal na podłodze w jej sypialni. W bibliotece nie paliły się lampy, ale światło wpadało przez szczeliny między zaciągniętymi kotarami. Ivy rozsunęła zasłony. Z okien biblioteki roztaczał się widok na skaliste wzgórza Snowdonii.

Ivy dosłownie zaparło dech. Na tle pochmurnego nieba pejzaż robił jeszcze większe wrażenie. Ze szczytu jednego ze wzgórz wartki strumień spływał po skałach i głazach aż do podnóża. Gdzieś tam widniały kępy powykrzywianych od wiatru krzewów, nigdzie jednak nie było drzew. Niskie kamienne ogrodzenia sprawiały, że pola uprawne przypominały szachownicę. Górskie zbocza pokryte były ruchomymi cętkami pasących się tam owiec. Gdzieś w oddali można było dostrzec kamienny domek, ale krajobraz robił takie potężne wrażenie właśnie dlatego, że wydawał się bezludny. Nic dziwnego, że mizantrop w rodzaju lorda Tamberlake'a zaszył się właśnie tutaj!

Napawając się oryginalnym pięknem krajobrazu, Ivy spostrzegła samotną postać wspinającą się mozolnie po ścieżce obok strumienia. Czarna peleryna łopotała na wietrze, pasma ciemnych włosów okręciły się wokół szyi. Podpierając się solidną laską, wędrowiec szedł powolnym, lecz pewnym krokiem.

Tamberlake!



Nie mogła oderwać od niego wzroku. Stanowił integralną część tej wspaniałej, nieujarzmionej przyrody. Łzy napłynęły jej do oczu. Zapragnęła gorąco wtopić się również w ten niezwykły krajobraz.

Wybiegła z biblioteki i popędziła na górę do swego pokoju. Wyjęła z kufra parę mocnych trzewików. W sam raz!

Zmiana obuwia nie zajęła jej wiele czasu. Potem raz jeszcze przetrząsnęła swój bagaż w poszukiwaniu ciepłego okrycia. Otuliwszy się nim, pobiegła do drzwi wejściowych i otworzyła je.

Rześkie ranne powietrze w pierwszej chwili zaparło jej dech. Wyszła jednak za próg i szczerzej opatulila się grubą wełnianą peleryną. Na szczęście nie padał deszcz.

Posuwając się wzdłuż bocznej ściany, przemknęła na tyły domu. Otworzyła niską żelazną furtkę. Górskie zbocze było stąd wyraźnie widoczne. Zmrużyła oczy i dostrzegła w oddali wspinającego się wytrwale pod górę Tamberlake'a. Ruszyła za nim tą samą stromą ścieżką.

Potknęła się raz czy drugi na kamieniu i poślizgnęła na błocie, ale te przeszkody wcale jej nie odstraszyły. Płuca ją bolały przy każdym oddechu, kolka kłuła ją w boku, jednak nie zwolniła tempa. Nigdy jeszcze nie wspinała się po górach, toteż radowała się nowym przeżyciem, nawet jeśli pozbawiało ją tchu. Odległość pomiędzy nią a księciem wyraźnie malała.

- Milordzie! - zawołała wreszcie. Nawet się nie odwrócił.

Ivy przyspieszyła kroku. Dzieląca ich odległość była coraz mniejsza.

- Miloordzie!

Tamberlake przystanął, wyprostował się i odwrócił. Ivy zobaczyła, że nie miał dziś na twarzy maski, tylko opaskę na oku. Pomachała mu ręką, a potem podkasła spódnicę i wreszcie zrównała się z nim. Dogoniwszy księcia, uśmiechnęła się od ucha do ucha. Radość ją rozpierała.

- Dzień dobry! Wygląda pan Z tą opaską jak pirat! Cóż to musi być za uciecha dla wiejskiej dziatwy: prawdziwy krwawy pirat pod bokiem!

- Co pani tu robi, u diabła? - fuknął gniewnie Tamberlake.

- Ujrzałam te góry z okna biblioteki, a potem dostrzegłam na ścieżce pana. - Złożyła ręce jak do modlitwy. - Nigdy jeszcze nie chodziłam po górach... Jak mogłabym zmarnować taką okazję?

- I uznała to pani za wystarczający powód, by zakłócać mi spokój?

Był odwrócony do niej profilem; widziała tylko tę część twarzy, która nie została okaleczona.

- Czy musi pan zawsze być takim grubianinem?! - Jej policzki, zaróżowione od wspinaczki, stały się purpurowe. Ściągnęła brwi i spojrzała na niego z wyraźną dezaprobatą.

Auburn wpatrywał się w nią ze zdumieniem. Wcale się go nie bała! Zwrócił się do niej najostrzejszym tonem, który zmusiłby do rejterady większość mężczyzn, a ta pannica ani drgnęła!

- Pani ośmiela się mnie pouczać?!

- Najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił! - Wzięła się pod boki. -  
Czy w dzieciństwie nie uczono księcia dobrych manier?

Pochylił się ku niej. Nie podnosił głosu, ale i nie ukrywał swej irytacji.

- Szkoda czasu na dobre maniery, gdy ma się do czynienia z gruboskórnymi osobami, które myślą wyłącznie o sobie i z rozmysłem przeszkadzają innym!

Ivy zrobiła wielkie oczy.

- Nie przeszkadzałam księciu umyślnie! Skąd miałam wiedzieć, że tylko waszej książęcej mości wolno się wspinać na te wzgórza?

- Czy nie dałam pani wyraźnie do zrozumienia, że nie życzę sobie towarzystwa?

- O, tak! Bardzo wyraźnie. - Znów podkasła spódnicę - Proszę wybaczyć, milordzie, chcę jak najprędzej zdobyć ten szczyt!

Spoglądał za nią, gdy wyminąwszy go, ruszyła dalej pod górę.

- Tylko się pani zgubi albo poślizgnie i skręci ten chudy kark!

- No to co? - rzuciła niedbale przez ramię. - Nareszcie się książę pan mnie pozbędzie. I wcale nie mam chudego karku!

Auburn roześmiał się. Ta dziewczyna nie miała rozumu, ale była niekiedy zabawna. Oparł się mocniej na lasce i ruszył za nią. Gdyby coś się jej stało, miałby tylko kłopot: mnóstwo obcych ludzi, nietaktowne pytania i ani chwili spokoju.

Spódnica i halka nie utrudniały Ivy dalszej wspinaczki. Uniosła je wysoko i mocno trzymała w garści. Ciekawe, jak by zareagowała,

gdyby uświadomiła sobie, że odsłania łydki? Miała co prawda wysokie sznurowane buciki, ale żelazna reguła głosiła: „prawdziwa dama nigdy nie pokazuje kostek” (nie wspominając nawet o tym, co znajduje się powyżej nich). No, cóż... on sam nigdy nie nazwałby lady Ivy prawdziwą damą.

Wspinała się z zapalem i ani razu nie obejrzała się na niego. A ponieważ nie musiała podpierać się laską, znacznie go wyprzedziła.

- Lady Ivy! - zawołał w końcu.

Zatrzymała się. Spódnica znów przyzwoicie osłoniła nogi. Przez chwilę stała do niego tyłem, potem jednak odwróciła się.

- Księżę mnie wołał?

- Mogłaby pani zwolnić kroku?

- A to po co?

- Bo nie mogę za panią nadążyć.

- Przecież nie zależy księciu na towarzystwie! Odwróciła się znowu tyłem i zrobiła parę kroków. Auburn westchnął.

- Lady Ivy, ogromnie zależy mi na pani towarzystwie. Zaczeka pani na mnie?

Zatrzymała się.

- Jeśli pan ładnie poprosi...

- Co takiego?

- Niech mnie pan poprosi!

- Nie potrzebuję pani pozwolenia, by wejść na szczyt mojej góry!

Podjęła znów wspinaczkę.

Miał ochotę ryknąć ze złości, ale się pohamował. Syknął przez zaciśnięte zęby: -Proszę!

Odwróciła się do niego z promiennym uśmiechem.

- Ależ oczywiście, milordzie! Z przyjemnością zaczekam na pana.

Mruczał coś pod nosem przy każdym kroku. Gdy zrównał się z Ivy, przez chwilę wpatrywał się w nią, a potem spytał:

- Czy ktoś już pani mówił, że jest pani niezwykle... irytująca?

- O, tak! Mój ojciec często mi to powtarza. Moja matka również.

Utrzymuje, że osiwiła przedwcześnie wyłącznie z mojej winy.

- Całkiem możliwe - mruknął do siebie Tamberlake.

- Pan wybaczy...?

- Ani myślę!

Oparł się mocno na lasce i ruszył przodem. Ivy dostosowała się do jego tempa.

Przez kilka minut wspinali się w milczeniu. Auburn zauważył, że obrąbek sukni Ivy z każdym krokiem staje się coraz czarniejszy, a na spódnicy przybywa wilgotnych plam od błota.

- Jeszcze kilka kroków i pani suknia będzie do wyrzucenia.

Ivy przyjrzała się spódnicy i machnęła lekceważąco ręką.

- Co mi tam suknia! Ważne, że zaraz zdobędę górski szczyt.

Papa tak czy owak kupi mi nową, a kto wie, kiedy się natknę na następną górę?

- A już się obawiałem, że obarczy mnie pani winą za zniszczenie sukni i zmusi do pokrycia kosztów!

- Też coś! Mama ciągle próbuje zrobić ze mnie elegantkę.  
Będzie zachwycona, że zniszczyłam jedną z tych okropnych kiecek.

- To całkiem ładna suknia.

- Też tak uważam, ale mama upiera się, że powinnam zamiast wiśniowej czy ciemnozielonej sukni nosić jakąś pastelową, powiewną... Biedactwo usiłuje sobie chyba wmówić, że to będzie mój pierwszy sezon.

- A nie będzie?

- Wielkie nieba! Mam za sobą już trzy sezony.

- I jeszcze nie wyszła pani za mąż?

- Jakoś nie. Papa był już w rozpaczach... Nawiasem mówiąc, wieczne narzekania mojej młodszej siostry też mu się dały we znaki. Ojciec obstaje przy tym, że starsza córka musi wyjść za mąż pierwsza, a Georgina uważa, że to krzyżująca niesprawiedliwość.

- Ach, tak...

Auburn nie potrafiłby tego wytłumaczyć, ale wieść, że Ivy nie jest jeszcze z nikim związana, sprawiła mu przyjemność.

- A co z panem? - spytała obcesowo.

- Ze mną?

- Właśnie! Czemu się pan dotąd nie ożenił?

-Ja?!

Jej pytanie całkiem zbiło go z tropu.

- To doprawdy zdumiewające! Jest pan przecież księciem...

Większość dziewcząt marzy o tym, by zostać księżną!

Przez chwilę milczał.

- Miałem kiedyś narzeczoną. Zerwała ze mną.

- Dlaczego?

Podczas wspinaczki Auburn trzymał się jej lewego boku. Teraz jednak odwrócił się tak, by ujrzała jego okaleczoną twarz.

-Musi pani o to pytać?!

- Och, przepraszam! To oczywiście nie moja sprawa. Byłam wścibska i nietaktowna. I pomyśleć, że miałam czelność krytykować pańskie maniery!

Wpatrywał się w nią w osłupieniu. Ivy naprawdę nie miała pojęcia, czemu Daphne zerwała zaręczyny. Zauważyła jednak jego uparte spojrzenie.

- Mam błoto na nosie, czy coś w tym rodzaju?

- Co takiego...?

- Gapi się pan na mnie. Upačkałam się czymś?

Potrząsnął głową.

- Nic podobnego!

Zmierzyła go wzrokiem.

- No to idziemy dalej! Jesteśmy już prawie u celu.

W nagłym przypiływie energii śpiewająco pokonała ostatnie 30 m. Jej dziecinny zapał rozculił go i rozbawił. Nigdy jeszcze nie spotkał takiej dziewczyny! I nikt nie czuł się tak swobodnie w jego towarzystwie... oprócz Stanhope'a.

Tamberlake zeszywniał nagle. O, Boże...! Przecież to Stanhope przysłał tu Ivy! Z pewnością miał w tym jakiś ukryty cel. Portret mógł wysłać pocztą.

Stanhope, ty diabelcu...! Ale on nigdy nie bawił się w swata...

Auburn wdrapał się na szczyt i stanął obok Ivy. Na jej twarzy malował się najwyższy zachwyty.

- Teraz już rozumiem, czemu księżę często tu powraca. Gdybym miała w pobliżu domu taką górę, wdrapywałabym się na nią codziennie, żeby podziwiać to wszystko!

Próbował spojrzeć jej oczyma na roztaczający się ze szczytu widok. Oddalone góry spowijała poranna mgła, spoza której nie było widać ich wierzchołków. Po przeciwnej stronie ciągnęły się zielone lasy Betws-y-coed. Za kilka miesięcy zjedzie się tu mnóstwo londyńczyków; ich okrzyki zachwyty będą się rozlegać w całej okolicy. Ale nim się zjawi ta szarańcza, wszystkie te góry i lasy należą do niego. W ciągu ostatnich kilku lat wypłoszył niejednego włóczęgę i kłusownika, który zapędził się na jego teren.

- Przychodzę tu, bo ruch na świeżym powietrzu dobrze mi robi.

- Kłamczuch! - Ivy uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Wystarczy spojrzeć na pańską minę. Kocha pan to miejsce, i już!

Na chwilę odebrało mu mowę. Uśmiech Ivy był gorętszy od promieni słońca. Nie mógł oderwać od niej oczu. Wreszcie opanował się i odpowiedział z uśmiechem:

- Ma pani rację. Kocham to miejsce.

- Byłam tego pewna! - Rozpostarła ramiona i okręciła się jak fryga. - Teraz już będę mogła opowiadać moim dzieciom, że zdobyłam górski szczyt. Dziękuję, że księżę mi na to pozwolił!



- Choćbym się kategorycznie sprzeciwił, pani i tak nie zrezygnowałaby ze wspinaczki!

- Chyba ma pan rację. - Roześmiała się. - Jestem głodna jak wilk! Jak pan myśli, milordzie? Czy śniadanie będzie na nas czekało, kiedy wrócimy?

Tamberlake nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Myślę, że tak... Ale uprzedzam, że z pani Beaker nie najlepsza kucharka.

- Umieram z głodu! W tej chwili zjadłabym nawet... owsiany kleik!

- Lepiej nie wypowiadać na głos nieprzemyślanych życzeń! Owsiany klajster to specjalność pani Beaker.

Tamberlake nie pomylił się: pani Beaker uraczyła ich owsianym kleikiem. Był klajstrowaty i bez smaku. Ivy nadaremnie poszukiwała na stole cukierniczki, chcąc jakoś dosmaczyć tę breję. Mieszała ją i mieszała, ale owsiance zalet od tego nie przybywało. Pani Pennyfeather również nie mogła przełknąć gruzłowatej mazi, która krzepła przed nią w miseczce. Christopher nabierał co chwila kleiku na łyżkę, ale nie podnosił jej do ust, tylko wylewał jej zawartość z powrotem do miseczki.

Gospodarz, znowu w porcelanowej masce, siedział u szczytu stołu i bez słowa skargi wmuszał w siebie kleik łyżka po łyżce.

Ivy pochyliła się ku niemu.

- Książę to jada codziennie? - spytała teatralnym szeptem.

- Nie - odparł równie cicho. - Czasem dostaję dla odmiany zwęgloną grzanekę.

- Chyba warto postarać się o lepszą kucharkę?

- Zatrudniłem oboje razem: ją i Beakera.

- Może warto by pozbyć się obojga? Nigdy jeszcze nie spotkałam majordoma równie gburowatego, jak Beaker.

Tamberlake zmrużył oczy.

- Beaker ma swoje wady, ale jest niezwykle lojalny.

- Nie chciałam księcia urazić, przepraszam!

Znów pogmerała łyżką w kleiku. Czy jej wzrok nie myli...?

Chyba zmienił kolor!

Majordomus wkroczył do jadalni i stanął za krzesłem swego pana.

- Wiadomość od stelmacha, milordzie. Tamberlake wziął do ręki złożoną kartkę papieru. Pospiesznie zapoznał się z treścią listu i zachmurzył się.

- Złe wieści? - spytał Christopher.

- Istotnie. Naprawa waszego powozu potrwa co najmniej tydzień. Stelmach jest zdumiony, że zdołaliście tu dotrzeć mimo tylu poważnych usterek. Musi zamówić kilka niezbędnych metalowych części u kowala.

Spojrzał na Ivy.

- Proszę mnie nie zabijać wzrokiem! Zapewniam, że ja tego nie zaplanowałam!

Podniosła łyżkę kleiku do nosa i powąchała. Jeśli jego widok odbierał apetyt, to zapach przyprawiał o mdłości. Christopher zdecydowanym ruchem odsunął miseczkę.

- Cały tydzień na takiej diecie?! - szepnął z rozpaczą. Auburn zerknął na niego i znów podniósł łyżkę do ust.

- Nikt cię tu nie zatrzymuje, Styles. Możesz poszukać lepszej kwatery we wsi.

- Wypędzasz mnie ze swego domu, Tamberlake?

- Bynajmniej. Zwracam tylko uwagę, że istnieją jeszcze inne możliwości - odparł książkę z całym spokojem.

- Kto wie? Może w chłopskiej chacie ugoszczą mnie czymś jadalnym!

- Opamiętaj się, Christopher!

Ivy zmarszczyła brwi, piorunując wzrokiem brata, i nagle zaniepokoiła się wyglądem pani Pennyfeather. Jej przyzwoitka wyraźnie zbladła. Tylko na policzkach pojawiły się jaskrawe plamy.

- Czy pani coś dolega?

- Słucham...? - Pani Pennyfeather zerknęła na Ivy i pośpiesznie odwróciła wzrok. - Nie, nie! Wszystko w porządku. Zaskoczyła mnie tylko przykra wiadomość o powozie.

- Ależ, droga pani, nie ma się czym przejmować! Nie spotkało nas nic złego. A kiedy powóz zostanie naprawiony, bez zwłoki ruszymy w drogę powrotną. - Ivy westchnęła i zwróciła się do Tamberlake'a. - Nadużyliśmy już pańskiej gościnności. Czy będzie pan tak dobry i użyczy nam swego powozu, byśmy mogli dotrzeć do wsi?

- Nie - odparł książę.

Ivy zdumiała się.

- Chciałem powiedzieć, że nie ma sensu jechać do wsi. Mój dom jest do państwa dyspozycji. Możecie zostać tu tak długo, jak chcecie. A ta rzekoma utarczka z pani bratem... to był tylko niemądry żart. Chciałem go rozweselić, ale niezbyt mi się to udało.

Ivy nie uwierzyła księciu, ale doceniła jego szlachetny gest i nagrodiła go uśmiechem.

- Wobec tego... czy mogłabym coś zaproponować? - odezwała się pani Pennyfeather, splatając leżące na stole ręce.

Tamberlake uniósł brew.

- Słuchamy, pani Pennyfeather.

- Mam pewne doświadczenie w zarządzaniu domem.

Chciałabym zaoferować swe usługi w kuchni na czas naszego pobytu.

- O, tak! Tak! - jęknął błagalnie Christopher. Tamberlake rozkasłał się i zasłonił usta serwetką. Ivy doszła do wniosku, że dręczy go raczej powstrzymywany śmiech. Po chwili odezwał się:

- Doskonały pomysł, łaskawa pani. Jestem pewien, że pani Beaker przyda się pomoc i że potrafi ją docenić.

Nieco później tego samego ranka pani Pennyfeather znikła gdzieś w czeluściach domu. Christopher i Ivy przeszli do salonu. Kotary szczelnie zasłaniały okna, ale na kominku płonął ogień. Ivy dostrzegła również kilka lamp, których jeszcze wczoraj tu nie było. Christopher znalazł gdzieś talię kart i teraz je tasował. Jego siostra próbowała skupić się na lekturze.

- Jak myślisz, gdzie go poniosło? Ivy podniosła wzrok znad książki.

- O kim ty mówisz?

- O Tamberlake'u. Co on wyrabia, do licha? Jakoś się nie przykłada do zabawiania gości!

- Cóż z nas za goście? Wtargnęliśmy do jego domu bez zaproszenia.

Christopher przebierał w kartach.

- Wszystko jedno! Od księcia można by się spodziewać odrobiny wielkoduszności...! Chociaż trudno się dziwić, że po tym wszystkim zdziwaczał.

Ivy zmarszczyła brwi.

- O co ci chodzi?

- No, cóż... Wystarczy na niego spojrzeć! Rozumiem, czemu się zaszył w Walii... Ale mimo wszystko mógłby coś zrobić z tymi włosami!

- Moim zdaniem są bardzo piękne.

- Dajże spokój, Ivy! Ostatni raz widziałem kudły tej długości u pewnego typka z Georgii, który podawał się za pułkownika. Robił, co mógł, żeby zdobyć klientów i wtrzynić im swoją bawełnę. Ale Tamberlake to prawdziwy książę, a nie jakiś podejrzany dżentelmen z kolonii. Powinien mieć klasę! - Christopher zaczął rozkładać karty do pasjansa. - Pewnie chce tymi włosami zasłonić sobie twarz.

- Po cóż miałby sobie zasłaniać twarz? Jej brat roześmiał się.

- Och, Ivy! Tylko ty możesz być tak ślepa! Więc według ciebie twarzy Tamberlake'a nic nie brakuje?

- To piękna twarz.

Poczuła na policzkach gorący rumieniec.

- To smutne resztki twarzy! - Christopher spojrzał na siostrę i zamilkł. - Czerwienisz się, Ivy! - dodał po chwili.

- Wcale nie!

Pokraśniała jeszcze bardziej.

- Widzisz w nim tragiczną postać, romantycznego bohatera, co?

- Nic podobnego! Jest grubiański, arogancki, nie ma pojęcia o dobrych manierach... Zupełnie jak pewien młody wicehrabia... Wiesz, kogo mam na myśli?

- Ja tam nie zostawiłbym moich gości bez żadnej rozrywki!

- Tego już doprawdy za wiele! Lord Tamberlake ma z pewnością mnóstwo ważnych spraw i nie może tracić czasu na wymyślanie rozrywek dla ciebie! Jestem pewna, że prowadzi rozległą korespondencję, stale sprawdza księgi rachunkowe, czytuje czasopisma rolnicze i...

- I nie myli się pani, lady Ivy - odezwał się od drzwi książę.

Odwróciła się raptownie. Jej policzki, które zaczynały już blednąć, powlokły się znów ciemnym rumieńcem. Auburn wszedł do pokoju, opierając się na lasce.

- Ale uporałem się już ze swoimi porannymi obowiązkami. Nie miałem wcale zamiaru wydawać was na pastwę nudy i to przez cały dzień.

- Doskonale to rozumiemy, milordzie.

- Mów za siebie! - mruknął Christopher pod nosem. Ivy zerknęła na brata.

- Nasz ojciec też ma na głowie mnóstwo interesów, które go pochłaniają. Zdarza się, że nie widzimy go całymi dniami.

- Z pewnością młody lord Styles także ma swoje obowiązki.

Tamberlake obserwował Christophera budującego domek z kart.

- Niestety, nie. Ojciec nie pozwala mi wtrącać się do zarządzania którymkolwiek z rodzinnych majątków. I pewnie już do śmierci nie zmieni zdania! - wymamrotał Christopher.

- To niezbyt mądra postawa. Młodego człowieka najłatwiej przygotować do życia, wyznaczając mu konkretne obowiązki.

Christopher zrobił wielkie oczy i tak się zapatrzył na księcia, że wyłożył kartę na stół, nawet jej nie sprawdziwszy.

- Chyba się pomyliłeś, Styles. - Tamberlake postukał palcem w kartę.

- Co takiego? - Christopher spojrział na stół i wziął do ręki kartę.

- Rzeczywiście! Widać się zamyśliłem.

- Grasz w szachy? Wicehrabia wzruszył ramionami.

- Nie najlepiej.

- Może jednak dasz się namówić na partyjkę? - Tamberlake skierował się w stronę dwóch foteli w pobliżu okna. Pomiędzy nimi stał stolik do szachów. - Z przyjemnością bym zagrał. Beaker nie ma głowy do szachów.

Christopher porzucił karty i zajął miejsce naprzeciwko księcia.

- A czymże ja mam się zająć, kiedy wy będziecie grali w szachy? - spytała Ivy, krzyżując ręce na piersi.

- Możesz nam pokibicować albo postaw sobie pasjansa - odparł Christopher.

- Czyli mam wybór równie mały, jak przedtem - stwierdziła ironicznie. Wzięła znów do ręki książkę i zagłębiła się w fotelu. Nie mogła jednak skupić uwagi. Jej spojrzenie raz po raz biegło w stronę obu mężczyzn. Z tego miejsca nie widziała maski na twarzy Tamberlake'a. Kąciki jego ust wyginały się ku dołowi, gdy rozważał kolejny ruch. Włosy miał rzeczywiście zbyt długie, ale dzięki temu przypominał średniowiecznego rycerza. Tak, był naprawdę piękny!



Niebawem przestała nawet udawać, że czyta. Obserwowała uważnie obu mężczyzn. Jej brat był młodszy od księcia i wszystkie emocje podczas gry malowały się wyraźnie na jego twarzy: konsternacja - jeśli zrobił fałszywy ruch, radość - gdy powiodł się skomplikowany manewr. Twarz Tamberlake'a niczego nie wyrażała. Taki był skupiony... Ciekawe, jak by się czuła, gdyby to na niej koncentrowały się bez reszty jego myśli...? Westchnęła.

Auburn spojrzał w jej kierunku.

- Nudzi się pani, lady Ivy?

- Nie, ja tylko... - Policzki jej pały. - Niebawem podadzą luncheon\*. Chyba się przebiore.

*\*Posiłek południowy, coś pomiędzy samym drugim śniadaniem a obiadem, nosił pierwotnie nazwę „nuncheon” - zapewne od słów „noon” (południe) oraz „munch” (chrupać, gryźć). Potem nazwa ta została nieco Zniekształcona (luncheon), a następnie skrócona do „lunch”. Ten skrót uważano za coś w złym guście, gdyż najczęściej posługiwała się nim służ-ba. A jednak właśnie on przetrwał zwycięsko do naszych czasów.*

Pospiesznie zamknęła książkę i speszona głośnym trzaskiem okładek wybiegła z pokoju, zanim któryś z panów zdążył zareagować.

Tamberlake spojrzał znacząco na Christophera.

- Często ma takie wysoki?

- Jasne!

Styles posunął skoczka do przodu.

Ruch królową i skoczek przeszedł w ręce przeciwnika.

- Szach i mat! Zagramy jeszcze raz? Tamberlake zaczął ustawiać figury na szachownicy.

- Pewnie! Kto by nie chciał się odegrać? - odparł Christopher.

- Nie gramy w pokera.

- Wiem, wiem. Rozrywka intelektualistów i tak dalej.

Wicehrabia rozstawił resztę białych figur.

Teraz można pociągnąć go za język i zdobyć potrzebne informacje.

- Słyszałem oczywiście o waszej rodzinie. Twój ojciec to hrabia Dunleigh, nieprawdaż? Cieszy się wielkim uznaniem w Londynie. Aż dziw, że pozwolił wam wyjechać na samym początku sezonu.

- Ojciec miał niewiele do gadania w tej sprawie. Matka go przekonała.

Wicehrabia wziął do ręki gońca i przesunął go o dwa pola do przodu.

- Matka...? Nie wiedziałem, że wasz ojciec tak liczy się z jej zdaniem.

Tamberlake odparował atak przeciwnika, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

- Wcale nie mówiłem, że ojciec liczy się z jej zdaniem. Póty mu się przymilała, aż się zgodził. Ale gdyby ojcu naprawdę zależało na naszej obecności, to nic by nie wskórała. Nie martwię się, że opuszczę kilka imprez. Ostatecznie nie szukam jeszcze żony i nie zamierzam ustatkować się w najbliższym czasie. A jeśli chodzi o Ivy, to ojciec

niewiele sobie z niej robi... Chciałem powiedzieć: niewiele może dla niej zrobić.

Księżciu jednak pierwsza wersja wydała się bardziej prawdopodobna.

- Ostatecznie Ivy to tylko dziewczyna - ciągnął Christopher - i chodzi wyłącznie o to, by zrobiła dobrą partię. Koligacje mają ogromne znaczenie.

- Ale jeśli lady Ivy nie zdąży na początek sezonu, to wiele straci. Żeby znaleźć odpowiedniego męża, trzeba zawrzeć znajomość z mnóstwem kawalerów.

- O, przyszłość Ivy jest już zabezpieczona. Ojciec nigdy by jej nie pozwolił na ten wyjazd, gdyby kłamka nie zapadła.

Ta nowina przyprawiła Auburna o skurcz żołądka.

- Lady Ivy jest już zaręczona?

- Nieoficjalnie. Po naszym powrocie ogłosimy o tym z wielką pompą! - roześmiał się Styles. - Ale wyobrażam sobie, że Wynbrooke trochę trzęsie portkami. Nasza wyprawa potrwa znacznie dłużej, niż planowaliśmy.

- Wynbrooke...?

Tamberlake przesunął wieżę, odsłaniając przy tym konia.

- Neville Foxworthy, markiz Wynbrooke. Ojciec sam go wybrał dla Ivy.

Wicehrabia zawłaszczył czarnego konia.

- Dobra robota - pochwalił go książę. Łamał sobie głowę, usiłując (bezsukutecznie) odnaleźć w niej jakieś informacje na temat Wynbrooke'a.

- A Georgina ani chybi obgryza sobie paznokcie do krwi!

- Georgina...?

- Moja młodsza siostra. Ojciec obstaje twardo przy tym, że póki starsza córka nie wyjdzie za mąż, o małżeństwie młodszej nie ma mowy.

Tamberlake miał już całkiem wyraźny obraz stosunków panujących w rodzinie St. Clairów.

- A Georgina jest...

- Prześliczna - stwierdził Styles. - Ma dopiero osiemnaście lat, ale żyje w ciągłym strachu, że Ivy nigdy nie wyjdzie za mąż. Kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, wyglądało na to, że straciła wszelkie szanse na zamążpójście. A Georgina szalała ze strachu, że ojciec się uprze i nie wyrazi zgody na jej debiut. Sądząc z ilości wierszydeł, którymi wielbiciele już zasypują naszą małą, byłoby to czyste marnotrawstwo i ogromna strata dla złotej młodzieży.

- Czy lady Ivy nigdy nie miała konkurentów?

- Miała, miała. Niejeden sobie ostrzył zęby na jej posag, ale znikli z horyzontu po szczerej rozmowie z Ivy. Ta dziewczyna mówi, co myśli, i niczego nie owija w bawełnę.

- Zdążyłem to już zauważyć.

Książę zabrał przeciwnikowi więzę i ryzykownie się przy tym odsłonił; wprost prosił się o mata.

- Wynbrooke ostał się najdłużej. Ostatecznie ojciec przemówił Ivy do rozumu i wyraziła zgodę na to małżeństwo.

Christopher rzucił się na łatwą zdobycz.

- Szach i mat!

- Gratuluję. Musimy znów ze sobą zagrać. - Tamberlake schował szachy do szuflady, wstał od stolika i zbliżył się do ognia. - Znałeś lorda Stanhope'a, wicehrabio?

- Stanhope'a...? A, tego faceta, który zostawił Ivy zapis w testamencie? Nie, wcale go nie znałem.

Styles poszedł za przykładem gospodarza i stanął obok niego przy kominku.

Tamberlake coraz lepiej rozumiał, w jakim celu Stanhope wysłał Ivy do Gryphon's Lair. Ale co dalej? Tylko duch mógłby ingerować w ludzkie życie, a w duchy Auburn nie wierzył. Miał dość kłopotów z potworami.

- A jednak zostawił jej legat?

- Tak. To niesamowita historia. Podobno kochał się w naszej matce, tylko nie mógł jej poślubić. Zapisał Ivy dom w hrabstwie Devon i trochę pieniędzy pod warunkiem, że osobiście doręczy ci paczkę od niego. Osobliwe żądanie, zwłaszcza od kogoś całkiem obcego! Ale Ivy spełniła jego życzenie. - Christopher oparł się o kominek. - Nie mam pojęcia, po co on to wszystko wymyślił. Zwłaszcza że Ivy ma już zapewnioną przyszłość.

- Może nie wszystko było jeszcze ustalone, kiedy Stanhope sporządzał testament. Od jak dawna ten Winthrope się koło niej plącze?

- Wynbrooke, nie Winthrope. I rzeczywiście, chyba nie było jeszcze zaklepane. Dogadali się ostatecznie z ojcem miesiąc temu. Przedtem Ivy rzadko markiza widywała, nawet na balach i bankietach. Trudno by go nazwać gorącym wielbicielem, ale zawsze się zjawiał w najodpowiedniejszym momencie.

Auburn był już pewien, że Stanhope przysłał mu Ivy do Gryphon's Lair, by mogli się nawzajem poznać i... Potrząsnął głową. Potwór miałby się okazać wymarzoną partią dla uroczej damy? Brednie!

- Gdzież się ta Ivy zawieruszyła?! - Christopher zerknął w stronę drzwi. - Zazwyczaj przebiera się raz-dwa!

- Może opadły ją najgorsze wspomnienia o wyczynach kulinarnych pani Beaker i drży na myśl o kolejnym posiłku. - Tamberlake oparł się całym ciężarem na lasce i zrobił krok w stronę drzwi. - Sprawdź, czy się nie zaszła w bibliotecę. Często tam zagląda.

Ruszył korytarzem do biblioteki i otworzył drzwi. W pierwszej chwili nie rozpoznał dobrze znanego wnętrza. Zasłony były rozsunięte. Choć dbał o to, by biblioteka była lepiej oświetlona niż reszta domu, takiej powodzi światła nie zaznała od dawna.

Ivy stała przy oknie, z zapomnianą książką w ręku, zapatrzona w góry.

- Co pani wyrabia?! Odwróciła się raptownie.

- Ja? Absolutnie nic!

Książę podszedł do podwiązanych kotar i uwolnił je z uchwytów. Najpierw z jednej strony okna, potem z drugiej. Ciężki materiał opadł z chrzęstem na dawne miejsce.

- Czemu pan to zrobił? - spytała. - Gdybym miała za oknem taki wspaniały widok, nigdy bym go nie zasłaniała!

- Nie znoszę światła - oświadczył Tamberlake i obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- Wcale się nie dziwię! Ktoś tak naburmuszony jak pan woli nie oglądać własnej miny.

Mordercze spojrzenie wcale jej nie skruszyło. Książę pierwszy odwrócił wzrok.

- Proszę o wybaczenie.

- Wybaczam. - Uśmiechnęła się do niego.

Na widok tego uśmiechu zrobiło mu się gorąco. Serce zaczęło mocniej bić. Obserwował te oznaki słabości z pewną irytacją.

- Chciała pani zmienić suknię...?

- ... ale się rozmyśliłam. - Podeszła do półki z książkami i wetknęła trzymaną w rękę powieść na dawne miejsce. - Czemu pan o to pyta? Czy mamy włożyć w południe wieczorowe stroje?

- Nie, nie. W tej sukni wygląda pani uroczo. Może wrócimy do pani brata?

- Bardzo chętnie!

Auburn oparł się na lasce i zrobił dwa kroki w stronę drzwi. Ivy nie ruszyła się z miejsca. Obejrzał się na nią, nie pojmując, na co ona czeka. Stała nadal z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

- Idziemy?

- Oczywiście.

Nie zrobiła ani kroku, tylko spoglądała na niego z uśmiechem.

- Luncheon stygnie!

Jeszcze jeden krok w stronę drzwi.

- No, właśnie! Ja też umieram z głodu. Nawet nie drgnęła.

Kiedy zawrócił i podszedł do niej, uśmiechnęła się od ucha do ucha. Wsunęła mu rękę pod ramię.

- Dzięki, milordzie! Wiedziałałam, że prawdziwy książę nie pozwoli damie udać się do jadalni bez należytej eskorty.



Krzyknął z bólu, gdy noga złamała się jak suchy patyk. Ruszże się, głupcze!

Leżał jednak bez ruchu, kiedy powóz przewrócił się na bok.

Wstawaj!

Najpierw pojawił się dym, duszący, oślepiający... Potem ujrzał płomień i zaczął wrzeszczeć.

Tamberlake otworzył oko. Zerwał się do pozycji siedzącej, zaczął obmacywać swą szyję i twarz. Oddech mu się rwał, serce biło jak szalone. Włosy lepiły się do zlanego potem czoła i karku. Panika ogarnęła go znowu, nim sobie uświadomił, że nic mu nie grozi.

Przez szczelinę między kotarami wślizgnął się do pokoju oślepiająco jasny promień słońca. Ugodził go prosto w oko. Auburn wzdrygnął się. Cholerne słońce!

Wygramolił się z łóżka i powłókł do umywalki. Noga zawsze bardziej mu dokuczała po nocy pełnej koszmarów. Napełnił miednicę zimną wodą. Nabrał jej w stulone dłonie. Ochłodził twarz i wytarł ją ręcznikiem.

Potem zasiadł w fotelu i odchylił głowę na oparcie. Jakże nienawidził takich poranków...! Były zawsze zapowiedzią fatalnego dnia.

Ivy przeciągnęła się, wznosząc ręce ponad głowę, i zamrugła oczyma ze zdumienia. Przez okna jej sypialni wpadało słońce. Od kilku dni nie widziała takiego słonecznego blasku. Być może zmiana

pogody rozpędzi wreszcie chłód i wpłynie zbawiennie na charakter gospodarza! Tak czy inaczej, Ivy radowała się jasnością dnia.

Ubierając się, stwierdziła, że wcale nie odczuwa braku uwijającej się służby, która przynosiła pierwsze śniadanie do łóżka albo drwa na opał do niezliczonych kominków. Co prawda bez pomocy pokojowej Ivy nie była w stanie zaciągnąć jak należy sznurówki gorsetu, ale zawsze mogła liczyć na pomoc ze strony pani Pennyfeather. Nie tęskniła też wcale za rodziną. Nikt jej nie dyktował, dokąd ma pójść, co robić, jak się ubrać. Nikt nie oczekiwał, że upodobni się do całej reszty. Nikt nie wyszydzał niedostatków jej urody.

Ivy westchnęła, zapinając spódnicę. Życie w samotności nie było pozbawione zalet! Wszystko zresztą miało swoje dobre i złe strony. Georgina była piękna, ale prawie nigdy nie brała książki do ręki. A wygoda, jaką zapewniał niestosownie poluzowany gorset, była nie do pogardzenia.

Ivy udała się do pokoju śniadaniowego i stanęła jak wryta. Na kredensie czekało już na nią pieczywo i konfitury. Dwa dzbanki napełnione były czymś gorącym. Pomachała: herbata i kawa. Nalała sobie herbaty i wzięła jeden z rogalików. Jeszcze trochę masła i konfitur... i bez trudu wytrzyma do prawdziwego śniadania, na które przybędzie reszta domowników.

Przełamując rogalik, przekonała się, że jest jeszcze ciepły. Z przyjemnością wdychała zapach świeżego drożdżowego ciasta. Nie

miała pojęcia, jakich czarów musiała użyć pani Pennyfeather, by spowodować takie zmiany w kuchni, ale była jej szczerze wdzięczna.

- Dzień dobry!

- Och...!

Ivy aż podskoczyła. W drzwiach stał lord Tamberlake.

- Nie chciałem pani przestraszyć...

- I wcale mnie pan nie przestraszył...! Po prostu nie spodziewałam się, że jeszcze ktoś zerwie się tak wcześnie z łóżka. Christopher przeważnie śpi do południa, a... -Zmierzyła wzrokiem solidne buty księcia i gruby płaszcz przerzucony przez ramię. - Zaraz się pan gdzieś wybiera?

Skinął potakująco głową.

- Codziennie wychodzę na poranny spacer. Przekonałem się, że po takim ćwiczeniu noga lepiej mi służy przez cały dzień. - Spojrzał na kredens i uniósł brew do góry. - Jadalne?

- Pyszne!

Odgryzła kawałek rogalika.

- Niewiarygodne!

Tamberlake wybrał kawę i rogalik. Gdy spróbował pieczywa, jego sceptyczny grymas zmienił się w radosny uśmiech.

- Zamierza pan znów wejść na tamtą górę?

- Nie.

Nie dodał żadnego komentarza.

- No to dokąd się pan wybiera, milordzie? Auburn zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, jakby nie miał ochoty wtajemniczać Ivy w swoje plany.

- Idąc brzegiem strumienia, można dotrzeć na skraj lasu

- Bardzo bym chciała to wszystko obejrzeć. Mogę iść z panem?

Popatrzył na nią z odrobiną irytacji.

- Jeśli odpowiem „nie”, to pani i tak pójdzie za mną.

Nieprawdaż?

- Bardzo możliwe! - powiedziała z uśmiechem.

- Wobec tego idziemy razem. Tylko proszę się nie dziwić, że to będzie długi spacer. Tamta wyprawa na szczyt była może bardziej uciążliwa, ale ten spacer potrwa znacznie dłużej. Proszę wziąć jakieś okrycie. Słońce co prawda świeci, ale rano nadal jest chłodny.

- Wracam za minutkę! - Ivy wypadła z pokoju. Kiedy wróciła, Tamberlake czekał już przy drzwiach.

- Musiałam zmienić obuwie - wyjaśniła, wysuwając spod spódnicy nosek trzewika. - Te lepiej się nadają do długiego spaceru.

Gospodarz mruknął coś i włożył płaszcz. Ivy już miała narzucić pelerynę, gdy ku jej zdumieniu książę wyjął jej z rąk okrycie.

- Pani pozwoli... Rozpostarł pelerynę.

- Bardzo pan uprzejmy.

Ivy odwróciła się do niego plecami, on zaś narzucił jej okrycie na ramiona. Jego maniery stawały się coraz lepsze.

Otworzył drzwi, przepuścił Ivy przodem i wyszedł za nią. Słońce go oślepiło, więc zmrużył oko.

- Piękny dzień, nieprawdaż? - Ivy obróciła twarz ku słońcu i przymknęła oczy.

- Zbyt ostre światło - orzekł Tamberlake. - No, idziemy! Otworzyła oczy i przekonała się, że nie czekał na nią i uszedł już spory kawałek drogi. Koniec złudzeń co do jego dobrych manier!

Szli w milczeniu brzegiem strumienia. Słysząc było tylko plusk wody i - od czasu do czasu - ptasi świergot. Księżę szedł pewnym, równym krokiem. Opierał się na lasce, ilekroć stawał najpierw okaleczoną nogę. Powietrze było tak chłodne, że przy wdechu Ivy czuła ziąb w gardle. Plecy jednak miała rozgrzane, gdyż słońce nieźle już przypiekało.

Zachwycała się dzikim pięknem krajobrazu. Gdzieś na górskim stoku trafiały się kępy drzew, ale przeważnie zbocza porośnięte były roślinnością niepozorną i karłowatą. Po półgodzinnym marszu Ivy przestała podziwiać widoki; z coraz większym trudem dotrzymywała kroku swemu towarzyszowi. Przechadzki po Londynie w towarzystwie matki i siostry (najczęściej od sklepu do sklepu) nie przygotowały jej do sportowych wyczynów w rodzaju dzisiejszego spacerku. Spojrzała wymownie na swego przewodnika. Nie zwolnił kroku.

Sapnęła głośno, podkasała spódnicę i podążyła za księciem. Jej przyspieszony oddech świadczył wyraźnie o fizycznym wysiłku, jednak Tamberlake nawet się na nią nie obejrzał. Dotrzymywała mu jeszcze kroku, ale wymagało to ogromnej determinacji. A przecież to on miał kłopoty z nogą, nie ona! Czemu poruszała się dziś niemrawo

jak ślimak? Wczoraj na zboczu góry wyprzedzała go bez trudu. No, tak... Ale dziś od razu rozwinął takie tempo, że musiała przez pół godziny niemal biec, by go dopędzić.

Noga jej się poślizgnęła na chybotliwym kamieniu. Ivy krzyknęła, zatoczyła się i omal nie upadła na twarz.

Tamberlake odwrócił się błyskawicznie i zręcznie pochwycił ją w ramiona zapobiegając katastrofie.

- Zraniła się pani...? Lady Ivy...!

Nie poruszyła się ani nie odpowiedziała. Książę może i miał kłopoty z nogą, za to ramiona jak u atlety! Trzymał ją tak mocno, że stopami ledwo dotykała ziemi, a ręce miała unieruchomione pod naporem jego klatki piersiowej. Potężnej, ani słowa! Prawdę mówiąc, czuła się wspaniale w objęciach tego osiłka.

- Lady Ivy.

Postawił ją na ziemi i cofnął się na odległość ramion, by spojrzeć jej w twarz.

Ivy zarumieniała się. Krew napłynęła jej do twarzy; czuła jej żar pod skórą. O Boże! Co on sobie teraz o niej pomyśli...?

- Zraniła się pani?

- N... nie. - Odzyskała mowę, wyslizgnęła się z jego ramion i wyprostowała dumnie. Odwróciła się tak, by nie mógł zobaczyć jej twarzy. - Potknęłam się o kamień. Nic mi nie jest.

Auburn milczał przez chwilę.

- Może powinniśmy już wrócić.

- Nie! Chcę zobaczyć ten las. - Znów była do niego zwrócona twarzą. Miała nadzieję, że nie jest czerwona jak burak ze wstydu, tylko lekko zaróżowiona z wysiłku. Tamberlake był wyraźnie zaniepokojony. - Naprawdę, nic się nie stało. Czy to bardzo daleko?

- Co?

- No, ten las.

- Nie.

- Więc możemy iść dalej?

- Tak.

- Chyba że woli pan wrócić?

- Nie.

Ivy zachodziła w głowę, czym się znów naraziła księciu, że zbywa ją monosylabami.

Ruszyli ponownie brzegiem strumienia. Akurat skręcał w lewo. Pokonawszy zakręt, Ivy zatrzymała się. Przed nimi rozciągał się teren gęsto porośnięty drzewami, krzewami i inną roślinnością. Choć gałęzie nie okryły się jeszcze bujnym listowiem, pączkowały już i pełne były wiosennego uroku. Jak pięknie musi tu być w lecie!

Jakieś brunatne stworzonko wyskoczyło im spod nóg i znikło w gęstym poszyciu. Ivy wydała okrzyk zdziwienia.

- Co to było? Łasica?

- Raczej tchórz albo mały lisek - odparł Tamberlake, nie zatrzymując się.

Wokół nich rozbrzmiewały ptasie głosy. Ivy rozglądała się na wszystkie strony nie tracąc nadziei, że wśród krzewów mignie jej

któreś ze stworzeń czających się w pobliżu. Nie dostrzegła jednak żadnego. Tamberlake torował sobie drogę wśród drzew, ona zaś kroczyła po jego śladach, zerkając na boki. Kiedy księżę nagle stanął, omal nie wpadła na niego.

- Dlaczego pan się... O...! - Urzekło ją piękno jeziora, które ukazało się ich oczom. W nieruchomej tafli wodnej jak w zwierciadle odbijało się niebo. Na minutę czy dwie Ivy zaniemówiła. Potem uśmiechnęła się. - Teraz rozumiem, czemu pan tu powraca.

Auburn omiótł wzrokiem powierzchnię jeziora i przeciwległy brzeg.

- Tu jest tak spokojnie... - Zerknął na Ivy. - Zazwyczaj. Wzięła się pod boki.

- Nie zrobiłam nic, co zmąciłoby ten spokój! - warknęła.

- Właśnie pani tego dokonała! - zaśmiał się.

- Bo mnie pan sprowokował! To krzyżująca niesprawiedliwość: oskarżać mnie o...

Uciszył ją gestem ręki.

- To nie była kąśliwa uwaga pod pani adresem. Przypomniało mi się niemiłe wydarzenie z ubiegłego lata. Zaskoczyłem tu grupę wycieczkowiczów. Urządzili sobie piknik nad brzegiem jeziora i wrzucali do wody odpadki i śmiecie.

- I co pan zrobił?

- Wystraszyłem ich stąd raz na zawsze - odparł, wzruszając ramionami.

- W jaki sposób?



Tamberlake spojrział na nią w osłupieniu, potem potrząsnął głową.

- Lady Ivy, jest pani zdumiewająca!

- Niechże się pan nie gapi na mnie jak na jakiegoś odmieńca!

Westchnął z lekkim zniecierpliwieniem.

- Wie pani, dlaczego nie protestowałem, kiedy uparła się pani towarzyszyć mi na porannym spacerze? Z pewnością wbijano pani do głowy, że niezamężna dama nie wybiera się z kawalerem na przechadzkę bez przyzwoitki!

Ivy coś nagle ścisnęło w żołądku.

- O, Boże...! Ma pan świętą rację. Pani Pennyfeather powinna była nam towarzyszyć. Moja matka dostałaby ataku apopleksji na wieść o naszej eskapadzie!

- Proszę się nie obawiać. Pani reputacji nic nie zagraża. A wie pani, czemu?

- Bo jest pan człowiekiem honoru i nie powie nikomu o moim głupim wybryku.

- O, nie! Pani reputacja nie dozna szwanku, bo nikt nie uwierzy, że ktoś taki jak ja mógłby sprowadzić panią z drogi cnoty.

- A to dlaczego?!

- Niech mi się pani wreszcie przyjrzy, lady Ivy! Jaka dziewczyna ucałowałaaby z własnej woli potwora bez twarzy? - Podszedł jeszcze bliżej i pochylił się nad Ivy. Odruchowo cofnęła się o krok. - Mógłbym panią zniewolić i nikt by w to nie uwierzył!

- Brednie!

Jeszcze jeden krok. Był tuż przy niej.

- Chce się pani przekonać?

Objął ją ramieniem, przygarnął do siebie i pocałował.

Ivy zakreśliło się w głowie. Gorąca pieśczość jego ust pozbawiła ją tchu. Zamknęła oczy i rozkoszny zawrót głowy jeszcze się nasilił. Kiedy język księcia wślizgnął się do jej ust, wydało się to jej takie cudowne, że cichutko jęknęła. Nikt jej dotąd porządnie nie wycałował, ale Tamberlake wynagrodził jej to z nawiązką.

Nagle wypuścił ją z objęć. To raptowne przejście od żarliwych pieśczości do lodowatej obojętności było dla niej szokiem.

- Proszę wyznać wszystko swojemu bratu. Przekona się pani, jak to przyjmie.

Księżę odwrócił się na pięcie i ruszył przez las w odwrotnym kierunku.

Ivy spoglądała za nim w osłupieniu. A więc wcale nie chciał się z nią całować. Zrobił to tylko dla eksperymentu, żeby udowodnić swoje racje. Doskonale! Wobec tego ona opowie o wszystkim bratu i okaże się, kto miał słuszość!

Ivy otarła spływającą po policzku łzę. Nie umiałaby powiedzieć, czy jest bardziej wściekła, czy zrozpaczona. Tamberlake wcale jej nie lubi? Wielkie rzeczy! Nie jest słabym kobieciątkiem. Nie będzie płakać z tego powodu. Nie będzie i już!

Pociągnęła nosem, uniosła dumnie głowę i ruszyła śladem księcia, od czasu do czasu ocierając zbłąkaną łzę.

W drodze powrotnej nie zamienili ze sobą ani słowa. Ivy nie próbowała go dogonić ani dotrzymać mu tempa. Szła za nim, a jej furia rosła z każdym krokiem.

Dotarłszy szczęśliwie do domu, nie stali się bardziej rozmowni. Ivy kipiała z wściekłości, zmierzając po schodkach do drzwi frontowych. Tamberlake otworzył je i przepuścił damę przodem. Ta wpadła jak burza do hallu, zerwała pelerynę z ramion i rzuciła ją ogłupiałemu Beakerowi.

Milczeli również podczas śniadania. Ivy żuła zawzięcie, udając, że nie dostrzega pytających spojrzeń brata i pani Pennyfeather. Z ponurą pasją pochłaniała jajka, szynkę, wędzoną rybę i ciastka z owocami, nie uświadamiając sobie, co je i jak to smakuje. Równie dobrze mogłabym jeść kleik pani Beaker! - pomyślała w przebłysku czarnego humoru.

Księżę pierwszy wstał od stołu. Po chwili pani Pennyfeather wymamrotała, że musi zajrzeć do kuchni, i wymknęła się z jadalni. Ivy odłożyła serwetkę na stół.

- Co się stało, siostrzyczko? - spytał niespokojnie Christopher. Spojrzała na niego wilkiem.

- Tamberlake mnie pocałował.

- Tylko mnie nie nabieraj! Nie chcesz mówić, to nie mów, ale nie łzyj!

W jednej chwili cały jej gniew wyparował. Tamberlake miał słusność.

- Powiedział coś, co cię uraziło? Może na temat przemądrzałych sawantek?

- Jak już wy, mężczyźni, coś wymyślicie...!

Ivy obrzuciła brata pogardliwym spojrzeniem i opuściła pokój.

Łaknęła spokoju i samotności. Tamberlake zamknął się pewnie w swym gabinecie... Wobec tego w bibliotece powinno być pusto!

I rzeczywiście było. Rozejrzała się dokoła, chcąc się upewnić, że nikt się nie czai po kątach. Jej uwagę przyciągnęło okno. Opętana chęcią robienia księciu na przekór rozsunęła kotary. Nikt nie będzie jej dyktował, co ma robić, a czego nie! Cóż to złego wpuścić do pokoju trochę światła?

Zagłębiła się w wygodnym fotelu i przysięgła sobie, że nie poświęci ani jednej myśli księciu, jego pocałunkom i kretyńskiej reakcji Christophera.

Ale czas mijał, a zamknięta książka nadal spoczywała na kolanach Ivy. Ona zaś wracała co chwila myślami do pocałunków Tamberlake'a. Wreszcie z gniewnym pomrukiem uniosła książkę na wysokość oczu. Nic z tego. Nie rozróżniała słów. Serce trzepotało jej w piersi, gdy przesunęła językiem po wargach. A kiedy przymknęła oczy, z całą siłą powracały wspomnienia wszystkich cudownych doznań, którymi rozkoszowała się, zanim kilka słów Tamberlake'a zniweczyło czar.

Ależ z ciebie idiotka, Ivy!

Południowy posiłek upłynął w równie głębokim milczeniu, jak śniadanie.

Christopher próbował nawiązać rozmowę, ale po kilku minutach bezowocnych wysiłków dał temu spokój. Ivy nie podnosiła oczu nad talerza. Księżciu milczenie nie ciążyło; powitał je z radością. Chwilami miał wrażenie, że wizyta nieproszonych gości była tylko snem, a on całował Ivy wyłącznie w marzeniach.

Łyżka wymknęła mu się z rąk i upadła z brzękiem na porcelanowy talerz. Auburn chwycił ją znowu i próbował zdusić ogarniający go gniew.

Po jakiego diabła ciągle to wspomina?! Nie powinien był jej całować. Ani dotykać. Ale była taka ufna, taka niewinna, taka rozkoszna, że dał się ponieść emocjom. Nawet teraz nie może oderwać wzroku od jej twarzy! Bogu dzięki, że Ivy wcale na niego nie patrzy.

Po zupie przyszła kolej na trzy inne dania. Od niepamiętnych czasów Tamberlake nie miał w ustach nic równie smakowitego. A jednak każda chwila spędzona przy stole była dla niego torturą. Pragnął samotności. Pragnął zaszyć się w ciemności. A nade wszystko...

Pragnął, by Ivy wreszcie na niego spojrzała!

O Boże, znów te szalone myśli! Dotknął palcami twardej, zimnej maski. Ostatnią kobietą, która widziała jego twarz, nim zaczął ją osłaniać maską, była Daphne. Narzeczoną, która zapewniała go o swej miłości, a uciekła w popłochu na widok jego twarzy.

Dlaczego Ivy nie uciekła jak tamta...?

Wlokący się w nieskończoność posiłek dobiegał już końca, gdy do jadalni wkroczył Beaker.

- Najmocniej przepraszam, milordzie...

- O co chodzi?

- Mamy chyba nowych gości.

- Co takiego?!

- Jacyś dwaj dżentelmeni. Zajechali powozem. Chcą się widzieć z waszą księżącą mością.

- Powiedziałeś, że nikogo nie przyjmuję?

- Oczywiście, milordzie. Ale oni powołują się na znajomość z lady St. Clair.

Ivy podniosła oczy znad talerza. Wydawała się równie zaskoczona tą wieścią, jak Tamberlake.

- Podali swoje nazwiska?

Beaker wręczył swemu panu dwie karty wizytowe. Księżę rzucił na nie okiem i zwrócił się do Ivy.

- Wygląda na to, że mówią prawdę.

- Któż by to mógł być?

- Mam wrażenie, że pani narzeczoną przybył aż tu po swą oblubienicę.

Rzucił karty wizytowe na stół.

Każdy bez trudu mógł odczytać wydrukowane na nich nazwiska.

Neville Foxworthy, markiz Wynbrooke. Roger Thorndike, Esquire\*. \* *Tytuł grzecznościowy, odpowiadający z grubsza polskiemu „wielmożny pan”. Stosowany wyłącznie na piśmie, umieszczany*

*zawsze Po nazwisku mężczyzny, który był szlachcicem, ale nie lordem (księciem, hrabią, markizem itp.).*

## 7

Tamberlake obserwował tę scenę ze swego pokoju na piętrze, przez szczelinę między kotarami. Ivy i Christopher stali obok powozu, z którego wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden z nich, wyższy, skłonił się Ivy i usunął na bok. Niższy pochwycił jej obie ręce i powitał ją szerokim uśmiechem.

Wynbrooke! Książę domyślił się tego od razu. Tylko narzeczony mógł sobie pozwolić na taką poufałość. Ten lalusz powinien zostać aktorem: jego głos rozlegał się na podjeździe gromkim echem. Ze swego punktu obserwacyjnego Tamberlake słyszał go bez trudu.

- Nareszcie panią odnalazłem, droga lady Ivy! - powiedział z ukłonem nowo przybyły i pocałował narzeczoną w rękę.

Tamberlake skrzywił się. Ten dżentelmen wcale mu się nie podobał. Jego jasne włosy po wielogodzinnej podróży nie były ani trochę potargane, ubranie wyglądało tak, jakby dopiero co wyszedł od krawca. Wynbrooke był smukły, przystojny (aż za bardzo!) i chyba pogodny z natury.

No i nie był kaleką.

Auburn puścił kotarę. Opadła na dawne miejsce, zasłaniając widok z okna. Beaker zaraz ich wprowadzi do salonu -pomyślał i pospieszył na dół, by powitać nowych gości.

Wszedłszy do salonu, zauważył, że płonęło w nim więcej lamp niż zwykle. A, prawda: kazał je tu przynieść ze względu na lady Ivy. W chwili obecnej wcale mu to nie odpowiadało. Pogasił je więc i pokój znów pogrążył się w ciemności. Ciężkie kotary z adamaszku nie wpuszczały do wnętrza słonecznego światła. Księżę usiadł w najciemniejszym kącie na fotelu z wysokim oparciem i czekał na gości; czuł się jak pajak czyhający na lekkomyślną muchę.

Zgodnie z jego przewidywaniami, Beaker wprowadził nieliczną grupkę do ciemnego pomieszczenia. Ze swego ustronnego kąta Auburn obserwował minę Wynbrooke'a. Dandys był wyraźnie zaskoczony.

- Jakoś tu mroczno, prawda? Moim zdaniem taki krezus jak Tamberlake mógłby sobie pozwolić na kilka lamp!

- Krezus? - zdziwiła się Ivy.

-Dowiedziałem się o nim tego i owego. W porównaniu z jego fortuną nawet majątek pani ojca nie przedstawia się zbyt imponująco.

Księżę zerknął na Ivy. Nie odrywała oczu od podłogi.

- Mówiono nam również, że jest ekscentrykiem. Nieprawdaż, Wyn? Wygląda na to, że dykteryjki na jego temat nie były przesadzone - odezwał się wyższy z nowo przybyłych.



Stał oparty o gzyms kominka z miną tak pewną siebie, jakby to on był tutaj panem. Tamberlake domyślił się, że to Thorndike.

Arogant! On też nie przypadł mu do gustu.

- Co cię tu sprowadza, Wynbrooke? - spytał Christopher, zajmując miejsce przy kominku.

Auburn również chętnie by się tego dowiedział.

- Przysłała mnie tu wasza matka, Styles. Zaniepokoił ją ton ostatniego listu lady Ivy.

- Mojego listu? - Ivy spojrzała na narzeczonego. - Pewnie ma pan na myśli ten, który wysłałam z przydrożnego zajazdu. Musieliśmy się tam zatrzymać z racji złej pogody.

- Szanowna matka pani uznała (i całkiem słusznie!), że powinienem wiedzieć o przeszkodach, jakie pani napotyka po drodze. Wydawała się tak zaniepokojona, że uznałem za swój obowiązek złagodzić jej obawy; przyrzekłem towarzyszyć pani w drodze powrotnej.

- A poza tym wolał się upewnić, że Tamberlake nie odbije mu narzeczonej. Mam rację, Wyn? - zachichotał Thorndike.

-Jak najbardziej. - Wynbrooke poprawił krawat. - Napiłbym się koniaku. Czy tu nie ma służby?

- Prawie że nie ma - odparł Styles i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Widać Tamberlake to nie tylko krezus, ale i sknera! - prychnął pogardliwie Thorndike.

- Nic podobnego! - ujęła się za księciem Ivy. - Udzielił nam gościny, gdy nasz powóz się zepsuł.

- Powóz się zepsuł? Wobec tego doskonale się składa, że tu przyjechaliśmy. Wrócimy wszyscy razem, moim ekwipażem.

Na samą myśl o tym Aubury poczuł skurcz żołądka.

- Z pewnością nie zmieścilibyśmy się w nim wszyscy! - zaoponowała Ivy. - A nie mogę przecież odjechać beztrąsko do Londynu i zostawić tu pani Pennyfeather! Nie, nie! Jeśli chcecie towarzyszyć nam w drodze powrotnej, panowie, musicie poczekać, aż powóz zostanie naprawiony.

- Jak długo to potrwa? - spytał Thorndike. - Nie mam ochoty marnować życia w tej zabitej deskami dziurze.

- Podobno tydzień - odparł Christopher.

- Tydzień? - skrzywił się Wynbrooke.

- No cóż, nie ma rady - pogodził się z losem Thorndike. - Pomyśl tylko, Wyn, jaką wzbudzimy sensację, dzieląc się swymi wrażeniami z tygodniowego pobytu w kryjówce potwora!

Na policzkach Ivy pojawiły się czerwone plamy.

- On wcale nie jest potworem! Nie pozwolę go obrażać!  
Tamberlake wstał z fotela.

- Proszę nie brać sobie tego do serca, lady Ivy! Słyszałem już gorsze wyzwiska. - Pokuśtykał w stronę niewielkiej grupki zebranej koło kominka. Dostrzegł na twarzy Styleasa cień rozbawienia.

Wynbrooke był wyraźnie zbity z tropu, a Ivy bliska łez. - Witam

panów w Gryphon's Lair. Wybaczcie, że nie było mnie na podjeździe, gdy wasz powóz zajechał.

Znalazłszy się w kręgu światła, obserwował uważnie przybyszów. Obaj zareagowali na jego widok zgodnie z przewidywaniami: byli jak zahipnotyzowani, nie mogli oderwać wzroku od porcelanowej maski. Poczłł gorzką satysfakcję.

- Może kieliszek koniaku?

Jabłko Adama poruszało się nerwowo w dół i w górę, zanim Wynbrooke przełknął z trudem ślinę, a następnie wykrztusił:

- O, t... tak! K... koniak będzie w sam raz...

- Ja podam!

Christopher poderwał się z miejsca i podszedł do kredensu. Po drodze mrugnął do Tamberlake'a. Książę stanął przy kominku, Thorndike pospiesznie ustąpił mu miejsca. Auburn uśmiechnął się i oparł o gzyms, wiernie naśladowując wielkopańską pozę Thorndike'a.

- Miło mi pana poznać, milordzie - zwrócił się do Wynbrooke'a.

- Przyznam, że pańskie nazwisko nie obilo mi się dotąd o uszy.

- Odziedziczyłem tytuł bardzo niedawno, po śmierci ojca. Od lat był ciężko chory i nie brał udziału w życiu towarzyskim.

- Cóż za zbieg okoliczności! Ostatnimi laty ja także rzadko bywałem w towarzystwie.

Tamberlake roześmiał się z własnego dowcipu. Wynbrooke zawtórował mu. W każdym razie miał to zapewne być śmiech, choć przypominał raczej kwik przerażonego prosięcia.

- Mam nadzieję, panie Thorndike - zwrócił się książę do drugiego gościa - że podróż nie była dla panów zbyt nużąca.

- Ani trochę, milordzie. Fascynował nas zwłaszcza walijski krajobraz, tak odmienny od angielskiego.

Tamberlake skinął potakująco głową i zauważył:

- Mało kto potrafi docenić jedyne w swoim rodzaju uroki Walii.

Zgodzi się pani ze mną, lady Ivy?

Uśmiechnęła się skrycie.

- Jak najbardziej.

Styles wrócił w czterema kieliszkami koniaku. Trzy z nich wręczył zebranym dżentelmenom, z czwartym w ręku zajął dawne miejsce.

- Nasze kawalerskie, panowie! - powiedział, wznosząc kieliszek do góry.

Tamberlake zaczekał, aż dandysi podniosą lampki do ust.

- Przede wszystkim zdrowie lady Ivy - rzekł dobitnie. Jak przewidywał, obaj pospiesznie odjęli kieliszki od ust, rozchlapując sporo koniaku.

- Oczywiście, zdrowie lady Ivy - przytaknął gorliwie Wynbrooke.

Thorndike potakująco skinął głową.

Ivy osłoniła ręką usta i rozkasłała się. Po jej zmrużonych oczach Auburn poznał, że nie dręczy ją kaszel, lecz tłumiony śmiech.

- Bardzo mi przykro, milordzie, że musiał pan przebyć taki szmat drogi, by nas odnaleźć - zwróciła się do Wynbrooke'a. - Nie

wezmę tego panu za złe, jeśli postanowi pan wrócić do Londynu bez nas. Christopher odwiezie mnie do domu.

- Nawet mi przez myśl nie przeszło, że mógłbym porzucić panią na tym odludziu, lady Ivy. Żadne naglące sprawy nie wzywają mnie do Londynu. A sezon może doskonale rozpocząć się beze mnie.

Wynbrooke zerknął na gospodarza i pospiesznie odwrócił wzrok. - Może mógłbyś, milordzie, polecić nam jakąś przyzwoitą oberżę w okolicy?

- Widzę, że postanowili panowie odłożyć swój wyjazd o kilka dni. Pozwólcie więc, że zaoferuję wam skromną gościnę pod moim dachem. - Mówiąc to, Tamberlake obserwował bacznie markiza i dostrzegł wyraźną ulgę na jego twarzy.

- Serdeczne dzięki, wasza książęca mość. Jesteśmy ogromnie zobowiązani.

- Polecę Beakerowi przygotować dla was pokoje. Od niepamiętnych czasów nie mieliśmy w Gryphon's Lair tylu gości. Mój majordomus będzie zachwycony!

- Beaker? - zdumiał się Christopher. - Już to widzę!

W ciągu godziny Beaker przygotował pokoje gościnne i zaprowadził do nich nowo przybyłych. Tamberlake zaszył się w swym gabinecie. Ściany kryte boazerią, obrazy, które mógł podziwiać bez końca, masywne biurko, liczne notesy wypełnione pomysłami innowacji, które zamierzał wprowadzić w swoich dobrach... To było jego królestwo, do którego nikt nie miał prawa wstępu - z wyjątkiem Beakera, gdy od czasu do czasu uzupełniał zapasy koniaku. Mimo

mocnego postanowienia, że swym zachowaniem udowodni Ivy, iż godzin jest jej pochwał, Auburn czuł się nieswojo w domu pełnym obcych ludzi. Postanowił przejrzeć raz jeszcze wszystkie papiery leżące na biurku. Kilka godzin tego nużącego zajęcia powinno go znieczulić na obecność intruzów.

Miał szczerzy zamiar wziąć się do pracy, ale jego spojrzenie niechcący zatrzymało się na egzemplarzu Księgi Parów Burke'a. Przerzucał strony, póki nie natrafił na nazwisko „Wynbrooke”. Był to ród o szczytnych tradycjach, znany od stuleci. Czytając o imponujących dokonaniach dawnych Wynbrooke'ów, Tamberlake posepniał coraz bardziej. Dotarłszy wreszcie do ostatniego Wynbrooke'a, określanego w księdze jako „obecny markiz”, czytał z coraz większym zainteresowaniem. Okazało się jednak, że w owym wydaniu nie uwzględniono znanego Auburnowi Wynbrooke'a. Ostatnia informacja dotyczyła jego ojca.

Tamberlake zatrzasnął Księgę Parów i odstawił ją na półkę. Potem mamrocząc coś pod nosem, zasiadł za biurkiem i zmierzył wzrokiem księgi rachunkowe. Zaczął sprawdzać obliczenia i zdołał się już na nich skoncentrować, gdy stukanie do drzwi oderwało go od pracy.

- Wejść!

Ku zdumieniu księcia, do jego sanktuarium wkradła się kobieta - pani Pennyfeather.

- Proszę wybaczyć to najście, milordzie... Potrząsnął głową.

- Jakie znów najście? Czym mogę pani służyć?

Pani Pennyfeather zesznurowała usta i zmarszczyła czoło. Po chwili znów się odezwała.

- Nigdy bym się nie ośmieliła pouczać księcia pana, jak ma zarządzać własnym domem, ale...

Tamberlake uniósł brew.

- Ale...? Proszę mówić dalej, łaskawa pani.

- Teraz, gdy zjawili się nowi goście, pan i pani Beaker nie dadzą sobie rady bez jakiejś pomocy. Nie można od nich wymagać, by równocześnie zajmowali się sprzątaniami, gotowaniem posiłków, praniem, ogrzewaniem domu i wszystkimi innymi problemami. Tamberlake odchylił się na oparcie fotela.

- Co pani proponuje?

- Księżę pan powinien zatrudnić kilka dziewcząt ze wsi w charakterze pokojówek i pomocniczek kuchennych. Przydałoby się również kilku mężczyzn na stajennych i lokajów.

- A jeśli nikt nie zechce podjąć pracy w siedzibie potwora?

- Też coś! Jeżeli otrzymają godziwe wynagrodzenie, zapomną o swoich obawach. Zdumiewające, jak chciwość zawsze wygrywa w pojedynku z zabobonem.

- Widzę, że doskonale orientuje się pani w sytuacji i przemyślała pani sprawę gruntownie..

- Proszę nie zapominać, że byłam przez dłuższy czas gospodynią. Sprawne rozwiązywanie bieżących problemów wchodziło w zakres moich obowiązków.

Księżę skinął głową.

- Doskonale. Proszę wysłać Beakera do wsi, niech zatrudni kogo trzeba.

Na twarzy pani Pennyfeather odmalowało się wahanie.

- Jakiś problem?

Potrząsnęła głową, ale po chwili milczenia dodała:

- Pani Beaker ma zadatki na idealną gospodynię; musi tylko dokładnie zapoznać się z nowymi obowiązkami. Chyba byłoby lepiej, gdyby to ona przeprowadziła rekonesans we wsi. Z przyjemnością dotrzymam jej towarzystwa i podzielę się z nią moim doświadczeniem.

- Czy angażowanie personelu nie należy do obowiązków majordoma?

- Owszem... Ale mam wrażenie, że mieszkańcy wioski czują zbożny lęk przed panem Beakerem; będą o wiele swobodniej rozmawiać z panią Beaker.

- Proszę więc zrobić to, co pani uważa za stosowne. -Tamberlake powrócił do ksiąg rachunkowych. Gdy po minucie podniósł głowę znad rachunków, przekonał się, że pani Pennyfeather nie opuściła gabinetu. - Chce pani poruszyć jakiś inny problem?

Skinęła głową potakująco.

- Pan Beaker wywiązuje się wzorowo ze swych obowiązków...

- I jest niezwykle lojalny. Zdaje się, że omówiliśmy tę kwestię wczoraj, przy śniadaniu.



- Tak, milordzie, ale gdy udałam się następnie do kuchni, zorientowałam się, że pan Beaker nie tylko zna się na gotowaniu, ale wykazuje niewątpliwe zdolności w tej dziedzinie.

- Co takiego?! - Tamberlake spojrział na nią w osłupieniu.

- Pani Beaker zajmowała się do tej pory gotowaniem, gdyż jej mąż pełnił funkcję majordoma i miał jeszcze inne obowiązki. Kiedy jednak zesłam do kuchni, by porozmawiać z obojgiem na temat niezbędnych zmian, pan Beaker w lot pojął, o co chodzi. To właśnie on przyrzadził kilka ostatnich posiłków.

- Beaker?

- Tak, milordzie. Mam wrażenie, że gotowanie sprawia mu przyjemność. Dziś rano podśpiewywał sobie w kuchni.

- Beaker?!

- Jak najbardziej, milordzie. Ma zadatki na doskonałego szefa kuchni.

- Mój majordomus miałby zostać kucharzem?!

- Wszyscy mistrzowie sztuki kulinarnej to mężczyźni. Książę zamrugał kilkakrotnie, jakby chciał tym sposobem odzyskać jasność myśli.

- Gdyby wasza książęca mość zaproponował mu... Tamberlake potrząsnął głową.

- Jeśli Beaker ugrzęźnie w kuchni, stracę majordoma. Wie pani zapewne z doświadczenia, że w każdej rezydencji jest on nieodzowny.

Pani Pennyfeather uśmiechnęła się.

- Oczywiście! Ale nie musi być nim koniecznie pan Beaker. Pozwolę sobie zauważyć, że znam kogoś, kto idealnie by się nadawał na to stanowisko. Właśnie szuka nowej posady.

- Ach, tak? Zapewne stracił poprzednią. Nie jest widać takim ideałem, jak pani sądzi.

- Chlebodawca pana Fletchera zmarł, a jego spadkobierca miał już zaufanego majordoma. Człowiek, o którym mówię, pracował u lorda Stanhope'a.

Auburn opadł na oparcie fotela. Był wyraźnie oszołomiony.

- Powinnam chyba uprzedzić pana, milordzie, że mój protegowany ma dość... osobliwy wygląd.

Tamberlake uniósł brew.

- Osobliwy wygląd?

- Tak, wasza książęca mość. Pan Fletcher posiada mnóstwo zalet, ale swym wyglądem zraża wielu potencjalnych pracodawców.

Pani Pennyfeather ostrzega jego, potwora bez twarzy, by nie zrażał się osobliwy wyglądem majordoma?! Ten dzień doprawdy obfituje w niespodzianki!

- Jeśli ten człowiek będzie mi odpowiadał, zatrudnię go. Jego aparycja nie będzie miała wpływu na otrzymanie posady.

- Dziękuję, wasza książęca mość. Czy mam przysłać tu pana Beakera?

Tamberlake wyraźnie oklapł.

-Tak.

- Jak pan sobie życzy, milordzie.

Pani Pennyfeather dygnęła i opuściła gabinet, ale wspomnienie jej wszechwiedzącego uśmiechu nadal towarzyszyło księciu.

Nie miał już głowy do sprawdzania rachunków. Odnosił wrażenie, że w chwili przybycia Ivy do Gryphon's Lair jakiś straszliwy kataklizm nawiedził jego dom, wywracając wszystko do góry nogami. Jak tu walczyć z rozszalałym żywiołem?! Mógł oczywiście zlekceważyć sugestie pani Pennyfeather, ale jeśli miała rację i Beaker woli zajęcie kucharza od stanowiska majordoma...? Zacisnął pięści i uzbroił się w cierpliwość. Zaraz się z nim rozmówi!

Gdy następnego ranka Tamberlake zszedł na parter, Ivy czekała już na niego.

- Dokąd się dziś wybierzemy?

Auburn potarł czoło, jakby chciał zapobiec zbliżającej się migrenie. W jego świecie panował już wystarczający chaos. Na co mu dodatkowe problemy z Ivy?! Beaker potwierdził, że bardziej mu odpowiada rola kucharza niż stanowisko szefa służby, więc pani Pennyfeather wysłała list do zaprzyjaźnionego z nią eksmajordoma. W dodatku Auburn wiedział doskonale, że jeśli znajdzie się sam na sam z Ivy, będzie myślał wyłącznie o całowaniu się z nią.

- Nie sądziłem, że zechce mi pani towarzyszyć dziś rano, gdy w domu jest pełno ludzi.

Zmarszczyła brwi.

- Miałabym zostać ze względu na mego brata? Nie, piękne dzięki! W przyszłości będziemy się widywać jeszcze częściej niż dotąd.

- Więc może ze względu na narzeczonego? -Jestem pewna, że Wynbrooke jeszcze śpi! Zresztą, gdyby się nawet obudził, nie będzie mu brakowało mego towarzystwa. Pan Thorndike już się o to postara, żeby przyjaciel się nie nudził! - Ivy owinęła szyję szalem i otuliła się peleryną. - Idziemy?

Tamberlake nic nie odpowiedział. Chwycił swój płaszcz, okrył

się nim i otworzywszy drzwi frontowe, przepuścił Ivy przodem. Jeszcze jeden piękny dzień! Książę nachmurzył się. Być może deszcz zniechęciłby Ivy do spaceru.

Wyruszyli w odwrotnym kierunku niż wczoraj. Auburn poprowadził ją brzegiem strumienia, ale pod prąd. Cały teren porastały chaszczce. Od czasu do czasu któraś z pasących się owiec obejrzała się za nimi, gdy ją mijali. Wysoko w powietrzu szybował jastrząb, wypatrując zdobyczy, która nadawałaby się na śniadanie. U kresu dzisiejszej włóczędzy nie czekał na nich żaden malowniczy i zaciszny las. Tamberlake miał nadzieję, że ta mało atrakcyjna wycieczka zniechęci Ivy do dalszych spacerów. W przyszłości będzie go unikała. Tym lepiej! Miał już dość główkowania, jak wyplatać się z takiej czy innej kłopotliwej sytuacji związanej z przybyciem lady St. Clair do Gryphon's Lair.

Nie patrzył na nią, nie odzywał się do niej. Narzucił ostre tempo. Ivy podążała za nim bez słowa skargi. Kiedy obejrzał się wreszcie na nią, na jej widok zapało mu dech. Policzki poróżwiały jej z wysiłku. Wargi były lekko rozchylone. Na zwróconej ku słońcu twarzy malowała się dziecięca radość... tyle że Ivy nie była już dzieckiem.

Jęknął mimo woli.

Podbiegła do niego.

- Coś pana zabolalo? Odwrócił wzrok.
- To tylko kamień. Mały odłamek skały. Potknąłem się o niego.
- Nie zauważyłam, żeby się pan potknął.
- To znaczy... nadepnałem na niego. Był ostry.

- O...! Może lepiej zawrócimy?

- Nie.

Znów na nią spojrział. Na jej twarzy malowała się szczerza troska. Kiedy po raz ostatni ktoś interesował się jego zdrowiem? Nawet po tragicznym wypadku jego matka przede wszystkim myślała o tym, jak znajomi zareagujl na widok okaleczonej twarzy jej syna. A narzeczona nie-chciała nawet na niego spojrzeć. Tylko Ivy nigdy nie odwracała od niego oczu.

- Wszystko w porządku. Ma pani ochotę iść dalej?

- O, tak! Pewnie rzadko miewacie taką piękną pogodę? Ruszył pierwszy, ale zaczekał, aż Ivy go dogoni, i zwolnił nieco kroku.

- Czy pani Pennyfeather od dawna pracuje u was?

- Nigdy u nas nie pracowała. Była gospodynią lorda Stanhope'a. W swoim liście zapewnił mnie, że jego gospodyni zobowiązała się udzielić mi pomocy w takiej formie, jaka będzie dla mnie najkorzystniejsza. Potrzebowałam osoby do towarzystwa, toteż została moją przyzwoitką. -Ivy spojrziała na księcia. - Chyba nie powinnam opowiadać panu tego wszystkiego. Mama postawiła warunek, że nikt nie może się dowiedzieć, kim naprawdę jest towarzysząca mi dama. „Cóż to za przyzwoitką? Zwykła gospodyni!" Tak więc pani Pennyfeather została podniesiona do rangi ubogiej krewnej... na czas naszej wyprawy.

Tamberlake wybuchnął śmiechem.

- Czy zawsze jest pani taka nieprzyzwoicie szczerza? Ivy wzruszyła ramionami.

- Wiem, że to nie jest w dobrym tonie, ale zawsze uważałam, że kłamstwa lub „retuszowanie prawdy”, jak to określa moja matka, są ogromnie kłopotliwe. Choć, prawdę mówiąc, to właśnie ja wpadłam na ten pomysł.

- Jaki pomysł?

- Z przedstawianiem pani Pennyfeather jako naszej zubożałej krewnej. Wiedziałam, że matka nigdy nie pozwoli mi wyjechać, jeśli czegoś nie wymyślę. Za bardzo się przejmuje tym, co ludzie o nas pomyślą.

A teraz prawdopodobnie obawia się zjadliwych komentarzy na temat znajomości jej córki z utytułowanym potworem! Nic dziwnego, że wysłała narzeczonego Ivy, by jej pilnował.

Niespodziewanie Auburn zrobił w tył zwrot i ruszył w drogę powrotną.

Zdumiona Ivy stanęła jak wryta, a potem pobięła za nim.

- Naprawdę musimy już wracać? Tak wcześnie...!

- Tak.

Nie zwolnił kroku.

- Dlaczego?!

Księżę zrobił groźną minę.

- Mam gości. Czyżby pani o tym zapomniała?

- Nie, nie zapomniałam. Ale jestem zdumiona, że pan sobie o nich przypomniał! - Zrewanżowała się równie odpychającą miną.

Zmiana nastroju Tamberlake'a wprawiła ją w zakłopotanie. Nie miało to jednak większego znaczenia. Nie zabawi w Gryphon's Lair tak długo, by jego humory stały się dla niej uciążliwe.

Ponieważ ścieżka była wąska, Ivy szła za księciem. Ani razu nie odwrócił się, by sprawdzić, jak sobie radzi jego towarzyszka, czy nie została w tyle. Nadażwała jednak, sapiąc z irytacją. Po jakiego licha próbowała się zaprzyjaźnić z tym grubianinem?!

W skrytości ducha żywiła jednak nadzieję, że Tamberlake znów ją pocałuje.

Wpatrywała się w szerokie plecy idącego przed nią mężczyzny i zdumiewała się, że ktoś tak wrogo do niej nastawiony mógł całować ją tak żarliwie.

Nagle rozległ się strzał.

Ivy wydała lekki okrzyk, Auburn zerknął w stronę, gdzie prawdopodobnie ukrywał się winowajca, i mamrocząc pod nosem jakieś przekleństwa, ruszył w tamtym kierunku. Choć był kulawy, Ivy z trudem dotrzymywała mu kroku. Gdy zatrzymał się nagle, omal na niego nie wpadła.

- Niech to wszyscy diabli! Kłusownicy!

Na ziemi leżała pustułka\*. Krew sączyła się z rany na piersi, jedno ze skrzydeł zwisało bezwładnie. Na widok zbliżających się ludzi ptak zaczął skrzeczeć i trzepotać zdrowym skrzydłem w żalostnej próbie ucieczki.

*\*Niewielki ptak, odmiana sokoła.*

- Biedactwo! - szepnęła Ivy, chcąc podejść do pustułki.



- Nie teraz!

Tamberlake chwycił ją za ramię i uskoczył za wielki głaz.

Przykucnął na ziemi i pociągnął dziewczynę za sobą.

- Siedź cicho i nie wierć się!

Ivy już miała zaprotestować, ale zatkał jej usta ręką.

- Cicho!

Po dłuższej chwili usłyszała tupot ciężkich butów.

- Tu go mamy! - odezwał się szorstki głos. Z pewnością nie należał do nikogo z mieszkańców Gryphon's Lair.

- Niezły kąsek! - zawtórował mu inny obcy głos.

- Nie ruszaj się stąd! - polecił szeptem Tamberlake. W następnej chwili wyskoczył z ukrycia i wdrapał się na wielki głaz z taką łatwością, jakby noga nigdy mu nie dokuczała. Gdy stał tak, rozpostarłszy ramiona okryte peleryną, przypominał wielkiego nietoperza.

- Boże, zmiłuj się! Toż to potwór! - wrzasnął jeden z kłusowników.

Nie zważając na rozkaz księcia, Ivy wstała, by lepiej widzieć, co się teraz stanie.

- Precz stąd! - zagrzmiął Tamberlake, a echo rozniosło ten okrzyk po całej dolinie.

- Nie zabijaj nas! - zaskomlał drugi kłusownik. - Padł na kolana i uniósł ramiona, jakby chciał osłonić się przed ciosem.

- Precz z mojej ziemi, nędzne opryszki! Tamberlake zeskokczył z głazu; fałdy peleryny powiewały za nim niczym ogromne skrzydła.

Leżący na ziemi kłusownik wrzasnął wniebogłosy. -O rany! Potwór złapał jakąś kobitkę! - Pierwszy z kłusowników wskazał tchórzliwemu kompanowi Ivy.

- Lepiej, że ją, a nie nas! - burknął tamten, podnosząc się z ziemi. - Gdzie ten ptak?

- Zostaw go, nie drażnij potwora! - rzucił przez ramię jego kamrat, biorąc nogi za pas.

Drugi bez zwłoki poszedł w jego ślady. Ivy wyłoniła się zza głazu.

- Mówiłem: nie wyłaź!

- Miałam stracić takie widowisko?! Jeszcze czego! Ależ te opryszki głupie: myśleli, żeś mnie porwał!

Sokół nadal skrzeczał i wymachiwał skrzydłem. Zdołał się nieco oddalić od nich.

- Zostawili ptaka! - ucieszyła się Ivy.

- Czasem warto być potworem - stwierdził Tamberlake.

- Nie jesteś, milordzie, żadnym potworem! - zaprotestowała.

Słowa Ivy zapewne nie dotarły do księcia. Pochylił się nad przerażonym ptakiem. Zdjął pelerynę i narzucił ją na szamoczące się ciało. Potem z niezwykłą ostrożnością podniósł sokoła i otulił go; po chwili pustułka uspokoiła się. Przytrzymując zawiniątko jedną ręką, drugą Auburn wymacał leżącą na ziemi laskę i wsparłszy się na niej, ruszył w dalszą drogę.

Ivy pospieszyła za nim.

- Co pan zrobi z tym ptakiem? Nawet się do niej nie odwrócił.

- Pewnie go zjem.

- Nie zrobi pan tego! - jęknęła. - Nie może księżę tego zrobić!

Przecież ocalił mu pan życie!

- Może nie lubię krwi i wolę, by kłusownicy wykonali za mnie czarną robotę?

Ivy spochmurniała. Po chwili jednak zauważyła, z jaką ostrożnością jej towarzysz niesie ptaka. Sokół w dodatku krwawił. Gdyby Tamberlake zamierzał dobić ptaka i zjeść go, nie narażałby na zniszczenie swojej peleryny! Przyspieszyła kroku i oświadczyła z triumfalnym uśmiechem:

- Nie wierzę panu, nic a nic!

- A to dlaczego?

- Jakbyś chciał go zjeść, księżę, od razu skrzyłbyś mu kark, a ty zadałeś sobie tyle trudu, żeby nie zrobić mu krzywdy!

- Może zostawiam tę przyjemność Beakerowi?

- Wcale nie! Auburn zatrzymał się.

- Skąd ta pewność?

Ivy zignorowała jego pytanie i szła dalej.

- Pospiesz się, wasza księżęca mość. Nie chce pan chyba, żeby to biedactwo cierpiało więcej, niż jest to konieczne?

Kiedy dotarli do dworu, Tamberlake wcale nie ruszył do drzwi frontowych. Zamiast tego skrzył na tyły budynku i przeszedł przez dziedziniec, zmierzając do niewielkiej stodoły. Ivy nie miała ochoty wracać do domu, podkasała więc spódnicę i podążyła za nim. Drzwi

były uchylone; skoro tylko weszli do wnętrza, Ivy usłyszała szelest słomy i ciche piski. Jakież stworzenia hoduje tu Tamberlake?

Na przeciwległej ścianie dostrzegła półkę, a na niej rząd metalowych klatek. W żadnej z nich nie było lokatora, ale wszystkie były wyścielone słomą. Książę położył swe zawiniątko na ziemi. W tym momencie przyczłapała do niego kaczka (a może kaczor?) i powitała go w swoim języku.

- Nie teraz, Humphreyu!

Tamberlake odsunął natręta i rozwinął pelerynę. Na widok światła pustułka rozwrzeszczała się. Z odległego kąta odezwała się krowa. Namolna kaczka zatrzepotała skrzydłami i znów zaczęła kwakać. Książę nie zwracał uwagi na te zaczepki. Uniósł sokola na wysokość półki, by umieścić go w pustej klatce. Ptak wyrywał mu się, atakował dziobem, ale Tamberlake trzymał go mocno. Złożywszy go na słomie, zwolnił chwyt. Gdy pustułka próbowała wstać, zamknął drzwiczki klatki. Wziął do ręki stojącą obok klatki miseczkę i podał ją Ivy.

- Proszę nalać wody!

Ivy rozejrzała się dokoła i spostrzegła koryto z wodą. Zaczepnęła wody miską i zwróciła ją księciu.

Ten jedną ręką otworzył drzwi klatki i wsunął do niej trzymaną w drugiej ręce miseczkę. Ptak znowu się rozmieszczał, ale Tamberlake nie uronił ani kropli wody. zamknąwszy klatkę, nakrył ją dużą płachtą.

- Po ciemku zaraz się uspokoi. - Podniósł z ziemi pelerynę i strząsnął z niej okruchy siana i źdźbła słomy.

- Wyzdrowieje?

- Nie wiem. Mogę tylko zapewnić mu jedzenie, wodę i ciepłe posłanie... i mieć nadzieję, że wyżyje. - Przyjrzał się uważnie swojej pelerynie. Na podszewce widniała niewielka krwawa plama. - Pani Beaker chyba mi to wyczyści.

- Skaleczył pana! - zaniepokoiła się Ivy. Wzięła go za rękę. Długa czerwona pręga biegła przez całą długość kciuka aż do nadgarstka. Sączyła się z niej krew.

Auburn wyrwał rękę z jej uścisku.

- To głupstwo!

- Nic podobnego. Trzeba to zabandażować. Rozejrzała się dokoła za czymś, co nadawałoby się na opatrunek, ale dostrzegła tylko brudne szmaty i derki pod siodło.

Z westchnieniem rezygnacji Tamberlake wskazał jej skrzynkę pod półką z klatkami.

- Proszę poszukać tam.

Ivy otworzyła skrzynkę. Był to rodzaj apteczki pierwszej pomocy. Znalazła w niej nożyczki, mocne nici, bandaże i różne zasypki.

- To dla zwierząt - mruknął książę, nie patrząc na nią.

Wydobyła ze skrzynki zrolowany bandaż i odcięła spory kawałek. Ujęła znów poszkodowaną rękę, przyłożyła do rany gazowy opatrunek i obandażowała kciuk i przegub.

- To na razie powinno wystarczyć, ale po powrocie do domu skaleczenie należy starannie przemyć!

- Dzięki!

Przez chwilę żadne z nich nie mogło wykrztusić słowa. Stali tak blisko, że gdyby Ivy wspięła się na palce, ich usta by się zetknęły...

- Kwa, Kwa!

Kaczka przydreptała znów do Tamberlake'a, przytuliła się do jego nogi i zaczęła mu coś opowiadać. Schylił się wziął ją na ręce i przyglądał jej piórka.

- Coś w rodzaju pokojowego pieska? - spytała ze śmiechem Ivy.

- W pewnym sensie. W ubiegłym roku znalazłem Humphreya; był strasznie pokancerowany. Teraz jest zdrowy jak rydz, ale biedny głupek nijak nie może zrozumieć, że nikt go tu nie trzyma i może odejść, kiedy tylko zechce.

Niby to sarkał na kaczora, ale Ivy zauważyła, jak pieszczotliwie tuli go do siebie. Nagle dostrzegła kątem oka jakiś ruch. Przyjrzała się uważniej belce pod sufitem i zapało jej dech.

- Czy to jest... tchórz...?

Tamberlake rzucił od niechcienia okiem w tamtą stronę.

- A jakże. To Shylock\*.

*\* zapewne z racji swej chytryści otrzymał imię lichwiarza z komedii "Kupiec wenecki" Szekspira.*

Ivy uniosła brwi.

- Jeszcze jeden piesek salonowy?

Auburn wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Przyjrzała się uważniej zwierzątku, które wyciągnęło ostro zakończony pyszczek w kierunku Tamberlake'a.

- On ma tylko trzy nogi!

- Wiem.

Ivy spojrzała na księcia z irytacją.

- Widocznie wyraziłam się niezbyt jasno. Chciałam spytać: w jakich okolicznościach stracił nogę?

- Wpadł w potrzask. Zanim go znalazłem i uwolniłem, odgryzł ją niemal całkowicie.

- Odgryzł?! - Żołądek podskoczył jej do gardła.

- Własną nogę, która uwięzła w potrzasku.

- O, Boże... - Ivy ciężko opadła na skrzynię.

Tamberlake sięgnął do kieszeni i wyjął pasztecik. Z zadziwiającą zręcznością Shylock zeskoczył z krokwi i po kilku susach wylądował na ramieniu swego pana. Auburn podał mu smaczny kąsek. Zwierzątko chwyciło go czym prędzej i umknęło, by delektować się nim w samotności.

- Mój Boże! - westchnęła Ivy. - Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś podobnego! Czy on nie atakuje innych zwierząt?

- Raczej nie. Przeważnie trzyma się od nich z daleka. Co prawda, pani Beaker zwykle oskarża Shylocka, ilekroć zniknie jakiś kurczak albo kokoszki źle się niosą, ale mamy z nim wygodę: potrafi oczyścić stodołę z myszy i innych szkodników nie gorzej niż kot.

Ivy nie mogła wyjść ze zdumienia

- Któż by odgadł, milordzie, że w twojej piersi kryją się takie skarby uczuć!

Uniósł pytająco brew.

- Większość ludzi przechodzi obojętnie obok niedoli zwierząt.

- Może i tak. - Postawił kaczora na ziemi i raz jeszcze poprawił płachtę na klatce pustułki. - Muszę powiedzieć pani Beaker, by zostawiła trochę surowego mięsa dla sokoła. - Auburn ruszył ku drzwiom i nagle zatrzymał się. - To znaczy... muszę o tym powiadomić Beakera.

- Beakera?

- Nie dotarły do ciebie ostatnie nowiny, lady Ivy? Beaker jest od dziś moim szefem kuchni.

- Co takiego?!

- Ta twoja przyzwoitka, pani Pennyfeather, zaprowadziła radykalne zmiany w moim domu. Okazało się, że Beaker urodził się i wychował w oberży. Niemal od kolebki wtajemniczano go w arkana sztuki kulinarnej. Skutkiem tego czekam na przybycie nowego majordoma, którego pani Pennyfeather gorąco poleca.

Ivy przez chwilę przyglądała mu się bacznie, potem uśmiechnęła się.

- W pierwszym momencie zamierzałam przeprosić waszą książęcą mość za niewybaczalne wścibstwo pani Pennyfeather. Teraz jednak widzę, książę, że w gruncie rzeczy nie masz nic przeciw radykalnym zmianom, choć sądzisz, że powinieneś udawać zażartego konserwatystę!



Tamberlake spojrział na nią ze zdumieniem.

\_ Co za przenikliwość! Jaka szczerść...! Wolno spytać, lady Ivy, czy przyszły małżonek potrafi docenić te zalety?

- Sądzę, że nie ma o nich pojęcia. Prawie się nie znamy, ale to bez znaczenia. Będziemy zapewne żyć nie ze sobą, ale obok siebie, jak większość małżeństw w eleganckim świecie.

- I takie perspektywy nie odstraszą cię?

- Bynajmniej! Co prawda, marzyłam niegdyś o miłości, jak każda dziewczyna, ale potrafię pogodzić się z rzeczywistością. Mój ojciec życzy sobie tego małżeństwa, a ja chciałabym mieć dzieci. A poza tym żaden inny mężczyzna nie zawrócił mi w głowie...

Prócz ciebie! - odezwało się bez ostrzeżenia jej skrupulatne sumienie.

Ivy wciągnęła raptownie powietrze w płuca, jak w przystępie nagłego bólu. Wydychała je powoli, łudząc się, że Tamberlake nie dostrzegł w jej zachowaniu nic dziwnego.

Przez kilka sekund, które dłużyły się w nieskończoność, Auburn nie odrywał od niej spojrzenia. Potem odwrócił się raptownie.

- Śniadanie pewnie już gotowe.

- Znakomicie! Umieram z głodu! - Ivy zerwała się i pobiegła do domu.

Tamberlake nie od razu poszedł w jej ślady. Jak można wygrać z taką kobietą...? Doskonale wiedział, jaka metoda najbardziej by mu odpowiadała: całować ją tak długo, aż by przyznała, że małżeństwo z

potworem jest lepsze od jałowych małżeństw preferowanych w wielkim świecie.

Zaklął pod nosem. Humphrey kwaknął coś w odpowiedzi. Auburn spojrział na kaczora.

- Coś mi się zdaje, że z nas dwóch nie tylko ty masz ptasi mózdzek...!

Scandalous

Ivy opłukała twarz i ręce, poprawiła uczesanie i dołączyła do towarzystwa zebranego przy stole.

Wszyscy panowie wstali, gdy weszła do pokoju. Lord Tamberlake znów miał na twarzy porcelanową maskę. Ivy jej nie znosiła; zdecydowanie lepsza była opaska na oko!

- Pozwól, droga lady Ivy, że ci usłużę - powiedział Wynbrooke i podszedł do kredensu.

- Dziękuję - odparła Ivy, kryjąc zniecierpliwienie. Usłużność markiza wynikała jedynie z dobrego wychowania; doskonale wiedział, jak powinien się zachowywać idealny narzeczony. Znacznie bardziej ucieszyłby ją szczery odruch sympatii ze strony Tamberlake'a! Pospiesznie odpędziła od siebie tę myśl.

Kiedy usiadła przy stole, Wynbrooke postawił przed nią kopiasty talerz. Biorąc widelec do ręki, pomyślała: jakim cudem zdołam to pochłonąć?!

- Gdzieście się podziawali? - spytał Christopher.

- Byliśmy na spacerze. Przyłapaliśmy dwóch kłusowników na gorącym uczynku: ustrzelili sokoła.

- Kłusowników? - zaniepokoił się Christopher. - Nie zranili cię, mam nadzieję?

- Oczywiście, że nie! Lord Tamberlake znakomicie sobie z nimi poradził. - Zerknęła na Auburna. - Tylko biedna pustułka nie wyszła z tego cało.

- Mam nadzieję, że trafiła już do kuchni. Z pewnością będzie z niej znakomita zapiekanka! - rozmarzył się Wynbrooke

- Nic podobnego! - odparła z oburzeniem Ivy. -Książę przyniósł sokoła do Gryphon's Lair, by go wykurować.

- Cóż za oryginalne hobby! - zauważył od niechcienia markiz. - Czy zawsze przygarniasz pod swój dach ranne przybłądy, milordzie?

- Tylko wówczas, gdy same wylądują na mym progu -odparł lord Tamberlake równie zdawkowym tonem.

Policzki Wynbrooke'a lekko poczerwieniały.

-Jakie czekają nas dziś niespodzianki? - spytał pośpiesznie Thorndike, chcąc odciągnąć ogólną uwagę od zmieszanego przyjaciela i zwrócić ją na siebie. - Co pan dla nas chowa w zanadrzu, milordzie?

- Przykro mi, ale nie przygotowałem dla państwa żadnych szczególnych atrakcji - odparł książę. - Jednakże nasza okolica słynie z pięknych widoków i świetnie się nadaje na spacer. Możecie również wybrać się do pobliskiej wioski; z pewnością znajdziecie tam coś interesującego.

Ani Wynbrooke, ani Thorndike nie okazali większego entuzjazmu. Tamberlake wstał od stołu.

- Państwo wybaczą, ale obowiązki mnie wzywają. Wyszedł z pokoju.

- Ten człowiek nie ma ani trochę ogłady! - stwierdził markiz. - Nic dziwnego, że zaszył się w tej dziurze i stroni od eleganckiego towarzystwa. Łatwo odgadnąć jego motywy.

- No, cóż... ma je wypisane na twarzy - błysnął dowcipem Thorndike.

Obaj przyjaciele się roześmiali.

- Nie tylko to miałem na myśli, choć muszę przyznać, że mi ulżyło, gdy wstał od stołu. Taki widok nie dodaje biesiadnikom apetytu. Pomyśl, co by to była za katorga: mieć przed sobą każdego ranka podobne oblicze! Nie Przełknąłbym ani kęsa. - To rzekłszy, Wynbrooke we-Pchnął do ust spory kawał szynki.

Thorndike roześmiał się.

- Dzięki Bogu, musimy znosić tutejsze atrakcje tylko przez kilka dni. Kiedy ten wasz powóz zostanie wreszcie naprawiony, Styles?

Christopher nie wyrzekł ani słowa. Zmierzył tylko dwóch rozchichotanych dandysów pogardliwym wzrokiem. Ivy zauważyła to i była dumna z brata.

Wynbrooke zbył sprawę machnięciem ręki.

- Mniejsza z tym! Wybierzmy się lepiej do wioski, Rogerze. Przekonamy się, czy można znaleźć tam jakąś rozrywkę. A przy okazji wpadniemy do stelmacha. Może zechce pani dotrzymać nam towarzystwa, lady Ivy? A ty, Styles?

- Dziękuję, milordzie, ale jestem trochę zmęczona po rannym spacerze - odparła Ivy między jednym a drugim kęsem.

- Niestety, już wcześniej umówiłem się z naszym gospodarzem na partię szachów - wykręcił się Christopher.

- Jak sobie chcecie! Prawdę mówiąc, ja też nie bardzo liczę na te sielskie rozrywki. - Wynbrooke wstał od stołu i strzepnął okruszki z gorsu koszuli.

Gdy dwaj przyjaciele opuścili pokój, Ivy poczuła wielką ulgę, ale odezwał się w niej również niepokój: jeśli chwilowa obecność markiza była dla niej takim ciężarem, to jak zdołają wytrwać w małżeńskiej zażyłości do końca życia?

Christopher otarł usta serwetką.

- Wybacz, siostrzyczko! Wiem, że Wynbrooke to twój przyszły mąż... ale czasami cholernie mnie irytuje.

- Mnie też - westchnęła Ivy. - Szkoda, że nie zdecydowałam się na któregoś z wcześniejszych konkurentów.

- Co ty wygadujesz? Tamci byli jeszcze gorsi! - Wicehrabia wstał od stołu i podszedł do siostry.

- Szkoda, że ojciec tak nalega, bym wyszła a mąż. Byłabym o wiele szczęśliwsza jako stara panna! Czytałabym książki od rana do nocy i bawiłabym się z gromadką twoich dzieci jak wzorowa ciocia.

Christopher uniósł ręce obronnym gestem.

- Nawet mi nie wspominaj o dzieciach! Mam przed sobą kilka lat złotej wolności, zanim mnie zakują w małżeńskie kajdany.

- Kajdany? Też mi się znalazł męczennik! My, kobiety, nie mamy nawet co marzyć o wolności - ani przed ślubem, ani po ślubie!

Brat wybuchnął śmiechem.

- Wobec tego dzięki Ci, Panie, żeś mnie nie uczynił kobietą! I za to, że ojciec uważa mnie za żółtodzioba, nienadającego się jeszcze do małżeństwa.

- Jakżebym chciała być na twoim miejscu!

- Nie martw się, Ivy, będzie z ciebie markiza, jak się patrzy! Już sobie wyobrażam, jak otoczona chmurą pociech udzielasz im zbawiennych rad.

Ivy dźgnęła go łokciem w żebra.

- Nie rób ze mnie matrony! Na to mam jeszcze czas.

Rozśmieszyło to Christophera, ale zaraz spowaźniał.

- W gruncie rzeczy nie masz nic przeciwko temu małżeństwu, prawda?

Ivy wzruszyła ramionami.

- Choćbym nawet miała, nikt się mnie nie będzie pytał. Widząc jednak przerażenie brata, poklepała go po ramieniu i dodała zgoła innym tonem:

- Będę miała dom, dzieci i piękny tytuł. I pomyśl tylko, jakie piekło urządziłaby nam Georgina, gdybym nie wyszła czym prędzej za mąż!

Christopher roześmiał się.

-Jakim cudem zachowałeś jeszcze poczucie humoru...? Ale pamiętaj: gdybyś potrzebowała kiedyś pomocy, możesz zawsze na mnie liczyć!

- Wiem, braciszku. Ja też bardzo cię kocham! Pocałowała go w policzek. Christopher wziął ją za rękę.

- Chcesz, żebym cię oprowadził po galerii Tamberlake'a Ma zdumiewającą kolekcję militariów. Co za zbroje Jaki oręż!

-Myślałam , że umówiliście się z nim na partyjkę szachów.

- Ależ skąd! To było tylko niewinne kłamstewko, żeby się wymigać od spaceru z Wynbrookiem i Thorndikiem.

Ivy wybuchnęła śmiechem.

- No to prowadź, drogi bracie! Wiesz, jak mnie interesuje zabytkowa broń.

Dwa dni później Tamberlake siedział znów za biurkiem. Dwie nowe służące pomagały pani Beaker w prowadzeniu domu. Przybył też nowy ogrodnik. Pani Pennyfeather miała słuszność: pokusa dobrego zarobku przeważnie okazywała się silniejsza od zabobonnego lęku przed potworem, choć nowe służące nadal wzdrygały się na widok księcia.

Pogoda się pogorszyła. Znów - jak przez większość roku - padał deszcz, ale Ivy każdego ranka wychodziła z księciem na spacer pod stalowo-szarym niebem. Wynbrooke i Thorndike oznajmili, że stelmach niemal się już uporał z naprawą powozu. Niebawem Gryphon's Lair będzie wolne od nieproszonych gości, a jego właściciel będzie znów radować się spokojem i ciszą.

Dziwne, że na myśl o tym Auburn nie odczuwał wcale radości.

Spojrzał na leżące na jego biurku papiery. W ciągu ostatniego tygodnia tak często zaszywał się w swoim gabinecie, że nie miał już prawie nic do zrobienia. Przestudiował dokładnie wszystkie dokumenty. I to dwukrotnie. Siedział z głową odchyloną na oparcie



fotela i gapił się w sufit. Ciekawe, co teraz robi Ivy? Może ponownie zwiedza jego dom? Onegdaj widział ją w towarzystwie brata na galerii, ale postanowił im nie przeszkadzać. A może czyta jakąś książkę z jego biblioteki? Odkrył, że niektóre tomiki z jego księgozbioru zawędrowały na inną półkę.

Stukanie do drzwi wyrwało go z zadumy.

- Proszę wejść!

Na progu stanął Beaker. Był wyraźnie zmartwiony-

- Złe wieści, milordzie - oznajmił.

- Powóz nie gotowy?

- Nie w tym rzecz, wasza książęca mość. Powóz jest naprawiony, ale...

Tamberlake uniósł brew.

- Ale co?

- Stangret zniknął bez śladu.

- Słucham?!

Beaker wzruszył ramionami.

- Wczoraj wieczorem nawet się nie kładł do łóżka. Wybrał się na wieś, do karczmy. Dziś rano rozpytywałem o niego i dowiedziałem się od karczmarza, że zjawił się wczoraj wieczorem, żeby uczcić nagłą odmianę losu. Spadło mu jak z nieba sporo forsy, więc się zabrał pierwszym dyliżansem, wcześniej rano.

- Co ty wygadujesz?

- Naprawdę nie wiem, jak to się stało, milordzie. Ale stangret lady Ivy zniknął.

- To niemożliwe!

Auburn krążył nerwowo po pokoju. Myśli kłębiły mu się w głowie, ale jak refren raz po raz powtarzało się jedno zdanie: Ivy nie wyjeżdża! Udawał sam przed sobą, że nie dostrzega ulgi, jaka ogarnęła go na tę myśl, i wmawiał w siebie, że jest wściekły.

- I co mam teraz zrobić, wasza książęca mość? - pytał Beaker, obserwując z niepokojem swego chlebobawcę.

Tamberlake wyrzucił gwałtownie obie ręce do góry.

- Masz przygotować luncheon. Jesteś teraz kucharzem, zrozumiano?!

- Oczywiście, milordzie. Pomyślałem tylko, że mógłbym się może na coś przydać, póki się nie zjawi nowy majordomus.

Książę przestał biegać po gabinecie i odetchnął głęboko.

- Wybacz, Beaker! Jestem po prostu wściekły... więc wyładowałem swój gniew na tobie.

- Nic nie szkodzi, milordzie.

Tamberlake przez chwilę rozważał sytuację.

- Trzeba poszukać dla nich innego stangreta.

- Tak jest, wasza książęca mość. Czy mam zasięgnąć języka we wsi?

- Jak najbardziej, Beaker. Ale wstrzymaj się z tym do jutra.

Przede wszystkim jesteś nam potrzebny w kuchni.

Beaker uśmiechnął się szeroko.

- Jak sobie książę pan życzy. - Spiesznie uklonił się i wyszedł.

Oszalałem, czy co? - myślał Tamberlake. Odkładać to do jutra?!

Tydzień temu zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by pozbyć się gości jeszcze tego samego dnia. Ale dziś...?

Znów zaczął krążyć po pokoju. Ponowne stukanie do drzwi przerwało tę wędrówkę.

- Co tam znowu?!

Do pokoju weszła pani Pennyfeather.

- Proszę wybaczyć, milordzie, ale pan Fletcher właśnie przybył.

Wreszcie jakieś dobre wieści!

- Proszę go tu przysłać.

Pani Pennyfeather wprowadziła do gabinetu człowieczka niewiele wyższego od niej, po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi. Siwa czupryna przybysza wyglądała tak, jakby sam ją przycinał, i to sekatorem. Nierówne kosmyki sterczały we wszystkie strony, na nosie kołysały się grube szkła, a na plecach rysował się wyraźny garb.

No, cóż...? Pani Pennyfeather uprzedziła, że przyszły majordomus wygląda osobliwie.

Tamberlake zajął miejsce za biurkiem.

- Nazywasz się Fletcher, nieprawdaż?

- Do usług waszej książęcej mości.

Głos był sympatyczny, ton rzeczowy, akcent nienaganny. Widać było, że majordomus obracał się w najwyższych kręgach towarzyskich i intelektualnych.

- Podobno pracowałeś u lorda Stanhope'a.

- Istotnie, milordzie. Służyłem mu od lat.

- Ku obopólnemu zadowoleniu?

- W każdym razie jego lordowska mość nigdy się nie uskarżał.

Proszę spytać panią Pennyfeather.

- Już z nią rozmawiałem na ten temat. - Książę wyprostował się i oparł splecione ręce na blacie biurka. - No, cóż... Znajdzie się dla ciebie coś do roboty w Gryphon's Lair, Fletcher. Nazwijmy to okresem próbnym.

- Dziękuję, milordzie. Śmiem tuszyć, że wasza książęca mość nie dozna przykrego rozczarowania.

Tamberlake uśmiechnął się.

- I ja tak sędzę. Muszę jednak uprzedzić cię o pewnych regułach, które obowiązują w tym domu. Niejeden uznałby je za osobliwe.

- Osobliwe, milordzie?

- Właśnie. Nie znoszę jaskrawego światła. Będziesz musiał szczelnie zasłaniać okna.

- Oczywiście, milordzie.

- I zapalać jak najmniej lamp. Fletcher skinął głową.

- Z wszelkimi innymi pytaniami proszę się zwracać do Beakera.

- Jak wasza książęca mość sobie życzy. - Fletcher uklonił się i skierował ku drzwiom.

Spoglądając za odchodzącym, Tamberlake zwrócił uwagę na jego obuwie. Zarówno podeszwy, jak i obcasy były różnej wysokości. Ciekawe, jak się poruszał bez ortopedycznego obuwia...?

Zanim nowy majordomus dotarł do drzwi, książę zatrzymał go.

- Chwileczkę, Fletcher! Odwrócił się natychmiast.

- Słucham, milordzie?

- Mam dla ciebie pierwsze bojowe zadanie. Jak tylko zapoznasz się z nowym otoczeniem, zacznij szukać stangreta dla gości, którzy właśnie opuszczają Gryphon's Lair.

- Tak jest, milordzie. Widzę, że praca u waszej książęcej mości będzie nie tylko zaszczytem, ale i ambitnym wyzwaniem. - To rzekłszy, majordomus oddalił się z ukłonem pełnym szacunku.

Dopiero wówczas, gdy drzwi się za nim zamknęły, Auburn uświadomił sobie, że Fletcher ani razu nie wzdrygnął się na jego widok i nie odwrócił wzroku od okaleczonej twarzy. Zdumiewające!

Nie mógł jednak głębiej się nad tym zastanowić, gdyż po raz trzeci rozległo się stukanie.

Kogo znów diabli niosą?

W drzwiach ukazała się najpierw główka, potem cała postać Ivy. Gdy weszła do pokoju, Tamberlake chciał zerwać się z miejsca i podbiec do niej. Pomyślał jednak, że wyłajałaby go tylko za brak dobrych manier, więc z godnością podniósł się z fotela.

- Wybacz, milordzie, że ci przeszkadzam, ale... Czy możesz mi poświęcić kilka minut?

- Jeśli to pilna sprawa.

Starął się ukryć radosne podniecenie, które ogarnęło go na jej widok.

- Czy Beaker powiedział... Czy już wie pan o zniknięciu stangreta?

-Tak.

- To nie był nasz woźnica, rozumie książę? Lord Stanhope oddał do mojej dyspozycji swój powóz i stangreta. Całe szczęście, bo ojciec nigdy by się nie rozstał ze swoim!

Przerwała, oczekując jakiejś reakcji ze strony Tamberlake'a. Ponieważ jednak milczał, westchnęła i mówiła dalej.

- Dobrze wiem, jak uciążliwy jest dla ciebie, milordzie, nasz przedłużający się pobyt w Gryphons Lair. Pomyślałam więc że byłoby lepiej, gdyby ktoś odwiózł nas do najbliższego zajazdu. Zatrzymamy się tam, póki nie znajdzie się nowy woźnica

Cóż za wspaniała okazja powrotu do normalnego życia! Mógł pozbyć się od ręki (i to w honorowy sposób!) całej płaczącej mu się pod nogami bandy! Wystarczy powiedzieć: „Zgoda, to najlepsze wyjście!”

- Nie chcę nawet o tym słyszeć! Musisz... musicie zostać w Gryphon's Lair. Któż po waszym odjeździe będzie mi towarzyszyć na porannych spacerach?

Cóż go, u diabła, podkusiło do wypowiedzenia tych słów?! Książę skrzywił się okropnie... a raczej uczyniłby to, gdyby promienny uśmiech zachwyconej Ivy nie pozbawił go resztki rozumu.

- Dzięki, milordzie, stokrotne dzięki! Jakiś ty dla nas dobry!

- Nic podobnego! - wymamrotał.

- Może przyłączysz się do nas, kiedy uporasz się z tymi papierzyskami? Zagramy w fanty; to świetna zabawa!

- Nie znam się na grach salonowych.

- Nic nie szkodzi! Wszystko ci wytłumaczę. Skinął głową.

- Doskonale. Zjawię się niebawem.

- Jakże się cieszę!

Ivy oddaliła się tanecznym krokiem. Tamberlake osunął się na fotel.

Gra w fanty? Zgodził się wziąć udział w grach salonowych?!

Nie ulega wątpliwości: kompletnie odjęło mu rozum.

Scandalous

Tamberlake siedział w obszernym fotelu, rozkoszując się ciemnością. Goście od dawna rozeszli się do swych pokoi, ale jemu wcale nie chciało się spać. Udał się więc do salonu, by przez kilka minut podumać w ciszy nad kieliszkiem koniaku. Nieustanny gwar i panujące w domu zamieszanie działały mu na nerwy.

Grał dziś ze swymi gośćmi w fanty, a następnie towarzyszył im przy obiedzie. Obsługiwał ich Fletcher - jak zawsze nienaganny i imponujący mimo szurania nogami i zgarbionych pleców. Ivy umiejętnie pokierowała konwersacją; rozmawiano na wszelkie tematy, począwszy od filozofii, kończąc na najnowszym repertuarze londyńskich teatrów. Z niezwykłą swobodą i naturalnością wcieliła się w rolę wzorowej pani domu. Była wprost stworzona do tego, by zajmować honorowe miejsce u szczytu stołu w Gryphon's Lair!

Pozbądź się tych idiotycznych złudzeń, Tamberlake!

Pociągnął spory łyk koniaku. Ivy zajmowała coraz więcej miejsca w jego myślach. Miał niemiłe uczucie, że pędzi na oślep ku nieuchronnej zgubie.

Drzwi otwały się. Ktoś wszedł do salonu. Serce zabiło mu gwałtownie: przez sekundę miał nadzieję, że ujrzy znów Ivy, ale to był tylko jej brat.

- Dobry wieczór, Styles!

Christopher zmrużył oczy, usiłując dostrzec coś w ciemności.

- To ty, Tamberlake?



- Nalej sobie koniaku i dotrzyмай mi towarzystwa -  
zapropozował Auburn, dziwiąc się samemu sobie. Coraz łatwiej  
przychodziło mu odgrywać rolę gościnnego gospodarza. Oczywiście  
nie mógł ręczyć za to, że powitałby równie serdecznie Wynbrooke'a,  
gdyby to on pętał się po jego domu w środku nocy. - Jak znosisz to  
wygnanie do kraju barbarzyńców?

Wicehrabia nalał sobie koniaku do kieliszka i podszedł do  
gospodarza.

- Muszę przyznać, że całkiem tu inaczej niż w Londyn\* ale  
Walja coraz bardziej mi się podoba. Zwłaszcza ten spokój!

Tamberlake uniósł sceptycznie brew.

- Doprawdy? Styles roześmiał się.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć. Ale przynajmniej nie muszę  
słuchać wrzasków mego ojca, kiedy jestem w Walii.

- Często się na ciebie piekli?

- Owszem, zwłaszcza gdy mi karta nie idzie i popadam w długi.  
Tuż przed naszym wyjazdem do Walii znów musiał je popłacić. Nie  
cieszył się z tego, oj nie!

- Może byś wobec tego przestał rznąć w karty i zajął się czymś  
innym?

- Czym, u diaska, miałbym się zająć?! - Christopher pociągnął  
koniaku. - Z nauką koniec, do żeniaczki jestem za młody, a żadnych  
innych perspektyw nie widzę. Podróż do Walii była niespodziewanym  
darem losu.

- Dla kogo?

- Dla wszystkich. Nie mam tu okazji do zaciągania długów. Papcio nie stoi mi wiecznie nad głową. A Ivy może na chwilę zapomnieć o czekającym ją niebawem cyrku. Ojciec nie chciał się zgodzić na jej wyjazd. Cholernie mu zależy na zaciśnięciu więzi między rodziną Wynbrooke'a a naszą. Myśli, że tym sposobem zapewni sobie większe poparcie w parlamencie. Staruszek lubi sobie wyobrazać, że jest ważną figurą, ale w rzeczywistości to zwykły krzykacz i pyszałek.

- A jednak pozwolił jej na ten wyjazd.

- W końcu pozwolił, bo nie miał siły na dalsze utarczki z matką, która się uparła, że Ivy pojedzie do Walii. A przy okazji pozbył się z domu syna, którego widok działa mu na nerwy. - Christopher znów się roześmiał. - Wynbrooke'owi zależy na tym ożenku prawie tak bardzo jak naszemu ojcu. Nie dziwię się, że pogalopował za Ivy aż tu.

- Tak ją kocha?

- Bardzo w to wątpię. Prawie się nie znają. Neville od Początku nie bawił się w gorącego wielbiciela, tylko od razu Załatwił sprawę z moim ojcem. Mam wrażenie, że właśnie to najbardziej ujęło papę. No i tak był rad, że Ivy zrobił dobrą partię, że nawet mu nie przyszło do głowy spytać jej, czy ma ochotę na ten mariaż.

Czemu, u licha, Wynbrooke'owi tak zależało na tym małżeństwie...? Tamberlake zmarszczył brwi i napił się koniaku. Zresztą, jakie to ma w końcu znaczenie? Po co wplątywać się w cudze sprawy?! Przyszłe losy Ivy to nie jego interes!

Styles ziewnął.

- Chyba jestem bardziej zmęczony, niż mi się zdawało. Dzięki za koniak - wstał z miejsca - i dobrej nocy!

- Dobrej nocy!

Choć i jego kieliszek był już pusty, Tamberlake nie ruszał się z fotela. Wcale mu się nie chciało spać. Widział przed sobą Ivy - w różnych pozach, nastrojach, sytuacjach. Zatraskana Ivy pochyla się nad sokołem... Ożywiona Ivy organizuje gry salonowe... Ivy dyskutuje z nim podczas spaceru...

Dość tego! Przestań zawracać sobie głowę tą dziewczyną. Ona należy do innego.

Ale mimo usilnych starań myślał o Ivy coraz więcej. Pod koniec tej bezsennej nocy uświadomił sobie, jak głęboko wrosła mu w serce.

Ivy z niewielką lampą sztormową w ręce kroczyła od portretu do portretu. Galeria zafascynowała ją od pierwszej chwili, gdy udała się tam z bratem, by obejrzeć zabytkową broń. Zerknęła na okna starannie osłonięte ciężkimi kotarami. Gdyby Tamberlake pozwolił je rozsunąć, nie musiałaby zabierać ze sobą tej latarni. Podniosła ją wyżej, by podświetlić kolejny obraz. Z płótna spoglądał na nią z szerokim uśmiechem jakiś dżentelmen z epoki elżbietańskiej\*. Był to zapewne jeden z przodków Tamberlake a, ale na twarzy obecnego księcia Ivy nigdy nie widziała takiej radości. Obok wisiał portret jakiejś skwaszonej damy z tej samej epoki (sądząc po strojach). Może Tamberlake wdał się raczej w swoją prapraprababcie? Miała taką minę, jakby niewiele sobie robiła z dobrych manier.

*\* czyli z okresu panowania Elżbiety I (1558-1603).*

Ivy zachichotała na tę myśl i ruszyła dalej. Inne twarze, stroje, stulecia... Obok portretów indywidualnych pojawiały się grupowe. W jej rodzinnym domu była podobna kolekcja. St. Clairowie mówili o niej żartobliwie „nasz prywatny album przestępców”. W dzieciństwie Ivy wymyślała niestworzone historie na temat uwiecznionych na portretach przodków.

Blask latarni padł na obraz, który nie wisiał jeszcze w galerii, gdy Ivy zwiedzała ją po raz pierwszy. Był to portret lorda Tamberlake'a, który sama przywiozła do Gryphon's Lair. Uniosła latarnię wyżej i bacznie przypatrywała się twarzy uwiecznionej na portrecie. W jasnoblękitnych oczach modela dostrzegła szelmowskie błyski. Obecnie we wzroku księcia trudno by się było ich dopatrzeć.

- Ubolewasz nad ruiną arcydzieła?

Ivy wydała okrzyk przestachu. Lampa sztormowa za-chybotwała się w jej rękę. Tamberlake błyskawicznie przytrzymał latarnię, a następnie wyjął ją z ręki Ivy i postawił na postumencie.

- Boże święty...! Aleś mnie wystraszył, milordzie! Powinieneś uprzedzić o swej obecności, a nie wślizgiwać się niczym duch.

-Ba! Gdybym uprzedzał, tobym stracił okazję do obserwowania zabawnych reakcji.

Ivy obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. Światło lampy odbijało się od lśniącej powierzchni porcelanowej maski.

- Jakich reakcji?

Nie odpowiedział na to pytanie. Skoncentrował uwagę na portrecie.

- Ani śladu podobieństwa!

Ivy również spojrzała na obraz.

- Moim zdaniem podobieństwo rzuca się w oczy. z tym że byłeś wówczas, milordzie, trochę młodszy.

Tamberlake pochylił się raptownie; ich głowy znalazły się tuż obok siebie.

- Czy pani oszalała, lady Ivy? A może lubuje się pani w okrucieństwie?

Ivy dosłownie opadła szczęką. Po chwili zamknęła usta. Wzbierał w niej gniew, twarz jej pałała.

- Jeśli chcesz się mnie pozbyć, książę, powiedz otwarcie. Nie musisz mnie upokarzać.

- Ja miałbym upokarzać ciebie? - Auburn parsknął gorzkim śmiechem. - I tak nigdy bym ci nie dorównał w tej sztuce!

- Mnie? Nigdy cię, panie, nie upokorzyłam.

- Doprawdy? - Chwycił ją za brodę i zmusił, by zwróciła się twarzą do portretu. - Przyjrzyj się uważnie temu arcydziełu i powtórz, że jest według ciebie wyjątkowo podobne do oryginału!

Ivy wywinęła się z jego uścisku.

- Bo jest!

Tamberlake prychnął z niesmakiem.

- Wobec tego musisz być ślepa.

- Nie tylko ja!

-Aaa, dochodzimy wreszcie do sedna sprawy! Moje wybite oko działa ci jednak na nerwy, co?

- Nie tanto wybite, tylko to drugie! - Ivy zmierzyła go wściekłym wzrokiem.

Z twarzy Auburna zniknął gniew, a pojawiło się na niej niedowierzenie.

- Nie pojmuję. Zechciej mnie oświecić, łaskawa pani.

- Nie mówię o oku, które straciłeś, ale o tych, które cię zawodzą. Nie widzisz nawet swej prawdziwej twarzy.

- Myślisz, że nie dostrzegam moich blizn? Zapewniam cię, że widzę je wyraźnie, ilekroć spojrzę w lustro.

- Nie rozumiesz, o co chodzi? W swej ślepcie nie dostrzegasz niczego oprócz blizn!

Tamberlake zdarł maskę z twarzy. Cienie zalegały w bruzdach między wypukłymi, niekształtnymi szramami. Blask lampy podkreślał szpetotę naciągniętej, połyskliwej skóry. W miejscu, gdzie było dawniej oko, widniała teraz wklęsła, nieregularna szrama.

- Przyjrzyj się uważnie, Ivy! Oto blizny, których podobno nie możesz dostrzec!

Cofnęła się instynktownie, ale nie z odrazy. Przeraził ją dziki gniew malujący się na twarzy księcia.

- No, wreszcie! Okazało się, że nawet ty nie możesz przemóc wstrętu!

Tamberlake sięgnął po maskę, by zasłonić twarz. Ivy nie miała pojęcia, co w nią wstąpiło. Rzuciła się na niego i wydarła mu maskę z ręki.

- Brzydzę się tego, a nie ciebie!

- Oddaj mi maskę! - Zrobił krok w jej stronę.

- Nie oddam! - Ivy cofnęła się i schowała maskę za plecami. -

Nie oddam, póki mi nie pozwolisz oglądać swej prawdziwej twarzy!  
Póki sam jej nie dostrzeżesz!

- Chcesz się gapić na moją twarz?!

Zrobił znów krok do przodu, Ivy krok do tyłu. Przypominało to jakiś upiorny układ taneczny.

- Twierdzisz, że jesteś potworem. Więc chcę się przekonać, czy masz słuszość.

- Oddaj maskę! - warknął Tamberlake głucho i naparł jeszcze gwałtowniej.

- Boisz się pokazać swą prawdziwą twarz, więc porcelanową skorupką odgradzasz się od całego świata!

- Co ty tam wiesz! Oddaj natychmiast! - zażądał. Następował na Ivy, a ona się cofała. Wreszcie oparła się plecami o ścianę. Nie mogła już dalej uciekać.

- Udawaj potwora, udawaj! I tak się ciebie nie boję! - Boś głupia!

Ręka Tamberlake'a zacisnęła się nagle na gardle Ivy.

Wyrwał się jej cichy okrzyk, ale nie odwróciła oczu. - Nie boję się ciebie!

Wyciągnęła schowaną za plecami rękę i cisnęła maskę na ziemię.

W zetknięciu z posadzką brzęknęła niczym dzwonek i rozpadła się na kawałki. Odgłos tłuczonej porcelany rozbrzmiał w galerii zwielokrotnionym echem.

Tamberlake niemal przycisnął twarz do twarzy Ivy.

- Coś ty zrobiła?!

Bez namysłu wyciągnęła rękę i powiodła palcami po bliznach na jego policzku. Szarpnął się gwałtownie, ale nie ustąpiła. Objęła jego twarz obiema dłońmi.

- Jesteś piękny...

Z gardła wyrwał mu się zdławiony jęk. Auburn pochylił się ku Ivy i ucałował ją w usta.

W pierwszej chwili myślała, że czeka ją śmierć, nie pieszczota. Ale jej usta same wyszły naprzeciw jego ustom. Przywarła do niego, serce jej biło jak szalone ze szczęścia. Poczowała rozkoszny zawrót głowy. Przechyliła się nieco w bok, by ich wargi całkowicie stopiły się ze sobą. Pod muśnięciem jego języka rozchyliła usta, by mógł wślizgnąć się do ich wnętrza. Poznawali się nawzajem przez dotyk, zakosztowali smaku. Auburn przycisnął ją do siebie, przyłgnęli biodrami; nawet przez spódnicę i halki czuła ciepło jego ciała.

Książę przesunął rękę od talii w górę i objął pierś Ivy. Miała wrażenie, że od żaru jego dłoni zapali się materiał jej sukni. U zbiegu ud czuła narastające gorąco. Ogarnęło ją niejasne, zapierające dech w piersi pragnienie. Jakaś niepojęta tęsknota wzbierała w niej,



pulsowała, przeradzała się w rozkoszny ból. Nie wiedziała, czym go ukoić. Nie chciała go ukoić. Pragnęła, by potężniał, rozszerzał się, pochłonał ją bez reszty.

Auburn nie miał pojęcia, czy upłynęła minuta, czy wieczność, zanim oderwał się od Ivy. Cofnął się raptownie, ręka ściskająca szyję dziewczyny opadła. Oddech mu się rwał, oko płonęło jak odbłask słońca w lustrze.

- Wybacz! - rzucił szorstko. Skłonił się sztywno i wypadł z galerii.

Pozbawiona nagle gorącej bliskości jego ciała, pełna goryczy Ivy oparła się o ścianę.

- Właśnie, że ci nie wybaczę! - szepnęła w pustkę. - Nigdy ci nie wybaczę, jeśli żałujesz, żeś mnie pocałował!

Odsunęła się od ściany i poprawiła suknię. Coś chrupnęło pod jej stopą. Spojrzała na podłogę. Wokół jej pantofli pełno było okruchów porcelany.

- O, Boże! Nie powinnam była jej zniszczyć... - Trąciła noskiem buta jeden z większych odłamków. - Ale mimo wszystko nie żałuję, że to zrobiłam!

Tamberlake schronił się w swoim gabinecie. Wlał do kieliszka potężną porcję koniaku i usiadł za biurkiem. Wpatrywał się w koniak, ale go nie pił. Przez chwilę siedział prosto, bez ruchu. Potem zwiesił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Jak mogłem tak postąpić?! - zdumiewał się. Sięgnął do szuflady i wyjął opaskę na oko. Była znacznie wygodniejsza od zimnej, twardej maski. Przywykł jednak do

porcelanowej skorupy i zasłaniał nią twarz, ilekroć ktoś go odwiedził; co prawda mało kto zjawiał się teraz w Gryphon's Lair.

Założył opaskę. Ivy powiedziała, że ukrywa się za maską przed całym światem. Czy było tak rzeczywiście? Czy ukrywał się, a może odgradzał od świata, w którym cieszył się uznaniem tylko wtedy, gdy był jeszcze piękny?

Bzdury! Wcale się nie ukrywał! Wiódł w Walii życie wolne od hipokryzji wielkiego świata. W jego obecnym świecie nie było miejsca dla napuszonych moralizatorów z gęba pełną górnolotnych frazesów, którzy wymykali się chyłkiem do swych kochanek. Ani dla kobiet, które przysięgały wieczną miłość, by przy najbliższej sposobności poślubić pierwszego starego ramola, który się im oświadczył. Ani dla przyjaciół, którzy kadzili sobie w oczy, a obgadywali się nawzajem za plecami. Izolował się od wielkiego świata nie ze strachu przed nim, ale dlatego, że napawał go wstrętem. Jednym zamachem ręki strącił kieliszek koniaku na podłogę.

Ivy nie miała racji: nie był tchórzem. Ale niechcący oddała mu przysługę. Nigdy już nie włoży tej maski!

Jak też zareaguje na to matka...?

Na samą myśl o tym uśmiechnął się krzywo. Matka odwiedzała go dwa razy do roku, ale nie był aż tak głupi, by wierzyć, że czyniła to w bezinteresownym porywie macierzyńskiej miłości. Przyjeżdżała, żeby się upewnić, iż syn nie zaprzestanie jej wypłacać hojnej wdowiej renty. Ostatecznie Auburn był głową rodu, a ona żyła luksusowo na jego koszt w książęcej rezydencji. Niech sobie przyjeżdża.

Zapewne jego twarz bez maski przyprawi ją o szok. Zapowiada się niezłe widowisko! Już się na nie cieszył.

Mimo woli przypomniały mu się odwiedziny zmarłego przyjaciela. Lord Stanhope nie był ani hipokrytą, ani salonowym głupkiem o ptasim mózdzku. Nie stronił jednak od wielkiego świata, ale bawił się znakomicie, obserwując intrygi, które snuto na jego oczach i pod jego bokiem. Na podstawie własnych obserwacji Auburn doszedł do wniosku, że Ivy również nie pociąga ten blichtr.

Skrzywił się. W gruncie rzeczy wcale nie chciał być obiektywny; wolał nadal dąsać się na cały świat. Czuł jednak, że - mimo usilnych starań - jego gniew słabnie. Wstał zza biurka, by ocenić szkody, jakich dokonał. Po koniaku pozostały mokre plamy na dywanie. Kieliszek pękł na cztery części. Księżę potrząsnął głową: cóż za marnotrawstwo! Sięgnął ręką do dzwonka i miał już wezwać kogoś ze służby, gdy rozległo się stukanie do drzwi.

- Wejść!

Beaker wkroczył do gabinetu, trzymając w objęciach bryłę błota, z której coś sterczało.

Tamberlake uniósł brew.

- Zamierzasz dopełnić dzieła zniszczenia, które zapoczątkowałem?

- Bynajmniej, milordzie. Szukałem właśnie świeżo zniesionych jajek w kurniku i na wybiegu dla drobiu. I znalazłem w błocie to coś. Omal się o to nie przewróciłem.

- A cóż to takiego? - spytał Tamberlake, przyglądając się bliżej znalezisku.

- Po mojemu, to są części od powozu. Całkiem jak te, które trzeba było dorabiać w ichnim powozie.

Auburn wiedział bez pytania, o jaki powóz chodzi.

- Co ty powiesz! - rzucił od niechcienia.

- Powiem, milordzie, że ten ichni powóz zepsuł się jak na zawołanie. A teraz jeszcze i stangret się zawieruszył... - Beaker spojrział z ukosa na swego pana i pokiwał filozoficznie głową.

- Myślisz, że chcieli się dostać do Gryphon's Lair i zrobili, co tylko mogli...? Tylko po co?!

- Nie mam pojęcia. Skąd miałbym wiedzieć, co jaśnie państwu strzeli do głowy?

Tamberlake spojrział na pokryte błotną skorupą metalowe części. Kto by chciał - i mógł - wymontować te elementy z powozu? Nie znosił takich łamigłówek!

- Proszę o wybaczenie, milordzie - rozległ się od progu głos Fletchera, niemal sztuczny w swej doskonałości.

- O co chodzi?

- Przez cały dom ciągnie się błotny trop; idąc tym szlakiem, dotarłem do pańskiego gabinetu, milordzie. - Lokaj spojrział na Beakera z wyraźną dezaprobatą.

- Podejdź bliżej, Fletcher, i powiedz, co to według ciebie może być. - Tamberlake przywołał gestem majordoma i wskazał mu znalezisko Beakera.

Fletcher podszedł do kucharza i spojrzał na błotny skarb z dezaprobatą.

- No i co?

- Doprawdy nie wiem, milordzie. Jakieś metalowe części.

Wilgotna grudka błota pacnęła na podłogę.

- Może pan Beaker zechce łaskawie zabrać stąd to paskudztwo, zanim będę zmuszony wyczyścić i wypolerować całą posadzkę - wycedził Fletcher, wlepiając w księcia oczy powiększone do nadnaturalnych rozmiarów przez grube soczewki.

Tamberlake podszedł do półki z książkami. Kto mógłby z rozmysłem popsuć powóz i zaaranżować rzekomy wypadek tylko po to, żeby zapewnić sobie wstęp do Gryphon's Lair?

- Wasza książęca mość?

Fletcher znalazł się w zasięgu jego wzroku. Tamberlake całkiem zapomniał o jego obecności.

- O co chodzi?

- Czy mogę przysłać pokojówkę, by doprowadziła do porządku podłogę w gabinecie?

- Jak najbardziej. - Auburn zmierzył wzrokiem nowego majordoma. - Może słyszałeś przypadkiem, Fletcher, że ktoś z naszych gości czyni jakieś osobliwe uwagi?

- Niejednokrotnie, milordzie. Czy można wiedzieć, jakiego rodzaju osobliwości książę pan ma na myśli?

- Dość trudno mi to określić. Coś na temat powozów, które psują się na zawołanie, albo o konieczności wycofania się z życia towarzyskiego.

- Nie, milordzie. Niczego w tym rodzaju nie słyszałem. Książę nie spodziewał się odpowiedzi tak szybkiej ani tak stanowczej.

- Dziękuję, Fletcher. Jeśli usłyszysz coś podobnego, zawiadom mnie od razu.

- Oczywiście, milordzie. - Lokaj uklonił się i wyszedł.

Tamberlake powrócił na swe dawne miejsce, ale niebawem znów wstał. Lepiej wyjść z gabinetu. Nowe służące nadal drżały na jego widok, a on nie był teraz w nastroju do oswajania zabobonnych dzikusek. Sprawdzi lepiej, jak się miewa pustułka.

Ominął szerokim łukiem salon, z którego dobiegał gwar głosów, i skierował się do kuchni. Wszedł do tego pomieszczenia z cierpkim uśmiechem. Podejrzywał, że niewielu ludzi z towarzystwa umiałoby trafić do kuchni we własnej rezydencji. On jednak znał dobrze tę drogę; postanowił zwędzić jakiś przysmak dla Shylocka i coś dla sokoła. W kuchni nie było nikogo. Beaker zapewne zmywa z siebie ślady błotnej przygody. Na desce do krajania mięsa piętrzyła się góra nerek. Nadadzą się znakomicie! Odłożył dwie na mały talerzyk, uskubnął skórki chleba i wyszedł tylnymi drzwiami.

Ledwie znalazł się na dziedzińcu, przyczepił się do niego kaczor. Potrząsając smętnie głową nad natręctwem i łakomstwem kaczego rodu, Tamberlake rzucił Humphreyowi chrupiącą skórkę. Z radosnym kwaknięciem kaczor rzucił się na zdobycz. Całkiem utracił swój

instynkt samozachowawczy i nie wyżyłby na wolności.

Prawdopodobnie wybiegłby naprzeciw pierwszemu napotkanemu myśliwemu, w przekonaniu, że ten sympatyczny człowiek ze strzelbą zjawiał się specjalnie po to, by nakarmić zgłodniałego kaczora.

Księżę zmierzał przez dziedziniec do stodoły, Humphrey deptał mu po piętach przez całą drogę. Drzwi stodołki były uchylone.

Zbliżając się do nich, Auburn usłyszał skrzek pustułki. Zaraz po nim dobiegł do jego uszu kobiecy głos, a potem męski śmiech.

- Co u licha...?

Tamberlake w kilku susach znalazł się przy drzwiach i otworzył je na roścież.

Co się tu dzieje, do wszystkich diabłów?! Ivy odwróciła się błyskawicznie twarzą do drzwi. Trzymała w ustach palec.

- O, lord Tamberlake!

Uśmiechnięty od ucha do ucha Christopher odsunął się od klatki.

- Ivy właśnie mi pokazywała twoją pustułkę, milordzie!

- To nie jest moja pustułka! - Auburn podszedł nieco bliżej. -

Czy lady Ivy się skaleczyła?

Ivy przypomniała sobie ich poprzednie spotkanie. Serce gwałtownie jej zabiło, na policzki wystąpił gorący rumieniec.

- Nic mi nie jest. Sokół mnie kujnął dziobem w palec. Robi się coraz żwawszy!

- Po co otwieraliście klatkę?

Spojrzała wymownie na talerzyk w ręku Tamberlake'a.

- Chyba z tego samego powodu co ty, milordzie! Ciekawam, czy Beaker wybaczy mi kradzież tych nerek?

Tamberlake podszedł do klatki sokoła.

- Wybaczy, wybaczy!

- A gdyby nie wybaczył, ja cię rozgrzeszę! Nie znoszę zapiekanki z nerek - oświadczył Christopher.

Księżę zajrzał do klatki. Sokół skakał po niej, wyraźnie podniecony. Rozpostarł skrzydła, jakby się chciał zasłonić przed nieproszonymi oględzinami.

- Wkrótce nie będzie już potrzebował opieki - stwierdziła Ivy.



- Istotnie. Rana już się niemal zasklepiła. W każdym razie wyzdrowiał na tyle, że niebawem będzie go można wypuścić na wolność. Za dwa dni, może za trzy...

- Chciałabym zobaczyć, jak odlatuje... Pozwolisz mi, książę? - spytała Ivy.

Potwierdził skinieniem głowy. Wrzucił do klatki nerkę przez szparę między prętami. Ptak znowu zaskrzeczał, ale spoglądał na mięso z zainteresowaniem.

- Przyniosłem też coś dla Shylocka.

- O, to właśnie najbardziej chciałem zobaczyć: tresowanego tchórza! - wtrącił Christopher.

- Nie sądzę, by słowo „tresowany” pasowało do Shylocka. Może raczej „zaprzyjaźniony” - poprawił go Tamberlake. Postukał w jedną z niższych belek i umieścił na niej drugą nerkę. - Połóżcie obok wasz dar. Ale uprzedzam, że Shylock może wstrzymać się z degustacją do naszego wyjścia.

Ivy położyła na belce mały pasztecik i odsunęła się na bok. Rozglądała się po krokwiach i zaglądała w ciemne zakątki w nadziei, że tchórz gdzieś jej mignie, ale niczego nie dostrzegła.

- Pewnie jest zbyt nieufny, by wychodzić z kryjówki przy obcych!

- Jeszcze tu zajrzemy przed odjazdem - obiecał Christopher.

- Przed odjazdem? - spytał pospiesznie książę, odwracając się do rodzeństwa.

- Tak, przed naszym odjazdem. Matka napisała, że znalazła dla nas nowego stangreta i wysłała go do Walii dyliżansem - wyjaśnił wicehrabia, kierując się ku drzwiom stodoły.

- Wkrótce się nas pozbędziesz, milordzie. To dla ciebie z pewnością radosna nowina - dodała cichym głosem Ivy.

Tamberlake odwrócił od niej wzrok i skoncentrował się znów na pustulce. - Istotnie. To radosna nowina. - Spotkamy się przy obiedzie? - spytała Ivy.

-Tak.

Czekała przez chwilę, ale nie powiedział nic więcej.

Rozczarowanie było tak bolesne, że nie mogła się skupić na niczym innym. Cieszył się z ich wyjazdu. A ona, głupia, spodziewała się całkiem innej reakcji!

Idąc w ślady brata, wymknęła się ze stodoły i pobiegła przez dziedziniec do domu. Z lewej strony spostrzegła mały, ale starannie wypielegnowany ogródek, otoczony niezbyt wysokim żywopłotem. Jakoś go nie zauważyła tamtego dnia, gdy wrócili do domu z sokołem. Przez wąskie przejście w żywopłocie można było dojść do wyłożonej kamykami ścieżki, która wiała się wokół niskich krzewów. Na niektórych otwierały się już pierwsze kwiatowe pączki.

To labirynt! Z miejsca, gdzie teraz stała, Ivy mogła dostrzec znaczną część ścieżki. Skręcała to tu, to tam: przed posągiem leśnego bożka, w pobliżu fontanny z amorkiem, aż dochodziła do ułożonej w samym środku labiryntu kolistej mozaiki z podobizną gryfa. Ivy była zachwycona, odkrywając w ogrodzie księcia ten baśniowy zakątek.

Nigdy by się nie spodziewała, że Tamberlake może gustować w czymś podobnym. Ale, prawdę mówiąc, księżę nieustannie ją zaskakiwał.

Ni stąd, ni zowąd ogarnął ją smutek. Pobyt w Gryphon's Lair dobiegał końca. Tylko patrzeć, jak jej ostatnia eskapada się zakończy, zgaśnie ostatni promyk wolności w jej życiu. Tylko patrzeć, jak zaświta dzień, gdy na oczach całej śmietanki towarzyskiej przejdzie przez kościelną nawę wsparta na ramieniu markiza Wynbrooke a, związawszy się z nim przysięgą małżeńską.

- Lady Ivy? Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! - za wołał Wynbrooke, zmierzając ze swym nieodłącznym przyjacielem w jej kierunku.

Ivy wdzięcznie dygnęła.

- Witam, markizie. Dzień dobry, panie Thorndike. Co panów tu sprowadza?

- Właśnie wróciliśmy z wycieczki do Waterloo Bridge. To most zaprojektowany przez Telforda, jak pani zapewne wie - odparł Wynbrooke. - Nic nadzwyczajnego, ale co tu w ogóle jest do oglądania?!

- Ciekawe, jak by Nelson zareagował na wieść, że takim oto „pomnikiem” uczczono jego sławetną bitwę - wtrącił Thorndike.

Lord Nelson z pewnością oceniłby należycie szlachetne intencje tak małej miejsciny jak Betws-y-coed... a także poziom intelektualny dwóch arystokratycznych pyszałków, którzy pomylili go z księciem Wellingtonem! Czy ci dumnie nie wiedzą nawet tego, że Nelson zginął

pod Trafalgarem w 1805 r., a zwycięstwo pod Waterloo odnieśliśmy w 1815 r.?! - pomyślała Ivy.

Wynbrooke zbliżył się do niskiego żywopłotu.

- Toż to labirynt!

- Jakie to prowincjonalne! - zaopiniował Thorndike. Rzucił okiem na wyłożoną kamkami wijącą się ścieżkę. -Ale można by się tu zabawić... To znaczy: moglibyśmy zabawić tu chwilę, rozwiązując tajemnicę labiryntu dla krasnoludków!

Ivy cisnęła się na usta ostra riposta, ale się pohamowała.

- Mnie się on wydaje uroczy.

- No, cóż... Ten bożek robi pewne wrażenie... Ma groźną minę.

Wolałbym się z nim nie spotkać w ciemnym zaułku! - przyznał Wynbrooke.

- Kropka w kropkę jak nasz gospodarz! - błysnął znów dowcipem Thorndike.

Obaj panowie zachichotali.

-Nasz gospodarz nie jest wcale groźny - stwierdziła Ivy - tylko wielkoduszny i szczodry, nawet dla nieproszonych gości, którzy zwalili mu się na kark bez uprzedzenia.

- Widzę, że pani matka postąpiła nad wyraz rozsądnie, wysyłając mnie, bym czuwał nad panią, lady Ivy. - Wynbrooke wyjął z kieszeni tabakierkę. - Zbyt długo przebywała pani z dala od wielkiego świata. Ktoś powinien przypomnieć pani obowiązujące w nim zasady. O ile wiem, brat nie może świecić pani przykładem. Wasz ojciec często ubolewa nad grzeszkami Christophera!

- Jakimi grzeszkami?

Markiz uniósł do nosa szczyptę tabaki, zażył i sięgnął po chusteczkę. Wszystko to - z kichnięciem włącznie - było doskonale wystudiowane. Na koniec schował tabakierkę do kieszeni.

- Nie sądzę, by opowieści o nich nadawały się dla pani uszu, droga lady Ivy.

- Jeśli pan ma na myśli jego długi karciane, to wiem o nich wszystko. Od samego Christophera.

- Najlepszy dowód jego niewłaściwego zachowania. Żaden dżentelmen nie rozmawia z damą o takich sprawach.

- Przecież to mój brat!

- No, no, moja droga, proszę się nie przejmować słabostkami Stylesa - odparł Wynbrooke i poklepał ją po ramieniu. - Jako moja żona nie zetknie się pani nigdy z równie... odrażającymi sprawami. Zapewniam, że zarówno pani ojciec, jak ja będziemy strzec pani spokoju i chronić ją przed wszystkim, co niestosowne.

- Tak, tak, lady Ivy! Nie ma pani pojęcia, ile zła i nieprawości kryje się nawet w eleganckim świecie - poparł go Thorndike.

Ivy nie mogła znieść protekcyjnego tonu, jakim przemawiał do niej Wynbrooke. Ani aroganckich spojrzeń Thorndike'a, który mierzył ją z krytyczną miną, by potem - do spółki z jej narzeczonym - wyśmiewać jej wady i braki. Kiedy zostanie już markizą i obejmie rządę w swoim nowym domu, skłoni męża, by znalazł sobie innych, sympatyczniejszych przyjaciół.

Niemniej jednak obraz jej przyszłego pożycia małżeńskiego przedstawiał się wyjątkowo ponuro.

- Wracajmy lepiej do domu - zaproponował Wynbrooke, zerkając na niebo. - Pogoda wyraźnie się pogarsza.

Istotnie, szare dotychczas niebiosy pokryły się czarnymi chmurami.

Wierne odbicie stanu mojej duszy - pomyślała Ivy.

- Czy tu zawsze leje? - poskarżył się Thorndike. - Nie mogę się już doczekać wyjazdu!

- Zgadzą się jak zawsze, stary druhu! - odparł markiz, podając ramię narzeczonej.

Ivy wsparła się na nim, ale tęsknie obejrzała się na labirynt. Jakże chętnie zostałyby dłużej w tym malowniczym zakątku... bez względu na kaprysy pogody!

Jedynie huk piorunów, rozbrzmiewający gromkim echem we wnętrzu domu, świadczył o tym, że na zewnątrz szaleje burza. Szczelne kotary, wzbraniające wstępu słonecznym promieniom, nie pozwalały dojrzeć również błyskawic. Czasem tylko błysnęło światelko, złocąc brzeg ciężkiej draperii. Korzystając z tego, że wszyscy spotkali się przy obiedzie, Tamberlake przyglądał się bacznie każdemu z gości zebranych wokół stołu. Znalezione przez Beakera części powozu nie pozwalały odgadnąć osoby sprawcy. Należało rozwiązać zagadkę w oparciu o starą, dobrą zasadę: *is fecit, cui prodest* - zrobił to ten, komu to przyniosło pożytek. A zatem sprawcą był ktoś, kto nie chciał wracać do Londynu. Tylko kto?!

Spojrzenie księcia padło na Wynbrooke'a. Nie, to nie on. Zjawił się w Gryphon's Lair znacznie później, gdy uszkodzenie zostało już wykryte. Z tego samego powodu należało wyeliminować również Thorndike'a.

Pani Pennyfeather spożywała posiłek z elegancją i godnością księżnej. Cóż by jej przyszło z przedłużenia pobytu tu w Walii? Niewątpliwie poszukiwała nowej posady, ale mogła znaleźć ją bez większego wysiłku dzięki rekomendacji Ivy. Tamberlake był tego pewny. Co prawda dłuższa wizyta w Gryphon's Lair umożliwiła pani Pennyfeather osadzenie dobrego znajomego, Fletchera, na ciepłej posadce... Trudno jednak wyobrazić sobie, że nobliwa pani uknuła tak skomplikowaną intrygę tylko po to, by stary przyjaciel mógł sprawować funkcje majordoma.

A zatem Styles...? Całkiem prawdopodobne. Być może hrabia Dunleigh rozsrożył się bardziej, niż wynikało to z relacji syna. Może Christopher miał obok długów karcianych jeszcze inne zobowiązania i szukał bezpiecznej kryjówki, w której mógłby się zaszyć, póki skandal nie przycichnie, a zagrożenie nie minie.

Wielkie nieba! Cóż za mroczne dywagacje, godne bohaterów dramatycznych opowieści sióstr Bronte\*!

A co z samą Ivy...? Wydawała się zdecydowana na małżeństwo z markizem. Jednakowoż...

*\* Aluzja do rozchwytywanych w owej epoce powieści Charlotte i Emily Bronte, łączących w sobie elementy romansu i sensacji.*

*Najsłynniejsze z nich, „Wichrowe Wzgórza” (dzieło Emily) i „Dziwne losy Jane Eyre” (dzieło Charlotte), są znane, wydawane i ekranizowane do dziś.*

Nie pozwoli, by osobiste uczucia i nadzieje przesłaniały mu rzeczywistość! Wspomnienie Ivy - zdobywającej górski szczyt... pełnej podziwu, gdy uratował sokoła... roznamiętnionej jego pocałunkami - towarzyszyło mu wiernie. Jakże radowała się swym pobytem w Walii! Nigdy jeszcze nie widział równie spontanicznej radości. Ale czy można ją podejrzewać, że wywalczyła sobie tę odrobinę szczęścia niecnymi metodami...?

Beaker nigdy by nie uszkodził powozu. Marzył o tym, by goście wynieśli się jak najprędzej; był do nich równie wrogo nastawiony, jak jego chlebodawca. A pani Beaker...? Nie życzyła sobie gości w Gryphon's Lair tak samo jak jej mąż. Przysparzali jej tylko roboty.

A on sam? Auburn wiedział, oczywiście, że nie uszkodził powozu. Ale czy w tej chwili oparłby się pokusie zatrzymania Ivy w Gryphon's Lair, gdyby się nadarzyła okazja?

Boże święty! Cóż za pokrętne i głupie myśli!

Zacisnął gniewnie szczęki. Ivy musi jak najprędzej stąd wyjechać - zanim zanadto się przyzwyczai do jej towarzystwa, nim zapomni, że nie jest integralną częścią jego świata! Ich stangret zjawi się za dzień lub dwa... a wówczas on pozbędzie się wreszcie rodziny Ivy, znajomków Ivy... a przede wszystkim samej Ivy!

- Czy pan źle się czuje, milordzie? - spytała z niepokojem pani Pennyfeather.



- Przygryzłem sobie język - odparł. - Wbił wzrok w talerz, by uniknąć ciekawskich spojrzeń.

Fletcher okrążał właśnie stół, zbierając deserowe talerzyki. Jego pełna godności postawa i nienaganne maniery nie pozostawiały nic do życzenia. Mimo to Tamberlake'a dręczył irracjonalny strach, że majordomus ni stąd, ni zowąd upuści talerze i oddali się, szurając nogami. W jadalni jednak nie wydarzyło się nic złego; z pomywalni również nie dotarł złowrózby brzęk tłukącej się porcelany. Wreszcie dłużący się w nieskończoność posiłek dobiegł końca.

Znów pojawił się Fletcher.

- Jeśli damy zechcą przejść do salonu, zaraz przyniosę tam herbatę i kawę. Porto dla dżentelmenów już podaję.

Porto?! Skąd w jego domu wzięło się porto? Ivy i pani Pennyfeather opuściły jadalnię. Lokaj postawił na stole tacę z karafką porto i kieliszkami.

- Za pańskim pozwoleniem, milordzie, chciałbym sprawdzić, czy damy mają jeszcze jakieś życzenia prócz kawy i herbaty.

Tamberlake wyraził zgodę skinieniem głowy i majordomus zniknął. Wynbrooke nalał sobie ciemnego wina, wypił duży łyk i rozsiadł się wygodnie.

-Nie ma to jak porządna kuchnia i niezła piwniczka!

Thorndike poszedł w ślady swego przyjaciela. Jedyne Styles tego wieczora nie wypił ani kropli. Książę zwrócił na to uwagę. Nalał sobie pół kieliszka i skosztował. Wy. borne porto! Ciekawe, skąd się tu wzięło?

- Oświeć mnie, Tamberlake: jakim cudem nie umarłeś jeszcze z nudów na tym odludziu? - spytał Wynbrooke.

Auburn wypił jeszcze łyk wina i odparł:

- Mam sporo zajęć gospodarskich. Jestem w stałym kontakcie z rządcami moich pozostałych posiadłości. Co miesiąc otrzymuję z Londynu skrzynię pełną książek.

- Książek, powiadasz...? Nigdy nie pasjonowałem się lekturą. Według mnie to strata czasu. - Wynbrooke znów napełnił swój kieliszek. - Albo ci piszą o jakichś nieboszczykach sprzed wieków, albo o jakichś dziwacznych nowych wynalazkach. Ani jedno, ani drugie mnie nie obchodzi.

- Wobec tego i ja cię spytam, markizie: jak walczysz z nudą? Czym sobie wypełniasz czas? - Tamberlake odstawił kieliszek na stół i skoncentrował całą uwagę na swym rozmówcy.

- No, cóż... Mam na głowie Rosmartin Park, rzecz jasna. Grunta, dzierżawcy, wszelkie naprawy... sam wiesz, jak to jest, milordzie! Lubię też bawić się w gronie przyjaciół, urządzam dla nich różne przyjęcia i tak dalej...

Urwał, jakby nie przychodziło mu na myśl nic konkretnego.

- Żadnej skłonności do hazardu czy innych grzesznych uciech?

Wynbrooke zachłysnął się winem.

- Wielki Boże! Skądże znowu...? Wypytyjesz mnie, Tamberlake, jak przyszły teść...!

- Doprawdy...? Niezbyt szczęśliwe porównanie. Ale ty z pewnością wiesz lepiej. Przeszedłeś już przez krzyżowy ogień pytań, nieprawdaż?

- O, tak! I muszę przyznać, że lord Dunleigh nieźle mnie wymagłował. - Markiz zaśmiał się nerwowo. - Ale, na szczęście, moje odpowiedzi wypadły po jego myśli-

- Bez wątpienia! Zdobyłeś przecież rękę swej wybranki. - Książę podniósł znów kieliszek do ust. - A co z tobą, Thorndike?

- Ze mną?

- Czym sobie wypełniasz czas, kiedy nie towarzyszysz przyjaciołom w podróży? - Auburn wypił porto do dna.

- Niczym specjalnym - odparł Thorndike z nieco wymuszonym uśmiechem. - Nie mam tytułu, rodowych włości ani związanych z tym obowiązków.

- Ale chyba musisz czymś się zajmować? - Tamberlake przyglądał mu się bacznie.

- No, cóż... Powiadają, że ze mną nikt się nie nudzi. Ludzie pękają ze śmiechu. Moi przyjaciele chętnie goszczą mnie u siebie. I tak od kilku lat koczuję sobie - to tu, to tam...

- Thorndike mówi szczerą prawdę. Na przykład w Rosmartin ma swój stały apartament - potwierdził Wynbrooke. - I dodam, że taki układ jest jeszcze bardziej korzystny dla mnie niż dla niego. Gotów mi towarzyszyć do najbardziej zakazanych miejsc pod słońcem!

- Na przykład do Walii? - wtrącił od niechcienia Tamberlake.

Styles omal nie parsknął śmiechem.

- Jeździłem w gorsze miejsca, słowo daję! - zapewnił Thorndike.
- Trzymałem go za rączkę podczas wizyty u groźnej mamuski!

Rozśmieszyło to ogromnie Wynbrooke'a. Kiedy mógł już zaczerpnąć tchu, wysapał:

- Widzicie? Uprzedzał, że ludzie pękają przy nim ze śmiechu!
- Istotnie, ostrzegł nas, więc mieliśmy się na baczności - odparł Tamberlake.

Coś w tej konwersacji go niepokoiło... ale co...? Z pewnością wyjaśnienie samo się nasunie, nie dziś to jutro. Wstał od stołu.

- Może przyłączymy się do naszych pań? Jestem pewien, że dadzą się namówić na partyjkę wista. Albo na jakąś zabawną salonową grę.

Dwa dni później nie było już błyskawic i grzmotów, ale deszcz ciągle lał. Tamberlake przytknął czoło do szyby. Po dwóch dniach przymusowej beczynności wszyscy w domu byli podminowani. Przy śniadaniowym stole pod maską chłodnej uprzejmości kipiały emocje. Jeśli kaprysy pogody będą nadal uniemożliwiać mu aktywne życie, mówił sobie książę, zacznij jadać posiłki w swoim pokoju, by nie stykać się z gośćmi!

Odwrócił się od zalanego deszczem pejzażu i przeniósł się na drugi koniec gabinetu. Stapał powoli, wspierając się na lasce. Noga bolała jak diabli. Z powodu ulewnego deszczu musiał zrezygnować ze swych porannych spacerów. Zwykły deszcz, a nawet śnieg nie odstraszyłby go, ale nieustanna ulewa sprawiła, że o przechadzkach nie mogło być mowy. A noga, nie rozruszana jak należy rankiem, bolała go przez resztę dnia.

Oparł się plecami o kominek i zaczął masować biodro; może bijący od ognia żar rozluźni zbyt napięte mięśnie?

- Milordzie... - Fletcher wszedł do pokoju.

Ostatnimi czasy gabinet księcia przestał być niedostępną dla natrętów twierdzą; przypominał raczej miejsce publicznych zgromadzeń. Co chwila ktoś tu się pchał, by mu przeszkodzić.

- O co chodzi?

- Pragnę zawiadomić waszą książęcą mość, że oczekiwany stangret właśnie się zjawił.

Ivy wyjeżdża!

Tamberlake odetchnął głęboko i ofuknął się w duchu: Nie panikuj! Jeszcze nie wyjeżdża. Woźnica dopiero co się zjawił. A poza tym nie mogą opuścić Gryphon's Lair, póki drogi przypominają nieprzejezdne grzędawisko.

- Dziękuję, Fletcher. Zadbaj o to, by miał co zjeść i na czym się przespać.

- Tak jest, milordzie.

- I zawiadam mnie, kiedy deszcz przestanie padać.

- Oczywiście, milordzie. - Majordomus skłonił się i wyszedł.

Po trzech tygodniach goszczenia pod swym dachem nieproszonych gości będzie miał wreszcie cały dom dla siebie.

Powinien odczuwać ulgę. Powinien skakać z radości!

... Skąd więc się wziął ten paniczny strach, który pochwycił go w swoje szpony...?

Postanowił udać się na poszukiwanie Ivy i powiadomić ją osobiście o przybyciu stangreta. Z pomrukiem niezadowolenia odsunął się od kominka.

Bez namysłu skierował się w stronę galerii. Wiedział, że właśnie tam zastanie Ivy, choć nie umiałby wytłumaczyć, skąd ta pewność.

Ujrzał ją, gdy tylko wszedł do wielkiej sali. Stała pod jego portretem.

Poczuł nagły gniew. Czemu czepia się kurczowo tej nieaktualnej już podobizny?!

- Lady Ivy...?

Odwróciła się błyskawicznie.

- Zawsze mnie zaskakujesz, milordzie!

- Nie pojmuję, jakim cudem. Trudno by mnie nazwać lekkostopym"!

Spojrzała na niego i zamierzała coś powiedzieć, ale uciszył ją uniesieniem ręki.

- Chciałem cię powiadomić, pani, że oczekiwany woź-nica właśnie się zjawił.

Skinęła głową.

- Wiem. Musisz być zachwycony, milordzie, że wreszcie się nas pozbędziesz!

Zawahał się przez chwilę.

- Nie zaznałem spokoju od twego... od waszego przyjazdu.

Ivy spojrzała na niego. Jej piwne oczy błyszczały w świetle lampy. Potem uśmiechnęła się.

- Obawiam się, że to prawda. No cóż, wkrótce stąd wyjedziemy i zagości tu dawny spokój. - Odwróciła się, zamierzając odejść.

Auburn schwycił ją za ramię.

- Zaczekaj!

Znowu na niego spojrzała. Nie zaskoczyło jej wcale, że księżę chciał jak najprędzej pożegnać się z nimi. Zdumiała się jednak na widok jego twarzy. Wydawał się niepewny i całkiem zbity z tropu. Nie puszczał jej ręki.

- Co się stało, milordzie? Puścił ją wreszcie.

- Nic, nic...

Czekała przez chwilę. Nie powiedział nic więcej.

- To znakomicie! - Ruszyła znów w stronę drzwi.

- Ja tylko...

Ivy stanęła jak wryta. Bez słowa, bez ruchu. Stali tak, nie wiedzieć jak długo. Wreszcie Tamberlake odezwał się, nie patrząc na nią:

- Tak lubiłem nasze wspólne spacerowanie. Będę tęsknił za nimi... za tobą.

Chciało jej się krzyczeć z radości.

- Ja też! Zobaczyłam tu i nauczyłam się więcej niż przez całe swe dotychczasowe życie. Tak bym chciała, żeby pogoda pozwoliła nam na jeszcze jeden czy drugi spacer przed wyjazdem!

Auburn skinął głową na znak, że pragnie tego samego-

- Gryphons Lair zachwyciło mnie tak, że... brakuje mi słów-

- Spodobało ci się? Naprawdę?

- Te góry przemawiają do mnie... Mówią o cudownej, bezgranicznej wolności. Brakuje im tanich uroków banalnego pejzażu. Wielu ludziom wydają się pewnie nagie i zimne... ale w rzeczywistości są nieujarzmione, potężne, nawet niepokojące.

Choćbym żyła tu sto lat, widok tych gór nigdy by mi nie spowszedniał. - Umilkła i przycisnęła dłonie do policzków zalanych gorącym rumieńcem. - Chyba wygaduję straszne głupstwa!

- Nic podobnego! Mówisz szczerze, co myślisz. Nie trzeba się wstydzić szczerości.

- Za bardzo się rozgadałam...



- Mówiłaś prosto z serca. - Książę przestąpił z nogi na nogę. Słabsza kończyna ugięła się pod ciężarem ciała. Skrzywił się z bólu i zacisnął rękę na lasce tak mocno, że kłykcie zbielały.

- Boli cię? - Ivy podbiegła do niego.

Ale Tamberlake nie potrzebował jej litości.

- Noga mi trochę zeszywniała, to wszystko. Z powodu tej ulewy musiałem zrezygnować z porannych spacerów. A to najlepszy sposób na rozluźnienie mięśni.

Ivy rozejrzała się po galerii.

- Może sobie teraz pospacerujemy?

- Gdzie?!

- Tu, po galerii. W dawnych czasach takie przechadzki po domu były czymś ogólnie przyjętym. Czemu nie skorzystać ze starej, dobrej tradycji?

Książę zmierzył wzrokiem salę i uśmiechnął się.

- Znakomity pomysł!

- Ale przedtem muszę tu coś zmienić!

Ivy podbiegła do pierwszego okna i rozsunęła zasłaniające je kotary. Ukazało się szare niebo. Po szybach spływały strużki deszczu.

- Co ty wyprawiasz?!

Musimy wpuścić tu trochę powietrza... Sami przy tym nie zmokniemy!

Czekała na reakcję księcia. Potrząsnął sceptycznie głową, ale zaraz wzruszył ramionami.

- Rób, co chcesz.

Biegała od jednego okna do drugiego i wreszcie wszystkie cztery połyskiwały srebrną szarością nieba na tle ciemnych ścian. Mimo braku słońca w galerii zrobiło się jasno jak nigdy dotąd. Ivy podbiegła do Tamberlake'a.

- Obawiam się, że dzisiejszy spacer trochę mnie rozczaruje!

Uniósł pytająco brew, ona zaś wzruszyła ramionami.

- Nie ma tu gładów do wspinaczki ani strumieni, gdzie by można przemoczyć nogi!

Auburn roześmiał się i podał jej ramię.

- Ale jest to niesłychanie cywilizowana przechadzka; tylko ty mogłaś mnie do niej nakłonić.

Wsparała się na jego ramieniu i ruszyli statecznie po parkiecie.

- Nie bój się, nikomu nie powiem! Spojrzał na nią, nie pojmując, o co jej chodzi.

- O czym?

- Że postrach okolicy jest taki cywilizowany i potulny! Jeszcze by się go przestali bać...?

Przez chwilę Tamberlake spoglądał na nią w osłupieniu, potem odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Dokładnie tak, jak przewidywała.

- Och, Ivy! Nie znam nikogo, kto by się poważył na coś takiego! Bezczelna dziewczucho!

- Wiem, wiem! Moja rodzina ciągle mi to powtarza.

Obeszli całą galerię, rozmawiając o wszystkim i o niczym.

Auburn zabawiał Ivy anegdotkami o przodkach, których portrety

mijali, krążąc po galerii. Ivy natomiast wprowadziła go w zdumienie swym czytaniem. Krok Tamberlake'a stawał się coraz pewniejszy; pod koniec spaceru prawie już nie korzystał z laski.

Ivy nigdy jeszcze nie spędziła równie miłego poranka

Swobodna pogawędka, poczucie wzajemnego zrozumienia, dzielona z kimś bliskim radość... Tego wszystkiego zakosztowała jedynie w czasie rozmów z bratem. Teraz wreszcie znalazł się mężczyzna, i to prawie obcy, przed którym nie musiała ukrywać swej miłości do książek ani swych cudaczkich myśli. I w dodatku całowała się z nim. Dwukrotnie! Na to wspomnienie zapiekły ją znów policzki.

- Co ty tu robisz, Ivy?

Głos Christophera sprawił, że nagle się zatrzymała. Cofnęła rękę spoczywającą na ramieniu księcia i odwróciła się błyskawicznie w stronę drzwi. Na progu stał jej brat, a obok niego markiz Wynbrooke i pan Thorndike.

- Ależ jesteś czerwona! - zauważył Christopher.

- To moja wina - odezwał się Tamberlake. - Lady Ivy spostrzegła, że noga bardzo mi dolega. Zazwyczaj każdego ranka odbywam przechadzkę dla rozruszania nóg, ale przy tej pogodzie... - Wskazał na ociekające deszczem okna. - I wtedy pańska siostra zaproponowała, byśmy odbyli małą przechadzkę po galerii.

- W porządku. - Wicehrabia zmierzył siostrę podejrzliwym wzrokiem. - A ja chciałem pokazać Wynbrooke'owi zbroje.

- Obejrzyjcie sobie całą kolekcję. - Tamberlake zwrócił się do Ivy i wziął ją za rękę. - Serdeczne dzięki za tyle dobroci. Proszę

wybaczyć, lady Ivy, jeśli panią zbyt utrudziłem. - Ucałował jej dłoń, obrócił się na pięcie i opuścił galerię.

Ivy jak urzeczona wpatrywała się w to miejsce, którego dotknęły wargi księcia. Ten przelotny pocałunek przyprawił ją o dreszcz tak silny, że bała się teraz ruszyć.

- Maszeruje tak, jakby go noga wcale nie bolała - wymamrotał Wynbrooke.

- Nie spotkałeś się z nim przy śniadaniu? - spytał Christopher. - Ledwie się przywłókł o lasce!

- Prawda! Rano prawie nie mógł chodzić – potwierdził Thorndike. - Ależ z ciebie szczęściarz, Wyn! Żenisz się nie ze zwykłą piękną dziewczyną, ale z dobrą wróżką!

Ivy nie odezwała się ani słowem. Spoglądała na drzwi, za którymi zniknął Tamberlake. Twarz miała pochmurną.

- Czy zechce nam pani towarzyszyć, lady Ivy? To podobno godna podziwu kolekcja - zaproponował markiz.

- Nie, dziękuję. Chciałabym trochę odpocząć - odparła.

- Chyba tak będzie najlepiej. Pani policzki nadal płoną. Nie chciałbym, żeby się pani zbyt zmęczyła - troskał się Wynbrooke.

- Zajrzę do ciebie później - zapowiedział Christopher. W jego oczach Ivy wyczytała mnóstwo pytań, na które nie miała ochoty odpowiadać.

Zmusiła się do uśmiechu i kiwnęła głową.

- Miłej zabawy, moi panowie!

Opuściła galerię statecznym krokiem, choć miała wielką ochotę wybiec pędem.

Ivy stała w oknie biblioteki wpatrzona w słońce. Wyłaniało się właśnie zza chmur. Był to dla niej złowróżbny znak: gdy słońce stało na niebie, drogi szybciej schły.

Fletcher wkroczył do pokoju i podszedł do niej.

- Właśnie doręczono tę przesyłkę, lady Ivy. Podał jej płaski pakiet owinięty w szary papier.

- Dziękuję, Fletcher.

Majordomus skłonił się i wyszedł nierównym, lekko chwiejnym krokiem. Ivy spojrzała na przesyłkę. Rozpoznała pismo matki. Rozdarła opakowanie. Ukazała się złożona strona gazety. Spod niej wysunął się list i spadł na podłogę. Ivy podniosła go i przeczytała.

*Moja droga Ivy,*

*Uznałam, że powinnaś to zobaczyć. Niezmiernie żałuję, że wyraziłam zgodę na tę groteskową eskapadę. Wracaj natychmiast do domu.*

*Twoja kochająca matka*

- Wiem, mamó, że muszę wracać do domu - szepnęła. Rozłożyła gazetę i zaczęła ją przeglądać. Wśród ogłoszeń od razu znalazła to, które jej dotyczyło. - O, nie! - jęknęła i zmięła w rękę całą stronę.

- Czy coś się stało, lady Ivy? - spytał Fletcher, podchodząc do niej.

Nie zauważyła nawet, że majordomus wrócił do biblioteki.

- Nic wielkiego... Dowiedziałam się właśnie o niezbyt miłym wydarzeniu.

- Pozwoliłem sobie wrócić i spytać, czy nie życzy sobie pani herbaty albo kawy.

Ivy próbowała się uśmiechnąć, ale drżące wargi odmówiły posłuszeństwa. Zrezygnowała więc z daremnych usiłowań.

- Dziękuję, ale nie chce mi się pić. Nie wiesz przypadkiem, Fletcher, gdzie jest teraz mój brat?

- Ostatnio widziałem lorda Stylesa w galerii.

- Dziękuję. - Ivy skierowała się do drzwi. Przechodząc koło kominka, rzuciła na palenisko zmięty papier.

Nie zauważyła, że majordomus wyjął z kominka zgniecioną gazetę i wygładził ją starannie.

Tamberlake wszedł do domu kuchennymi drzwiami. Wracał właśnie ze stodoły. Pustułka była już gotowa do lotu. On jednak dziwnie się ociągał z uwolnieniem ptaka, jakby wypuszczenie go na swobodę wiązało się z jakimś innym, znacznie poważniejszym wyrzeczeniem.

Brednie! - mówił sobie w duchu. Postanowił odnaleźć Ivy i powiedzieć jej, że jeszcze dziś po południu wypuści sokola- Udał się do swego gabinetu i zadzwonił na Fletchera.

Majordomus zjawił się niemal od razu.

- Czym mogę służyć waszej książęcej mości?

- Informacją. Gdzie jest lady Ivy?

-Jeśli się nie mylę, jest ze swym bratem w salonie, milordzie.

Majordomus zbliżył się do biurka.

- Dziękuję, Fletcher. Zaraz tam pójde. Gdybyś jakimś trafem spotkał ją w innym miejscu, przekaz jej, że czekam na nią w salonie.

- Tak jest, wasza książęca mość. Fletcher podszedł jeszcze bliżej.

- Coś jeszcze?

- Istotnie, milordzie. Przypadkiem wpadł mi w ręce ten papier. Mniemam, że wasza książęca mość powinien się z nim zapoznać. - Lokaj rozłożył na biurku stronę wydartą z jakiejś gazety. Widać było, że papier został najpierw zmięty, a następnie ktoś starał się go wygładzić.

- Cóż to takiego?

- To londyńska gazeta, milordzie. - Majordomus schylił głowę w ukłonie i szurając nogami, wyszedł z pokoju.

Dziwak z tego Fletchera! Czemu sądzi, że te prywatne ogłoszenia mogłyby mnie zainteresować...?

Tamberlake przebiegł wzrokiem gazetową stronę. Jego spojrzenie padło na umieszczony pośrodku anons.

Hrabia i hrabina Dunleigh zawiadamiają o zaręczynach swej córki, lady Ivy St. Clair z markizem Wynbrookiem. Wieczorem, 29 kwietnia w miejskiej rezydencji hrabiostwa Dunleigh odbędzie się bal dla uczczenia nowej więzi, która połączy dwa słynne rody. Drzewa genealogiczne...

Reszta tekstu zamazała się przed oczyma Auburna. Opadł na fotel. A więc zaręczyny Ivy zostały oficjalnie ogłoszone! Do tej

chwili, prawdę mówiąc, nie wierzył w to, by wyszła za Wynbrooke'a. Teraz jednak nie mógł już mieć co do tego żadnych wątpliwości. Cały wielki świat wiedział o zamierzonym związku. Nawet on nie mógł już dłużej zamykać oczu na prawdę.

Ivy wyjeżdża - musi wyjechać - z Gryphon's Lair; odchodzi z jego życia, wymyka się z jego marzeń.

Schwycił leżącą na biurku gazetę i wrzucił ją do ognia.

Scandalous



Tamberlake miał szczerzy zamiar udać się prosto do stodoły i wypuścić sokoła, ale zatrzymał się przy tylnych drzwiach. A prawda! Ivy chciała być świadkiem uwalniania ptaka! Książę sapnął zniecierpliwiony. Od kiedy to musiał stosować się do cudzych zachcianek?!

Obrócił się jednak na pięcie i stanowczym krokiem pomaszerował do salonu. Ivy i Christopher siedzieli obok siebie, główka przy główce, jakby zwierzali sobie najskrytsze tajemnice. Przez chwilę Auburn zazdrościł im tej bliskości. On sam nie miał ani brata, ani siostry, z którymi mógłby szczerze porozmawiać.

- Lady Ivy...?

Siostra i brat równocześnie spojrzeli na niego. Ivy miała zaczerwienione oczy; pospiesznie odwróciła głowę i sięgnęła po chusteczkę.

- Witaj, Tamberlake! - odezwał się Styles. - Chcesz mnie wyzwać na jeszcze jeden pojedynek szachowy?

- Szczerze mówiąc, nie. Chciałem zawiadomić lady Ivy, że wypuszczam pustułkę na wolność. Deszcz przestał padać, a zbyt długi pobyt w klatce nie wyszedłby ptakowi na zdrowie. No więc jak, lady Ivy, chce pani zobaczyć, jak odlatuje?

- Pewnie że chcę! - potwierdziła. Unikając wzroku księcia, wetknęła chusteczkę do kieszeni i wstała.

- Mogę iść z wami? - spytał wicehrabia. - Ta przygoda z ranną pustką fascynuje mnie, odkąd ujrzałem to ptaszysko w klatce!

- Jeśli chcesz...

Nie czekając na rodzeństwo, Tamberlake skierował się do drzwi i wyszedł z pokoju.

Znalazłszy się na dziedzińcu, przystanął. W powietrzu wyraźnie czuć było wiosnę. W dali, na górskich szczytach lśniła powłoka świeżego śniegu, ale w dolinie wszystko wyglądało i pachniało jak po gruntownej kąpieli. Auburn wciągał głęboko w płuca rześkie powietrze, było tak zimne, że szczypało go w nosie.

- Wszystko aż lśni od czystości! - zachwyciła się Ivy.

Większość ludzi zauważyłaby tylko rozmiękły grunt i błotne roztopy. Ona jednak dostrzegła wiosenne czary. Książę skrzywił się. Usiłował wybić sobie tę dziewczynę z głowy -i jak na złość, odkrywał w niej coraz to nowe zalety.

Nie był to najprzyjemniejszy spacer: nogi Tamberlake'a grzęzły w lepkim błocie, ale dzięki lasce szedł dość pewnym krokiem. Odwrócił się do Ivy, by zobaczyć, jak sobie radzi. Jej pantofelki zupełnie się nie nadawały do przemierzania bagien. Raz się potknęła, ale brat ją podtrzymał.

- Patrzcie pod nogi! - ostrzegł ich książę. - Straszne błocko na tym dziedzińcu.

- Widzimy! - odcięła się.

Jej zawzięta mina była tak zabawna, że Tamberlake omal nie wybuchnął śmiechem. Na szczęście, on też się zawziął: nie będzie

więcej zaprzętał sobie głowy tą dziewczyną! Brnął więc dalej przez grzęzawisko. Niech Christopher się opiekuje Ivy!

Humphrey wyszedł im na spotkanie i w połowie drogi dołączył do pochodu, człapiąc wytrwale tuż za księciem. Styles roześmiał się.

- Ten kaczor lepiej idzie przy nodze niż niejeden pies!

Humphrey kwaknął takim tonem, jakby miał za złe wicehrabiemu nietaktowne porównanie. Tamberlake zignorował uwagę Christophera. Rzucił kaczorowi skórkę chleba, zanim wszedł do stodoły. Jej wnętrze wydawało jeszcze bardziej mroczne w porównaniu z jasnością dziedzińca. Skierował się od razu do nakrytej płachtą klatki, w której trzymał sokoła.

- Tam do licha!... Naprawdę oswoiłeś tchórze! - szepnął z podziwem Styles. Nie odrywał wzroku od belki pod sufitem, po której przechadzał się pozbawiony jednej nogi tchórz.

Księżę zerknął na Shylocka i sięgnął do kieszeni.

- Nie zapomniałem o tobie - zapewnił, wyciągając z niej kurzą wątróbkę zawiniętą w papier.

Umieścił przysmak na półce i z podziwem przyglądał się zwierzątku o gładkiej sierści, z ciemną plamą na pyszczku, podobną do maski. Jak zwinnie zbiegało na dół, by dobrać się do smakowitego kąska! Dotarłszy do celu, Shylock chwycił wątróbkę w zęby i śmignął z nią do jakiejś bezpiecznej kryjówki na krokwi.

- Zdumiewające! Ale zrobią miny, jak im o tym opowiem...!

Tylko że nikt mi chyba nie uwierzy.

- Więc im nie opowiadaj - poprosiła Ivy. - Wiem, że to brzmi głupio... ale nie mów o tym nikomu, braciszku! Zrób to dla mnie.

Christopher uśmiechnął się do siostry.

- Jeśli ci na tym zależy, nie powiem ani słowa! Tamberlake nie miał czasu zastanawiać się nad dziwną

prośbą Ivy. Oparł łaskę o ścianę, chwycił klatkę w obie ręce i zdjął ją z półki wraz z pokrowcem. Pustułka zaczęła się awanturować, przez co księciu coraz trudniej było utrzymać klatkę.

- Może ci pomóc? - zaofiarował się Styles.

- Dzięki, dam sobie radę.

Pokuśtykał do drzwi i wyszedł na dziedziniec. Postawił klatkę na ziemi i zczekał z jej odsłonięciem, aż Ivy i Christopher wyjdą ze stodoły. Sokół miotał się po klatce jak w żywiołowym tańcu, skrzecząc i trzepocząc skrzydłami.

Tamberlake włożył mocną skórzaną rękawicę i schylił się, by otworzyć drzwi klatki. Pustułka zaatakowała go dziobem, ale dzięki rękawicy uniknął skaleczeń.

- Ale złośnik z tego sokoła! - skomentował wicehrabia, unosząc brwi. - I nic a nic wdzięczności!

- Nie liczyłem na wdzięczność - odparł Auburn. - Skąd mógł wiedzieć, że to nie ja go zraniłem? Że nigdy bym go nie skrzywdził? - Otworzył drzwiczki i odsunął się na bok.

W pierwszej chwili sokół nie zorientował się, że otwarła się przed nim droga do wolności. Potem wyskoczył przez otwarte drzwi na ziemię. Obracał główką na wszystkie strony. Wreszcie rozpostarł

skrzydła i odleciał. Wzbijał się w niebo, coraz mniejszy i mniejszy, aż stał się maleńkim punkcikiem na bezkresnym błękitnie. Nie upłynęła nawet minuta, a znikł im całkiem z oczu.

Tamberlake spojrział na Ivy. Łzy ściekały jej po policzkach, gdy stała zapatrzona w niebo, w które wtopił się ptak. Książę zdjął skórzaną rękawicę i sięgnął do kieszeni po chusteczkę. Podał ją dziewczynie.

- Co to...? O, Boże święty! - wymamrotała, ocierając łzy ręką. - Bardzo dziękuję, ale mam własną... - Wyjęła chusteczkę, którą widział już w jej ręku. Wytarła nos i uśmiechnęła się, choć usta jej drżały. - To było piękne!

Christopher odchrząknął.

- Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego! Dziękuję, że pozwoliłeś mi na to popatrzeć!

Tamberlake skwitował podziękowanie skinieniem głowy. Po raz ostatni spojrział w niebo i schylił się, by podnieść klatkę. Ale Styles uprzedził go.

-Ja to wezmę! -I nie czekając na odpowiedź, podniósł klatkę z ziemi i zaniósł z powrotem do stodoły.

Ivy podała księciu laskę.

- Zostawiłeś ją w stodole, więc zabrałam.

- Dziękuję. - Odebrał od niej swą podpórę.

- Jutro wyjeżdżamy.

- Tak też myślałem. Choć do jutra drogi nie całkiem podeschną.

- Wynbrooke nie chce już czekać ani chwili. - Zerknęła w kierunku domu. - I tak zabawiliśmy w podróży dłużej, niż należało. Moi rodzice są bardzo niezadowoleni.

- Rozumiem.

Nie spojrział na nią. Obiecał sobie, że na nią nie spojrzy. Im prędzej Ivy stąd wyjedzie, tym prędzej zdoła o niej zapomnieć.

Ze stodoły wynurzył się jej brat.

- Co za dzień! Oswojone tchórze, niewdzięczne pustułki... Do końca życia nie zapomnę tego popołudnia!

- Twoja siostra, Styles, właśnie mi powiedziała, że jutro wyjeżdżacie.

- A jakże! Chyba już czas wrócić na salony. - Machnął wymownie ręką. - Ale dla takiej przygody warto narazić się na najgorsze kłopoty. Rad jestem, że cię poznałem, Tamberlake. Mam nadzieję, że kiedyś trafisz w nasze strony i pozwolisz, bym odwdzieczył ci się za twoją gościnność.

- Lepiej nie mówić o mojej gościnności - zaproponował Auburn.

- Przyjąłeś nas pod swój dach. Tylko to się liczy. - Christopher podał ramię siostrze. - Idziemy, Ivy! Jakoś nie mam zaufania do tych nowo zacieężnych pokojówek. Wątpię, czy spakują nasze rzeczy, jak trzeba. Spotkamy się przy obiedzie, milordzie? Więc odłożmy pożegnania do wieczora.

Brat i siostra wrócili do domu. Na dziedzińcu zaległa cisza. Silny wiatr przeistoczył się w łagodny zefirek, przez grube ściany dworu nie przenikały na zewnątrz żadne hałasy. Przyczłapał

Humphrey, by dotrzymać księciu towarzystwa, ale nawet kaczor był dziwnie milczący. Tamberlake objął spojrzeniem swój dom i swoje pola. Od wielu tygodni łaknął ciszy i samotności... i oto nareszcie miał je znowu.

Nie sprawiało mu to jednak żadnej przyjemności.

Ivy leżała na brzuchu, wpatrując się w miejsce w nogach łóżka, gdzie stał do niedawna jej kufer. Jednak woźnica zabrał go już do powozu. Wszystkie jej rzeczy (z wyjątkiem sukni podróżnej, rozwieszanej na oparciu krzesła, nocnej koszuli, którą miała na sobie, i kilku drobiazgów w neseserku) spoczywały we wnętrzu tego kufra.

Zamierzali wyruszyć nazajutrz o pierwszym brzasku i jechać niezmordowanie przez cały dzień - tak długo i tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Nawet Christopher przyznał, że im prędzej wrócą do domu, tym łatwiej będzie przebłagać rodziców, rozsierdzonych zbyt długą eskapadą. Zasedli więc do obiadu wcześniej, by wypaść się przed podróżą. Tamberlake przyłączył się do nich dopiero pod koniec posiłku i nawet go nie skosztował. Pożegnał się jednak ze wszystkimi i wysłuchał ich podziękowań. Potem zniknął i od tej pory Ivy go już nie widziała.

Przewróciła się na wznak i zamknęła oczy. Jednak sen w dalszym ciągu od niej uciekał. Nie mogła też zapanować nad myślami, które kłębiły się w jej głowie.

Jutro wróci do „przyzwoitego” świata swoich rodziców; świata pełnego nakazów, zakazów i powinności; świata, w którym od razu zostanie zaszufładowana jako „narzeczona markiza Wynbrooke'a”.

A co potem...? Ano, potem uzyska rangę mężatki. Wyjdzie spod władzy ojca, by stać się własnością męża. Wynbrooke'a.

Przebiegł ją dreszcz.

Markiz Wynbrooke był przyzwoitym człowiekiem. Powinien ją dobrze traktować. Zamieszkają w Rosmartin Park, a ona będzie zarządzać własnym domem. Pewnego dnia wspomni o tej krótkiej romantycznej przygodzie z odrobiną melancholii i czule westchnie, jak wzdycha jej matka na wspomnienie lorda Stanhope'a.

Cóż za koszarne perspektywy! Ivy sapnęła z irytacji wygramoliła się z łóżka i zaczęła krążyć po pokoju. Nie będzie domowym popychadłem, zamkniętym w czterech ścianach! Nie będzie znosić ustawicznych wrzasków ojca i wiecznego braku zaufania ze strony matki!

Po co te komedie, dziewczyno? Nie chcesz opuścić Tamberlake'a, i tyle!

Ivy przestała miotać się po pokoju i klapnęła znów na łóżko.

Czemu zgodziłam się spełnić idiotyczne życzenie lorda Stanhope'a?! Gdybym nie spotkała Tamberlake'a, z pocałowaniem ręki wyszłabym za Wynbrooke'a...! O, nie! To nieprawda. Miałaś poważne zastrzeżenia co do tego małżeństwa na długo przed poznaniem księcia.

Niech ci będzie...! Ale w końcu z poczucia obowiązku poślubiłabym go. I nawet bym nie wiedziała, ile tracę... Serce nadal byłoby uśpione, a zmysły nie rozbudzone.



Ivy prychnęła pogardliwie. Co się z nią dzieje?! Nigdy nie miała skłonności do użalania się nad sobą! Ale nawet teraz, gdy szydziła z własnej słabości, przygniatał ją smutek.

Tamberlake to pierwszy i jedyny mężczyzna, który okazał mi zainteresowanie, nie chciał przerobić mnie na własne kopyto ani całkowicie zdominować! Nieprawda! W ten sposób odnosił się do ciebie również Christopher.

No, tak... ale to tylko brat, więc się nie liczy!

Tamberlake nie uważał mnie za figurkę z porcelany: ładniutką, kruchą i pustą w środku. Nie tylko zadawał mi pytania, ale słuchał odpowiedzi. Kochał książki, był dobry z natury i... i...

Ivy ukryła twarz w dłoniach.

Zadurzyłaś się w nim. W niespełna trzy tygodnie zakochałaś się po uszy w kłótliwym gburze, który ma na ciebie jak najgorszy wpływ!

Jak mam się zdobyć na poślubienie Wynbrooke'a, kiedy całym sercem pragnę zostać w Walii... z księciem?

A zdobędziesz się na zerwanie zaręczyn, złamanie obietnicy, ucieczkę od ołtarza?!

Ojciec nigdy się nie zgodzi na zerwanie zaręczyn -zwłaszcza teraz, gdy zostały już ogłoszone. Oficjalne zaręczyny są wiążące... prawie jak ceremonia ślubna. A panny młodej nikt nie pyta o zdanie.

Zresztą Tamberlake nigdy niczego nie przyrzekał, nigdy nie powiedział czułego słówka... Całowali się jednak (i to dwukrotnie!) i sprawiało to obojgu wiele radości. Ale nie powiedział nic konkretnego, nawet nie napomknął o wspólnej przyszłości...

Cicho i dyskretnie zegar na kominku wybił jedenastą. Ivy zerknęła na czasomierz z irytacją. Wcale sobie nie życzyła, by jej przypominał, że już najwyższa pora zasnąć.

I bez tego jutrzejszy poranek zaświta zbyt prędko!

Ivy wstała z łóżka.

Jeśli resztę życia ma spędzić w niewoli konwenansów, należy się jej choćby jedno cudowne wspomnienie, ukryte głęboko jak najcenniejszy skarb. Przeżyje chwilę wolności doskonałej. Ma dość odwagi, by choć raz pójść za głosem serca!

Otuliwszy się szlafrokiem, wyszła na korytarz. Przemknęła na paluszkach obok pokoju pani Pennyfeather. Zza drzwi dolatywało pochrapywanie. W sypialni Christophera było ciemno. Mijając pokój Wynbrooke'a, nagle zatrzymała się. Usłyszała jakieś głosy, choć nie mogła zrozumieć słów. A więc jej narzeczony nie śpi: ktoś go odwiedził. Wstrzymując dech, rozejrzała się po korytarzu. Drzwi pokoju pana Thorndike'a były uchylone. Przez tę szparę światło z sypialni przenikało na korytarz. Ivy z niezwykłą ostrożnością przemknęła obok niedomkniętych drzwi; miała nadzieję, że Thorndike nie siedzi w swoim pokoju, lecz u Wynbrooke'a.

Minęła górny podest schodów i skierowała się do tej części domu, której dotąd nie zwiedzała. Przygryzając dolną wargę, skreśliła w mroczny pasaż. Kinkiet nie dawał wiele światła, ale jakoś zdołała w jego mdłym blasku odnaleźć drogę. Zresztą nietrudno było domyślić się, do których drzwi należy zastukać. Tylko jedne - wielkie i podwójne - mogły prowadzić do apartamentów pana domu.

Lord Tamberlake jeszcze nie spał. Jak mógłby zasnąć, gdy nieustannie dręczyły go natrętne myśli? Jego bezpieczny, uporządkowany świat legł w gruzach, a groźny żywioł, który był przyczyną tej katastrofy, miał opuścić Gryphon's Lair nazajutrz rano. I nagle odkrył, że nie wyobraża sobie życia bez tego żywiołu. Perspektywa spokojnej egzystencji nie pociągała go już tak jak dawniej.

Szczęknięty otwierane drzwi. Spojrzenie Tamberlake'a natychmiast pobiegło ku nim. Nawet w słabym blasku jedynej świeczki ujrzał wyraźnie poruszającą się klamkę. Któż mógł mieć do niego interes o tej porze?!

- To ty, Fletcher?

- Nie - odpowiedział głos, który rozbrzmiewał tak często w jego marzeniach. - To ja, Ivy.

Wślizgnęła się do pokoju jak zjawa i całkiem była do niej w tej chwili podobna. Fałdy białej nocnej koszuli powiewały za nią przy każdym kroku.

- Ivy...?

Siadając na łóżku, książkę odruchowo naciągnął opaskę na oko. Kołdra opadła mu do pasa, odsłaniając nagi tors. -Nie masz nic na sobie? - zdziwiła się.

- Sypiam bez ubrania. - Auburn okrył się prześcieradłem. - Nie powinnaś tu wchodzić!

Nawet w jego własnych uszach zabrzmiało to wyjątkowo głupio.

Ivy przysiadła na brzegu łóżka.

- Ale miałam na to ochotę.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Nie... To znaczy... tak. Trudno mi to wyjaśnić. - Odetchnęła głęboko. - Moje zaręczyny zostały oficjalnie ogłoszone. Matka przysłała mi zawiadomienie, które zamieszczono w gazecie.

- Widziałem. Fletcher skądś je wygrzebał.

- Naprawdę? Myślałam, że się spaliło. - Zmarszczyła brwi. - To już bez znaczenia.

- Nie pojmuję, jak mógłbym ci pomóc w sprawie zaręczyn.

- Nie to miałam na myśli. Wkrótce zostanę markizą Wynbrooke. Prawdę mówiąc, po tym ogłoszeniu w prasie już nią jestem... No, prawie. Ale zanim złożę przysięgę małżeńską, pragnę coś uczynić...

Spuściła oczy; wpatrywała się w swoje ręce.

- Rodzice zawsze o wszystkim decydują. Nawet Wynbrooke'a wybrał mi na męża ojciec. Pragnę choć raz w życiu sama dokonać wyboru. I wybrałam... ciebie.

Serce waliło Auburnowi jak młotem. Podobne słowa słyszał tylko w marzeniach. Potrząsnął głową.

- Nie wiesz, co mówisz, Ivy.

- Ależ wiem!

Pochyliła się ku niemu. Z niesłychaną delikatnością dotknęła ustami jego ust.

Książę z jękiem przygarnął ją do siebie. Pil z jej warg tak zachłannie, jakby chciał przelać w siebie całą jej istotę, zjednoczyć się z nią. Po chwili jednak oderwał się od niej.

- To niemożliwe. Ivy uśmiechnęła się.

- Wiedziałam, że nie jesteś całkiem obojętny wobec mnie.

- Obojętny?! Do wszystkich diabłów! Wrosłaś w moje życie tak, że nie potrafię wyrwać cię z korzeniami! - Odsunął się na drugą stronę łóżka i wstał. Opasał się prześcieradłem. Czuł się nieco pewniej, gdy dzieliła ich cała szerokość łóżka. - Lepiej zmykaj stąd, nim cię ktoś dostrzeże!

- Rozumiem. - Podniosła się. - Boisz się skandalu, gdyby ktoś nas przydybał razem.

Tamberlake spojrział na nią ze zdumieniem.

- Żaden skandal mi nie grozi.

- A więc nie chcesz stracić dobrej opinii. Niewiele brakowało, a roześmiałby się jej w oczy.

- Dobrej opinii?! Nikt by mi nie uwierzył, choćbym spowiadał się z moich grzechów na głos, wywrzaskując je z kopuły św. Pawła.

- To może bronisz mojej czci?

- Nie jestem aż takim dżentelmenem!

Ivy przeszła na drugą stronę łóżka; nocna koszula powiewała za nią jak całun za duchem.

- Wobec tego boisz się plamy na honorze. A honor nie pozwala ci tknąć dziewczyny zaręczonej z kim innym.

Zatrzymała się naprzeciw niego, rozdzielało ich zaledwie kilka centymetrów. Wpatrywała się w jego twarz. Zwilżyła wargę językiem. Była to jedyna oznaka zdenerwowania, jaką u niej zauważył.

- Honor to puste słowo, zwłaszcza dla kogoś, kto dystansuje się od reszty społeczeństwa. To raczej ty powinnaś strzec swego honoru.

- A cóż to za honor, gdy rodzony ojciec frymarczy mną dla własnej korzyści? Co to ma wspólnego z honorem, jeśli muszę wyjść za kogoś, kogo nie kocham? - Dotknęła ręką jego nagiej piersi. - Według mnie najbardziej honorowe byłoby ofiarowanie komuś - z dobrej woli - siebie samej. I chcę właśnie ciebie tak uhonorować.

Nie mógł wydobyć głosu. Gardło mu się zacisnęło, dech uwiązł w płucach.

- Proszę cię, Auburnie, pokochaj mnie! Kochaj mnie Przez tę jedną noc, bym miała piękne wspomnienia i mogła pocieszać się nimi przez resztę życia.

Jej luźny szlafrok - przypadkiem lub umyślnie - zsunął się na podłogę.

Książę pochwycił ją znowu w ramiona, choć wiedział, że ilekroć o rym wspomni, będzie przeklinał własną słabość. Całował Ivy żarliwie. Była taka mięciutka w jego objęciach. Żaden gorset ani krynolina nie narzucały im przyzwoitego dystansu. Ręce Tamberlake'a ześlizgnęły się ze smukłej talii w dół i spoczęły na krzywiźnie bioder. Piersi Ivy przylgnęły do jego torsu; omal nie spłonął od tego dotyku. Wargi miała tak rozpalone, że można się było sparzyć. Dotyk jej palców na policzku palił niczym pochodnia. Ich języki splatały się ze

sobą jak igrające płomienie, gdy próbowali nawzajem smaku swoich ust.

Auburn wziął ją na ręce i położył na łóżku.

- Naprawdę tego chcesz?

W odpowiedzi chwyciła go za rękę i przyciągnęła do siebie. Jego mózg zdobył się na ostatni sygnał alarmowy, ale Tamberlake zignorował to ostrzeżenie i położył się obok dziewczyny. Rozpiął maleńkie guziczki koszuli zapiętej pod samą szyję. Uporawszy się z nimi, ściągnął Ivy koszulę z ramion. Jego ręce wślizgły się pod cienki materiał; gładziły skórę, muskały obojczyk. Zapušciły się jeszcze niżej: ocierały się o pierś, drażniły jej koniuszek, aż spęczniał pod tą pieśczołą.

Gdy Ivy wciągnęła gwałtownie powietrze, Auburn znieruchomiał na chwilę. I wówczas jej ręce rozpoczęły wędrówkę po jego torsie i po plecach.

- Jakiś ty silny! - szepnęła.

Oslonięte nadal prześcieradłem podbrzusze zareagowało gwałtownie na jej pieśczoły. Poczula na biodrze napór pobudzonego członka. Tamberlake zapragnął ujrzeć ją w całym majestacie nagości. Ściągnął jej koszulę do pasa, następnie przez biodra, aż wreszcie odsłonił jej nogi. Ivy nie miała już nic na sobie. Zaczerwieniła się wprawdzie, ale nie próbowała okryć się z powrotem.

Schylił głowę i przytknął usta do jej piersi. Ssać jeden koniuszek, drażnił drugi opuszkami palców. Całe jej ciało zareagowało na tę pieśczołą.

Jego usta powędrowały ku drugiej piersi Ivy. Całując ją sięgnął ręką pomiędzy jej nogi. Przebiegł palcami po kotlinie kobiecości, szukając najwrażliwszego punktu. Uporczywą, drażniącą pieśczołą sprawił, że oddech Ivy rwał się, a ciało przeszywały dreszcze.

Zupełnie już nie mogła złapać tchu. Pod dotykiem palców Auburna budziły się w niej jakieś niezwykle doznania. Czula wszystkie jego pocałunki nie tylko w tym miejscu, którego dotknął ustami, ale w najtajniejszych głębiach swego ciała. Każda nowa pieśczoła zaskakiwała ją i napelniała nieznaną dotąd radością. Jej skóra tak się wyczuliła na wszelki dotyk, że nawet zetknięcie ciała z pościelą odbierała jako pieśczołą. Krew pieniała się w jej żyłach niczym szampan. A oddech...? Zwątpiła już w to, że będzie jeszcze kiedyś normalnie oddychać. Czując zanurzający się w niej palec Auburna, omal nie krzyknęła z rozkoszy.

Auburn wypuścił ją z objęć i odsunął się. Pozbawiona osłony gorącego męskiego ciała Ivy poczuła się samotna i opuszczona. Równocześnie jednak powiew zimnego nocnego powietrza na rozgrzanej, nadwrażliwej skórze wydawał się jej dziwnie miły.

Książę wstał z łóżka i odrzucił okrywające go prześcieradło. Ivy uniosła się na łokciu i pożerała go wprost oczami- Jakież to piękny mężczyzna!

Materac ugiął się pod nim, gdy wrócił na dawne miejsce. Wsparty na rękach znów wznosił się nad nią.



- To twoja ostatnia szansa, Ivy. Powiedz, żebym prze-stał, jeśli się zlekłaś. Za chwilę nie będę już do tego zdolny. Nawet teraz nie wiem, jak to zniosę... - Wpatrywał się w nią z ogromnym napięciem.

Objęła jego twarz obiema rękami.

~ Chcę, żebyś się ze mną kochał.

Z jego ust wyrwał się cichy jęk. Naparł na nią biodrami tak, że poczuła dotyk pobudzonego członka u styku ud. Rozchyliła nogi. Wniknął pomiędzy nie, zagłębiał się coraz bardziej i zawahał na sekundę dopiero wówczas, gdy natrafił na opór błony dziewiczej. Gdy przebił tę zaporę, Ivy nagle zeszywniała i krzyknęła.

- Cicho, kochanie! To już nie będzie bolało - szepnął. Mamrotał potem jakieś niezrozumiałe słowa kojącym tonem i gładził dziewczynę po policzku. Po chwili odprężyła się.

Zaczął się znów poruszać - powoli, by ciało Ivy mogło przywyknąć do jego obecności. Wkrótce jednak jej słodycz tak go upoiła, że zapomniał o delikatności. Nacierał coraz mocniej, zanurzał się coraz głębiej, wprost nie mógł się nią nasycić. Mimo swego odurzenia zauważył, że Ivy reaguje na każdy jego ruch i porusza się w tym samym rytmie, co on.

Ivy nie była zdolna do logicznego myślenia. Wszystkie doznania zmysłowe stopiły się w jeden upajający zawrót głowy. Ten potężniał z każdą chwilą i czuła, że zmierza do jakiegoś niepojętego kresu. Przywarła do Auburna, urzeczona jego siłą. Wznosiła się ku niemu, zwarli się biodrami, jej napiętość ciągle rosła. Nie mogła już złapać

tchu. A potem cały świat, włącznie z nią, eksplodował i rozpadł się na kawałki.

Górujący nad nią kochanek przenikał do jej wnętrza i czuł, jak ciasno go oplata. Stracił kontrolę nad ogarniętym ekstazą ciałem. Miał jednak świadomość doskonałego zaspokożenia.

Zawrót głowy minął, Ivy mogła znów oddychać. Auburn objął ją i przygarnął do siebie. Czowała na sobie jego gorący oddech. Ucałował ją w czubek nosa.

- Nic dziwnego, że poeci tak się o tym rozpisują - podsumowała swe doznania, wtulając się jeszcze bardziej w jego ramiona.

Rozśmieszyła go tym komentarzem.

- Przeczuwałem, że okażesz się niebezpieczna!

Uniosła się na rękach, by spojrzeć mu w twarz.

- Niebezpieczna?!

- Jeszcze jak! Jesteś zdumiewająco opanowana jak na dziewczynę, która właśnie straciła wianuszek. A ja jestem na najlepszej drodze do utraty serca.

- Ależ skąd! To niemożliwe. - Ivy wyślizgnęła się z jego objęć.

- Obawiam się, że już mi je skradłaś. - Auburn chciał ją znów przytulić, ale mu się wywinęła. - Ivy...?

Znalazła swoją nocną koszulę w nogach łóżka i wciągnęła ją przez głowę.

- A to po co? Wybierasz się gdzieś?

- Do swego pokoju. Nie chcę, żeby mnie tu ktoś przyłapał!

- Choćby nawet przyłapał... cóż z tego? Wyszłabyś za mnie w trybie przyspieszonym.

- Nie zapominaj, że wychodzę za Wynbrooke'a. - Wstała z łóżka i podniosła swój szlafrok z podłogi.

- Nie możesz teraz wyjść za Wynbrooke'a!

- Nie rozumiesz? Muszę za niego wyjść! Nie chcę, ale muszę.

- Dlaczego musisz? - Tamberlake był coraz bardziej zły. -

Dlaczego musisz, psiakrew?!

Odwróciła się do niego z oczyma pełnymi łez.

- Bo mu dałam słowo.

- Niech cię wszyscy diabli!

Zerwał się z łóżka i znów owinał się prześcieradłem.

- Czy myślisz, że mój ojciec zgodzi się na zerwanie zaręczyn, kiedy zadał sobie tyle trudu z wyszukaniem dla mnie męża? A Wynbrooke zniesie obojętnie taki afront?

- Ani jeden, ani drugi nic mnie nie obchodzi. Myślę tylko o tobie! I o naszym wspólnym szczęściu.

- Ja też myślę o tobie i o twoim szczęściu - zapewniła go kierując się ku drzwiom. - A co z dzieckiem?

Stała jak wryta.

- Z dzieckiem...?

- Właśnie! - Książę podszedł do niej. - Co będzie, jeśli owocem twojej żądzy nowych wrażeń okaże się dziecko? Myślisz, że Wynbrooke ożeni się z cudzą kochanką, w dodatku brzemienną?

- Nie wiem. Chyba będę musiała powiadomić go o wszystkim.

- No, tak! Oczywiście! Może nawet zechcesz we właściwym czasie powiadomić mnie? Tak się dziwnie składa, że to ja będę ojcem!

- Czy musisz być taki podły?

Miała znów oczy pełne łez. Nie mógł na to patrzeć. Nie mógł znieść jej płaczu!

- Ivy, ja...

- Muszę już iść.

- Nie! - Wyciągnął rękę, by ją powstrzymać.

- Jeśli nie wyjdę teraz, nie zdobędę się na to później.

Zawiadomię cię o dziecku. - Dotarła do drzwi i nagle się zatrzymała. -

Jeśli choć trochę zależy ci na mnie, nie ścigaj mnie i nie dręcz. Ja naprawdę dałam mu słowo! - Wyszła z pokoju. Niczym wystrzał z broni palnej trzasnęły zamykane drzwi.

Tamberlake wpatrywał się w nie w osłupieniu. Niech ją wszyscy diabli! Ją, jej ojca i Wynbrooke'a! A na dodatek jeszcze Stanhope'a, który ją tu ściągnął!

Włożył szlafrok.

Musi się czegoś napić!

Wynbrooke wszedł do salonu pierwszy. Owinął się ciasniej szlafrokiem.

- Tylko mów po cichu, dobrze? Nie chcemy przecież nikogo zbudzić!

- Nikt nas nie usłyszy! Wszyscy leżą grzecznie w łódeczkach. Pojedynczo! I śpią jak aniołki. - Thorndike wybuchnął śmiechem.

- Jesteś okropny! Zabawny, ale okropny.

- I właśnie dlatego lubisz mieć mnie pod bokiem.

Wynbrooke potrząsnął głową i ruszył prosto do kredensu. Nalał koniaku do dwóch kieliszków i jeden z nich podał przyjacielowi.

- Bogu dzięki, że jutro stąd wyjeżdżamy...! Ale tego koniaku trochę mi będzie żal. - Podniósł swój kieliszek do ust i wypił łyczek.

- Głowa do góry, Wyn! Jak się ożenisz z Ivy, będziesz mógł sobie pozwolić na takie luksusy, kiedy tylko zechcesz. - Thorndike podszedł do kominka i usiadł w fotelu, wpatrując się w dogasający już ogień. - Psiakość! Ten cholerny bogacz mógłby się chyba szarpnąć na kilka lamp!

- Szczerze mówiąc, mnie te mroki raczej odpowiadają. Przynajmniej nie musimy oglądać jego twarzy. - Markiz usadowił się w fotelu na wprost Thorndike'a. - On jest kompletnie pomyłony! Ma tresowaną kaczkę, żyje w wiecznym mroku i nie znosi normalnych ludzi. Nawet na majordoma wybrał sobie odmieńca!

Thorndike prychnął pogardliwie.

- W całym domu roi się od dziwolągów! Choćby ten kucharz. Nigdy nie widziałem takiego grubianina i prostaka!

- Ale zna się na kuchni.

- Pod tym względem masz rację. - Thorndike uniósł kieliszek do góry. - No to zdrowie dziwolągów i niech żyją w spokoju!

Wynbrooke milczał przez chwilę.

- Lady Ivy jakoś nie przeszkadza gęba Tamberlake'a...

- Widać życie ją nauczyło, że trzeba bliźnim wiele wybaczać.

- Ta zaleta może nam bardzo ułatwić małżeńskie pożycie.

Obaj się roześmiali, ale Wynbrooke zaraz spoważniał.

- Małżeńskie pożycie... Nie myślałem, że sprawy zajdą tak daleko.

- Dobrze wiesz, że to najlepsze rozwiązanie. Cały wielki świat oczekuje, że się ożenisz. Twoja matka domaga się, byś wyprodukował syna i spadkobiercę. - Thorndike zapatrzył się w ogień. - No cóż... gdyby szczęście ci dopisało, musiałbyś spełnić smutny obowiązek tylko raz.

- Gdyby szczęście mi naprawdę dopisało, moja przyszła nie byłaby cnotką i wniosłaby mi w posagu gotowego dzieciaka!

- O tym, niestety, możesz sobie tylko pomarzyć. Cóż... myślę, że roczne współżycie powinno dać efekty.

- Roczne?! Boże wielki! Jak ja to wytrzymam...?

- Nie martw się na zapas. - Thorndike dopił resztkę koniaku. - Zresztą, rok zleci jak z biczem trząś!

- Na samą myśl, że miałbym z nią... - Markiz wstrząsnął się ostentacyjnie.

Thorndike zachichotał i wstał z fotela.

- Pomyśl lepiej o korzyściach!

- No, tak... Pieniądze się przydadzą. Wynbrooke także opróżnił swój kieliszek.

- I zamydlimy wszystkim oczy. Będziemy bezpieczni !-

Thorndike odebrał przyjacielowi pusty kieliszek i oba postawił na tacy. Potem chwycił markiza za rękę i ściągnął go z fotela. -

Wracajmy do łóżka! - powiedział i pocałował go w usta.

Kiedy się wreszcie od siebie oderwali, Wynbrooke westchnął.

- Jakiś ty dla mnie dobry! Co ja bym zrobił bez ciebie? Objął Thorndike'a ramieniem i razem wyszli z salonu. Tamberlake na szczęście odstawił swój kieliszek, bo z pewnością wypadłby mu z ręki. Odchylił się na oparcie fotela i zamknął oczy. Nie do wiary! Cóż za nieprawdopodobna noc! gdy zdecydował się zejść na parter, ruszył prosto do salonu, nalał sobie koniaku i usiadł w fotelu z wysokim oparciem w najciemniejszym kącie pokoju. Ogień na kominku już dogasał, ale książkę wcale nie tęsknił za lepszym oświetleniem. Potrzebował tylko ciszy, by zebrać myśli, i kieliszka koniaku, by uspokoić nerwy. Teraz już nie łudził się, że jeden kieliszek wystarczy.

Uśmiechnął się krzywo i podziękował losowi, przypadkowi, a może opatrności - cokolwiek skłoniło go do zejścia na parter. Gotów był warować tu przez całą noc, jeśli to okaże się konieczne. Musi powstrzymać Ivy od wyjazdu!

Jeśli ta idiotka sądzi, że on się jej teraz wyrzeknie, to się grubo myli!

Tamberlake ocknął się nagle. W głowie mu się kręciło, nie wiedział, gdzie się znajduje. Chciał rozejrzeć się po otoczeniu, więc odwrócił głowę i omal nie krzyknął z bólu. Kark całkiem mu zeszywniał. Mrugnął parę razy, by odpędzić resztki męczącego snu, i ujrzał żar na kominku. A właściwie szare popioły pozostałe z ognia, który dawno już wygasł. I wtedy przypomniał sobie, gdzie jest i czemu właśnie tu spędził noc.

Ciężkie draperie zasłaniające okna uniemożliwiały orientację w czasie. Podniósł się raptownie z fotela; tym razem zza zaciśniętych zębów wyrwał mu się jęk. Chroma noga pulsowała bólem, a szyja tak bolała, jakby ktoś uwiesił na niej ciężki żelazny łańcuch. Pokuśtykał do okna i rozsunął kotary. Słońce stało wysoko na niebie; w jego blasku pagórki i górskie zbocza skrzyły się tęczą wiosennych barw. Dziedziniec był pusty. Wrota powozowni stały otworem. Wewnątrz znajdował się tylko jeden powóz - jego własny.

Niech to szlag! Ivy wyjechała.

Tamberlake podszedł do dzwonka na służbę i szarpnął za drut.

- Fletcher! - ryknął na wypadek, gdyby dzwonek zawiódł. -

Fletcher!

Kilka sekund później do pokoju wszedł powłócząc nogami majordomus.

- Wasza książęca mość mnie wzywał?

- Gdzie są moi goście?



- Odjechali, milordzie. Kilka godzin temu. Polecili, bym nie zakłócał snu waszej książęcej mości; podobno pożegnali się już z księciem panem wczoraj wieczorem.

- Niech to diabli! - Tamberlake wyrzwał przez okno. Za późno na pościg. Chociaż... - Każ osiodłać mego konia, a potem przyjdź do mnie na górę. Pomożesz mi się ubrać.

- Tak jest, milordzie. - Fletcher schylił głowę w ukłonie i opuścił salon.

Tamberlake chwycił laskę i nie zważając na ból w karku i udzie, pospieszył do swego pokoju. Zrzucił z siebie szlafrok i wciągnął podkoszulek.

Rzadko podróżował od owego nieszczęśliwego wypadku. Okaleczona noga nie pozwalała na wielogodzinną jazdę powozem; gdyby jednak pojechał konno, dogoniłby zapewne karetkę pocztową. Jeździec na dobrym wierzchowcu mógł rozwinąć znacznie większą szybkość niż powóz jadący po tym samym terenie. Zagroziłby drodze Ivy i...

Zadumał się. Czym mógłby usprawiedliwić podobny pośpiech? Choć czuł odrazę do Wynbrooke'a i Thorndike'a, nie zamierzał rujnować im życia, wywlekając na widok publiczny ich starannie ukrywane grzechy. Z drugiej jednak strony nie mógł pozwolić, by Ivy poślubiła markiza.

Kiedy Fletcher zjawił się w jego pokoju na piętrze Tamberlake zrezygnował już z szaleńczego pościgu i siedział na brzegu łóżka.

- Czy wasza książęca mość jest chory? Auburn potrząsnął głową.

- Nie. Doszedłem właśnie do wniosku, że podszedłem do sprawy z niewłaściwego końca.

- Słucham, milordzie...? Tamberlake uśmiechnął się chytrze.

- Chyba już najwyższy czas, bym odwiedził matkę.

Dwa tygodnie później książę wsiadł do swego powozu i spoczął na siedzeniu obitym splekaną skórą. Od przyjazdu do Gryphon's Lair przed pięcioma laty nie korzystał z tego ekwipażu. O Boże! To już pięć lat...? Niewiarygodne!

Powóz podskoczył i ruszyli w drogę. Serce Tamberlake'a również podskoczyło w chwili odjazdu, a potem przez całą drogę biło w rytmie końskich kopyt. Czoło pokrył mu kroplisty pot. Ręka zacisnęła się na lasce. Wcale nie był pewny, czy wyjdzie zwycięsko z ciężkiej próby, jaką była dla niego podróż powozem.

Jak można by się od niej wykręcić? List nie wystarczy. Trudno oczekiwać, że lord Dunleigh prędzej da wiarę pisemnym oskarżeniom nieznanego niż zapewnieniom przyszłego zięcia. Ale cała ta wyprawa do Londynu... Tamberlake oparł się o ścianę powozu.

Kwa, kwa!

Z dachu Humphrey dawał wyraz swego niezadowolenia i niepokoju. Książę uśmiechnął się po raz pierwszy w tym dniu. W trakcie przygotowań do podróży doszedł do wniosku, że musi zabrać ze sobą zwierzaki. Humphrey był zbyt rozpieszczony, by znieść długie tygodnie bez jego troskliwej opieki. Z zapakowaniem kaczora do klatki nie było trudności. Sam wlaźł do środka. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że często w niej sypiał. Kiedy jednak drzwi zostały

zamknięte, Humphrey zaczął gwałtownie protestować. Kwakał i trzepotał skrzydłami, aż całkiem opadł z sił.

Ale ujarzmienie kaczora okazało się dziecinną zabawą w porównaniu z polowaniem na niewidzialnego tchórza.

Shylock po prostu się zdematerializował. Nie dał się skusić nawet ulubionym przysmakiem - trąbką, za którą Tamberlake uganiał się przez kilka dni, przerzucając polana i kłody zgromadzone w drewni. Na szczęście, obaj z Beakerem wszczęli poszukiwania na dwa dni przed wyjazdem. W końcu dopadli Shylocka, zarzucili mu płachtę na głowę i wpakowali do klatki. Na ironię losu zakrawało to, że schwyty tchórz od razu się uspokoił i zza prętów klatki spoglądał na swych pogromców nawet dość łaskawym wzrokiem.

I tak oto Shylock i Humphrey podróżowali w dwóch osłoniętych pokrowcami klatkach, można by rzec „ramię przy ramieniu”. Tamberlake nie był pewien, czy jego ulubieńcy zaadaptują się do życia na innym terenie. Nie mógł jednak zostawić ich na łaskę losu w Walii.

Księżę uniósł okaleczoną nogę i oparł ją o siedzenie powozu. Zabierał ze sobą do Marsgrove, swej rodowej siedziby, niemal całą służbę. Fletcher, Beaker i jego żona jechali drugim powozem, Majordomus ustalił z pokojówkami i ogrodnikami, kto z nich pozostanie w Gryphon's Lair. Zaangażował również pewne małżeństwo w charakterze dozorców posiadłości pod nieobecność właściciela. Fletcher okazał się wyjątkowo rzutki i sprawny; księżę

wątpił jednak, czy matka potrafi docenić wszystkie zalety osobliwego majordoma.

Ivy była już z pewnością w swoim rodzinnym domu. Tamberlake próbował odgadnąć, czym się teraz zajmuje i jak postępują przygotowania do wesela. Uśmiechnął się do swoich myśli i przymknął oczy. Musi załatwić mnóstwo spraw, zanim znów ją zobaczy.

- Nie sądziłem, że zachowasz się tak nieodpowiedzialnie, jak rozpuszczony dzieciak! - grzmiał lord Dunleigh. - Ładnie mi się odwdzięczyłaś za to, że wyraziłem zgodę na twój wyjazd

- Tak, ojcze.

Ivy siedziała na brzegu sofy i zerkała w stronę okna z nieprzystojnym zainteresowaniem. Ojciec jednak nie zauważył (na szczęście!), jak mało poświęca uwagi jego wywodom.

- Moja córka włóczy się po wsiach jak cyganicha! Co ci strzeliło do głowy? Chciałaś skompromitować całą rodzinę?!

- Tak, ojcze - przytaknęła bezmyślnie, lecz widząc grymas wściekłości na jego twarzy, pospiesznie zmieniła front. - To znaczy... nie, ojcze!

- Twoje szczęście, że Wynbrooke jest taki cierpliwy! ... I że przypadł mu do gustu koniak Tamberlake'a i walijska kuchnia...

- Tak, ojcze.

- Następnym razem, jak ci przyjdzie ochota na taką wyprawę, jedź koleją! Ona przynajmniej jest niezawodna!

- Mam poważne wątpliwości... - odezwał się Christopher. (Stał dotąd w niedbalej pozie oparty o kominek, teraz jednak się wyprostował.) —... czy Ivy wybierze się jeszcze kiedyś na podobną wyprawę.

Hrabia poczerwieniał z gniewu.

-Niech to wszyscy diabli! Doskonale wiesz, smarkaczu, że wcale nie to miałem na myśli!

- Po prostu zauważyłem, że to wysoce nieprawdopodobne, by Ivy znalazła się raz jeszcze w podobnej sytuacji. -Christopher podszedł do siostry i zajął miejsce obok niej.

- A ja uważam, że mogłeś ująć sprawę w swoje ręce i przyspieszyć wasz powrót! - Lord Dunleigh przedefilował przed sofą, obrzucając syna oskarżycielskim spojrzeniem.

- Co według ciebie, ojcze, miałem zrobić? Zabawić się w kowala i stelmacha? - odciął się Christopher, unosząc brew.

- Miałeś dostosować się do moich życzeń! Wasza wyprawa przeciągnęła się znacznie bardziej, niż powinna!

Zaczęto już plotkować na wasz temat. Ale czegoż innego mogłem się po tobie spodziewać?! - nasrożył się hrabia.

- Ale już wróciliśmy, ojcze. A ja przez cały ten czas nie roztrwoiłem ani pensa z twoich pieniędzy! - odparł Christopher z lekkim uśmiechem.

- Nie wyobrażaj sobie, młokosie, że nie dostrzegłem tego aspektu sprawy. Następnym razem wyślę cię jeszcze dalej i na dłużej.

Uśmiech Christophera zgasł.

Lord Dunleigh zatrzymał się i spojrzał z gniewem na córkę.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, w jakiej sytuacji mnie postawiłaś? Umierałem ze wstydu, próbując jakoś usprawiedliwić wasz wybryk!

- Bardzo mi przykro, ojcze, że sprawiliśmy ci tyle kłopotu - odparła Ivy, wygładzając fałdy sukni.

- No więc, jak on wygląda? - Hrabia Dunleigh założył ręce za plecy i zakołysał się na obcasach.

Ta nagła zmiana tematu rozbawiła Ivy. Jakież to podobne do ojca, że od razu postanowił wyciągnąć od niej użyteczne informacje. Nie miała jednak ochoty ułatwiać mu zadania.

- Kto taki?

- Tamberlake, oczywiście! To prawdziwy bogacz. Jak myślisz, zamierza wrócić do Londynu?

- Nie.

Spojrzenie Ivy pobiegło znów do okna. Nie była pewna, jak by zareagowała, gdyby Auburn istotnie przybył do Londynu. Czy miałyby dość siły, by znów się z nim zobaczyć?

- Szkoda! Chętnie bym się do niego zwrócił o poparcie. Ktoś z takim majątkiem ma z pewnością duże wpływy. Mógłbym mu doradzić, jak najlepiej wykorzystać jedno i drugie.

- Wynbrooke ci nie wystarczy? - rzucił Christopher ze źle maskowaną irytacją.

- To bez wątplenia dobre nazwisko i stary ród... Ale nie zaszkodzi nawiązać nowe kontakty. Zyskać poparcie księcia to byłby

prawdziwy triumf! - Zerknął chytrze na córkę. - Jest taki okropny, jak ludzie gadają?

Zbita z tropu Ivy zmarszczyła brwi.

- Wcale nie jest okropny!

- Chodzi mi o jego wygląd, dziewczyno! O jego twarz. Aż tak oszpecona, jak mówią?

Miała już na ustach ciętą ripostę, ale ugryzła się w język i zrobiła niewinną minkę.

- Ależ skąd, ojcze! Znacznie, znacznie gorzej! Christopher przysłonił usta dłonią w nagłym napadzie kaszlu.

Stary hrabia zadumał się głęboko.

- Wobec tego rozumiem, czemu nie rusza się z tej dziury. Powinienem chyba napisać do niego list z podziękowaniem... Tak, to doskonały pomysł: nawiążę z nim korespondencję. - Lord Dunleigh spojrzał na córkę z aprobatą. - Nieźle się spisałaś, Ivy! Umożliwiłaś mi kontakty z księciem. Ta twoja awanturka na coś się jednak przydała!

- Cieszę się, że mogłam ci pomóc, ojcze - odparła Ivy bez przekonania.

- Twoja matka chce się z tobą zobaczyć. Czeka w buduarze. Chodzi o jakieś głupstwa w związku z fatalaszka-mi - rzucił na odchodnym hrabia i opuścił pokój, mamrocząc coś pod nosem.

- Podła z ciebie dziewczucha, Ivy! - Christopher zwrócił się do siostry z szerokim uśmiechem. - Mało brakowało, a parsknąłbym śmiechem.

- On by nawet tego nie zauważył.

- Pewnie masz rację. Nie mógł się ani rusz zdecydować, czy porazić nas swoim gniewem, czy poklepać po główkach za ułatwienie mu zawarcia pożytecznej znajomości.

Ivy nic nie odpowiedziała. Christopher ujął ją za rękę.

-Jesteś jakaś nieswoja od wyjazdu z Walii. Pobladałaś, nic nie jesz... Co ci dolega?

- Nic ,nic czuję się całkiem dobrze Po prostu... nie szaleję ze szczęścia- Dziwisz się? - chodzi o Tamberlake'a, co?

Policzki zaczęły ją piec.

- O czym ty mówisz?

- Widziałem, jak na niego spoglądałaś pod koniec wizyty.

Przypadł ci do gustu, może nie?

Ivy westchnęła, wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

-Jest taki... inny. Rozmawiał ze mną i naprawdę słuchał, co do niego mówię. Tutaj nikt się tak do mnie nie odnosi.

- Dobrze sobie! - Christopher zrobił obrażoną minę i skrzyżował ramiona na piersi.

Ivy roześmiała się mimo woli.

- Nie bierz tego do siebie, głuptasie! Wicehrabia podniósł się z sofy i podszedł do siostry.

- Wiem, Ivy. To był niezwykły człowiek. Ja też dobrze się czułem w jego towarzystwie.

- Mówisz o nim jak o zmarłym!



- Chyba lepiej, żebyś tak o nim myślała. Jesteś przecież zaręczona!

- Wiem... - Ivy nie zdołała powstrzymać cisnących się do oczu łez.

Christopher objął ją ramieniem.

- To jeszcze nie tragedia...! Będziesz miała własny dom... A ja będę przychodził w odwiedziny. Często!

Roześmiała się.

- Bardzo cię kocham, braciszku!

- Wiem. - Wypuścił ją z objęć i uśmiechnął się. - No, leć do mamy! Jeśli chodzi o fatalaszki, jeszcze większa z niej despotka niż ojciec.

Ivy skinęła głową.

- Fatalaszki muszą poczekać jeszcze chwilę. Mam pilniejszą sprawę do załatwienia.

Christopher wyszedł z pokoju. Ivy podeszła do sekretarzyka i wyjęła arkusz papieru. Zajęła miejsce przy pulpicie, zanurzyła pióro w kałamarzu i zamyśliła się. Po chwili zaczęła pisać.

*Milordzie,*

*chciałam Cię poinformować, że nie musisz obawiać się komplikacji, o których dyskutowaliśmy podczas naszego ostatniego spotkania w Gryphon's Lair. Problem sam się rozwiązał, zgodnie z moimi przewidywaniami. Nie będzie więc żadnych niespodzianek.*

*Niezmiennie życzliwa*

*Ivy St. Clair*

Raz jeszcze przeczytała, liścik, osuszyła go, złożyła i zapieczętowała. Pewną ręką wypisała adres. A, prawda! Matka czeka! Otarła łzę i ponownie spojrzała na trzymany w ręku list. Jak by się czuła, gdyby musiała donieść księciu o czymś całkiem odmiennym...?

- Lady Ivy...? - Do salonu weszła pani Pennyfeather. -Pani hrabina niepokoi się, co zatrzymało panią tak długo.

- Już idę!

Ivy ukryła list w fałdach spódnicy i z wymuszonym uśmiechem podeszła do pani Pennyfeather. Gdy przechodziły przez frontowy hall, dyskretnie upuściła list na stół majordoma. On z pewnością się nim zajmie. Zerknęła podejrzliwie na towarzyszącą jej kobietę, ale pani Pennyfeather niczego nie zauważyła.

Gdy wchodziły po schodach, Ivy usłyszała wyraźnie głos matki.

- Doprawdy nie wiem, co począć z tą dziewczyną! Pani Pennyfeather uśmiechnęła się do Ivy i wprowadziła ją do buduaru.

- Odnalazłam naszą zgubę, pani hrabino.

- Bogu dzięki...! Jak bym ja sobie poradziła bez Agathy?! - Jakiej Agathy? - zdziwiła się Ivy.

- Pani Pennyfeather, oczywiście! Od waszego powrotu jest dla mnie prawdziwym darem niebios! A wasz ojciec zgodził się, żebym ją zatrzymała... tyle jest jeszcze rzeczy do zrobienia przed twoim bale

Spoczywająca na szeszlengu lady Dunleigh sięgnęła po cukierek i zaczęła go chrupać z wyraźnym upodobaniem. Na jej pulchnej twarzy pojawił się grymas zniecierpliwienia, gdy spojrzała na córkę.

- Doprawdy, Ivy...! Czekam na ciebie od wieków! -  
wymamrotała z ustami pełnymi czekolady.

- Mama nie pozwala mi wybrać materiału na suknię, zanim ty go nie wybierzesz - odezwała się Georgina. Złote loki podskakiwały jak sprężynki wokół jej twarzy, gdy potrząsała gniewnie głową. -  
Uważam, że to krzyżująca niesprawiedliwość. Zwłaszcza że tobie, Ivy, wcale na tym nie zależy!

- Ale to jej bal zaręczynowy, kochanie! - Hrabina przemawiała do młodszej córki takim tonem, jakby uspokajała pokojowego pieska.

- A twoja suknia będzie z pewnością równie piękna. Przekonasz się!

W buduarze znajdowała się jeszcze jedna kobieta. To musi być couturiere - pomyślała Ivy. Mistrzynie igły cmokała, przebierając w rozmaitych materiałach.

- A teraz, droga Ivy, musimy zdecydować, który z kolorów będzie dla ciebie najbardziej twarzowy. - Hrabina Dunleigh gestem ręki wskazała krawcową. - Madame Renault z pewnością nam pomoże.

Ivy spojrzała na bele jaskrawych materiałów rozsiane po całym pokoju i westchnęła ciężko.

- Nie mogłabyś podjąć za mnie decyzji, mamó? Matka spojrzała na nią z irytacją.

- Obawiałam się, że na tym się skończy. Jesteś całkiem pozbawiona gustu, moja droga. Wystarczy spojrzeć, co masz teraz na sobie!

Ivy popatrzyła na swoją suknię. Ciemnozielona, nie zbyt może szykowna, ale ciepła. Wzruszyła ramionami-

- Beznadziejny przypadek! - Lady Dunleigh skoncentrowała uwagę na materiałach. - Myślałam o czymś tym... a może brzoskwińowym...?

- Doskonały wybór! - przytaknęła krawcowa, podnosząc belę jaskrawej materii. - Może ten odcień?

Ivy wzdrygnęła się lekko.

- Będę w tym wyglądała jak kanarek!

- Siedź cicho, Ivy! Nie znasz się na tym. - Hrabina potrząsnęła głową. - Nie, może coś bardziej pastelowego. Toaleta nie powinna zaćmiewać damy!

Ivy przyglądała się, jak matka odrzuca jedną propozycję po drugiej. Po dłuższej chwili zauważyła, że pani Pennyfeather zbliża się do nich powolutku i wskazuje dyskretnie jedną z bel. Ivy zerknęła w tamtym kierunku i dostrzegła z ulgą, że materiał był blad różowy.

- Może ten?

Hrabina przyjrzała się uważnie.

- Przekonajmy się, czy pasuje do cery! Krawcowa przyłożyła tkaninę do twarzy Ivy. Lady Dunleigh kiwnęła głową z aprobatą.

- Doskonale! Powinno nieco ożywić twoją bladą buzię.

- Teraz moja kolej, mamó? - niecierpliwiła się Georgina.

- Możesz wybierać, kochanie.

Zaczął się znów podnoszenie jednej beli po drugiej. Ivy potrząsnęła głową; nie mogła pojąć, czemu siostra tak się tym pasjonuje.

- Czy mogę już iść, mamó? Mój materiał już został wybrany.

- Ani się waż! Trzeba jeszcze omówić fason i dodatki.

Doprawdy, Ivy, okaż choć trochę entuzjazmu! To ostatecznie twój bal zaręczynowy!

- Wiem, mamó. - Ivy westchnęła, zdjęła z taboretu jedną z kolorowych bel i usiadła.

Mogłabyś nauczyć się niejednego od twojej siostry! Przyglądaj się uważnie, -Dobrze, mamó.

Ivy oparła łokcie na kolanach a brodę na rękach. -i nie garb się!

- Dobrze, mamó.

To był naprawdę męczący dzień.

***Marsgrove (Gaj Marsa).***

Żwir zachręścił pod kołami powozu, gdy przejechali pod ozdobnym łukiem bramy i skręcili na podjazd. Nie było stąd jeszcze widać dworu, ale Tamberlake już przysunął się z ciekawością do okna. Po lewej mignęła mu statua Marsa, stojąca w zagajniku. Kilka drzew widocznie uschło, gdyż dawniej z podjazdu nie można było dostrzec posągu. Trzeba dopilnować, by posadzono tam nowe drzewa.

Stadko rudych jeleni uniosło głowy na widok zbliżającego się powozu, a potem rozbiegło się na wszystkie strony. Nie brak tu zwierzyny! - stwierdził książę z zadowoleniem.

Drzewa przerzedziły się; gdy pokonali zakręt, Auburn ujrzał rodzinny dom. Marsgrove usytuowane było na wzniesieniu; od frontu otaczał je wielkim kręgiem wypielegnowany trawnik. Jeden z ogrodników zerknął na przybyszy i zaraz wrócił do przycinania ozdobnych krzewów. Powóz zajechał przed drzwi frontowe i zatrzymał się. Tamberlake nie czekał, aż lokaj otworzy drzwiczki. Chciał jak najprędzej znaleźć się w domu.

Dziwne... Spędził w Gryphon's Lair pięć lat, a choć było mu tam wygodnie, nigdy nie miał wrażenia, że jest u siebie w domu. Jego prawdziwym domem było Marsgrove, nawet jeśli matka łudziła się, że będzie tu panować do końca życia

Auburn wysiadł z powozu i sięgnął po laskę. Po dniach przymusowego bezruchu noga tak zeszywniała że gdy chciał ją rozruszać, mimo woli jęknął z bólu-

- Wezwać kogoś do pomocy, milordzie? - spytał stangret ze swej wysokiej grzędy.

- Nie. - Książę rzucił mu monetę. - Dopilnuj, by klatki ze zwierzętami zostały wyładowane na tylnym dziedzińcu, odstaw brykę do powozowni i gołnij sobie w karczmie za moje zdrowie. To było dobre tempo, Rufusie!

- Tak jest, wasza książęca mość. Dziękuję, milordzie.

Rufus cmoknął na konie i powóz znowu ruszył.

Opierając się na lasce, Tamberlake spoglądał na imponującą fasadę Marsgrove. Jego przodkowie wzniesli tu dwór przed trzema wiekami (z okładem!), a choć każde pokolenie coś zmieniało lub dodawało, dwupiętrowa budowla nie utraciła pierwotnej elżbietańskiej wspaniałości. Z trzech rzędów frontowych okien roztaczał się widok na wspomniany już trawnik; z dachu sterczały w niebo różnokształtne kominy. Tamberlake zauważył, że jeden z nich, przypominający kształtem minaret, przewrócił się. Trzeba go będzie umieścić na liście niezbędnych napraw.

Drzwi frontowe otwarły się i na podest wyszedł majordomus. Przez chwilę spoglądał na niezapowiedzianego gościa z pogardą, potem na jego twarzy odbił się szok.

- Dzień dobry, Whitson.

Tamberlake podpierając się laską, pokonał schody wiodące do drzwi frontowych.

Twarz majordoma przeistoczyła się po raz trzeci. Była Wraz nieprzeniknioną maską.

- Witaj w rodzinnym domu, milordzie! Księżna pani nie Powiadomiła mnie o przyjeździe waszej książęcej mości...

- Bo nie miała o nim pojęcia. - Auburn wyminął Whitsona i ruszył ku drzwiom. - Każ wnieść moje bagaże do paradnych apartamentów.

Majordomus był wyraźnie speszony. Proszę wybaczyć, milordzie, ale te pokoje zajmuje księżna pani.

Ach, tak? Doskonale. Każ tymczasem zanieść moje rzeczy do innego pokoju, ale nie rozpakowywać. Jutro przeniosę się do właściwych apartamentów. Dopilnuj, by rzeczy mojej matki jeszcze dziś zaczęto wynosić do pokoi, które sama wybierze. Może mieszkać, gdzie zechce... z wyjątkiem moich apartamentów.

- Tak jest, milordzie.

- Gdzie jest teraz księżna?

- Przypuszczam, że w salonie, milordzie. Czy mam zaanonsować waszą książęcą mość?

- Nie fatyguj się, Whitson. Chcę jej zrobić niespodziankę. - Towarzyszący tym słowom uśmiech nie był jednak ani figlarny, ani serdeczny.

Tamberlake wszedł przez imponujący portal do wnętrza domu. Nieoczekiwanie zalała go fala radości. Miał wrażenie, że Marsgrove



serdecznie go wita. Tak, to był jego dom. Znalazł wreszcie swoje właściwe miejsce.

Gdy przemierzał frontowy hall, wszystko wydawało mu się bliskie i znane. Jakże często w dzieciństwie biegł tędy co sił w nogach, uciekając przed nudną lekcją z guwernerem albo przed gniewem matki, gdy narobił bałaganu, bawiąc się (wbrew zakazom!) jej bibelotami! Pod wpływem tych wspomnień wszedł do salonu ze szczerym uśmiechem zamiast ironicznego grymasu.

- Witaj, matko!

Lady Tamberlake głośno wciągnęła powietrze i odwróciła się raptownie, by spiorunować wzrokiem intruza. Zrobiła wielkie oczy, gdy go poznała. Przez chwilę milczała, potem przyglądała spódnicę i odezwała się z nutką wyższości, jak do krnąbrnego dziecka.

- Auburn! Wielkie nieba, co ty tu robisz?

- To mój dom, nieprawdaż?

- No, tak... ale nie jestem przygotowana na przyjęcie gości...

- Nie wiedziałem, że muszę czekać na zaproszeni , się tu zjawić.

- Nie bądź niemądry! Ale mogłeś mnie uprzedzić listownie.

- A to po co? Czyżbyś chciała ukryć przede mną jakieś grzeszki?

- Twoje żarciki są w wyjątkowo złym guście. - Księżna przysiadła na brzeżku krzesła. - Musisz przyznać, że twój nagły przyjazd zakłóca panujący tu spokój i porządek.

- Bardzo się cieszę, że jesteś pełna sił i energii, matko.

- Nie baw się w uprzejmości, Auburnie! Czy przyjechałeś tu, by dręczyć mnie za jakieś urojone winy?

Tamberlake zajął miejsce na wprost matki.

- Dlaczego sądzisz, że mój przyjazd ma coś wspólnego z twoją osobą? Zjawiłem się tu z innych, bardzo ważnych dla mnie powodów.

- A mianowicie?

- Muszę cię rozczarować, matko. Ani myślę zwierzać ci się ze swoich sekretów. Powtarzam: mój przyjazd nie wiąże się z twoją osobą. W każdym razie nie bezpośrednio.

Z satysfakcją dostrzegł jej zmieszanie. Szybko się jednak opanowała. -Jak długo będziemy cieszyć się twoim towarzystwem?

- Skąd ta liczba mnoga? Zachnęła się.

- No, dobrze: nie my, tylko ja. Jak długo będę się cieszyć twoim towarzystwem?

- Mam wrażenie, że moje towarzystwo nigdy cię specjalnie nie cieszyło.

Księżna odetchnęła głęboko i spojrzała na syna z irytacją.

- Mam już dość twoich impertynencji. Jak długo zamierasz tu pozostać?

Uśmiechnął się.

- Bo ja wiem...? Może na zawsze? - Co takiego?!

- Zabawię tu co najmniej miesiąc. Mam nadzieję, że dłużej

Księżnej na chwilę odebrało mowę.

- To doprawdy zdumiewające.

- Bardziej, niż myślisz. Podobno rozgościłaś się w moich apartamentach?

Zaczerwieniła się mimo woli.

- Od dawna nie było cię w Marsgrove. To także mój dom. Przez pięć lat nie opuszczałeś Walii. Nic dziwnego, że zajęłam te pokoje.

- Powiedz Whitsonowi, dokąd chciałabyś się przenieść. Jestem przekonany, że wybrałby dla ciebie jak najlepsze pokoje, ale zapewne wolisz się zdać na swój gust.

- Chyba się nie spodziewasz, że przeprowadzę się gdzie indziej dla twego kaprysu!

- To nie kaprys, matko. Wróciłem do domu. Zbyt długo zaniedbywałem swe obowiązki wobec Marsgrove.

- Możesz zarządzać wszystkim korespondencyjnie, nie opuszczając Walii.

- Owszem. Ale trudno by mi było korespondencyjnie ubiegać się o pannę.

Księżnej opadła szczeka.

- Jak możesz...?! Co ludzie powiedzą...?! Tamberlake wstał.

- Niech mówią, co chcą. Nic mnie to nie obchodzi.

Lady Tamberlake westchnęła.

- No, cóż... Nie mogę ci tego zabronić. Niebawem kilkoro moich przyjaciół przybędzie na herbatę. Jeśli chcesz się do nas przyłączyć...

- Nie obawiaj się, matko. Nie mam najmniejszej ochoty oglądać twoich przyjaciół. Nie musisz im nawet wspominać, że tu jestem. Prawdę mówiąc, wolałbym, żebyś nikomu o tym nie mówiła.

Te słowa sprawiły księżnej wyraźną ulgę. Pełna napięcia twarz odprężyła się.

- Musisz się jednak pogodzić z tym, że wróciłem do Marsgrove. I przestałem nosić maskę.

Tamberlake opuścił salon. Po raz pierwszy od dłuższego czasu był pewny siebie.

Księżę napawał się widokiem z okien salonu. Nie uświadamiał sobie dotąd, jak bardzo tęsknił za Marsgrove. Choć spędził ostatnią noc w skromnym pokoiku, spał dobrze. A teraz, spoglądając na doskonale utrzymane ogrody, które lada chwila pokryją się wiosennym kwieciami, był po prostu szczęśliwy, że wrócił do domu.

- Auburn! W fontannie panoszy się jakaś kaczka!

Do salonu wkroczyła lady Tamberlake. Groźny mars na czole był widomą oznaką jej złego humoru.

- Dzień dobry, matko. Dobrze ci się spało?

- Ogłuchłeś czy co?! W fontannie tapla się jakaś kaczka! Moi goście już wczoraj ją zauważyli. Kiedy chciałam ją stamtąd wypłoszyć, wylazła z wody i zaczęła na mnie kwakać! Poleciałam ogrodnikowi, by się jej pozbył, ale oświadczył, że księżę pan nikomu nie pozwala tknąć tej kaczki!

- To kaczor. Ma na imię Humphrey.

- Ochrzciłeś kaczkę?!

-Tak.

-I ona się na dobre zagnieździ w fontannie?

- Jeśli zechce.

- Nie pozwolę, by to ptaszysko molestowało moich gości!

- Ależ, mammo! Humphrey to tylko kaczor. Kaczory nie molestują pieszków salonowych.

Matka rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Doskonale! Nie będę podważała autorytetu głowy rodu. - Pełna oburzenia wypadła z pokoju.

Walka o władzę rozgorzała.

Tego samego dnia późnym popołudniem Tamberlake z Fletcherem urządzali dopiero co opuszczone przez księżnę apartamenty pana domu. Książę ustawiał właśnie książki na półkach, gdy rozległo się energiczne stukanie do drzwi. Nim zdążył zawołać „Proszę wejść!”, matka z impetem otworzyła drzwi i bez ceremonii wtargnęła do wnętrza.

- Antoine zagroził, że złoży wymówienie! Utrzymuje, że jakiś prostak szarogęsi się w jego kuchni. Ten... ten Beaker, którego przywiozłeś z Walii!

Tamberlake doszedł do wniosku, że musi zamykać drzwi na klucz, jeśli chce mieć choć chwilę spokoju.

- Kim jest ten Antoine?

- Mój szef kuchni.

- A, to ten! Wypląć mu miesięczną pensję... albo nawet dwumiesięczną, i poinformuj go, że rezygnujemy z jego usług. - To rzekłszy, zabrał się na nowo do ustawiania książek.

- Ależ, Auburnie! Nie zamierzasz chyba pozwolić temu... temu półgłówkowi, by szarogęsił się w kuchni?!

- Jak najbardziej!

- Ale Antoine jest Francuzem!
- A Beaker lepszym kucharzem.
- Nie mówisz tego poważnie!

Tamberlake odłożył książki na stół i spojrzał matce prosto w twarz.

- Skosztowałem wczoraj francuskich smakołyków twego Antoine'a. Obrzydlistwa bez smaku, zalane podłym sosem. Kuchnię w Marsgrove obejmuje Beaker i kwita. Jeśli Antoine naprawdę jest Francuzem, to bez trudu znajdzie sobie nową posadę, zwłaszcza z olśniewającymi referencjami, które mu z przyjemnością wypiszę.

- Ale...

Do pokoju wszedł niezgrabnym krokiem Fletcher, niosąc dwie figurki z miśnieńskiej porcelany.

- Wasza książęca mość wybaczy, ale... Co mam z tym zrobić?
- Któż to jest? - spytała księżna, wskazując na przybysza.
- To mój majordomus, Fletcher. Lokaj skłonił się.
- Najmocniej przepraszam, wasza książęca mość, że przeszkodziłem w rodzinnej pogawędce.

- Przywiozłeś ze sobą nowego majordoma...?

- Owszem.

- Ależ Whitson służy nam wiernie od dwudziestu lat!

- Wiem.

- Jego również chcesz wyrzucić bez powodu?!

- Nie, mam. Wiem, jak cenisz Whitsona.

- Nie możemy mieć dwóch majordomów!

- Czemu nie?

Przez chwilę lady Tamberlake nie mogła wykrztusić ani słowa.

- Tego... tego się po prostu nie robi!

- Nie mam zamiaru zwalniać Whitsona, ale nie mogę się obejść bez Fletchera.

- Whitsonowi z pewnością taka sytuacja nie będzie odpowiadała!

- Przekaż ode mnie Whitsonowi, że uważam, iż spisuje się bez zarzutu, ale Fletcher musi zostać. Jeśli Whitson nie zaaprobuje takiego rozwiązania, droga wolna. - Wyjął lokajowi z ręki porcelanowe figurynki. - To chyba twoje, mamó? Widocznie zapomniałaś o nich w trakcie przeprowadzki.

Lady Tamberlake otwierała już usta, by coś odpowiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Chwyciła miśnieńskie cacka, wykręciła się na pięcie i opuściła pokój, nie obejrzawszy się ani razu.

Auburn pewnie by się roześmiał, gdyby nie pojął, że toczy się właśnie między nim a jego matką zażarta walka o to, kto rządzi w Marsgrove. Jeżeli nie udowodni wkrótce -raz na zawsze - że jest tu panem, nigdy mu się to nie uda. Punkt kulminacyjny rozgrywki nastąpił późnym popołudniem. Księżę przechadzał się właśnie po ogrodzie, ćwicząc ,mięśnie nóg, gdy ciszę rozdarła cała seria przeraźliwych wrzasków.

Rzucił się w kierunku stajni. Właśnie okrążał dom, gdy ze stajni wyłoniła się jego matka i z wściekłą miną popędziła w jego kierunku. Za nią biegli dwaj stajenni. Suknia księżnej wdowy była unurzana w

błocie, a fryzura robiła takie wrażenie, jakby przed chwilą przeszedł tędy huragan. Tyle że dzień był absolutnie bezwietrzny.

- W stajni jest tchórz! - wysyczała lady Tamberlake przez zaciśnięte zęby.

Doskonale! Shylock postanowił zadomowić się w Marsgrove.

- Niosłam właśnie jabłko dla mojego konia, kiedy ta bestia rzuciła się na mnie i zaczęła mi węszyć po kieszeniach. A gdy krzyknęłam, wczepiła mi się we włosy i zniszczyła całą fryzurę! - Księżna próbowała bezskutecznie oczyścić spódnicę z błota i siana. - Ten potwór odczepił się ode mnie dopiero wówczas, gdy przewróciłam się w błoto. I w dodatku ukradł jabłko!

- Ten tchórz to zupełnie nieszkodliwa bestyjka, mamó. Jest przyzwyczajony do życia w stajni, nie zadziera z innymi zwierzętami i znakomicie tępi myszy. Ma tylko trzy łapki, straszny z niego łakomczuch. Wabi się Shylock.

Na twarzy matki odbiło się zdziwienie, ale już w następnej sekundzie zdołała je ukryć.

- Główny stajenny zapewnił mnie, że to twój pupilek, ale mu nie uwierzyłam. Wybacz, ale muszę się niezwłocznie umyć i przebrać. - Odwróciła się i skierowała w stronę domu. Nagle przystanąła, znowu spojrzała na syna i spytała: - Czy masz więcej takich... ulubieńców, o których mi nie wspomniałeś?

- Nie, matko. I doprawdy bardzo mi przykro, że jeden z nich tak cię przestraszył.



Lady Tamberlake nie raczyła odpowiedzieć. Kilka minut później Whitson odnalazł księcia w gabinecie.

- Wasza książęca mość, księżna pani kazała powiadomić, że dostała nagłej migreny. Bardzo żałuje, ale nie będzie mogła dziś wieczorem zjeść obiadu w pańskim towarzystwie, milordzie.

- Dziękuję, Whitson. Przekaż jej ode mnie życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

- Tak jest, wasza książęca mość. - Whitson skłonił się i zamierzał odejść.

- I przyślij do mnie Fletchera, dobrze? - dorzucił Tamberlake.

- Wedle rozkazu, milordzie.

Po kilku minutach Fletcher wszedł do gabinetu.

- Książę pan mnie wzywał?

- Istotnie. Czy mogę liczyć na twoją dyskrecję? Lokaj był wyraźnie zaszokowany.

- Mam nadzieję, że nie dałem żadnego powodu, by wasza lordowska mość mógł w nią zwątpić.

- Skądże znowu! Po prostu mam kilka problemów... wyjątkowo delikatnej natury i potrzebuję twojej pomocy.

- Czym mogę służyć?

- Potrzebny mi ktoś, kto mógłby przeprowadzić prywatne śledztwo.

- Przypadkiem znam kogoś, kto by się tego podjął, milordzie.

- Znakomicie! Sprowadź go tutaj.

- Jak sobie wasza księżęca mość życzy. Tamberlake zasiadł za biurkiem i złożył splecione ręce na blacie.

- Ponieważ wróciłem z dobrowolnego wygnania, powinienem chyba włączyć się do życia towarzyskiego. Chciałbym otrzymywać z wyprzedzeniem listę osób zaproszonych na każdą imprezę. Możesz się o to wystarać?

- Tuszę, że jako majordomus waszej księżęcej mości bez trudu zdobędę potrzebne informacje od personelu za-utrudnionego w innych rezydencjach.

Prawdę mówiąc zależy mi tylko na wiadomości, czy pewna dama będzie obecna na takim czy innym przyjęciu.

- Czy mógłbym spytać o nazwisko tej damy? Księżę uniósł brew.

Fletcher skinął głową i uśmiechnął się dyskretnie.

- Rozumiem, milordzie. Czy księżę pan ma dla mnie jakieś inne polecenia?

Tamberlake kiwnął głową potakująco.

- Jeszcze jedno. Musisz mi znaleźć kogoś, kto nawet kulawego nauczy tańczyć.

Tamberlake siedział już za biurkiem, gdy Fletcher wprowadził swego protegowanego do gabinetu. Księżę domyślił się, że Savernake jest mniej więcej w jego wieku. Miał ciemne włosy i oczy. Niezdradzająca żadnych uczuć twarz była zapewne dużym atutem w jego profesji.

- Proszę siadać, panie Savernake.

- Dziękuję, milordzie.

Mężczyzna usiadł na krześle z drewnianym oparciem.

- Podobno znał pan lorda Stanhope'a.

- Nie tyle znałem, ile dużo o nim słyszałem. Był przyjacielem mego ojca.

Głos Savernake'a świadczył o jego kulturze i wykształceniu, ale był absolutnie wyprany z emocji.

- Pańskim ojcem jest...?

- Hrabia Warksbooth. - Wymawiając te słowa, Savernake nie odwrócił oczu od swego rozmówcy.

- Ach, tak? - Tamberlake obserwował go bacznie. Nie wstydził się swego nieprawego pochodzenia. Spodobało się to księciu. - Ja również słyszałem już o panu. Mówiono mi, że jest pan niezwykle dyskretny.

- Owszem.

- Zadanie, które chciałbym panu powierzyć, wymaga raczej żmudnego zbierania informacji niż spektakularnych działań. -

Wręczył Savernake'owi teczkę zawierającą pewne informacje na temat Wynbrooke'a. - Wewnątrz znajdzie pan nazwisko i adres pewnego markiza. Zależy mi na dokładnych danych o stanie jego finansów.

Savernake skinął głową.

- Nic trudnego.

- To jeszcze nie wszystko. - Tamberlake odchylił się na oparcie fotela i złączył dłonie tak, że opuszki palców przylegały do siebie. - Potrzebuję również dowodów pewnych... upodobań, z którymi się kryje.

- Ma pan na myśli hazard i długi honorowe? A może metresy?

- Markiz nie jest hazardzistą i nie ma utrzymanki. Odnoszę jednak wrażenie, że jest stałym bywalcem pewnych... klubów dla nielicznej, wyselekcjonowanej klienteli.

- Burdeli?

- Być może. Ale takich, w których nie ma kobiet.

Savernake uniósł brew. Była to pierwsza spontaniczna reakcja, jaką Tamberlake dostrzegł u swego rozmówcy.

- Chyba już wiem, o co chodzi.

- Nie dążę do zguby czy ruiny tego człowieka. Potrzebuję, tylko kilku niepodważalnych dowodów jego... aktywności.

- Doskonale, milordzie. Dane na temat jego finansów nietrudno będzie uzyskać. Natomiast jeśli idzie o tę drugą, sprawę, to - jeśli zachowuje dyskrecję - informacje będą znacznie trudniejsze do zdobycia.

- Właśnie dlatego liczę na pańską pomoc. Nie mam czasu na zbieranie potrzebnych mi dowodów. Zechce mnie pan w tym wyręczyć?

Savernake zastanawiał się przez chwilę. Będę całkiem szczerzy, milordzie. Podejmuję się tylko takich zadań, które są według mnie warte zachodu. Czy wasza książęca mość uzna to za zuchwalstwo, jeśli spytam, w jaki sposób zamierza wykorzystać uzyskane informacje?

- Markiz ma się niebawem ożenić. Pragnę ocalić Bogu ducha winną kobietę od losu, jaki chce on jej zgotować.

Savernake uśmiechnął się.

- W takim razie chętnie panu pomogę, milordzie. Będzie to dla mnie zaszczyt!

Tamberlake podniósł się z fotela i wyciągnął rękę do swego rozmówcy. Savernake również wstał. Uścisnęli sobie dłonie.

- Dziękuję, panie Savernake.

Mężczyzna skłonił się i wyszedł za Fletcherem z gabinetu.

Książę usiadł znów za biurkiem. Ogarnęło go podniecenie. Zaplanowana przez niego batalia właśnie się rozpoczęła.

Ivy przyglądała się z zachwytem swojej sukni. Była piękna! Bładoróżowy stanik i spódnicę ozdobiono maleńkimi kwiatkami z jedwabiu i srebrnym haftem. Matka pożyczyła jej na dzisiejszy wieczór garnitur z akwamaryn: naszyjnik i kolczyki. Na toaletce leżały pączki świeżych róż, które miały ozdabiać jej włosy. Będzie dziś wieczorem wyglądała tak pięknie jak nigdy dotąd.

Spojrzała w lustro i zmarszczyła brwi.

- Ivy, przestań się krzywić, jeszcze ci ten grymas zostanie na twarzy! - Lady Dunleigh dała znak pokojówce, by zaczęła napełniać wannę. - Najpierw się wykąpiesz, a potem zaczniemy cię stroić. Mamy jeszcze kilka godzin. Mnóstwo czasu!

Nie tak znów dużo, jeśli chcesz przemienić mnie w Kopciuszka na królewskim balu! - pomyślała Ivy-Uśmiechnęła się jednak do matki, by okazać, że uświadamia sobie wagę wszystkich czekających je zadań.

- Nie marudź zbyt długo w wannie. Mamy jeszcze mul tum do zrobienia. Kiedy się wykąpiesz, zadzwoń na pokojówkę. I nie marudź...

- Już to mówiłaś, mamo.

- Jeśli coś powtarzam, to dlatego, że jest bardzo ważne!

Hrabina opuściła pokój, pędząc przed sobą pokojówkę.

Ivy zrzuciła szlafrok i zanurzyła się w kąpiel. Ogarnięta miłym lenistwem zamknęła na chwilę oczy. Gorący, pieszczotliwy dotyk wody sprawił, że nawiedziły ją obrazy przeszłości, o której usiłowała zapomnieć. Obawiała się, że wspomnienia osłabiają jej wolę i nie zdobędzie się na złożenie ślubnej przysięgi. Ale mimo wszystko w takich chwilach jak ta myśli Ivy biegły do Auburna. Ciekawe, czy i on czasem ją wspomina...?

Rozdrażniona własną słabością chwyciła gąbkę i zaczęła się energicznie szorować. Jeśli wyładuje złość na własnej skórze, może

uświadomi sobie, że właśnie dziś, szykując się do zaręczynowego balu, nie powinna tracić czasu na nierealne marzenia.

Wykąpała się w rekordowym tempie i wyszła z wanny. Z pewnym żalem zadzwoniła na pokojówkę, wiedząc, że zaraz zjawi się tu cały sztab operacyjny i przez resztę dnia nie będzie miała ani chwili spokoju.

Zgodnie z jej przewidywaniami zaraz po wkroczeniu pokojówki zleciały się inne niewiasty i zaczęło się musztrowanie, poganianie i przyszpilanie. Omal jej nie wyrwano wszystkich włosów, ale zostały wreszcie ujarzmione. Całej postaci nadano inny kształt: ściśnięta gorsetem talia Ivy stała się niezwykle cienka, a biodra dzięki krynolinie niewiarygodnie okazałe.

Kiedy przygotowania dobiegły końca, Ivy odetchnęła z ulgą. A raczej - zapewne by odetchnęła, gdyby nie ciasny gorset; zasnurowano ją tak, że nie było mowy o głębszym oddechu. Upięte włosy otaczały jej głowę jedwabistą aureolą; wpięte w nie pączki róż wydawały się ofiarą na ołtarzu wiosny, z kolei balowa toaleta Ivy łączyła w sobie niewinny urok tej pory roku z elegancją londyńskiego sezonu.

Matka obejrzała córkę ze wszystkich stron i mruknęła pod nosem:

- Więcej nic się nie da zrobić. Zegar wybił północ, Kopciuszkule!
- Dzięki, mamo, za tyle wiary w moje możliwości!
- Poradzisz sobie znakomicie, Ivy. Zresztą, masz już narzeczonego. Teraz musimy zająć się Georgią.

- Prawda! Zupełnie zapomniałam! Wydajesz bal z okazji moich zaręczyn, mamó, by złapać męża dla Georginy.

- Ależ, moja droga! - Hrabina poklepała starszą córkę po ramieniu. - Rozumiem, że nerwy cię ponoszą. To przecież twój wielki dzień!

Pospieszyła ku drzwiom.

- Tylko się nie spóźnij! Goście wkrótce zaczną się schodzić. Muszę sprawdzić, jak sobie radzi Georgina! Poszczyp trochę policzki, Ivy. Jesteś blada jak śmierć!

Ivy była rada z kilku minut samotności. Zerknęła do lustra. Mimo niepochlebnych komentarzy matki czuła, że ma dziś swój beau jour (dobry dzień).

Jaka szkoda, że Tamberlake nie może jej zobaczyć w tym stroju!

- Łaskawe panie, drodzy panowie, szanowni goście! Pozwólcie, że wam przedstawię szczęśliwą parę, która się właśnie zaręczyła. Oto Neville Foxworthy markiz Wynbrooke i moja córka, lady Ivy St. Clair!

Głos ojca rozbrzmiewał gromkim echem po sali balowej i na korytarzu. Wynbrooke skinieniem głowy dał narzeczonej znak: ruszamy! Z przyklejonym do ust sztucznym uśmiechem Ivy wkroczyła na salę wsparta na ramieniu Wynbrooke'a. Witwały ich gromkie owacje, tłum rozstępował się przed nimi, gdy zmierzali na sam środek parkietu

Zabrzmiały tony walca i młoda para zawirowała w tańcu. Ivy musiała przyznać, że narzeczony jest niezrównanym tancerzem. Po



chwili inne pary przyłączyły się do nich. Ivy poczuła ulgę: przestała być przedmiotem ogólnego zainteresowania. Przyglądała się gościom, których mijala w tańcu. Ojciec nie zmarnował okazji! Zaprosił całą śmietankę londyńskiego towarzystwa.

Kiedy walc się skończył, Wynbrooke skłonił się narzeczonej i szepnął:

- Udało się, moja droga! Teraz, gdy mamy już za sobą oficjalny występ, możemy się odprężyć i dobrze bawić przez resztę wieczoru.

Ivy spojrzała na niego ze zdziwieniem. Markiz skinął głową potakująco.

- Nie lubię zwracać na siebie ogólnej uwagi.

- Ja też!

- Wobec tego dobraliśmy się jak w korcu maku! - Sprowadził ją z parkietu. - Czy mogę ci czymś służyć? Może coś zimnego do picia?

- Nie, bardzo dziękuję.

Rodzice Ivy podeszli do młodej pary. Lord Dunleigh uśmiechnął się.

- Zrobiliście doskonale wrażenie. Chodź ze mną, Wynbrooke! Powinniśmy uczcić to radosne wydarzenie czymś mocniejszym niż lemoniada, którą tu roznoszą.

- Znakomity pomysł, milordzie. - Wynbrooke skłonił się damom. - Panie wybaczą...?

Lady Dunleigh zachichotała.

- Oczywiście, że wybaczymy, drogi chłopcze!

Gdy obaj panowie odeszli, Ivy poczuła ogromną ulgę. Jej dzisiejszy występ dobiegł końca. W ciągu następnej godziny przyjęła mnóstwo gratulacji, dwukrotnie zaproszono ją do tańca i wysłuchała mnóstwa żartobliwych uwag na temat obowiązków małżeńskich, którymi zasypały ją Przyjaciółki matki. W sali nadal było rojno i gwarno. Ivy zastanawiała się, ile osób zaprosili na ten bal jej rodzice.

Tłok był tak wielki, że sala balowa nie mogła pomieścić wszystkich i goście rozchodzili się do sąsiednich pokoi

lub wymykali się do ogrodu. Matka musi być w siódmym niebie: co za sukces!

Gwar nagle nasilił się... i zaraz potem zapadła kompletna cisza. Zamilkły nawet dźwięki muzyki. Ivy rozejrzała się po sali, by sprawdzić, co tak dalece poruszyło zebranych gości. Stojącej obok córki hrabinie zapało dech.

- Wielkie nieba! To ten potwór!... Księżę bez twarzy! -Lady Dunleigh zaczęła grzebać w swym woreczku. Wyciągnęła flakonik soli trzeźwiących i podała go córce. -Otwórz to i podaj mi, zanim zemdleję!

Ale słowa matki w ogóle nie dotarły do Ivy. Nie mogła oderwać wzroku od Tamberlake'a. Wsparty na lasce szedł przez całą salę, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo - prosto do Ivy, jakby widział tylko ją. Poczowała na policzkach gorący rumieniec i sama już nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Co on tu robi, Ivy? - syknęła jej matka. - Zniszczy mi całe przyjęcie!

Ivy odsunęła matkę i ruszyła w stronę księcia. Serce łomotało jej w piersi. Była taka szczęśliwa, że znowu go widzi... a jednak na jego widok ścisnęło ją w gardle. Ubrany był równie elegancko, jak wszyscy zebrani tu panowie. Na twarzy miał - na szczęście - tylko opaskę zasłaniającą oko. Długie włosy z jednej strony szesane były za ucho i nie przesłaniały pięknego jak dawniej profilu; z drugiej strony opadały na okaleczoną twarz. Dumną postawą i ruchami pełnymi godności przypominał średniowiecznego rycerza składającego hołd damie swego serca.

Zatrzymał się i skłonił przed Ivy. Machinalnie podała mu rękę. Podniósł ją do ust i musnął wargami.

- Jestem szczęśliwy, że znów się spotykamy, lady Ivy.

Obawiała że głos zaraz jej odmówi posłuszeństwa

- Co... co ty tu robisz?! - spytała ochryłym szeptem-Nim Auburn zdążył coś odpowiedzieć, Christopher przebił się do nich przez tłum, nie zważając na zdumione spojrzenia gości. Wyciągnął do księcia rękę i mocno potrząsnął jego dłonią.

- Jak miło znów cię widzieć, Tamberlake! Całkiem nas zaskoczyłeś... ale to bardzo miła niespodzianka! Co cię sprowadza do Londynu?

- Jak mógłbym nie złożyć lady Ivy najlepszych życzeń z okazji zaręczyn i zbliżającego się ślubu?

Wicehrabia uniósł brwi.

- Przebyłeś niezły szmat drogi, by wpaść na nasze przyjęcie!

- Być może. Ale - jak dobrze wiesz - czasu mi nie brakuje. -  
Książę zwrócił się do Ivy. - Czy mogę prosić do tańca?

Skinęła tylko głową; nadal nie panowała nad swoim głosem.

Tamberlake wręczył swą laskę Christopherowi.

- Mógłbyś się nią zaopiekować, gdy będę tańczył z twoją  
siostrą?

- Zawsze do usług! - Christopher uśmiechnął się od ucha do ucha  
i dzierżąc laskę księcia, zszedł ze środka parkietu na jego obrzeże.

Tamberlake wyciągnął do partnerki obie ręce.

- Lady Ivy...?

Znów znalazła się w jego ramionach. Były takie, jak  
zapamiętała: silne i czułe. Pod ich dotknięciem przeszył ją dreszcz.  
Zbudziły się wspomnienia, które usiłowała zdławić.

Przez chwilę stali pośrodku parkietu, potem książę spojrział na  
muzykantów.

- Zagrajcie nam, dobrzy ludzie!

Spiesznie wzięli do rąk instrumenty i po kilku pierwszych,  
niepewnych nutach, wpadli w rytm kolejnego walca. Auburn  
popatrzył Ivy w oczy.

Wybacz, jeśli zmyłę krok... Przez tę podłgą nogę musiałem po raz  
drugi brać lekcje tańca! Skinęła głową i taniec się rozpoczął.

Tamberlake nie był tak doskonałym tancerzem jak Wynbrooke. Nie  
wirował z nią równie lekko, raz czy drugi zgubił rytm, ale mimo  
wszystko tańczyli razem.

Miejsce przytłaczającej ciszy zajęły gorączkowe szepty. Mówiono coraz głośniej i głośniej, aż wreszcie cała sala rozbrzmiewała gwarem podnieconych głosów. Żadna inna para nie zajęła miejsca na parkiecie, ale coraz więcej osób tłoczyło się w pobliżu, by popatrzeć na tańczącego potwora.

Ivy rozejrzała się dokoła.

- Wszyscy się na nas gapią!

- Nie miałem pojęcia, jak niewiele trzeba, by zrobić furorę w wielkim świecie! - szepnął jej do ucha Tamberlake.

Ale Ivy nie mogła się odprężyć. Ogarnął ją niepokój.

- Nie przyjechałeś chyba do Londynu tylko ze względu na ten bal?

- Jakaś ty domyślna!

Jego odpowiedź bynajmniej jej nie uspokoiła. Spojrzała na księcia podejrzliwie.

- Co cię tu przywiodło?

- Chciałem sfinalizować pewne ważne przedsięwzięcie. Ivy nie wiedziała, czy ogarnęła ją ulga, czy też rozczarowanie na myśl, że nie ona była powodem jego wyprawy.

- Nie przypuszczałam, że cię znowu zobaczę.

- Tak też myślałem. Przygryzła wargę.

- Uspokój się, Ivy! Nasza widownia jeszcze pomyśli, że to ja jestem przyczyną twego niepokoju.

- Bo jesteś!

Auburn roześmiał się,

- Jakże mi brakło twojej szczerości i prostoty! Zaufaj mi, Ivy. Nigdy nie zrobię ci krzywdy.

Muzyka umilkła i Tamberlake odprowadził swą partnerkę do Stylesa, stojącego na skraju parkietu. Ukłonił się jej.

- Dzięki za taniec.

- Ale ja...

- Zbliża się twój narzeczony.

Gdy Wynbrooke stanął koło Ivy, Tamberlake ujął jej dłoń i złożył ją w dłoni Wynbrooke'a.

- Tobie również dziękuję, markizie, że pozwoliłeś mi zatańczyć ze swą narzeczoną.

Wynbrooke odchrząknął i odparł:

- Nie wiedziałem, Tamberlake, że i ty otrzymałeś zaproszenie na ten bal.

- Rzecz w tym, że nie otrzymałem. Prawdę mówiąc, musiałem się pokajać przed matką lady Ivy, że wtargnąłem bez zaproszenia na jej przyjęcie. Miałem tylko nadzieję, że przyjaźń, jaką zawarłem z dwojgiem jej dzieci, stanowi pewne usprawiedliwienie i - być może - wyjedna mi przebaczenie u lady Dunleigh.

Muzykanci zaczęli grać następny utwór. Pary taneczne zajmowały miejsca na parkiecie, rzucając zaciekawione spojrzenia na zagadaną grupkę.

- Powinniśmy chyba zejść z drogi tancerzom. Tamberlake odebrał od Christophera swoją laskę.

- Proszę zaczekać, milordzie! - Ojciec Ivy spieszył ku nim. Jego spojrzenie padło na zorany bliznami policzek księcia. Wzdrygnął się, ale zaraz pokrył swą odrazę szerokim uśmiechem. - Jakże się cieszę ze spotkania!

- Pozwól, ojcze, że ci przedstawię lorda Tamberlake'a. Ivy nie mogła znieść chytrego spojrzenia ojca.

- Córka powiedziała mi, że wasza książęca mość nie zamierza opuścić Walii.

Lord Dunleigh rzucił Ivy karcące spojrzenie.

-Czasem trzeba zmienić plany. Lady Ivy powtórzyła wiernie moje słowa, ale potem odkryłem, że mam tu do załatwienia pewną niecierpiącą zwłoki sprawę - wyjaśnił Tamberlake.

-A zatem winienem błogosławić okoliczności, które zmusiły cię, milordzie, do zmiany planów - stwierdził hrabia -Chciałem koniecznie zawrzeć z tobą znajomość.

- Czemu?

Zwięzłe pytanie całkiem zbiło go z tropu. Zamrugał oczyma.

- No bo ja... to znaczy... twoja rodzina... - Odchrząknął. - Sądzę, że mógłbym służyć ci moim doświadczeniem i radą. Bardzo ci się przydadzą teraz, gdy zamierzasz odzyskać należną ci pozycję w społeczeństwie. Nie chciałbyś przecież przynieść ujmy staremu nazwisku i tytułowi Tamberlake'ów?

- Oczywiście, że nie. Rozważę pańską wspaniałomyślną ofertę z całym szacunkiem, na jaki zasługuje.

Tamberlake zerknął na Christophera i - ku zdumieniu Ivy - mrugnął porozumiewawczo do jej brata za plecami ojca.

- Znakomicie! Będziemy w kontakcie - odparł hrabia Dunleigh.

- Już się na to cieszę. - Księżę oparł się na lasce i skłonił przed Ivy. - A teraz proszę wybaczyć, że już was pożegnam, lady Ivy, panowie...

Gdy tylko odszedł, lord Dunleigh zwrócił się do syna.

- Złóż mu wizytę w przyszłym tygodniu. Zamierzam kultywować tę znajomość.

Christopher przesunął palcem po brodzie.

- Coś mi się zdaje, że w przyszłym tygodniu będę bardzo zajęty, ojcze.

- Złożysz mu wizytę... albo możesz się pożegnać ze swą miesięczną pensją.

- To był tylko żart, ojcze.

- Nie pora na głupie żarty! - ofuknął go hrabia. - Muszę zająć się resztą gości. Chodź ze mną, Wynbrooke. Nauczysz się czegoś przy sposobności!

Gdy ojciec i narzeczony odeszli, Ivy westchnęła-

- Gdybyś go tak nie prowokował...

- Nie miałbym takiej zabawy! - Wicehrabia poklepał siostrę po ramieniu. - Nie kłopotz się, Ivy! Mam szczerzy zamiar odwiedzić Tamberlake'a. Ale niech sobie ojciec myśli, że wyświadczam mu przysługę. Dobrze mu jak raz spojrzy na mnie przychylniejszym okiem. Ciągłe mnie traktuje jak zbyteczną gębę do wyżywienia!



- Gdybyś go przekonał, może by ci powierzył jakieś odpowiedzialne zadanie?

- Już dość go przekonywałem i prosiłem. Błagałem, żeby mi powierzył Styles... W końcu to moja posiadłość, może nie? A on mi powiedział, że ten majątek przynosi pokaźne dochody i nie będzie ryzykował, że go zdewastuję! - Christopher uśmiechnął się do siostry.

- Nie martw się o mnie! Już ja znajdę jakiś sposób i wyrwę się na wolność! Może pojedę do Ameryki...?

- Och, nie! Strasznie bym za tobą tęskniła, braciszku!

- Tak mi tylko strześliło do głowy... ni stąd, ni zowąd. Przez chwilę oboje milczeli. Wreszcie Ivy zapytała:

- Wiedziałaś, że on się dziś pojawi na balu?

Ta nagła zmiana tematu nie zdezorientowała Christophera.

- Nie. Byłem zaskoczony tak samo jak ty.

Ivy skinęła głową. Błądziła wzrokiem po sali, usiłując dostrzec Tamberlake'a, ale nigdzie go nie było.

- To musiał być dla ciebie prawdziwy szok. Może wolisz zostać przez chwilę sama, żeby się pozbierać?

Potrząsnęła głową.

- Nic mi nie jest, choć z przyjemnością zaczerpnęłabym świeżego powietrza.

- No! Wreszcie się komuś na coś przydam! - Christopher podał siostrze ramię. - Czy wolno mi towarzyszyć ci do ogrodu, najśladza milady?

Usta Ivy wygięły się w lekkim uśmiechu. "Ależ z ciebie głupek, najmilszy wicehrabio! - Nie przeczę. A jednak kochasz mnie, mimo wszystko. No, chodźmy: ogród na nas czeka!"

Scandalous

Ivy stała zapatrzona w fasadę rezydencji Tamberlake'a, Nie bardzo wiedziała, czego ma oczekiwać... Ale z pewnością nie spodziewała się takiego przepychu. W zestawieniu z imponującym frontem budynku i otaczającym go olbrzymim, wypiełgowanym trawnikiem powóz, którym przyjechała, wydawał się niepozorny. Ivy czuła się tak, jakby czekała na audiencję w królewskim pałacu. Nim odzyskała panowanie nad sobą, lokaj otworzył drzwi i znalazła się we frontowym hallu.

- Czym mogę służyć, milady?

- Chciałabym się widzieć z lordem Tamberlakiem. Czy książę przyjmuje?

- Kogo mam zaanonsować?

- Ivy... Lady Ivy St. Clair.

Lokaj zaprowadził ją do salonu. Ivy poczuła ściskanie w żołądku. Spodziewała się, że otworzy jej Fletcher. Widok znajomej twarzy w tym nieznanym otoczeniu bardzo by ją ucieszył. Ale widocznie majordomus był akurat czymś zajęty. Rozejrzała się po pokoju. Na stolikach piękne okazy chińskiej porcelany, na ścianach cenne malowidła. Stojący na kominku wielki, zdobny figurkami złotych cherubinków zegar wybił właśnie kwadrans... Czarny marmur na obramowaniu kominka olśniewał, perski dywan był tak puszysty, że grzęzły w nim stopy. Wnętrze rezydencji napawało jeszcze

większym podziwem niż jej wygląd zewnętrzny. Ivy doszła do wniosku, że popełniła błąd, przybywając tutaj.

Zbierała się już do wyjścia, gdy do salonu wszedł Tamberlake.

- To naprawdę ty, Ivy?

- Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

Zebrała fałdy spódnicy i chciała go wyminąć. Chwycił ją za ramię.

- Czy coś się stało?

- Nie, nie! Ja tylko... - Zatrzymała się i odwróciła do niego. -... chciałam ci podziękować, że przyszedłeś na mój bal.

Puścił jej ramię.

- Przyjechałaś tu tylko po to, żeby mi podziękować?

- Nie, ja... Potrząsnęła głową. - Lepiej już sobie pójdę.

- Zupełnie sama?

Spojrzał na nią z dezaprobatą.

- Tak. Nikt nie ma pojęcia, że tu jestem. No... z wyjątkiem stangreta. Ale on nie piśnie ani słowa. Muszę już wracać!

- Gdzie się podziała moja dawna, szczerą Ivy?

- Sama nie wiem... Bo ty... To znaczy ja... - Opadła na sofę i złożyła ręce na kolanach. - Ja się ciebie boję...

Na twarzy księcia odbiło się zdumienie, ale zaraz się uśmiechnął.

- Od kiedy moja dzielna Ivy boi się potworów? - spytał przypochlebny tonem.

- Źle się wyraziłam... Widzisz... byłam pewna, że już nigdy cię nie zobaczę.

Z twarzy Tamberlake'a nic nie można było wyczytać. -  
Rozumiem. Żałujesz swych nieprzemyślanych postępów.

- Nic podobnego! Wspominam każdą chwilę, którą ze sobą spędziliśmy. I żałuję tylko tego, że się już nie powtórzą- Zadrżała i ukryła twarz w dłoniach. - Nie powinnam tak mówić.

- Dlaczego? Sprawiałaś mi tym wielką radość. Auburn usiadł obok Ivy i wziął ją za rękę. Ściągnął z niej rękawiczkę i ucałował wnętrze dłoni.

Dziewczyna zamruczała jak kotka, ale zaraz wyrwała rękę z jego uścisku.

- Nie wolno ci tego robić!

- Czemu? Tak pragnę cię całować! - Wziął ją znów za rękę. -  
Tutaj... - Powtórnie ucałował jej dłoń. - I tutaj... -Przytulił usta do jej nadgarstka. -I tu także. - Rozpiął drobniutkie guziczki na jej mankiecie, podciągnął rękaw bluzki do łokcia i obsypał pocałunkami delikatne przedramię.

- Nie powinienes... - Nie cofnęła jednak ręki. -Jestem panem na swych włościach i mogę robić wszystko, co zechcę!

Ujął twarz Ivy w obie ręce i pocałował ją w usta.

Mimo wyrzutów sumienia rozkoszowała się tym pocałunkiem. Tak bardzo tęskniła za Auburnem! A teraz, siedząc przy nim, pojęła, że z dala od niego zawsze będzie czuła w sobie pustkę. Pozwoliła więc na to ostatnie zbliżenie, nim z wielkim żalem oderwała się od

ukochanego. Choć łzy napływały jej do oczu, spojrzała mu prosto w twarz.

- Nie mogę! Zrozum mnie, proszę...

Ostatnie jej słowo było ledwie dosłyszalnym szeptem rozpacz.

Książę puścił ją i wpatrywał się w jej twarz.

- Nie płacz, Ivy! Za żadne skarby nie zrobiłbym ci krzywdy!

- Nawet byś nie potrafił! - Z trudem wciągnęła powietrze i otarła łzę z policzka. - Przyjechałam tu prosić, byś nie próbował więcej spotykać się ze mną.

Tamberlake przez chwilę milczał.

- Teraz, gdy wróciłem do dawnego świata, chcąc nie chcąc, będziemy się nieustannie stykać.

- Wiem...

- Ufasz mi, Ivy?

- Całym sercem.

- Więc okaż mi to zaufanie. Dziś, jutro i każdego dnia-pocałował ją znowu, tym razem nie delikatnie, lecz zaborczo.

Zadrzała pod tą namiętą pieśczętą. Gdy język Auburna wtargnął do jej ust, przestała myśleć o niestosowności swego zachowania. Coś tak cudownego nie mogło być grzeszne! Poczuli się wolni i serce jej wezbrało miłością. Pragnęła go, musiała go mieć... i do diabła z konsekwencjami!

Tamberlake pierwszy oderwał się od niej. W samą porę! Ivy mrugała nieprzytomnie oczami, wyrwana nagle z odurzenia. Książę z

uśmiechem odgarnął jej z twarzy nieposłuszny kosmyk i założył za ucho.

- Jeśli proszę, żebyś mi ufała, powinienem udowodnić, że jestem godny zaufania, prawda?

Ogarnęło ją ponieważ poczuła winę.

- Pewnie uważasz mnie za rozpustnicę...?

- Nie jesteś żadną rozpustnicą, tylko cudowną dziewczyną, za którą szaleję. - Obciągnął rękaw jej bluzki i zapiął mankiet. Potem ucałował raz jeszcze dłoń Ivy, nałożył jej rękawiczkę. - Musisz wrócić do domu, nim zauważą twą nieobecność.

- Tak.

Ivy wstała.

- Wkrótce znów się spotkamy, przysięgam!

Po plecach Ivy przebiegł rozkoszny dreszcz. Poskromiła jednak ogarniającą ją radość.

- Ale Wynbrooke...

Książę przyłożył palec do jej ust.

- Zaufaj mi!

Wziął ją pod ramię i odprowadził do powozu. Pomagając jej wsiąść, szepnął:

- Już niedługo!

Odsunął się na bok i pomachał jej na pożegnanie. Ivy odjechała bez słowa. Obawiała się, że zdradzi się ze swą miłością do niego. Gdy powóz ruszył, odezwały się w niej znowu wyrzuty sumienia. Była przecież zaręczona!

Wiedziała, że Tamberlake nigdy jej nie zdradzi, ale nie miała zaufania do siebie samej.

Popołudniowe słońce dobrze jeszcze przygrzewało, gdy wreszcie wróciła do domu. Jej eskapada trwała prawie cały dzień. Wbiegła do salonu w chwili, gdy cała rodzina siadała do herbaty. Mając nadzieję, że nikt nie dostrzegł niestosownego pośpiechu, z jakim weszła do salonu, i nikt nie był świadkiem tego, jak wyskoczyła z powozu i popędziła do domu, zajęła puste miejsce przy stole.

Lady Dunleigh nalewała właśnie herbatę.

- ... I dostałam dziś jeszcze jeden liścik od lady Smythe-Jones.

Pisze, że wszyscy mówią tylko o naszym balu.

Podsuwała filiżanki wszystkim członkom rodziny.

- Wyśmienie! - stwierdził jej małżonek, sięgając po kanapkę.

Ivy spojrzała na matkę z niedowierzaniem.

- Więc twoje obawy, mamó, związane z obecnością lorda Tamberlake'a, okazały się bezpodstawne?

- Tak, na szczęście! Jego pojawienie się na naszym balu stało się największą sensacją w Londynie! Doprawdy, miałabym ochotę go pocałować... gdyby nie ta twarz... - zachichotała hrabina.

- Och! Nawet o niej nie wspominaj! - jęknęła Georgina. - Myślałam, że zemdleję na ten widok!

- On ma piękną twarz! - zaprotestowała gwałtownie Ivy.

- Dajże spokój, Ivy...! Nawet ty musisz przyznać, że wygląda okropnie - wtrącił się ojciec. - Niemniej, mamy się doprawdy czym poszczycić: pierwszą wizytę złożył w naszym domu!



Christopher spojrział na siostrę ze współczuciem.

- Prawdę mówiąc, gdy się lepiej pozna Tamberlake'a, zapomina się o jego twarzy.

- Nie sędzę, bym mogła kiedykolwiek przyzwycząić się do takiej twarzy! - stwierdziła Georgina, sięgając po ciasteczko.

- Przestańcie o nim mówić, jakby był jakimś osobliwym stworem! To człowiek, wspaniały człowiek! - wybuchnęła Ivy.

- Ale odludek, który na pięć lat zaszył się z dala od świata! - zauważył ojciec.

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby napisali o naszym balu w gazetach... - rozmarzyła się lady Dunleigh.

- Tak, to prawdziwy triumf! Sam bym tego lepiej nie zaplanował!

Lord Dunleigh wziął następną kanapkę.

Ivy odstawiła na stół filiżankę z herbatą, której nawet nie spróbowała. Nie miała ani apetytu, ani ochoty na konwersację.

- Książę jest uroczy, inteligentny... i tylko to się liczy.

- Zupełnie nie pojmuję, czemu się tak irytujesz! - zdumiała się Georgina. - Ja byłabym w siódmym niebie, gdyby lord Tamberlake wywołał taką sensację na moim zaręczynowym balu! Teraz wszyscy będą o tobie mówić i zapraszać cię na przyjęcia, nawet kiedy będziesz już stateczną matroną! I mam nadzieję, że papa dopilnuje, żebyś zawsze zabierała mnie ze sobą. Przecież i ja muszę znaleźć sobie męża!

Christopher ryknął śmiechem.

- Nie martw się, Georgie! Ojciec znajdzie ci idealnego męża, tak samo jak znalazł go dla Ivy.

-Nie mów do mnie „Georgie"! Jeszcze ktoś pomyśli, że jestem chłopcem!

- No, no, Georgino, nie zwracaj uwagi na wybryki Christophera ~ uspokajała ją matka.

- Nikt cię nie weźmie za chłopca - stwierdził z przekonaniem lord Dunleigh, pałaszując trzecią kanapkę. - zwłaszcza w tych wszystkich fatalaszkach, które tak drogo mnie kosztowały!

Ta pusta gadanina przyprawiła Ivy o ból głowy. Wstała od stołu.

- Czy mogę wrócić do swego pokoju? Jakoś niedobrze się czuję.

- No to idź i połóż się - powiedziała hrabina Dunleigh. -

Niebawem przyślę ci coś na uspokojenie nerwów.

Ivy wymknęła się z domu, wdzięczna losowi za chwilę spokoju. Na dworze nadal świeciło słońce, a ogród kusił wprost do przechadzki. Pod gołym niebem było o wiele chłodniej niż w dusznym salonie, choć wielkowiejskie wyziewy skaziły czystość powietrza. Jakże pragnęła spędzić ostatnie miesiące przed ślubem w którejś z wiejskich posiadłości rodziców! Przechadzając się po wypielegnowanych ścieżkach londyńskiego ogrodu, uśmiechnęła się na wspomnienie górskiej wspinaczki i ostrego marszu po nierównych, kamienistych drogach Walii.

Dość tego, Ivy! Po ślubie będzie wystarczająco dużo czasu na rzewne wspominki.

Ale żadne logiczne argumenty nie mogły wymazać z jej pamięci drogich wspomnień.

Tamberlake studiował leżące przed nim na biurku papiery. Savernake w krótkim czasie dostarczył mu wiarygodnych informacji. Nie rozwiązały one jednak nękających księcia problemów. Prawdę mówiąc, był przekonany, że wykorzystanie tych informacji skomplikowałoby tylko sprawę. A po wczorajszej wizycie Ivy chciał czym prędzej przystąpić do działania.

Fletcher wszedł do gabinetu.

- Bardzo przepraszam, milordzie, ale ma pan gościa.

Majordomus podał mu kartę wizytową.

- Lady Coville? - Tamberlake uniósł brew. – Wprowadź ją tutaj.

Po odejściu Fletchera książę wstał z fotela i podszedł okna. Lady Coville. Bardzo interesujące! Spojrzał na ogromny trawnik, na którym pięć lat temu odbywało się przyjęcie ogrodowe. Baronowa Coville była wówczas jego narzeczoną

Usłyszał szelest jej sukni i odwrócił się od okna. Wyglądała tak samo. No, może nieco starszej... ale zachowała dziewczęcą figurę i olśniewającą cerę. Oczy jej miały kolor fiołków i skrzyły się jak ametysty, jej wargi przypominały soczyste owoce. Włosy spływały spod czepka w złotych, wytwornych lokach. Tamberlake'owi natychmiast przypomniały się inne, ciemniejsze włosy i inne, piwne oczy. Były - jego zdaniem - znacznie atrakcyjniejsze.

- Auburn! Nie widzieliśmy się od wieków! - Lady Coville zbliżała się do niego z wyciągniętymi ramionami. Natychmiast chwyciła go za rękę.

- Witam, pani baronowo. Parsknęła beztroskim śmiechem.

- Chyba znamy się wystarczająco długo, by nie zwracać się do siebie tak oficjalnie!

- Niech ci będzie. Witaj, Daphne!

- To już brzmi o wiele lepiej. - Puściła jego rękę. Jej spojrzenie padło na jego twarz i uciekło w popłochu. Zadrżała lekko.

- Słyszałem, że straciłaś męża. Bardzo ci współczuję.

- Słyszałeś o tym, naprawdę? Roześmiał się.

- Nawet do walijskiej głuszy dociera londyńska prasa.

- Wobec tego wiesz zapewne, że moja żałoba po starym Coville'u dobiegła końca. - Omijała wzrokiem jego jedyne oko i pokryty bliznami policzek.

- „Stary Coville”? To niezbyt czułe określenie niedawno zmarłego męża.

- Daj spokój, Auburn! Nie musimy przed sobą udawać. Oboje dobrze wiemy, czemu wyszłam za barona. -Bo nie mogłaś przemóc wstrętu i wyjść za mnie. Powiedział to bez urazy. Sam się zdziwił, że nie odżyły w nim dawna wrogość, rozczarowanie i żal.

- Nie mów z taką goryczą!

Książkę potrząsnął' głową.

- Nie czuję żadnej goryczy.

- Byłam wtedy młoda i głupia.

- Nie mogłaś znieść mego widoku.

- Przecież mówię: byłam głupia.

- Więc przyjrzyj mi się teraz.

Daphne zawahała się, ale spojrzała na niego. Fiołkowe oczy rozszerzyły się. Nie ulegało wątpliwości, że czuje do niego odrazę, choć starała się ją przemóc. Wzdrygnęła się i z najwyższym wysiłkiem przybrała obojętny wyraz twarzy.

- Bardzo mi przykro... Daj mi trochę czasu, muszę do tego przywyknąć.

Tamberlake spojrzał na nią ze zdziwieniem. Nie czuł już do niej gniewu. Niewiele go obchodziło, że była narzeczona nadal nie może na niego patrzeć.

- Po coś tu przyjechała, Daphne?

- Popełniłam błąd, wychodząc za Coville'a.

- Trochę się spóźniłaś z tą refleksją.

- Ale może da się jeszcze naprawić moją fatalną pomyłkę?

- Jaką pomyłkę?

- Decyzję o zerwaniu naszych zaręczyn.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, przed upływem miesiąca zaręczyłaś się z Coville'em.

- Był stary. Dłuższe zwlekanie z podjęciem decyzji byłoby ryzykowne. - Daphne wzięła go pod rękę. - Kobieta musi dbać o swoje interesy. W dodatku miałam zaszarganą reputację przez te zerwane zaręczyny...

- Tylko siebie możesz o to winić.

- Powiedzmy, że tak. Ale teraz jestem wdową. Mogę sama decydować o swoim losie.

- Doprawdy?

- Przemyśl to. Może spełnią się wreszcie nasze marzenia?

- Czyżby to były oświadczyńy?

- Tak cię to dziwi?

Tamberlake przez chwilę przyglądał się baronowej. Potem odparł z uśmiechem:

- Interesująca propozycja. Muszę ją dokładnie rozważyć.

Napięcie Daphne osłabło.

- Byłam pewna, że mnie zrozumiesz! Tworzymy idealną parę-

Nim zdążył coś odpowiedzieć, do pokoju weszła jego matka.

- Witaj, Daphne! Kiedy Whitson zawiadomił mnie o twojej wizycie, nie mogłam w to uwierzyć! - Księżna objęła młodą kobietę. - Cóż cię sprowadza do Marsgrove?

- Wieść o powrocie Auburna.

Radość matki na widok Daphne nie zdziwiła księcia. Nawet wtedy, gdy brutalnie zerwała zaręczyny, matka obwiniała tylko jego.

- Wybaczcie, drogie panie, że was opuszczę. Mam ważną sprawę do załatwienia. - Zebrał rozłożone na biurku papiery i wyszedł z pokoju.

Co skłoniło Daphne do odwiedzenia Marsgrove? Nie uwierzył w bajeczkę o wyrzutach sumienia i gorącym pragnieniu uszczęśliwienia byłego narzeczonego. Nie, to niezupełnie tak...! Daphne zapewne nie miała nic przeciwko temu, by zostać księżną. Ale jego żoną...? Bardzo

wątpliwe! Jeszcze jedna zagadka. Nie znosił łamigłówek. Ale podejrzenia co do motywów Daphne chyba dość łatwo dadzą się wyjaśnić. Wyglądało na to, że szykuje się nowa robótka dla Savernake'a!

Scandalous

Lady Smythe-Jones wzięła Ivy pod ramię.

- Nie wyobrażasz sobie, moja kochana, jaką radość sprawia mi organizowanie dorocznego Dnia Sportu! Mając wokół siebie tylu młodych ludzi, sama znów się czuję młódką!

- To całkiem naturalne. - Ivy uśmiechnęła się do pulchnej matrony. Słońce świeciło im nad głową, dopiero co rozkwitłe kwiaty na rabatkach wokół trawnika skrzyły się barwami tęczy. - Zwłaszcza że dzień jest taki piękny!

- Musiał być piękny! Nigdy bym nie pozwoliła, żeby jakaś ulewa zniweczyła moją imprezę! Jest niesłychanie ważna... pod każdym względem. Czy wiesz, moje dziecko, ile przyszłych par małżeńskich zapoznało się i zakochało w sobie na tym oto trawniku...?

- Nie mam pojęcia.

- Ogromnie lubię pomagać przedsiębiorczym mamusiom w zastawianiu pułapek na potencjalnych zięciów! Albo na własną rękę swatać młodych ludzi. - Lady Smythe-Jones poklepała Ivy po rękę. - Nie mam oczywiście na myśli ciebie, moja droga: ty już znalazłaś sobie narzeczonego. I to nie byle jakiego... choć ten twój Wynbrooke trzyma się jakoś na uboczu. Ale ty zmienisz tego samotnika w duszę towarzystwa, nieprawdaż?

Mało prawdopodobne, pomyślała Ivy. Spojrzała na liczne grupki młodzieży rozsiane na olbrzymim trawniku-



- Czy to znaczy, że w pani imprezie biorą udział wyłącznie panny na wydaniu i kawalerowie do wzięcia.

- Nie, nie! To byłoby szczerze zbyt grubą nicią, nieprawdaż? - Lady Smythe-Jones zachichotała jak pensjonarka. - Mam nadzieję, że twoja mama zaprosi mnie do udziału w łowach na grubszą zwierzynę! Do waszej słodkiej Georginy już teraz lgnie mnóstwo młodych nicponi!

Ivy obejrzała się na siostrę. Lady Smythe-Jones miała rację: wokół Georginy kłębił się rój dżentelmenów.

- Rzeczywiście, chyba do niej lgną.

- A ciebie, moje dziecko, co najbardziej pociąga? Kręgle? Pall-Mall\*? Może strzelanie z łuku?

- Bardzo mi przykro, ale nie znam się na sporcie. Ivy zerknęła na Wynbrooke'a grającego w krykieta.

- Wolisz kibicować? Wcale ci się nie dziwię. Za życia mego drogiego Geoffreya zawsze go dopingowałam podczas polowania!

Hrabina Dunleigh pomachała do nich ręką i lady Smythe-Jones ruszyła w jej kierunku. Matka Ivy z kilkoma innymi damami rozsiadły się w wiklinowych fotelach. Gospodyni klapnęła na wolne miejsce. Ivy stanęła obok niej. W takim układzie lady Smythe-Jones nie mogła jej raczyć niekończącym się monologiem na temat swoich triumfów w roli swatki.

Lady Dunleigh wyprostowała się nagle w swym fotelu.

- Wielkie nieba! Kto by pomyślał, że i on się zjawi?!

Spojrzenie Ivy pobiegło ku drzwiom frontowym. Tamberlake stał na górnym stopniu schodów i rozglądał się dokoła. Ujrawszy

Ivy, uśmiechnął się i ruszył prosto do niej. Ivy otworzyła szeroko oczy. Co on tu robi?!

Wśród dam rozległy się szepty. Przybierały na sile, w miarę jak Tamberlake zbliżał się do nich, i urwały się nagle w momencie, gdy powitał je ukłonem.

- Dzień dobry, łaskawe panie! - Pochylił się nad ręką

Tradycyjne zawody w przepychaniu kuli przez żelazny pierścień za pomocą drewnianego młotka.

- Lady Smythe-Jones. - Serdeczne dzięki za zaproszenie. - Musnął pocałunkiem jej dłoń.

Lady Smythe-Jones zacisnęła wargi.

- Nie przypuszczałam, że pan się zjawi, milordzie.

- Miałbym stracić taką okazję? - Odwrócił się od starszej damy i uśmiechnął się do Ivy. - Wygląda pani zachwycająco, lady Ivy.

Mimo woli odpowiedziała mu serdecznym uśmiechem.

- Dziękuję za komplement, wasza książęca mość.

- W promieniach angielskiego słońca wydaje się pani jeszcze piękniejsza; pochmurna Walia nie była odpowiednim tłem dla pani urody.

Ivy poczuła znów na policzkach piekący rumieniec. Sama już nie wiedziała, co myśleć o tym spotkaniu. Komplementy Auburna sprawiały jej przyjemność, ale takim zachowaniem książę wywołał jeszcze więcej komentarzy. Po balu zaręczynowym dotarły do niej plotki na temat ich niezwyklej zażyłości. Tak gorące powitanie to woda na młyn dla plotkarzy. Przyjrzała się grupie siedzących w

pobliżu dam i zauważyła, że żadna z nich (z wyjątkiem lady Smythe-Jones) nie patrzy księciu w twarz.

- A zatem, młody człowieku, co pana skłoniło do przyjęcia mego zaproszenia? - dopytywała się organizatorka imprezy.

- Jak mógłbym odmówić wzięcia udziału w jednym z pani słynnych Dni Sportu?

Jego słowa wyraźnie pochlebiły lady Smythe-Jones.

Ivy obserwowała, jak Tamberlake czaruje gospodyni? dowcipnymi uwagami i wciaga powoli do ogólnej rozmowy pozostałe damy. Wkrótce nie obawiały się już spojrzeć na niego, choć omijały wzrokiem jego pokaleczony policzek.

- Zaraz się zaczną zawody łucznicze.

Ivy nie była pewna, kto wypowiedział głośno tę uwagę, ale w tym właśnie momencie Wynbrooke pojawił się u jej boku. Thorndike przyłączył się do nich chwilę później. Uśmiechnął się z wyższością do księcia i powitał go słowami:

- Co widzę? Tamberlake! Nie przypuszczałem, że cię tu spotkam, milordzie! Zamierzasz wziąć udział w zawodach?

Jedna z dam aż jęknęła, słysząc tę gruboskórną uwagę. Auburn spojrział na swoją laskę.

- Nie zamierzałem wstępować w szranki.

- A powinieneś, daję słowo! Ostatecznie przy strzelaniu z łuku nie trzeba biegać, prawda?

- Młody człowieku, pilnuj swego języka, bo będę musiała wyprosić cię z mego domu - zgromiła go lady Smythe-Jones.

- Proszę się nie denerwować, droga pani - uspokoił ją Tamberlake, po czym zwrócił się do Thorndike'a: - Tak mnie namawiasz, że z przyjemnością spróbuję swoich sił.

Energicznie wbił koniec laski w ziemię, zmierzając w stronę przeznaczonego dla łuczników poletka. Ivy przygryzła wargę, by nie krzyknąć, gdy laska ugrzęzła w sypkim piachu i Auburn omal nie upadł. Szybko się jednak wyprostował i bez przeszkód dotarł na miejsce razem z pozostałymi zawodnikami. Znaleźli się wśród nich także Wynbrooke i Thorndike.

Lady Smythe-Jones znów wzięła Ivy pod ramię.

- Ale z niego zuch! Zachowuje się tak, jakby nie był gorszy od innych.

- Bo wcale nie jest gorszy! - wyrwało się Ivy, nim zdążyła się opamiętać.

-Miałam na myśli jego szramy, drogie dziecko. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że przyszedł! Po tej sensacji na twoim balu wiedziałam, że muszę go zaprosić na mój Dzień Sportu. Ale nie miałam większej nadziei, że się tu zjawi. Pomyśl, jaka to wspaniała reklama: wszyscy się będą tłoczyli na moje imprezy!

Lady Smythe-Jones znów zachichotała jak pensjonarka, Tarcze ustawiono w odległości dobrych siedemdziesięciu pięciu metrów od zawodników, którzy stanęli w szeregu, czekając na swoją kolej. Kiedy dołączył do nich Tamberlake, znowu rozległy się szepty. Najpierw trzeba było napiąć łuk. Zaczepiwszy cięciwę z jednego końca, niektórzy niefortunni strzelcy przekonali się, że jest za krótka: nie byli

w stanie naciągnąć jej tak, by sięgnęła drugiego końca. Innym złośliwie wymykała się z rąk. Ku radości Ivy Auburn nie miał podobnych kłopotów.

W końcu uzbrojeni w łuki zawodnicy zajęli stanowiska. Tamberlake stanął pod jakimś dziwnym kątem, ale trzymał się pewnie na nogach. Służący wręczył każdemu z łuczników strzałę. Księżę nasadził ją na cięciwę i zmierzył wzrokiem tarczę. Ivy wstrzymała oddech.

- Strzelajcie, panowie!

Świst wypuszczanych strzał i brzęk cięciwy przypominał występ jakiejś niezbyt ze sobą zgranej orkiestry. Kilku służących pobiegło na drugi koniec pola sprawdzić wyniki. Odnotowali najcelniejszych zawodników i przygotowali tarczę dla następnej grupy. Kiedy już wszyscy oddali strzały, sędziowie ogłosili, kto przeszedł do następnej rundy.

- Panowie oznaczeni numerami: dwa, trzy, osiem, dwanaście, piętnaście, szesnaście...

Ivy nie słuchała dalej. Tamberlake był zawodnikiem numer osiem. Znalazł się w dziesiątce najlepszych łuczników. Strzały pofrunęły znów do celu. Ivy z zapartym tchem czekała na wyniki.

- Numer trzy, osiem, piętnaście...

Zaczęła klaskać. Tamberlake zakwalifikował się do finałowej piątki. Wynbrooke odpadł w pierwszej rundzie, Thorndike w drugiej.

Pięciu finalistów zajęło stanowiska. Ivy wpatrywała się w księcia. Odwrócił nieco głowę, by lepiej widzieć cel swoim jedynym okiem. Przygryzła mocno dolną Strzały śmignęły znów w powietrzu.

Strzała Auburna zatoczyła wdzięczny łuk. Z miejsca gdzie stała Ivy, strzał wydawał się bezbłędny... ale czekając na werdykt sędziów, podniosła obie ręce do ust i kurczowo zacisnęła palce.

- Zwyciężył zawodnik numer osiem.

Ivy klaskała, aż jej ręce spuchły, i śmiała się, aż ją policzki rozboleły. Auburn wygrał!

Tamberlake oddał łuk służącemu, wsparł się znów na lasce i ruszył prosto do Ivy. Wynbrooke i Thorndike stali obok niej. Na widok jej radosnego podniecenia książę uśmiechnął się szeroko, po czym zwrócił się do Thorndike'a.

-Miałeś rację, Thorndike! Przy strzelaniu z łuku nie trzeba biegać.

Wynbrooke klepnął go po plecach.

- Objawiły się ukryte talenty! Jakie jeszcze niespodzianki chowasz w zanadrzu, Tamberlake?

- Gdybym je wyjawiał, nie byłoby już niespodzianki.

Nieprawdaż?

Z ust Ivy nie schodził radosny uśmiech. Auburn pochylił się ku niej i szepnął jej do ucha:

- Gdybym miał pod ręką własny łuk, spisałbym się lepiej!

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Cóż może być lepszego niż pierwsza nagroda? Wzruszył ramionami.

- Zdobyłbym nie tylko pierwszą, ale drugą i trzecią! Po panach spróbowały swoich sił w łucznictwie damy, a następnie goście obiegli tłumnie lady Smythe-Jones, która stanęła obok stołu uginającego się pod mnóstwem nagród i gestem nakazała ciszę.

- Takich emocji jak dziś nie przeżywałam od... No, bądźmy szczerzy: od ubiegłorocznego Dnia Sportu! Mam jednak wrażenie, że dzisiejsza impreza narobi jeszcze więcej szumu. Goście odpowiedzieli na ten żarcik uprzejmym śmiechem. Podziękowała skinieniem głowy i ciągnęła

- A więc .po pierwsze : nagroda dla zwycięzcy w Pall Mall  
Lady Smythe-Jones wręczyła mnóstwo nagród osobom, które zwyciężyły w najrozmaitszych konkurencjach. Ivy nie mogła się doczekać chwili, gdy przyjdzie kolej na łuczników.

- Co prawda, nie były to oficjalne mistrzostwa według ścisłych reguł... ale ta złota strzała niewątpliwie należy się najlepszemu z łuczników w naszym gronie, księciu Tamberlake'owi! Zadziwiłeś nas wszystkich, młodzieńcze!

Tamberlake przyjął z ukłonem małą złotą strzałę.

- Dzięki, milady. To był dla mnie prawdziwy zaszczyt... i wyśmienita zabawa!

- Liczę na to, że zjawisz się tu za rok, żeby bronić mistrzowskiego tytułu.

- Oczywiście, to kwestia honoru.

Książę odszedł od stołu z nagrodami i rozejrzał się za Ivy. Znalazłszy się u jej boku, wręczył jej swą nagrodę.

- Wygrałem ją dla pani. Wynbrooke zrobił wielkie oczy.

- To szczere złoto!

- Nie mogę tego przyjąć - wzbraniała się Ivy, ale gest Auburna zrobił na niej wrażenie.

- To uroczę świecidełko powinno należeć do uroczej damy - stwierdził książę, kładąc złotą strzałkę na dłoni Ivy; jej palce mimo woli zacisnęły się na błyskotce.

Ivy zadrżała.

Tamberlake rzucił jej wymowny uśmiech i puścił jej rękę.

- Czemu nie wzięła pani udziału w zawodach?

- Nigdy w życiu nie strzelałam z łuku.

- Może mógłbym pani wyjaśnić, jak to się robi? Nie masz chyba nic przeciwko temu, Wynbrooke, że uprowadzę na chwilę twoją narzeczoną?

Nie czekając na odpowiedź, książę wetknął mu złotą strzałę do ręki i podał ramię Ivy.

- N... nie, nic... - zdołał wreszcie wykrztusić markiz, ale oni byli już daleko.

Tamberlake wrócił z Ivy na poletko, gdzie niedawno odbywały się zawody łucznicze. Położył laskę na ziemi i wziął do ręki jeden z łuków. Napiął go i wręczył swej towarzyszce.



- Najważniejsza jest właściwa postawa. Ja muszę oszczędzać słabszą nogę, ale ty powinnaś oprzeć się mocno na obu. I ustaw się ramieniem do tarczy.

Ivy zastosowała się do jego wskazówek. Auburn stanął za nią.

- Doskonale! Teraz podnieś łuk...

Gdy to zrobiła, wyciągnął ramiona tak, że znalazła się w jego objęciach. Niby tego nie dostrzegając, nasadził strzałę na cięciwę łuku.

- A teraz spróbuj odciągnąć cięciwę! Szarpnęła, ale niewiele to dało.

- Spróbuj tak!

Otoczył ją ramionami, położył ręce na jej dłoniach i odciągnął cięciwę. Ivy rozejrzała się dokoła.

- Ludzie się na nas gapią!

- Patrz na tarczę, nie na gapiów - powiedział z łagodnym wyrzutem. - Widzisz wyraźnie środek?

-Tak.

- Doskonale! Ustaw łuk tak, by ostrze strzały celowało nieco wyżej. Gotowe?

-Tak.

- Kiedy powiem „już”, odciągnij cięciwę. Wypuść ją po Prostu z palców.

Zmienił nieco pozycję. Teraz jeszcze bardziej napierał na Ivy.

-Już!

Puściła cięciwę. Strzała wyleciała w powietrze, ale Ivy nie miała pojęcia dokąd. Żar bijący od Tamberlake'a tak ją otumanił, że nie była w stanie myśleć o niczym innym, Trafiłaś w tarczę - stwierdził księżę i odsunął się od niej.

Poczuła na plecach chłodny powiew i nieco oprzytomniała, choć brakowało jej uścisku męskich ramion. Zmrużyła oczy i zerknęła w stronę tarczy.

- Ale nie w sam środek! - pożaliła się. Tamberlake wybuchnął śmiechem.

- Za pierwszym razem?! To byłoby zbyt wiele szczęścia. Ale z przyjemnością udzielę ci dalszych lekcji.

Ivy odwróciła twarz ku niemu, a zaraz potem spostrzegła grupę ciekawskich, którzy ich bacznie obserwowali.

- O, Boże! Znowu się na nas gapią.

- Tym lepiej!

Nie zrozumiała tej zagadkowej uwagi. W tym momencie podbiegła do nich jej matka, a tuż za nią Georgina.

- Co ty wyprawiasz, Ivy?!

- Lord Tamberlake uczył mnie strzelać z luku.

- Doprawdy? Nigdy bym się tego nie domyśliła - syknęła Georgina.

Wynbrooke zbliżył się do nich. Wręczył Ivy złotą strzałę i powiedział z chmurną miną:

- Właśnie podają lekki poczęstunek. Przyznam, że jestem głodny.

- Przyłączysz się do nas, milordzie? - zwróciła się Ivy do Auburna.

- Dziękuję, ale nie skorzystam. Muszę już wracać.

Na twarzy lady Dunleigh odbiła się ulga. Markiz ujął narzeczoną za ramię i odciągnął ją jak najdalej od Tamberlake'a. Matka i siostra Ivy poszły w ślad za nimi. Ivy obejrzała się przez ramię. Księżę uśmiechał się od ucha do ucha.

Nie miała pojęcia, co go aż tak uradowało.

Scandalous

We frontowym hallu Marsgrove księżna Tamberlake naciągnęła rękawiczki i rozejrzała się za swym okryciem.

- Jesteś wreszcie gotowa?

Rozpoznawszy głos syna, odwróciła się raptownie.

- Auburn? Czemu, u licha, skradasz się po ciemku?

- W ciągu ostatnich pięciu lat nabrałem upodobania do ciemności. - Podszedł do matki. - Możemy już jechać?

- Wybieram się na bal. A ty dokąd?

- Na ten sam bal, co ty. Pomyślałem, że dwa powozy to stanowczo za dużo. Doskonale pomieścimy się w jednym.

Lady Tamberlake uniosła brwi.

- Naprawdę wybierasz się na bal? Książę wygładził klapę czarnego fraka.

- Czyżbym nie był stosownie ubrany? - Sztywny kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli nieznośnie wpijał mu się w szyję, ale Auburn przysięgł sobie, że nie będzie na to zważał.

Księżna przyjrzała się synowi uważnie.

- Jak najbardziej stosownie, ale nigdy by mi nie przyszło do głowy, że zechcesz mi towarzyszyć.

- Potraktuj to jako niespodziankę.

- Mam ich ostatnio aż za wiele.

Auburn odebrał z rąk lokaja pelerynę i narzucił ją matce na ramiona.

Pomyśl tylko o sensacji, jaką wywołasz, pojawiając się w moim towarzystwie. ja miałabym wywołać sensację? W całym Londynie aż się trzęsie od plotek na twój temat. Marnotrawny syn wrócił na łono swojej sfery!

- To nie plotki, matko, tylko szczerą prawdą. Ja rzeczywiście wróciłem.

Aż sapnęła z irytacji.

- Wywołujesz ogólne poruszenie, gdziekolwiek się pojawisz.

- Mówisz tak, jakbym był duchem!

- Bzdura! Wzbudzasz zainteresowanie tylko dlatego, że londyńska śmietanka towarzyska kiśnie z nudów. W wielkim świecie od lat nie wydarzyło się nic ciekawego.

- Tym bardziej nie mogę sprawić im zawodu. Idziemy? Auburn podał matce ramię. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Wreszcie przypomniałeś sobie o dobrych manierach! Wsparała się na ramieniu syna i pospieszyla do czekającego na nich powozu.

Było już ciemno, gdy dotarli do rezydencji Hillsforthów, gdzie odbywał się dzisiejszy bal. Po obu stronach ulicy stały rzędy powozów. Tamberlake dał stangretowi jakieś instrukcje i pomógł matce wysiąść. Z wnętrza domu dobiegała muzyka, a z rzęście oświetlonych pokoiw bił blask na frontowy dziedziniec. Przed domem kręciło się mnóstwo służby. Księżę podprowadził matkę do drzwi; w hallu lokaj odebrał od nich wierzchnie okrycia.

W głębi domu szmer niezliczonych rozmów zlewał się z dźwiękami muzyki. Tamberlake'owi udało się znaleźć dla matki i dla

siebie dość wygodny kącik. Dostrzegał biegnące ku nim zaciekawione spojrzenia, słyszał towarzyszące im szepty. Doskonale! Zauważono jego przybycie.

Podeszła do nich dama w iście królewskiej toalecie. Uścisnęła obie ręce lady Tamberlake i ucałowała ją w oba policzki.

- Witaj, Honorio! Już się obawiałam, droga przyjaciółko, że cię dziś nie zobaczę!

- Za żadne skarby nie opuściłabym twojego balu, Alice -odparła księżna. Gestem ręki przywołała Tamberlake'a. -Przypominasz sobie mojego syna?

Pani domu na chwilę zamilkła, ale zaraz znów się uśmiechnęła.

- Oczywiście, że pamiętam! Milordzie, czuję się zaszczycona, że zechciał pan przybyć na moje skromne przyjętko...

- Dzięki za zaproszenie i wszystkie miłe słowa, lady Hillsforth! Ale doprawdy nigdy bym nie nazwał „skromnym przyjętkiem” tego imponującego zgromadzenia. Wszystko wskazuje na to, że okaże się sensacją sezonu i wywoła konsternację wśród dam, które usiłując pani dorównać, będą musiały wspiąć się na wyżyny królewskiej wspaniałości i nienagannego smaku.

Matka spojrzała na Auburna ze zdumieniem, a lady Hillsforth aż poczerwieniała z radości.

- Jest pan dla mnie zbyt łaskawy, milordzie!

- Skądże znowu! Po prostu mówię to, co myślę - odparł z ukłonem.

- Wobec tego zapraszam gorąco i życzę dobrej zabawy. Nie brak tu uroczych dziewcząt, które czekają na partnerów do tańca... -

Dostrzegła laskę Tamberlake'a. - Ach, cóż za faux-pas!

- Proszę się nie przejmować taką drobnostką, milady. Jeszcze się pani przekona, na jak wiele mnie stać!

Lady Hillsforth zachichotała.

- No to bawcie się dobrze! Muszę się przywitać z innymi gośćmi... Jak tylko się z tym uporam, Honorio, odszukam cię na sali...

- To rzekłszy, lady Hillsforth ruszyła na spotkanie nowo przybyłych gości.

Lady Tamberlake z otwartymi ustami wpatrywała się w syna.

- Jeśli dłużej będziesz mierzyć mnie takim wzrokiem, matko ktoś gotów pomyśleć, że zupełnie postradałem zmysły.

- Udało ci się oczarować Alice...! Gotowam uwierzyć, że pobyt w Walii czyni cuda!

- To nie Walia dokonała cudu, matko. - Obdarzył ją półuśmiechem i poprowadził w głąb domu. Spoglądając ponad głowami innych gości, bezskutecznie wypatrywał dziewczyny, dla której tu przybył. Widać jeszcze się nie zjawiała.

- Wobec tego może mi zdradzisz, co cię tak odmieniło?

- Jeszcze nie teraz.

Lady Tamberlake zamilkła. Spojrzała na syna takim wzrokiem, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu, potem zaś skinęła głową.

- Niech i tak będzie. Zaniecham dalszych pytań. Liczę jednak na to, że otrzymam kiedyś wyjaśnienie.

- O, lord Tamberlake! - Daphne pomachała do nich ręką i zaczęła się przepychać w ich stronę. Dotarłszy do celu, wykonała głęboki dyg. - Lady Tamberlake, milordzie, cóż za urocza niespodzianka! Już się obawiałam, że nie spotkam na tym przyjęciu nikogo interesującego!

- Chyba nie mogło być aż tak źle - zauważył Tamberlake.

Daphne rzuciła mu wymowne spojrzenie.

- Nikogo tak interesującego jak ty - szepnęła cichutko, żeby tylko on dosłyszał.

- Dostrzegłam właśnie kogoś z dawnych przyjaciół. Wybaczenie, że was opuszczę - odezwała się lady Tamberlake. - Po cóż wam zresztą towarzystwo starszej pani? Sami się lepiej dogadacie. - Poklepała baronową po ramieniu i znikła.

- Ogromnie się cieszę, że cię widzę, Auburnie - powiedziała Daphne, uwiesiwszy się na jego ramieniu.

Tamberlake pożałował ponieważ, że nie przejrzał uważniej listy gości zdobytej przez Fletchera. Obecność Daphne mogła spowodować komplikacje, zwłaszcza jeśli nadal będzie się go czepiać jak pijawka!

- Czy poświęciłeś choć trochę czasu kwestii, nad którą miałeś się zastanowić?

- Jeszcze nie. Nadała się uroczo.

- Zaczynam podejrzewać, że już ci na mnie ani trochę nie zależy!



Te wypracowane przed lustrem sztuczki nie robiły już na nim wrażenia. Nie zamierzał odgrywać komedii, uwłaszcza dzisiaj.

- Nie przyszedłem na bal, Daphne, żeby dyskutować...

- Więc zatańcz ze mną! - Pociągnęła go w stronę parkietu.

- Chyba nie powinienem. Moja noga... - Oparł się mocniej na lasce.

Baronowa stanęła jak wryta. Spojrzała na jego nogę i lekko zadrżała.

- A, prawda... zapomniałam.

Omal się nie roześmiał. Czemu napastowała go z takim uporem, skoro wyraźnie było widać, że czuje się nieswojo w jego towarzystwie? Szkoda, że Savernake nie dostarczył jeszcze pożądanых informacji! Książę wpatrywał się w ładniutką twarzyczkę byłej narzeczonej i zastanawiał się, ile jeszcze czasu upłynie, zanim jej prawdziwy charakter ujawni się na zewnątrz, niszcząc nieskalanie piękną maskę?

I nagle ujrzał Ivy na parkiecie. Tańczyła z markizem.

Wynbrooke poruszał się o wiele zgrabniej niż on i miał znacznie więcej wdzięku. Ale tego akurat Tamberlake mu nie zazdrościł. Bez namysłu odwrócił się od Daphne i skierował się w stronę parkietu.

- Ależ, Auburnie! Dokąd ty idziesz?! - spytała zaskoczona Daphne, usiłując go dogonić. Jej złote loki podskakiwały jak sprężynki przy każdym kroku, gdy spiesznie drobila za nim.

Ponieważ nie puszczała jego ramienia, książę próbował odczepić jej natrętne palce.

- Dostrzegłem właśnie kogoś, z kim mam do pomówienia

Wybacz, że cię opuszczę.

- Ależ, Auburnie...!

Nie czekał na dalszy ciąg. Taniec dobiegał końca, przyspieszył więc i zagroził im drogę. Markiz odprowadzał właśnie narzeczoną na dawne miejsce.

- Dobry wieczór, lady Ivy. Jak się masz, Wynbrooke? Ivy aż się rozpromieniła na jego widok.

- Lord Tamberlake! Jak miło znów cię widzieć, milordzie! - Zgrabnie dygnęła.

- Ostatnio jakoś często się spotykamy. - Wynbrooke nawet nie próbował ukryć swego zniecierpliwienia.

- Nie tak często, jak bym tego pragnął. Widok lady Ivy jest jak balsam, co bóle uśmierza.

Mówił dostatecznie głośno, by zwrócić uwagę licznych gości stojących w pobliżu. Skłonił się przed dziewczyną.

- Czy mogę prosić o następny taniec?

- Oczywiście! - odparła impulsywnie Ivy, ale zaraz obejrzała się na narzeczonego.

- Idźcie już, idźcie! - rzekł Wynbrooke i machnął niecierpliwie ręką, jakby im wskazywał drogę na parkiet.

Odezwała się znów muzyka. Tamberlake wręczył Wynbrooke'owi swą laskę. Rozbawiła go mina zbitego z tropu markiza. Gdy zabrzmiały pierwsze tony walca, wziął Ivy w ramiona.

Choć nie był najlepszym tancerzem, modny rytm na trzy czwarte zauroczył oboje.

- Tęskniłem za tobą - powiedział, przytulając Ivy jeszcze mocniej. - Tęskniłem za chwilą, kiedy znów będę trzymał cię w ramionach.

Ivy podniosła na niego oczy. Jak zawsze zdumiało go spokojne, pozbawione wszelkiej odrazy spojrzenie, jakim obrzuciła jego twarz. I ten szczery uśmiech...! Na chwilę odprężyła się w jego ramionach, ale zaraz znowu zeszywniała-

- Nie powinieneś mnie tak ścisnąć.

-I to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Dobrze wiesz, że nie mogę ci powiedzieć nic więcej.

Wynbrooke się zorientuje. Ludzie zaczną gadać.

Auburn schylił się i szepnął jej do ucha:

- Niech sobie gadają! Nie dbam o to, gdy mogę trzy-nać cię w ramionach i marzyć o czymś więcej... - Spozregł z satysfakcją, że Ivy znów się oblewa rumieńcem.

- Auburnie, przestań!

- Mam przerwać taniec? A może zostawić cię samą na parkiecie?

Dopiero by się ludzie gapili!

- Umyślnie wszystko przekręcasz! - rzuciła oskarżycielskim tonem.

- Oczywiście. I nie rób takich min! Jeszcze ktoś pomyśli, że działałam ci na nerwy. - Kątem oka dostrzegł Daphne. Obserwowała ich. Wykonał ryzykowny obrót i z obrzeża poprowadził Ivy na

zatłoczony środek parkietu. - No! Teraz nikt nas nie dostrzeże w tym ścisku!

Ivy roześmiała się.

- Jesteś niepoprawny!

- O, to mi się bardziej podoba. Twojego śmiechu takie mi brakowało. - Przez chwilę tańczyli w milczeniu. -Mógłbym przez całe życie z tobą tańczyć...

- Nie opowiadaj takich rzeczy!

- Oj, Ivy, Ivy! Kiedy ty mi wreszcie uwierzysz?! Muzyka umilkła.

Książę znów się pochylił i szepnął partnerce do ucha:

- Zaufaj mi!

Z wyraźną niechęcią wypuścił Ivy z uścisku, ale nadal trzymał ją pod łokieć, gdy schodzili z parkietu. Wynbrooke już na nich czekał. Gdy tylko znaleźli się w zasięgu ręki, wyciągnął laskę w stronę Tamberlake'a. Książę skłonił się przed Ivy, przekazał ją narzeczonemu i dopiero wówczas odebrał swą laskę.

- Może przynieść wam coś do picia? - zaproponował uprzejmie.

Wynbrooke zmarszczył brwi.

- Możemy sami pofatygować się... Wobec tego pozwólcie, że pójdę z wami.

Znalazł się nagle po drugiej stronie Ivy i nim narzeczony mógł zaprotestować, wziął ją pod ramię i podprowadził do zastawionego mnóstwem trunków i napojów stołu w sąsiednim pokoju. Markiz szedł

z tyłu, bezskutecznie starając się zrównać z nimi, gdyż musiał przedzierać się przez tłum.

Tamberlake podał Ivy wysoki kieliszek, drugi wziął dla siebie. Próbowali właśnie szampana, gdy Wynbrooke do nich dołączył.

- A, jesteś nareszcie! Już myśleliśmy, żeś się na dobre zawieruszył - powitał go Tamberlake, wręczając mu kieliszek szampana.

- Ja... tylko... ta ciżba... - wymamrotał Wynbrooke i pociągnął spory łyk.

- Czy Thorndike dziś ci nie towarzyszy? Myślałem, że nie ruszasz się nigdzie bez niego. - Mówiąc to, książę obserwował rywala znad kieliszka.

- Roger nie przepada za takimi rozrywkami. Został dziś w domu.

- Więc przyszedłeś tu wyłącznie dla lady Ivy - stwierdził Tamberlake.

- Oczywiście. Powinniśmy jak najczęściej pokazywać się razem, rozumiesz?

- Jak przystało na zakochaną i zaręczoną parę. Mam wrażenie, że te idiotyczne reguły gry wymyśliły zdesperowane mamy, chcąc za wszelką cenę przekonać opornych kawalerów, że droga do ołtarza nie jest usiana cierniami, tylko różami. No, mnie tam nie musiały przekonywać. Z własnej woli rozglądam się za żoną.

Markiz zakrztusił się szampanem.

- Rozglądasz się za żoną?!

- Nawet już sobie coś upatrzyłem. Ivy spojrzała na Auburna. Wyraz bólu na jej twarzy całkiem go rozbroił.

- Ale z ciebie cicha woda...! jeśli mówisz prawdę. Nie słyszałem żadnej plotki na temat ciebie i jakiejś pannicy -zdumiał się Wynbrooke.

-Jest pewna dama, która bardzo mi się podoba, ale jeszcze za wcześnie, by wymieniać ją z nazwiska. - Auburn zerknął na Ivy, a potem klepnął po plecach jej narzeczonego. - Gdy przyjdzie na to pora, pierwszy się o tym dowiesz. Zaufaj mi! - Tamberlake miał nadzieję, że Ivy domyśli się, iż ostatnie dwa słowa były adresowane do niej.

- To doprawdy niespodzianka, słowo daję! - Wynbrooke uśmiechnął się od ucha do ucha. - Ale się Roger zdziwi, jak mu opowiem!

Ponad ramieniem Wyndbrooke'a mignęła księżniczce Daphne. Zmierziała prosto do niego. Tamberlake odstawił kieliszek na stół.

- Pozdrów go ode mnie, dobrze? Jeszcze raz dziękuję za taniec, lady Ivy. Nie potrafię wyrazić, ile dla mnie znaczył. - Podniósł jej rękę do ust i ucałował.

- Zobaczymy się niebawem... prawda, milordzie? - spytała Ivy.

- Oczywiście. Może nie dziś i nie tu, ale wkrótce. Odwrócił się i zagroził drogę baronowej, zmierzającej do ich stołu.

- Mogę ci podać coś do picia, Daphne?

- Dziękuję, nie mam ochoty. Kim jest ta dziewczyna, z którą tańczyłeś?

- Lady Ivy St. Clair? To dobra znajoma.

Daphne uniosła brew i zerknęła na Ivy.

- Doprawdy...? Jak dobrze zdążyliście się zaznajomić?

- Nieźle.

- Wmawiałeś mi, że nie możesz tańczyć!

- O ile pamiętam, wyraziłem się „nie powinienem tańczyć -

Znów oparł się mocniej na swej lasce. - Noga mi potem bardzo dokucza.

Baronowa była wyraźnie zbita z tropu.

Jutro będę musiał odpokutować to szaleństwo. – Podał byłej narzeczonej ramię. - Poszukajmy mojej matki, dobrze?

Lady Coville robiła wrażenie kompletnie zdezorientowanej, gdy oparła się na jego ramieniu, on zaś odciągnął ją jak najdalej od Ivy.

W ciągu następnych tygodni dokądkolwiek udała się Ivy, tam niezawodnie zjawiał się Tamberlake. Jeśli była na balu, tańczył z nią. Jeśli wybrała się na soiree musicale (wieczór muzyczny), siadał obok niej. Zebrani nie milkli już na jego widok. I choć tylko nieliczni spoglądali mu w twarz, jego obecność na przyjęciach nie wzbudzała już sensacji. Nawet plotki na jego temat miały teraz nieco inny charakter: dotyczyły przeważnie jego stosunków z Ivy.

Gdy siedzieli obok siebie, Tamberlake opowiadał jej po cichu zabawne anegdotki lub robił szeptem kąśliwe uwagi. Nic więc dziwnego, że Ivy wybuchała śmiechem, co przyciągało oczywiście uwagę znajdujących się w pobliżu gości. Ilekroć zeszli z parkietu, przynosił jej talerz pełen smakołyków lub kielich szampana, ignorując całkowicie Wynbrooke'a, który zjawiał się u boku narzeczonej.

Ivy nie wiedziała, co o tym myśleć. Względy okazywane jej przez księcia cieszyły ją, wiedziała jednak, że jego zachowanie rodzi coraz to nowe plotki. Nie raz i nie dwa przechadzając się po sali, słyszała jak łączono jej imię z imieniem Tamberlake'a. Niejednokrotnie wchodząc do pokoju, spostrzegała, że na jej widok urywa się rozmowa. Wynbrooke nigdy nie poruszał tego tematu. Ivy nie była nawet pewna, czy narzeczoney orientuje się w sytuacji.

Za to jej ojciec wiedział aż za dobrze, co się święci. Po dwóch tygodniach skandalicznego postępowania Tamberlake'a lord Dunleigh wezwał córkę do swego gabinetu.



- Żądam natychmiastowych wyjaśnień, Ivy!

- Jakich wyjaśnień? O co ci chodzi, ojczy?

- O to, co cię łączy z księciem! Wszyscy plotkują na wasz temat. Krew napłynęła Ivy do twarzy.

- To całkiem niewinna przyjaźń.

Ojciec pomachał groźnie palcem przed jej zaróżowioną buzią.

-Tylko mi nie kłam, moja panno! Nie pozwolę, by szargano imię mojej córki, jak jakiejś ladaczniczki!

- Od powrotu z Walii zachowuję się bez zarzutu, ojczy - powiedziała zgodnie z prawdą. O tym, co się wydarzyło w Walii, ojciec nie musiał wiedzieć. - Nie mogę zabronić ludziom rozsiewania plotek na mój temat ani rozkazać księciu, by się do mnie nie odzywał.

- Ludzie zaczynają podejrzewać, że łączy was coś więcej niż zwykła znajomość. Na szczęście, pod naszym dachem nie zdarzyło się nic niestosownego. Obserwowałem cię bacznie, moja droga!

Szpiegował ją?!

- Oczywiście, że nic się nie zdarzyło pod naszym dachem.

Księżę nie zjawiał się u nas ani razu od mego zaręczynowego balu - odparła z nutką irytacji.

Lord Dunleigh wstał.

- Jakim tonem zwracasz się do ojca?! Jeszcze nie jesteś mężatką. Póki się nie przeniesiesz do domu męża, ja ponoszę za ciebie odpowiedzialność. I nie pozwolę, byś naraziła na szwank nasze dobre imię dla głupiego kaprysu!

- Myślałam, że ojcu zależy na poparciu ze strony Tamberlake'a.

- Nie przekreślaj moich słów! Potrafię zadbać o swą karierę bez twojej pomocy. Jesteś tylko kobietą i powinnaś znać swoje miejsce. - Hrabia opadł na fotel i otarł spoconą twarz chusteczką. - Wysłałem twego brata, by pogadał z księciem. Gdyby odkrył, że się zdarzyło coś niestosownego, ma mi o tym od razu zameldować.

Ivy wzięła głęboki oddech i policzyła do trzech.

- Nie zrobiłam nic niestosownego, ojcze.

- Doskonale. W takim razie nie masz się czego obawiać. A teraz możesz odejść! - Machnięciem ręki wyprosił ją z gabinetu.

Kiedy Ivy wracała do swego pokoju, myśli kłębiły się jej w głowie. Ojciec może nie miał się czego bać, ale ona jak najbardziej! Wcale jej nie cieszyło, że stała się tematem plotek, ale nie uradowałaby się także, gdyby Auburn przestał okazywać jej względy. Zdumiewało ją, że żądał od niej absolutnego zaufania. Ufała mu, owszem... ale do czego on w końcu zmierzał?!

- A, tutaj pani jest, lady Ivy! Pewna dama chce się z panią widzieć - oznajmiła pani Pennyfeather. - Pani hrabina dotrzymuje jej towarzystwa w salonie.

- Któż to taki?

- Niejaka lady Coville. Baronowa.

- Ależ ja nie znam żadnej lady Coville!

Ivy wcale nie ucieszył kolejny dowód jej rosnącej popularności.

- Najlepiej będzie, jeśli pani sama z nią porozmawia i dowie się, o co chodzi - podsunęła łagodnym tonem pani Pennyfeather.

Ivy roześmiała się w duchu.

- Oczywiście, tak będzie najlepiej.

Gdy weszła do salonu, ujrzała piękną kobietę, która uśmiechała się z przymusem, słuchając paplania lady Dunleigh. Ivy nie słyszała słów matki, ale z jej ożywionych gestów i minek domyśliła się, że hrabina znowu się czymś przechwala. Spiesznie podeszła do obu dam.

- Dzień dobry, mam...! Zapewne mam przyjemność z lady Coville? Podobno chciała się pani ze mną widzieć

Lady Coville wstała. Ivy od razu zdała sobie sprawę z niezwyklej urody swego gościa. Mimo woli zerknęła na swoją suknię. Znow była za ciemna i bez szyku. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Nie mogła się równać z tą kobietą, choćby się wystroiła w najpiękniejszą toaletę.

- Jakże się cieszę, że wreszcie panią spotykam, lady Ivy. - Baronowa zmierzyła dziewczynę od stóp do głów.

Przez chwilę Ivy miała wrażenie, że lady Coville czuje do niej wyraźną antypatię, ale zaraz uśmiechnęła się i tym razem jej uśmiech wydawał się szczery.

- Chyba nie miałyśmy dotąd okazji...

- Istotnie, nie przedstawiono nas oficjalnie, ale po prostu musiałam zobaczyć dziewczynę, o której mówi całe miasto! - wyznała lady Coville.

Hrabina rzuciła córce karcące spojrzenie.

- O, tak! Te nieszczęsne plotki na temat księcia Tamberlake'a! Zapewniam panią, że nie ma w nich ani źdźbła prawdy! Tylko tyle, że

lord Tamberlake istotnie trochę się narzuca, a moja Ivy cierpi z tego powodu.

Ivy zmarszczyła brwi.

- Daj spokój, mammo...

- Niech pani nie bierze sobie tego do serca, lady Dunleigh - perswadowała baronowa. - Nie wierzę ani trochę w to, co wygadują te okropne staruchy z naszego londyńskiego światka.

- Dziękuję, lady Coville. Widzę, że jest pani równie mądra, jak piękna. Czy mogę pani przedstawić także moją młodszą córkę, Georginę? Ona również zapowiada się na Prawdziwą piękność!

- Z przyjemnością zawrę z nią kiedyś znajomość, ale teraz chciałabym porozmawiać z lady Ivy. Wybacz nam Pani, hrabino?

- Wszystko, co pani baronowa ma do powiedzenia Ivy, może jej pani powiedzieć w mojej obecności. Nie mamy przed sobą sekretów, nieprawdaż, córeczko? - Lady Dunleigh uśmiechnęła się rozbrajająco do Ivy.

Ale Ivy dobrze знаła swoją matkę i jej sztuczki. Hrabinę zżerała ciekawość; nie ruszy się stąd... Jak ją spławić?! Ivy spojrzała błagalnie na panią Pennyfeather.

Nieoceniona Agatha podeszła do lady Dunleigh.

- Mamy doskonałą sposobność upewnić się co do tych próbek materiału! Może wybierzemy te, które nam się najbardziej spodobały, i spytamy lady Coville, co o nich sądzi?

- Znakomity pomysł! - Twarz hrabiny rozjaśniła się uśmiechem.

- Czy zechce mi pani udzielić cennej rady, baronowo? Chodzi o

próbki materiałów na nowe suknie... Zależy mi na czymś wyjątkowo szykownym... na ucztę weselną. A pani ma, jak widzę, niezrównany gust!

- Z największą przyjemnością - uśmiechnęła się lady Coville.

Matka Ivy niemal wybiegła z salonu; pani Pennyfeather pospieszyła za nią. Ivy zwróciła się do baronowej.

- Chciała pani ze mną pomówić w cztery oczy?

- Istotnie. Chodzi o pewną... delikatną sprawę, związaną z pani osobą.

Dziewczyna spojrzała ze zdziwieniem na swego gościa.

- Może wyjdziemy do ogrodu? Moja matka ma prawdziwą obsesję na temat strojów... obawiam się, że zaraz tu wróci.

- Z przyjemnością pospaceruję na świeżym powietrzu. Obie damy wyszły do ogrodu. Przez chwilę przechadzały się w milczeniu. Pierwsza odezwała się Ivy.

- Zupełnie nie pojmuję, czemu chciała się pani ze mną zobaczyć.

Lady Coville pozwoliła sobie na dyskretny śmieszek.

- Przyznaję, że to dość niezwykle. Ale plotki, które dotarły do moich uszu, bardzo mnie zaintrygowały. Musiałam się dowiedzieć, czy to prawda.

- Co mianowicie?

- To, że jest pani kochanką Tamberlake'a.

Ivy zapało dech.

- Proszę mi wybaczyć szczerość. Mogłabym oczywiście wyrazić to delikatniej, ale nie sądziłam, że tak to panią urazi.

Widocznie ból i lęk odbiły się na twarzy Ivy, gdyż lady Coville poklepała ją po ramieniu.

- Niechże się pani tak nie przejmuję, lady Ivy! Jak tylko panią zobaczyłam, powiedziałam sobie: to nie może być prawda! Widzi pani, mnie również łączy z księciem... szczególna więź. Kiedyś byliśmy nawet zaręczeni.

A więc to była kobieta, która brutalnie zerwała z Auburnem po jego tragicznym wypadku! Ivy czuła do niej nienawiść za okrucieństwo, z jakim potraktowała Tamberlake'a, a równocześnie była jej wdzięczna za to, że tym postępkim zraziła go do siebie raz na zawsze.

- Z powodu niesprzyjających okoliczności nie mogłam wówczas poślubić Auburna - mówiła dalej baronowa. - Ale teraz, gdy owdowiałam, mam nadzieję naprawić ten błąd.

- Co takiego?!

Słowa baronowej przyprawiły Ivy o szok.

- Kiedy Auburn powrócił znów do cywilizowanego świata, uświadomiłam sobie, że nie jest jeszcze za późno; możemy odzyskać utracone szczęście. Poszłam do niego i szczerze wyjawiałam mu swoje intencje. - Lady Coville zaśmiała się. -Może sobie pani wyobrazić moją konsternację, gdy dotarły do mnie plotki na pani temat! Musiałam panią zobaczyć! A teraz upewniłam się, że nie było powodu do niepokoju.

- Ale...

- Dopomogę pani w zwalczaniu tych plotek. Najlepszym sposobem byłoby bezzwłoczne ogłoszenie moich zaręczyn z księciem, ale na razie będę powtarzać każde-mu kogo spotkam, że wszelkie pogłoski na pani temat są z gruntu fałszywe.

W pierwszej chwili Ivy nie była zdolna do myślenia. Auburn i ta kobieta mieli się pobrać? Nie mogła w to uwierzyć.

Ale jakie miała prawo do okazywania swej dezaprobaty? Była przecież zaręczona z innym. Nie mogła wyjść za Auburna. Czy zresztą sam nie wspominał, że upatrzył już sobie żonę?

- Widzę, że moje szczere słowa zaszokowały panią, lady Ivy. Odejdę zatem, ale mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami. Ostatecznie, nie jestem wiele starsza, a niebawem i pani zostanie szacowną matroną!

Baronowa uśmiechnęła się uroczo, ale Ivy dopatrzyła się w jej uśmiechu zaspokojonej pychy i złośliwego triumfu.

- O, lady Coville! - rozległ się głos matki. - Co pani robi w ogrodzie? Przyniosłam już wszystkie próbki, proszę wrócić do salonu!

- Z przyjemnością, lady Dunleigh. Właśnie odbyłam wyjątkowo interesującą rozmowę z pani córką!

Nie pożegnawszy się nawet z Ivy, lady Coville wróciła do wnętrza domu. Ivy spoglądała za odchodzącą. Wiedziała, że nie ma do tego prawa, ale czuła się oszukana i zdradzona.

„Zaufaj mi!”

Nie była wcale pewna, czy ufa mu nadal.

Fletcher odnalazł Tamberlake'a w jego gabinecie.

- Ma pan gościa, milordzie.

- Ciągłe nie mogę przywyknąć do swej zdumiewającej popularności! Któż nas odwiedził tym razem?

- Lord Styles, wasza książęca mość. Auburn szczerze się ucieszył.

- Wprowadź go tutaj!

Wszedłszy do gabinetu, Styles aż gwizdnął z podziwu.

- Nie miałem pojęcia, że żyjesz w takich luksusach. Czuję, że będę tu częściej zaglądał!

- Brzemie tych luksusów odziedziczyłem po zbyt długim, psiakrew, orszaku jaśnie oświeconych przodków - niemal tłumaczył się Tamberlake, podchodząc do przyjaciela.

- Wyobrażam sobie, z jaką satysfakcją mój papa i moja mama obnosiliby się z takim brzemieniem! - roześmiał się Christopher, siadając w fotelu. - Chodzą słuchy, że korzystasz z rozkoszy cywilizacji, których ci brakło w Walii.

- Co masz na myśli?

- No, bale, przyjęcia i tak dalej. Wywołałaś prawdziwą sensację tamtego wieczora na zaręczynowym balu Ivy!

- Chyba tak. - Tamberlake uśmiechnął się i usiadł naprzeciwko Christophera. - Muszę przyznać, że miałem niezłą zabawę! Szokowanie wyższych sfer stało się ostatnio moją ulubioną rozrywką.

Wicehrabia wyciągnął przed siebie długie nożyśka.

- Wiem, wiem! Ja też czasem słucham plotek.



- Już do ciebie dotarła ostatnia partia tego towaru? Cóż za sprawność! Jaka wydajność!

- Mówisz tak, jakbyś sam kierował tą akcją.

- Kto wie...?

- Więc chyba powinienem cię powiadomić, że przybyłem tu na wyraźne polecenie mego ojca.

- A zatem nie jest to przyjacielska wizyta?

- Jak najbardziej przyjacielska! Gdyby tak nie było, to-bym ci nie zdradził, że ojciec mnie tu przysłał w niecnym zamiarach. - Styles roześmiał się. - Biedny papa, jakże on się zмага sam ze sobą! Z jednej strony chce, bym pozyskał jak najprędzej twoją przyjaźń... A z drugiej strony pragnie się dowiedzieć, ile prawdy jest w plotkach o tobie i Ivy. I oczywiście ma o to do ciebie pretensję.

-No, cóż... kręte ścieżki salonowych intryg niejednego zawiodły na manowce. Miejmy nadzieję, że nie zapomniałem reguł tej gry.

- Coś mi się zdaje, że ty niczego nie zapominasz! -A jak się miewa nasza Ivy?

Tamberlake zauważył, że gość uniósł lekko brwi, gdy on tak poufale wyraził się o jego siostrze.

Ivy miewa się dobrze. Ale chyba niezbyt jej się podoba, że stała się przedmiotem ogólnego zainteresowania.

-Ja również nie jestem tym zachwycony, ale to konieczne.

- Konieczne? Komu i po co?! Księżę potrząsnął głową.

- Nie mogę ci tego wyjaśnić w obecnej chwili. Plotkarze uznali nas za najnowszą sensację i żerują na nas bez skrpułów. Musimy więc poczekać, aż znajdą sobie inne ofiary.

Styles zmrużył oczy.

- I wcale cię nie martwi, że Ivy cierpi z tego powodu?

- Oczywiście, że mnie to martwi!

- Więc może byś się od niej odczepił na jakiś czas? Nawet ja zauważyłem, że wszędzie włączysz się za nią jak cień!

Oszukiwanie Christophera stało się dla księcia zadaniem ponad siły. Odetchnął głęboko i zaryzykował:

- Mogę polegać na twojej dyskrecji?

- No pewnie!

Tamberlake uniósł ostrzegawczo rękę.

- Nie zobowiązuje się do niczego zbyt pochopnie. Jeśli zaufam ci, a ty opowiesz się po mojej stronie, wejdiesz w konflikt ze swoją rodziną, sprzeciwisz się najgorętszym życzeniom swojego ojca.

- Do licha! Czy nie sprzeciwiam mu się na każdym kroku?! - Wicehrabia nagle urwał i spojrzał badawczo na księcia. - Czy to ma coś wspólnego z Ivy?

-Tak.

Christopher pokiwał głową.

- Ivy chodzi jak błędna od powrotu z Walii. Chyba się w tobie zakochała.

Auburn uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Doskonale się składa, bo zamierzam się z nią ożenić.

Stylesowi opadła szczęka, ale zaraz zamknął usta i przełknął ślinę.

- Co takiego...?
- Mam zamiar ożenić się z Ivy.
- Ale... ale co z markizem?
- Niech cię o niego głowa nie boli.

Christopher rozejrzał się niespokojnie dokoła i spytał szeptem:

- Chcesz go zabić...?
- Nie bądź taki melodramatyczny!

Wicehrabia milczał przez chwilę. I nagle pstryknął palami.

- Te wszystkie plotki...! Chcesz zmusić Wynbrooke'a, żeby z nią zerwał?

- Wiedziałem, że z ciebie łbski chłopak.
- Jak mogę ci pomóc?
- Z powodu tych plotek wasz ojciec zrobi wszystko, by trzymać Ivy z dala ode mnie. A ja muszę się z nią widywać i to tak, by wszyscy zwrócili na nas uwagę.

-Jasne! Może bym tak popracował nad jej narzeczonym? Zasiał w jego umyśle podejrzenia, a w sercu niepokój?

- Nie, nie! Ja zajmę się markizem.
- W takim razie będę zawsze pod ręką. Zadbam o to, by wasze spotkania z Ivy zostały zauważone. A gdybyś miał dla mnie jakąś inną robótkę, od razu daj mi znać!
- Nie omieszkam. Styles wstał z fotela.

- Chyba już pora wracać. Ojciec nie może się pewnie doczekać raportu.

-Co mu powiesz?

- Że jesteś tak samo jak on zaniepokojony bezpodstawnymi plotkami. A nasza znajomość nieźle się zapowiada. Christopher mrugnął bezczelnie. - Może i on się wreszcie zdecyduje na bliższe kontakty z tobą?

Tamberlake parsknął śmiechem. -Zaczynam rozumieć, czemu Ivy ma do ciebie taką słabość.

Przed samym wyjściem wicehrabia zawahał się.

- Nie powinienem chyba wspominać Ivy o twoich zamiarach?

- Wolałbym oświadczyć się sam, nie przez posły.

- Całkiem zrozumiale. No, dobra... już mnie nie ma. Nie fatyguj się, sam trafię do wyjścia! - To rzekłszy, opuścił gabinet.

Tamberlake miał wrażenie, że zdjęto mu z pleców nieznośny ciężar. Przyszły szwagier w pełni aprobował jego zamiary. Wyrzuty sumienia z powodu cierpień Ivy, napastowanej przez żądnych sensacji plotkarzy, trochę osłabły. (Niestety, tylko trochę). Najwyższy czas na kolejny ruch w tej grze.

Na konfrontację z markizem.

Rosmartin Park był o połowę mniejszy niż Marsgrove, mógł się jednak poszczycić chlubną przeszłością; jego historia sięgała czasów króla Jerzego I. Jednak tu i ówdzie można było dostrzec ślady zaniedbania. Na pierwszym piętrze jedna z okiennic zwisała smętnie z zawiasów. Na ceglanej ścianie koło narożnika ukazała się rysa. Za kilka lat Rosmartin Park będzie wymagał generalnego remontu, jeśli markiz nie zajmie się czym prędzej konserwacją budynku. Park był zarośnięty i zdziczały, a nieprzycinane róże kolczastym pnączem przesłoniły ogrodowe ławki. Tamberlake zmierzył wzrokiem dworskie grunta. Większość z nich leżała odłogiem. Cóż za marnotrawstwo!

Kiedy majordomus wprowadził go do salonu, książę zauważył i tam wyraźne oznaki zaniedbania. Pokrycie starej kanapy było tak zniszczone, że w kilku miejscach próbowano zamaskować przetarcia koronkowymi serwetkami; półki pokrywała gruba warstwa kurzu. Na ścianach wisiały cenne malowidła, prawdziwe dzieła sztuki, ale jaśniejszy prostokąt na tapecie świadczył o tym, że niegdyś było ich więcej. Ów czysty kawałek tapety pozwalał stwierdzić, jak spłowieła i brudna jest cała reszta. Ciekawe, czy pieniądze ze sprzedaży obrazu poszły na pokrycie długów, czy na bieżące wydatki? - zastanawiał się Tamberlake.

Nie potrafił sobie wyobrazić Ivy w tej scenerii. A raczej - szczerze mówiąc - nie chciał wyobrażać jej sobie na tym tle. Zwrócił się do pana domu.

- Ładnie z twojej strony, Wynbrooke, że zgodziłeś się mnie przyjąć, choć sam się wprosiłem, i to niemal w ostatniej chwili.

- Dajże spokój, Tamberlake! Jesteśmy teraz starymi przyjaciółmi... ściśle rzecz biorąc, jesteśmy najstarszymi z twoich nowych przyjaciół. - Markiz zachichotał. -Szczerze mówiąc, byłem po prostu ciekaw, czemu ci tak zależy na spotkaniu ze mną.

Siedzący w fotelu Thorndike założył nogę na nogę i odchylił się do tyłu.

- Ostatnimi czasy ciągle nas czymś zaskakujesz, milordzie! Nie przypuszczaliśmy, że będziesz aż tak udzielał się w towarzystwie. Narobiłeś w Londynie mnóstwo szumu!

Powinienem był przewidzieć zawczasu, że Thorndike będzie kwestionował wszystkie moje poczynania! Zapewne odgadł, że nie przybywam z towarzyską wizytą! - pomyślał Auburn, zajmując wskazane miejsce.

-No, cóż... okoliczności się zmieniają...

- Niewątpliwie - przytaknął Wynbrooke. - A zatem: co cię do nas sprowadza?

Ów zaimek w liczbie mnogiej, użyty przez markiza z całą swobodą i naturalnością, sprawił, że lord Tamberlake aż się wzdrygnął.

- Pewna dość delikatna sprawa.

Wynbrooke i Thorndike wymienili znaczące spojrzenia.

- Jak mógłbym ci pomóc? - spytał markiz.

- Zrywając zaręczyny z lady Ivy.

Zaległa pełna napięcia cisza. Potem Wynbrooke wybuchnął śmiechem.

- Ale z ciebie żartowniś, Tamberlake!

- Wcale nie żartuję.

Markiz spoglądał na niego z niedowierzaniem. Thorndike miał taką minę, jakby otrzymał właśnie potężny, bolesny cios.

Znow zapadło długie milczenie, w końcu Wynbrooke wymamrotał:

- Co takiego...? Tamberlake uśmiechnął się.

- Zaszokowałem was?

- To zbyt słabe określenie - stwierdził Thorndike.

- Doprawdy nie pojmuję - odezwał się Wynbrooke - czemu miałbym zrywać zaręczyny?

- Bo chcę się ożenić z Ivy, a ona ma bardzo silne poczucie obowiązku. Nigdy nie złamie danego słowa. Wobec tego musisz to zrobić ty.

-Ja?

- Tak. T y musisz z nią zerwać.

- Ale ja wcale nie chcę z nią zrywać! - Protest Wynbrooke'a przypominał beczenie zagubionego jagnięcia.

Książę spojrział na niego i starając się zachować cierpliwość, wyjaśnił:

- W ciągu ostatnich kilku tygodni afiszowałem się z moimi sentymentami nie dla własnej przyjemności ani dla uciechy wielkiego świata. Postarałem się o to, byś miał wystarczający pretekst do zerwania zaręczyn. Nikt nie weźmie ci za złe, jeśli zerwiesz z Ivy, gdyż zrobiłem wszystko, by w Londynie huczało od plotek na nasz temat. Z pewnością dotarły one także do ciebie.

- Owszem, ale specjalnie się nimi nie przejąłem - od parł markiz i mrugnął do Thorndike'a.

Tamberlake głowę by dał, że to porozumiewawcze mrugnięcie nie było przeznaczone dla jego oczu.

- Wielka szkoda! To byłaby naturalna reakcja a takie plotki. Z pewnością trapiły cię wątpliwości co do losów waszego małżeństwa.

- Skądże znowu! Prawdę mówiąc, nie pojmuję, po co ta burza w szklance wody? Nie dostrzegłem w zachowaniu Ivy nic karygodnego.

- Bo nic karygodnego nie uczyniła! - w głosie księcia zabrzmiała nutka irytacji. - Tłumaczę ci tylko, że w razie zerwania zaręczyn wielki świat obarczy całą winą Ivy mnie, a ciebie uniewinni.

- Nie, milordzie. Nie mam najmniejszego zamiaru zrywać zaręczyn! - oświadczył Wynbrooke.

Tamberlake westchnął.

- Obawiałem się, że nie ułatwisz nam sprawy.

- Cóż za niemądry upór, milordzie! - odezwał się Thorndike. - Wyn powiedział ci wyraźnie, że nie zamierza zerwać z lady Ivy, a ty mu nadal wierczysz dziurę w brzuchu!



-I nie przestanę - odparł Tamberlake i zwrócił się znów do markiza. - Nie znoszę brutalnych metod, ale gdy mi na czymś naprawdę zależy, nie przebieram w środkach. Zebrałem informacje na twój temat, Wynbrooke, i wiem o twoich kłopotach finansowych.

Obaj przyjaciele znów spojrzeli na niego ze zdumieniem. Książę potrząsnął głową.

- Przy odrobinie dobrych chęci wydobędziesz się z tych kłopotów. Rosmartin Park to wspaniała posiadłość. Jeśli zaczniesz o nią dbać, zapewni ci pokaźny roczny dochód.

- Mam pracować na roli?! - Twarz markiza wyrażała najwyższą odrazę. Aż się wzdrygnął. - Od tego są rządcy. Płacę im za to, żeby wykonywali za mnie tę czarną robotę!

- Mam wrażenie, że w tej chwili nie możesz sobie pozwolić na zaangażowanie jeszcze jednego rządcy... tym bardziej, że to całkiem zbyteczny wydatek. Zarządzanie majątkiem ziemskim to nie taka znów filozofia! Z pewnością sam mógłbyś się tym zająć.

- A ja mam wrażenie, że przebywałeś zbyt długo z dala od cywilizowanego świata. Zapomniałeś ze szczętem, co godzi się robić, a co nie przystoi arystokracie - przystąpił znów do ataku Thorndike. - Wyn nie będzie chodził za pługiem. Jest markizem!

- Na takie fanaberie może sobie pozwolić ktoś, komu nie brakuje złota. - Tamberlake wyjął z kieszeni na piersiach arkusz papieru, rozłożył go i podał Wynbrooke'owi. - Oto lista publikacji, które ci się mogą przydać. Wiem z dobrze poinformowanych źródeł, że Rosmartin Park od siedmiu lat nie przynosi zysku. Jeśli zapoznasz się

z metodami opisanymi w tych książkach i czasopismach, w ciągu roku może stać się gospodarstwem dochodowym.

Wynbrooke zaczął coś bełkotać. Otwierał i zamykał usta niczym wyrzucona na piasek ryba.

- Nie będę... harował... jak... jak śmierdzący parobek!...

- Decyzja oczywiście należy do ciebie - stwierdził Tamberlake. -

W dniu mego ślubu z Ivy wzbogacisz się o pięć tysięcy funtów.

Myślę, że to wystarczająca rekompensata za twoje straty moralne. Ta kwota powinna ci wystarczyć do chwili, gdy twoja posiadłość stanie się znów dochodowa.

Wynbrooke zarechotał z gorzką ironią.

- Pięć tysięcy?! Dostanę trzy razy tyle, kiedy sam się z nią ożenię, a może i więcej! Ojciec Ivy nie pozwoli córce żyć w nędzy i z radością przyjdzie nam z pomocą w razie potrzeby. A po śmierci starego Dunleigha majątek przejdzie na Stylesa. Sam wiesz najlepiej, jakie to kochające rodzeństwo!

- Wyn ma słuszość, milordzie. Zyska znacznie więcej, jeśli się z nią ożeni.

- Ty także, nieprawdaż? - warknął Tamberlake. Jego cierpliwość już się wyczerpała.

- Cóż to ma znaczyć? - zachnął się Thorndike. – Nic na tym nie zyskam, jeśli Wyn się ożeni. Raczej stracę, bo nie będzie już miał tyle czasu dla przyjaciół.

- Bardzo w to wątpię. - Tamberlake znów się pochylił i spojrzał markizowi prosto w oczy. - Z pewnością nie zaniedba swych wyjątkowo bliskich przyjaciół.

Na twarzy Wynbrooke'a odbił się paniczny strach. Spojrzał na Thorndike'a. Spuścił oczy. Poczzerwieniał jak burak.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Doprawdy?

- Cóż to ma znaczyć? - spytał ostro Thorndike. Znikły pozory dobrego wychowania. Została tylko wrogość. I strach.

- Widziałem was razem. W salonie. To była wasza ostatnia noc w Gryphons Lair. Piliście koniak, paplaliście bez troski... sporo się dowiedziałem z waszej rozmowy. A potem...

- Dość tego! - Wynbrooke zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. - Jak chcesz wykorzystać tę informację?

- Wcale nie mam ochoty jej wykorzystywać. Ale jeśli nie zerwiesz z Ivy, będę musiał udać się do jej ojca. A co on zrobi z tą informacją...? To już nie moja sprawa.

- Nie uwierzy ci na słowo! - rzekł butnie Thorndike.

- Może i nie. Ale mam dowody.

- Niemożliwe! Zachowywaliśmy wszelkie środki ostrożności.

- To prawda. Ale człowiek, którego wynająłem, ma więcej dociekliwości i uporu niż wy instynktu zachowawczego. Zdobyłem dowód, którego lord Dunleigh z pewnością nie zlekceważy.

Wynbrooke zbladł.

- O, mój Boże! Skąd mamy wiedzieć, że nie zdemaskujesz nas publicznie, gdy spełnimy już twoje żądania?

-Po moim ślubie z Ivy odeślę wam zdobyte przeze mnie dowody. Wcale mi nie zależy na waszej zgubie.

-Już jesteśmy zgubieni! - Wynbrooke odwrócił się raptownie do księcia. - Jak według ciebie mam wyżyć z pięciu tysięcy funtów?!

- Przecież ci wyjaśniłem, że Rosmartin Park nietrudno przekształcić w gospodarstwo dochodowe - odparł Tamberlake.

- Kto nam zareczy, że nie zmienisz zdania? - spytał podejrzliwie Thorndike.

- Cóż, musicie mi uwierzyć na słowo.

- Łatwiej to powiedzieć, niż wykonać... zwłaszcza po twoich pogroźkach! - Thorndike zmierzył księcia wściekłym wzrokiem.

Tamberlake'a wcale nie zdziwił ten brak zaufania.

- Zależy mi tylko na szczęściu Ivy.

Po chwili ciszy Wynbrooke odezwał się z odległego kąta, w którym się zaszył.

- Mam pewną propozycję.

Księżę uniósł brew.

- Nie musimy niczego zmieniać - wyjaśnił markiz. - Jeśli się ożenię z Ivy, nie będę miał nic przeciwko temu, żebyś się z nią zadawał.

- Co takiego?! - oburzył się Tamberlake.

- To rozwiąże wszystkie nasze problemy! Ja będę miał pieniądze, na których mi tak zależy, a ty będziesz miał Ivy. To mi

nawet odpowiada: uniknę niemiłych obowiązków. Możecie mieć dzieci. Zostaną moimi spadkobiercami. Nikt się nie domyśli prawdy, a każde z nas będzie miało to, czego pragnie!

Księcia ogarnęło nagle obrzydzenie i rozgorzał w nim wściekły gniew.

- Naprawdę sądziłeś, że Ivy pójdzie na taki układ?! Albo ja?

- Czemuż by nie?

- Bo chcę się z nią ożenić. Uczciwie ożenić! I nie pozwolę, by nasze dzieci wychowywał ktoś inny! Byle kto, jak ty! Rozumiesz?!

- No, cóż... nie mamy wielkiego wyboru... - zaczął Thorndike.

- Nie macie żadnego wyboru! - Tamberlake wstał. - Liczę na to, że przed upływem tygodnia dotrze do mnie wieść o zerwaniu zaręczyn. Nie musicie mnie odprowadzać do drzwi, sam trafię. Życzę miłego dnia!

Znalazłszy się znów w Marsgrove, książę schronił się do swego gabinetu. Nalał sobie kieliszek kseresu i podszedł do okna. Jeszcze jeden szary angielski dzień... Ale wrócił do domu i czuł się bezpieczny.

- No i jak poszło, milordzie? - spytał Fletcher.

- Tak jak przewidywałem. - Tamberlake potrząsnął głową. - Zdumiewa mnie ludzka krótkowzroczność!

- Istotnie, wasza książęca mość. Możemy zatem wkrótce spodziewać się ważnego obwieszczenia?

- Możemy.

- Czy wolno mi złożyć gratulacje, milordzie? Tamberlake uniósł brew.

- Dziękuję, Fletcher.

- Przyszły również dalsze informacje od pana Savernake'a dla waszej książęcej mości. - Majordomus wręczył mu gruby plik papierów.

- Tak szybko? Ten twój Savernake jest wyjątkowo sprawny!

- Istotnie, wasza książęca mość. I bardzo mu się to opłaca.

Tamberlake rzucił papiery na biurko.

- Zajmę się nimi później. I bez tego mam wrażenie, że unurzałem się w ścieku. Dość tego plugastwa... przynajmniej na dziś!

- Przykro mi to słyszeć, milordzie. I jeszcze jedno: pańska matka chce jak najprędzej spotkać się z waszą książęca mością.

- Jeszcze przed obiadem? Stracę do reszty apetyt! - Auburn przeczesał włosy ręką. - Przekaż jej, że może zajrzeć do mego gabinetu choćby w tej chwili, jeśli jej to odpowiada. - Niezwłocznie ją powiadomię, milordzie.

Fletcher wyszedł.

Tamberlake nie musiał długo czekać na matkę.

- Gdzieś ty był? Od rana chcę się z tobą zobaczyć, a ty gdzieś znikasz! - zaatakowała syna na samym wstępie.

- Miałem do załatwienia pewną ważną sprawę. Przykro mi, że niechcący pokrzyżowałem ci plany.

- Wcale ci nie jest przykro, więc nie mydl mi oczu  
przepraszam! - Lady Tamberlake zasiadła w obitym skórą fotelu. -  
Wczoraj widziałam się z Daphne.

- Doprawdy?

- Nie musisz również udawać zainteresowania moimi kontaktami  
towarzyskimi. A więc, jak już mówiłam, spotkałyśmy się wczoraj z  
Daphne. Wyjawiała mi, że rozmawialiście na temat małżeństwa.

- Owszem.

Matka była wyraźnie urażona.

- I nie uznałeś za stosowne powiadomić mnie o tym?

- To w końcu nie twoja sprawa, mamo.

- Oczywiście, że moja! Jestem przecież twoją matką.

- Istotnie, przez jakiś kaprys losu wydałaś mnie na świat - odparł  
książę. Westchnął i uniósł rękę w geście rezygnacji. - Jestem zbyt  
zmęczony, by wdawać się w kolejną utarczkę słowną.

Księżna dyskretnie pociągnęła nosem.

- Chciałam tylko wyrazić swą aprobatę. Jak wiesz, zawsze  
lubiłam Daphne.

- A jeśli nie ożenię się z Daphne? Księżna zrobiła wielkie oczy.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz żyć z nią bez ślubu. Tego  
bym nie mogła zaaprobować.

Auburn omal nie parsknął śmiechem.

- Bądź spokojna, matko. Nawet gdybym miał kochanki, nigdy  
bym ci o nich nie opowiadał.

Przycisnęła dłoń do serca.

- Dzięki Ci, Boże!

- Chciałem się po prostu dowiedzieć (widać niezręcznie to sformułowałem), jak byś zareagowała, gdybym ożenił się nie z Daphne, tylko z inną kobietą.

Matka spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Nie z Daphne?!

- Czy pogodziłabyś się z obecnością w Marsgrove innej kobiety, nie Daphne?

- Szczerze mówiąc, Auburnie, nigdy nie brałam pod uwagę takiej ewentualności.

- Wobec tego rozważ ją teraz.

Księżna milczała przez chwilę.

- Chodzi o tamtą dziewczynę, nieprawdaż? O tę na balu?

- Tak, o lady Ivy St. Clair.

- Ależ ona ma już narzeczonego!

- Wiem.

- Wobec tego dalsza rozmowa na ten temat nie ma sensu.

- Zrób mi tę grzeczność.

Lady Tamberlake wzruszyła ramionami.

- Nie znam tej dziewczyny. Czemu ci tak zależy na mojej aprobacie?

Tamberlake zastanowił się.

- Zamierzam osiąść na stałe w Marsgrove. Jesteś tu mile widziana, możesz zostać, jak długo chcesz... Gdybyś jednak nie mogła



czy nie chciała zaaprobować mojej żony, musiałbym poprosić cię, byś się przeniosła gdzie indziej.

- I słusznie. - Księżna złożyła ręce na kolanach. Auburn wpatrywał się w matkę ze zdumieniem.

- Czemu się tak dziwisz? Marsgrove należy do ciebie. Twoja żona będzie tu panią. Możesz być spokojny: dobrze znam powinności księżnej wdowy. - Wstała i podeszła do Tamberlake'a. Dotknęła ręką jego zdrowego policzka. - Możemy wiecznie drzeć ze sobą koty, Auburnie, ale to nie zmieni oczywistego faktu: jesteś moim synem! Nie wiedział, co odpowiedzieć. Lady Tamberlake roześmiała się.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że po raz pierwszy wyszłam zwycięsko z naszych słownych utarczek! Muszę sobie dobrze zapamiętać dzisiejszą strategię. - Z tymi słowy wyszła z pokoju.

Auburna na chwilę zamurowało. Potem roześmiał się. Ależ z niego dureń!

... Co za dzień...!

Ivy zamknęła książkę, gdy do salonu weszła pani Pennyfeather.

- Przyjechał markiz Wynbrooke - oznajmiła.

- Wynbrooke tu jest? - zdumiała się Ivy. - Nie spodziewaliśmy się dziś jego wizyty.

Pani Pennyfeather kiwnęła głową.

- Właśnie dlatego od razu sobie pomyślałam: trzeba zawiadomić lady Ivy!

- Pytał o mnie?

- Nie. Widać najpierw chciał porozmawiać z panem hrabią.

Wiadomość nie była zbyt pocieszająca. W głowie Ivy zabrzączał dzwonek alarmowy.

- Wspomniał, w jakiej sprawie przychodzi?

- Nie, lady Ivy - odparła pani Pennyfeather. - Ale nie wyglądał na wesołego.

- Chyba zejść na dół.

Ivy rzuciła okiem na swoją suknię. Niegustowna, ale czysta.

Ruszyła w stronę schodów. Coś jej mówiło, że nie oczekiwana wizyta narzeczonego nie wróży nic dobrego

Dotarła do salonu przed ojcem. Markiz stał przy oknie, twarzą do szyby.

- Dzień dobry, milordzie. Co pana do nas sprowadza? Może napije się pan herbaty?

- Bardzo dziękuję, lady Ivy, ale nie chce mi się pić. -Wynbrooke podszedł do kanapy, usiadł i zaraz znowu się zerwał. - Chciałem przede wszystkim porozmawiać z pani ojcem, ale może to i lepiej, że pani też przy tym będzie. W końcu... to przecież o panią chodzi.

Niepokój Ivy jeszcze wzrósł. Usiadła na krześle z wysokim, drewnianym oparciem.

- Otrzymał pan jakieś złe wieści?

- Nie, to ja... Może lepiej zaczekajmy na pani ojca.

- Już jestem! - Hrabia Dunleigh wkroczył do pokoju. -Miło znów cię widzieć, Wynbrooke! Podobno masz mi coś do powiedzenia? Spodziewam się, że to nic złego.

Wynbrooke wyciągnął chusteczkę z kieszeni i miętosił ją w garści. Czoło lśniło mu od potu, przestępował z nogi na nogę. Ivy przyglądała mu się bacznie. Przerzucał chustkę z ręki do ręki, zanim otarł nią czoło. Kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, ale nie wydobył z siebie ani słowa.

Ojciec Ivy zmarszczył brwi.

- Co z tobą, chłopcze? Źle się czujesz? Markiz odchrząknął i zwilżył wargi językiem.

- Z najwyższym żalem muszę powiadomić pana hrabiego, że nie mogę poślubić lady Ivy.

- Co takiego?! - ryknął lord Dunleigh.

Ivy nie odrywała oczu od Wynbrooke'a. W pierwszej chwili jego słowa zaszokowały ją, ale wnet poczuła bezmierną ulgę. Nie musi już wychodzić za markiza! Miała ochotę krzyknąć z radości.

Zerknęła na ojca i cała radość z niej wyparowała.

Twarz hrabiego była pokryta czerwonymi plamami, oczy wychodziły mu z orbit.

- Chcesz zerwać zaręczyny?!

-Tak - odparł Wynbrooke, coraz bardziej zakłopotany. Znów otarł pot z czoła.

Dunleigh spojrział na córkę. Ivy aż się skuliła pod tym spojrzeniem. Potrząsnął groźnie palcem i wydawało się, że zaraz powie jej coś do słuchu, ale ostatecznie zwrócił się znów do markiza.

- Z jakiego powodu?

- Nie mogę dłużej ignorować pewnych wieści, które do mnie docierają. Jak pan wie, milordzie, nazwisko Wynbrooke'ów cieszyło się zawsze dobrą sławą. Muszę go strzec, by nie zostało splamione. Kiedy zdecydowaliśmy się połączyć nasze losy, byłem przeświadczony, że lady Ivy nadaje się jak nikt do roli markizy Wynbrooke.

- Rozumiem - syknął lord Dunleigh przez zaciśnięte zęby.

- Ale nie życzę sobie, by imię mej narzeczonej było na ustach wszystkich - zwłaszcza w połączeniu z nazwiskiem innego mężczyzny.

- Tamberlake'a! - wymamrotał hrabia. Ivy poruszyła się niespokojnie.

- Ojcze, ja...

Dunleigh odwrócił się raptownie do córki i rzucił jej mordercze spojrzenie.

- Milcz! Nie chcę żadnych usprawiedliwień! - Odetchnął głęboko i znowu zwrócił się do markiza. - Jesteś absolutnie zdecydowany? Mógłbym ci wydatnie pomóc w karierze politycznej... Gdybyś zechciał wybaczyć Ivy jej nierozważne zachowanie...

- Bardzo mi przykro, ale moja decyzja jest nieodwołalna. Zresztą kariera polityczna nigdy mnie specjalnie nie pociągała. - Wynbrooke wetknął chusteczkę do kieszeni. - Mimo całego przywiązania do lady Ivy w tej sytuacji doprawdy nie mogę się z nią ożenić.

- Ale wybuchnie skandal! Pomyśl, jaki cień może to rzucić na twoje nazwisko! - W głosie lorda Dunleigha za brzmiały błagalne tony.

- Wolę skandal, o którym wszyscy niebawem zapomną, od upokarzającej pozycji wiecznego rogowca.

Ivy wzdrygnęła się. Jej ojciec niemal zionął ogniem. Zerknął na nią spode łba, zaciął wargi i zaczął mrugać jak szalony.

- Jak wspomniałem w trakcie naszej pierwszej rozmowy, panie hrabio, jestem domatorem, odpowiada mi spokojna egzystencja w domowym zaciszu. Wycofam się z życia towarzyskiego, póki plotki nie ucichną. - Wynbrooke zrobił kilka kroków w stronę drzwi i poprawił surdut. - Nigdy nie zapomnę pańskiej życzliwości, milordzie. Może pan zawsze liczyć na moje poparcie dla pańskich inicjatyw w Izbie Lordów. Nie żywię do pana hrabiego żadnej urazy z powodu przykrych incydentów, które położyły kres moim... i pańskim nadziejom.

- Bardzo jesteś łaskaw - wymamrotał niedoszły teść. Markiz skłonił się byłej narzeczonej.

- Ogromnie mi przykro, lady Ivy. Skinęła głową.

Wynbrooke opuścił pokój.

Ivy nie ośmieliła się spojrzeć na ojca. Oczy miała spuszczone - nie tyle ze wstydu, co z obawy, że hrabia zauważy błyszczącą w nich radość.

Lord Dunleigh zerwał się z fotela i zaczął krążyć nerwowo po pokoju.

-Co masz na swoje usprawiedliwienie? - warknął do córki.

- Cóż mogę ci powiedzieć, ojczy...?

- Lepiej nic nie mów. I tak bym ci nie uwierzył! Zapewniałaś mnie, że nie muszę się niczego obawiać, prawda? Ale się przeliczyłaś, co?! O, cóż za hańba! - Schwycił się obiema rękami za głowę.

- Ale, ojczy...

-Ani słowa więcej! Nie chcę słuchać twoich wykrętów-Szarpnął za sznur od dzwonka; w chwilę później pojawiła się pani Pennyfeather. - Niech tu natychmiast zejdzie moja żona i reszta dzieci!

Lady Dunleigh zjawiała się pierwsza. Podbiegła do męża z oczyma pełnymi niepokoju.

- Co się stało, hrabio? Pani Pennyfeather mówi, że grozi ci atak apopleksji! Bardzo źle się czujesz...? Spójrz w lustro: aleś poczerwieniał!

- Grozi mi coś gorszego niż apopleksja - warknął lord Dunleigh i spojrzał morderczym wzrokiem na starszą córkę.

- Coś ty znów zbroiła, Ivy? - biadoliła matka. - Nie widzisz, że ojciec chory?!

Wejście Christophera i Georginy ocaliło Ivy od udzielania matce wyjaśnień.

- Czy to coś ważnego? Odrywacie mnie od spraw wielkiej wagi: studiowałam właśnie najnowsze fasony! - nadąsała się Georgina.

- Siadaj i bądź cicho! - huknął ojciec,

Georgina zrobiła wielkie oczy, ale posłusznie zajęła miejsce.

- Wasz ojciec jest chory! - wyjaśniła hrabina.

- Nie jestem chory! - warknął jej mążnek. Christopher spojrzał pytająco na Ivy i zajął miejsce obok niej.

Lord Dunleigh w milczeniu przedefilował przed swą rodziną raz i drugi, potem wykonał szybki obrót i stanął przed nimi twarzą w twarz.

- Nie przypuszczałem, że dożyję dnia, gdy moje rodzone dziecko ściągnie takie nieszczęście, taką hańbę na całą rodzinę!

- Do mnie pijesz, ojczy? Zapewniam, że nie przepuściłem ani pensa! - odezwał się Christopher.

- Nie chodzi o ciebie! - Hrabia oskarżycielskim gestem wskazał Ivy. - Wynbrooke zerwał zaręczyny!

- Naprawdę?! - pisnęła Georgina. Wieść o rodzinnym skandalu wywołała w niej przerażenie z domieszką fascynacji

- Naprawdę? - wykrzyknął Christopher i zwracając się o Ivy, dodał tak cicho, by tylko ona go usłyszała: - Moje gratulacje!

Lady Dunleigh zaczęła szlochać. W braku wachlarza owiewała rozczapierzoną dłonią.

- Moje sole trzeźwiące...! Och, niechże mnie ktoś ratuje...!

- Opanuj się, Phoebe! Nie pora na komedie! - Lord Dunleigh zmarszczył groźnie brwi. - Trzeba się zastanowić, jak wyjść z honorem ze skandalu, w który nas wplątała Ivy!

Matka występnej Ivy wyciągnęła koronkową chusteczkę i dyskretnie wytarła nos.

- Myślę, że odpowiemy odmownie na wszystkie nowe oproszenia i wycofamy się bardzo grzecznie z tych, które już przyjęliśmy...

Cała wesołość Georginy, w gruncie rzeczy zadowolonej z porażki siostry, znikła w jednej chwili.

- Co takiego?!

- No, cóż... W takiej sytuacji nie możemy się publicznie pokazywać. - Hrabina Dunleigh raz jeszcze wytarła nos. - Jak długo, mój drogi, potrwa według ciebie ta kwarantanna?

- Póki plotki nie ucichną. Prędzej czy później wydarzy się coś nowego i ludzie o nas zapomną. Może za miesiąc...

- Miesiąc?! - wykrzyknęła Georgina. - Co ja mam robić przez cały miesiąc zamknięta w domu?!

- Spróbuj przeczytać jakąś książkę - mruknęła pod nosem Ivy. Christopher wstał.



-Nie pojmuję, czemu mielibyśmy się chować przed ludźmi?  
Moim zdaniem należy stawić czoła plotkarzom i pokazać, że nic sobie z nich nie robimy.

Dunleigh prychnął pogardliwie.

- Co ty tam wiesz, smarkaczu?!

Christopher zmrużył oczy.

- Nie jestem już smarkaczem!

-To nie zachowuj się jak smarkacz! - Hrabia zbył wywody syna pogardliwym machnięciem ręki. - A więc wszystko uzgodnione.  
Musimy przeczekać.

- Wcale nie! Nie rozumiem, czemu ja mam siedzieć w domu, kiedy to Ivy zachowała się jak idiotka! - naburmuszyła się Georgina. - To niesprawiedliwe!

- Nie marudź, Georgie! Zobaczysz, że skutkiem skandalu i odosobnienia wydasz się swoim absztyfikantom jeszcze bardziej interesująca! - pocieszył ją Christopher.

Georgina zwróciła na brata wielkie, zrozpaczone oczy i spytała z nadzieją:

- Naprawdę tak myślisz?

- Cicho tam! - ofuknął ich ojciec. - A więc sprawa załatwiona.

Nie chcę o niej więcej słyszeć! - To rzekłszy, wyszedł dumnym krokiem.

Hrabina potrząsnęła smętnie głową.

- Ale... o Boże, Ivy...! co my poczniemy z tobą?!

Ivy miała już na to gotową odpowiedź, lecz przezornie skryła triumfalny uśmiech.

- Może by tak... Nie, nie! Mogłabym jeszcze pogorszyć sytuację...! - zaczęła niby to z wahaniem.

Matka otarła oczy.

- Nie wierzę, żeby ją można było jeszcze pogorszyć!

- No więc... gdybym tak wyjechała na jakiś czas? I znikła z oczu wszystkim tym plotkarzom...? - Przygryzła dolną wargę.

- Nie mamy cię dokąd wysłać. Wszyscy krewni i znajomi zjechali na sezon do Londynu. A ojciec z pewnością nie puści cię samej na wieś - odparła lady Dunleigh.

- Mogłabym pojechać do mojego domku!

- Twojego domku?!

- Tego, który lord Stanhope zapisał mi w testamencie - Wyjadę do Devon i będę tam żyła jak pustelnica. Co ty na to, mamó? - Miała nadzieję, że nie zdradziła się swym entuzjazmem.

Hrabina zamyśliła się.

- Nie możesz jechać sama!

- Mogłabym wziąć ze sobą panią Pennyfeather. Była bardzo pomocna przy organizowaniu balu, ale od tamtej pory nie ma właściwie nic do roboty. - Ivy wstrzymała oddech.

- Rzeczywiście, byłaby niezłą przyzwoitką. - Lady Dunleigh zamilkła na chwilę.

- Więc mogę tam pojechać?

- Porozmawiam o tym z twoim ojcem - obiecała hrabina i chwyciła za rękę młodszą córkę. - Chodź, Georgi-no! Przejrzemy twoją garderobę i zastanowimy się, w czym wystąpisz, kiedy będziemy mogli pokazać się znów w towarzystwie!

Gdy zostali z Christopherem sam na sam, Ivy zwróciła się do brata.

- Ty się też na mnie gniewasz?

- Ani trochę! Raczej ci zazdroszczę.

- Czego?

- Że wyniesiesz się stąd.

- To jeszcze nic pewnego.

- Właśnie że tak! Podsunęłaś im idealne rozwiązanie. -Uściskał ją z całej siły. - Mam nadzieję, że reakcja kochanej rodzinki nie zabolowała cię zbytnio?

- Prawdę mówiąc, nie... choć ojciec mógłby sobie darować te teatralne gesty!

- Lubi się zgrywać na dyktatora, a tylko w domu może sobie na to pozwolić.

Ivy roześmiała się.

- Jesteś okropny, braciszku!

- Wiem, wiem. Ojciec mi to bez przerwy powtarza. -Christopher wstał. - Naprawdę się cieszę, że nie wyjdiesz Za Wynbrooke'a!

- Ja też - przyznała Ivy. I w jakimś zakątku jej serca zbudziła się nieśmiała nadzieja, że może teraz... może wreszcie...

Tamberlake...?

Styles potrząsnął ręką Tamberlake'a.

- Jak widzisz, wieść dotarła szczęśliwie do mnie. Miałeś genialny pomysł, zapraszając mnie do Marsgrove! W Londynie byłoby z tym trudniej. U nas w domu znalazłeś się na czarnej liście.

- Domyślam się, że nie przywitano by mnie tam owacyjnie.

Może się przejdziemy? - Książę wyszedł ze swym gościem przed dom i poprowadził go po wysypanej żwirem ścieżce. - Jak się trzyma Ivy?

- Jest silniejsza, niż ci się zdaje. Cieszy się z zerwania zaręczyn i choć ojciec wciąż się piekli, Ivy trzyma się dzielnie. - Christopher roześmiał się. - Wczoraj czytała sobie spokojnie, aż tu ojciec zaczyna tyradę na temat jej niecnego zachowania. Ivy odłożyła książkę i posłuchała przez chwilę jego wywodów. Nie pisnęła ani słowa, tylko wzięła znów do ręki książkę i wróciła do lektury. Od tej pory papcio się do niej nie odzywa.

Auburn nie wiedział, które z dwóch targających nim uczuć było silniejsze: radosna duma z nieustraszonej Ivy czy przemożna chęć skręcenia karku jej tatusiowi. Chociaż... jakoś nie wypada ukrećić łąba przyszłemu teściowi.

- Nie chciałbym, żeby miała kłopoty z mego powodu...

- Już po kłopotach. Ivy wyjechała.

- Co takiego?!

- Przekonała ojca, że plotki szybciej wygasną, jeśli jej nie będzie w Londynie. Uparła się, że zamieszka z panią Pennyfeather w domu, który jej zapisał lord Stanhope.

Tamberlake poczuł, że ogarnia go bezsilny gniew. Czegoś takiego nie przewidywał...! Ale to nie zniweczy jego planów, najwyżej trochę opóźni ich realizację.

- Gdzie się ten domek znajduje?

- W hrabstwie Devon.

- Wobec tego jadę do Devon.

- Chcesz się zobaczyć z Ivy?

- Chcę się jej oświadczyć. Tylko... będzie lepiej, jeśli przedtem pogadam z waszym ojcem i postaram się, żeby zmienił o mnie zdanie. Tak, Devon może poczekać do jutra.

- Dobrze wiem, jak mój rodzic lubi się zgrywać na ważną osobistość... Nie powinieneś mieć kłopotu z uzyskaniem audiencji, jeśli zabierzesz się do tego dyplomatycznie.

Mijali właśnie fontannę. Humphrey zakwakał, wyskoczył z wody i ruszył za nimi.

- Zabrałeś ze sobą tego kaczora? Słowo daję, jest lepiej wytresowany niż większość znanych mi psów!

- Owszem. - Nie przerywając marszu, Tamberlake rzucił kaczorowi kawałek chleba. - Twój ojciec może okazać się mniej skłonny do rozmowy ze mną, kiedy się dowie, po co ściągnąłem cię do Marsgrove.

Styles zerknął na księcia ze zdziwieniem.

- Myślałem, że chcesz mnie popytać o Ivy. Księżę potrząsnął głową.

- Nie, nie! Potrzebuję twojej pomocy w całkiem innej sprawie.

- Zaintrygowaleś mnie, Tamberlake! Gadaj!

- Za chwilę. Dochodzimy już do celu naszej wędrówki. Szli teraz brzegiem jeziora. Humphrey doszedł widać do wniosku, że kąpiel pociąga go bardziej niż ich towarzystwo. Przedarł się przez trzciny na środek jeziora, gdzie była czysta woda, i podpłynął do kąpiących się tam kaczek.

- Ilekroć mijamy to jezioro, Humphrey wpada w taki zachwyt, jakby po raz pierwszy ujrzał taki cud. Ale jak tylko zobaczy, że wracam do domu, wyłazi z wody i razem człapiemy do Marsgrove. Widocznie uważa, że przyprowadzam go tu tylko po to, żeby się pobawił z kolegami - Tamberlake wrzucił resztki chleba do wody.

Ścieżka znów skręciła i zaprowadziła ich do zagajnika, niebawem dotarli do ukrytej za drzewami polanki. W samym środku wysypanego żwirem kręgu stał posąg Marsa. Nad głową boga wojny wznosił się ozdobny łuk, całkiem niezła podróbka architektury antycznej. Wokół posągu rozstawiono - niby to od niechcienia - kilka marmurowych ławek.

- Co o tym myślisz? - spytał Tamberlake.

- Zacisznie tu.

- Nie o to mi chodzi. Obejrzyj wszystko dokładnie. Co byś tu zmienił?

Styles spojrział na księcia ze zdumieniem, po czym obrzucił polankę krytycznym wzrokiem. Wzruszył ramionami i odparł:

- Łuk, posąg i ławki zostawiłbym po staremu. Posadziłbym tu jeszcze kilka drzew - wskazał na lewo - żeby nie było stąd widać

drogi. I chętnie dodałbym jakąś barwną plamę... powiedzmy: trochę kwiatów, może nawet małe oczko wodne, żeby się w nim odbijały. A przy samym łuku zasadziłbym bluszcz albo dzikie wino, żeby się po nim pięło i oplotło go.

Księżę przesunął ręką po podbródku.

- O tym jakoś nie pomyślałem... Doskonały pomysł.

- Mogę spytać, o co ci właściwie chodzi?

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia trzy. - Styles był coraz bardziej zdumiony. -A zatem jestem starszy od ciebie o siedem lat... no i wkrótce będę twoim szwagrem.

- Jeśli ojciec się na to zgodzi.

- Ożenię się z Ivy nawet bez jego zgody. Tylko że on na pewno się zgodzi, jeszcze nas pobłogosławi. Ale w tej chwili nie mówimy o nas, tylko o tobie.

- O mnie? Co ty wygadujesz, Tamberlake?

Księżę skinął głową.

- Mam posiadłość w pobliżu Huntingdon. Od dwóch lat wyraźnie podupada. Nadal przynosi pewien zysk, ale nabrałem niemiłych podejrzeń co do rządcy. Zbadałbym sprawę osobiście, ale mam na głowie ważniejsze sprawy, wymagające mego pobytu w Londynie.

- Na przykład konkury? - zaśmiał się Christopher.

-Jakbyś zgadł! I właśnie dlatego chcę, żebyś pojechał i sprawdził, co się dzieje w moim majątku.

-Ja?! - Styles spojrział na księcia z najwyższym zdumieniem.

- Tak. Daję ci wolną rękę. Możesz dokonywać wszelkich zmian, które uznasz za niezbędne dla poprawienia wydajności majątku i warunków życia mieszkańców.

- Powierzyłbyś mi takie odpowiedzialne zadanie?

- Bez wahania.

- Jesteś tego pewien?

- Sam nie mogę tam pojechać, a nie znam nikogo, komu ufałbym bardziej niż tobie.

- No to jadę!

- Ale uprzedzam, że może upłynąć rok, albo i dłużej, nim doprowadzisz wszystko do porządku.

- Nie szkodzi! W Londynie nie mam nic do roboty, a w Huntingdon przynajmniej nie będę wysłuchiwał monologów ojca na temat mojej nieudolności.

- A więc dogadaliśmy się? Dziękuję, Styles!

- Kiedy mam jechać?

- Kiedy chcesz. Im wcześniej, tym lepiej.

- Wobec tego jutro. - Christopher wydał okrzyk radości. - Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy!

Ależ mam pojęcie, braciszku, mam!

- Wystarczy, jak wyjedziesz pojutrze. A na nasze wesele masz wrócić!

- Pewnie! - Wicehrabia klepnął przyszłego szwagra po plecach. - I nawet jeśli Ivy ci nie dogodzi, to ja ci z pewnością dogodzę!



Tamberlake wybuchnął śmiechem.

- O Boże! Chyba to nie oświadczyły?!

- Nie bój nic! Nie jesteś w moim guście: za bardzo włochaty!

Przekomarzając się z Christopherem, Auburn zrozumiał, że wpada mu w ręce utracony i niemal zapomniany skarb. Miał znów przyjaciela.

- Wiesz co? Trzymam w swoim gabinecie wszystkie dane o naszych posiadłościach. Wracajmy do domu, to sobie przejrysz te o Huntingdon. A po drodze zgarniemy Humphreya!

Scandalous

Tamberlake stał we frontowym hallu i z niejakim rozbawieniem przysłuchiwał się wrzaskom hrabiego. Ojciec Ivy grzmiał na cały dom:

- Chłopak był tu jeszcze wczoraj! Jakim cudem mógłby zniknąć tak od razu?! To sprawka Tamberlake'a! Z pewnością on to zaaranżował! Chce się na mnie zemścić!

- Nie gorączkuj się tak, mój drogi - rozległ się głos matki Ivy. - Chyba się mylisz: to nie może być prawda.

- Oczywiście, że to prawda! I zaledwie część zdradzieckiej intrygi, która ma doprowadzić mnie do ruiny! Najpierw ten łotr uwodzi moją córkę i wciąga ją w straszliwy skandal. Potem buntuje mi syna i zwabia go... zapewne do jakiejś okropnej spelunki! Ciekawe, jak by się tłumaczył przed Izbą Lordów?!

- Mów ciszej, mężu. Co sobie służba pomyśli?!

- To mój dom, zapomniałaś?! Jeśli mam ochotę krzyczeć, to będę krzyczał! Do diabła ze służbą!

- Ależ, hrabio... - jęknęła jego żona. - Jeszcze dostaniesz ataku apopleksji!

- Będę miał atak albo nie, jak zechcę! Przestań mi gdakać nad głową! - irytował się lord Dunleigh. - Twój syn przepadł, moja pani! A twoja córka ubzdurzyła sobie, że jest zakochana w tym łotrze Tamberlake'u!

Książę wręczył majordomowi swoje rękawiczki i kapelusz

- Proszę zawiadomić pana hrabiego, że tu jestem i pragnę się z nim zobaczyć.

- Kogo mam zaanonsować?

- Lorda Tamberlake'a.

Na twarzy majordoma odbiło się zaskoczenie; zaraz się jednak opanował. Skinął głową i oddalił się.

- Proszę wybaczyć, panie hrabio...

- Czego tam?! - warknął Dunleigh.

- Zjawił się lord Tamberlake i chce się z panem widzieć, milordzie.

- Tamberlake tutaj?! Co, u wszystkich diabłów, robi w moim domu?!

- Czy mam mu powtórzyć, że pan hrabia nie przyjmuje?

- Nie. Przyślij go tu. Sam się rozprawię z tym nędznikiem!

Auburn stał na korytarzu obok drzwi. Majordomus wyjrzał i skinął potakująco głową. Książę wszedł z beztróskim uśmiechem.

- Dzień dobry, milordzie... uniżony sługa, pani hrabino.

- Jak śmiesz pokazywać się w tym domu?! - zagrział Dunleigh.

Czerwone plamy na jego twarzy jeszcze się uwydatniły.

Książę zwrócił się do niego z całym spokojem.

- Mówisz do mnie, hrabio? Nie pojmuję. Nie mam na sumieniu nic, czego mógłbym się wstydzić.

- Nic?! Uszargałeś w błocie dobre imię mojej córki! To dla ciebie nic?! Teraz zwabiłeś Bóg wie gdzie mego syna! To też nic?! -

Hrabia wymachiwał gniewnie paluchem. - Czego ci się jeszcze zachciewa? Chcesz zniewolić moją żonę?!

Matka Ivy jęknęła tylko „Dunleigh...!” i zaczęła się wachlować ręką.

-Po pierwsze, nie skrzywdziłem i nigdy bym nie skrzywdził Ivy.  
- Tamberlake podszedł do hrabiego i patrzył mu prosto w twarz. - Po drugie, Styles sam, bez mojej namowy, postanowił opuścić rodzinny dom. Czemu? Myślę, że powinieneś się nad tym zastanowić, hrabio. Być może znalazłbyś winnego bardzo blisko.

Lord Dunleigh otwierał i zamykał usta jak zdychająca ryba. Oczy wylaziły mu z głowy. Nie zważając na wzburzenie rozmówcy, Tamberlake kontynuował.

- Przybyłem tu, by prosić o rękę pańskiej córki.

Lady Dunleigh czknęła z wrażenia i spojrzała w osłupieniu na księcia.

Hrabia Dunleigh uniósł ramię gestem rzymskiego triumfatora,

- Ba! Nie ma jej tu! Ty ją stąd wypłoszyłeś! Przez ciebie nie może się nigdzie pokazać w Londynie, więc wyjechała, by żyć jak pustelnica!

- Bardzo wątpię, czy mógłbym wypłoszyć Ivy, choćbym nawet chciał. Ma silny charakter. Jestem pewien, że jeśli stąd wyjechała, uczyniła to z własnej woli.

Rodziec Ivy nadal spoglądał na księcia morderczym wzrokiem.

- Chyba sobie nie wyobrażasz, młokosie, że poślubisz moją córkę po tych zdradzieckich ciosach, któreś zadał jej ojcu?!

- Owszem, wyobrażam to sobie, i to z dużą przyjemnością - odparł z zimną krwią Tamberlake. - Ivy będzie idealną żoną.

- Nie dostaniesz jej bez mojej zgody - zaperzył się hrabia. - A ja się nigdy na to nie zgodzę!

Książkę wyciągnął z kieszeni surduta plik papierów.

- Kiedy się z tym zapoznasz, milordzie, z pewnością zmienisz zdanie. - Położył dokumenty na stole. - Przyznaję się od razu, że zmusiłem Wynbrooke'a do zerwania zaręczyn, ale nie będę za to przeproszał, bo nie ma za co!

- A moje dobre imię uszargane w błocie?! W wyższych sferach mówi się tylko o tym skandalu!

- Kiedy ożenię się z Ivy, cała śmietanka towarzyska zmieni front. Okrzyczą nas najbardziej zakochaną parą sezonu. Oszczerstwa przemienią się w zachwyty. Mógłbyś wykorzystać tę popularność w swojej karierze politycznej, hrabio!

Lord Dunleigh przestał krążyć po pokoju. Jego twarz odzyskała naturalną barwę. Widać było, że rozważa nowe aspekty sprawy.

- Co to za papierzyska?

- To dane o sytuacji finansowej markiza Wynbrooke'a. Ręczę głową za ich dokładność.

Hrabia schwycił leżące na stole dokumenty, zastrzegając się:

- To jeszcze nie znaczy, że zmieniłem zdanie!

- Proszę się z nimi zapoznać, milordzie.

Ojciec Ivy po raz ostatni obrzucił gościa nienawistnym spojrzeniem i skoncentrował uwagę na papierach. Oczy mu się rozszerzyły, szczeka opadła. Zajął się następnym dokumentem.

- Niewiarygodne! - mruknął, ale nie przerwał czytania. Przy wertowaniu trzeciej kartki znów poczerwieniał na twarzy, a jego sapiący oddech słychać było w całym pokoju.

- A to łajdak! Niegodziwiec! Nie puszczę tego płazem...! I pomyśleć, że chciałem wydać Ivy za tego przekłętęgo łotra!

Lady Dunleigh podniosła głowę i spytała ze zdumieniem:

- Co się stało?

Hrabia chwycił dokumenty w garść i zaczął wymachiwać nimi w powietrzu.

- Wynbrooke to bankrut, bez pensa przy duszy! Całkiem mnie omamił! Nie miałem pojęcia, że dybie tylko na posag Ivy! Strach pomyśleć, ile pieniędzy mógłbym w nim utopić!

Cisnął papiery na biurko i zwrócił się znów do księcia. Twarz mu złagodniała.

- Nie wiem, co powiedzieć... Wyświadczyłeś nam wielką przysługę, Tamberlake.

Zdezorientowana hrabina spoglądała to na jednego, to na drugiego.

- No to kim jest ostatecznie lord Tamberlake? Diabłem... czy aniołem stróżem...?

- Moja droga, czy ty doprawdy nic nie rozumiesz?! Tamberlake to bohater! Wyrwał nas ze szponów Wynbrooke'a! - Lord Dunleigh podkreślił te słowa stanowczym ruchem głowy.

- A co z Ivy...? - spytała lady Dunleigh.

Jej mąż zwrócił się znów do Tamberlake'a.

- Nadal chcesz się ożenić z Ivy?

-Tak.

- No to masz moje błogosławieństwo.

- Dzięki, milordzie.

- Jesienne wesela są bardzo efektowne... - rozmyślała głośno hrabina. - A może lepiej poczekać do zimy...? Młoda para w saniach...

- Nic z tego, hrabino - sprzeciwił się Tamberlake. - Nie zamierzam tak długo czekać. Ożenię się z Ivy w przyszłym tygodniu.

- W przyszłym tygodniu?! Ależ to niemożliwe! - oponowała matka Ivy.

- Mam specjalną licencję.

- W ciągu tygodnia nie zdążą jej uszyć nawet ślubnej sukni... a Ivy powinna mieć całą wyprawę! - argumentowała lady Dunleigh.

- Ivy ubierze się do ślubu, jak zechce. Nie obchodzi mnie, co będzie miała na sobie. A kiedy się pobierzemy, zadbam, by niczego jej nie brakowało. - Tamberlake urwał i zastanowił się. - Ale może lepiej spytajmy o to Ivy?

- Ivy wyjechała do Devon - wyjaśnił Dunleigh.

- Wiem. Wybieram się do niej jutro.

- To spadło na mnie tak nagle...! Tyle tych wszystkich zmian...  
Chyba za nimi nie nadążam...! - biadoliła hrabina-

- Kogo to obchodzi, czy nadążasz, czy nie? Ivy wychodzi za  
Tamberlake'a! - Lord Dunleigh założył ręce do tyłu i zakolysał się na  
obcasach. - Moja córka księżną.

Niezłe osiągnięcie

- Jeśli tak uważasz, mój drogi... - Hrabina była nadal  
zdezorientowana. - Ale co z Christopherem...?

- Styles zgodził się objąć zarząd nad moją posiadłością w  
Huntingdon. Mam mnóstwo ważnych spraw na głowie i nie mogę sam  
się tym zająć. Całe szczęście, że mam także godnego zaufania  
przyjaciela.

- No tak, oczywiście... - Hrabia roześmiał się ni stąd, ni zowąd,  
jakby przypomniał mu się jakiś dobry żart. Wyciągnął rękę do  
Tamberlake'a. - Jak ja ci się odwdzięczę, drogi chłopcze?

Tamberlake spojrzał na wyciągniętą ku niemu rękę i uściśnął ją.

- Uważałem to za swój obowiązek.

- Porządny z ciebie chłop, Tamberlake - stwierdził Dunleigh. -  
Rad jestem, że wkrótce będę ci mówił „synu”.

- A zatem wszystko ustalone. Zawiadomię, kiedy i gdzie  
odbędzie się ceremonia ślubna. - Księżę skłonił się lekko ojcu Ivy. -  
Dziękuję, milordzie, że zgodził się pan mnie wysłuchać.

- To ja powinienem ci dziękować, Tamberlake - odparł hrabia -  
Okazałeś się prawdziwym dobroczyńcą naszej rodziny.



- Państwo wybaczą, że się już pożegnam. Muszę przygotować się do podróży. Nie, nie! Proszę mnie nie odprowadzać.

Tamberlake był już w hallu, gdzie majordomus wręczył mu kapelusz i rękawiczki, kiedy doleciał do niego płaczliwy głos lady Dunleigh.

- Ale takie skromne przyjęcie...!

- Nie marudź, Phoebe! Dla Georginy urządzisz wesele z wielką pompą! - W głosie hrabiego dźwięczała szczerza radość. - A ja będę miał zawsze oparcie w Tamberlake'u!

Książę pokręcił głową. Widocznie był jeszcze bardziej zakochany w Ivy, niż sądził, jeśli z własnej woli wziął sobie na kark jej rodzinę!

Kamienny domek kryty strzechą oczarował Ivy od pierwszej chwili, gdy go ujrzała. W pobliżu tego niewielkiego, piętrowego budyneczku płynął strumyk i rosło mnóstwo różnobarwnych kwiatów. We wnętrzu domku było wystarczająco dużo miejsca dla niej i jej towarzyszki. Ivy zajęła największą sypialnię i rozpakowała swoje rzeczy. Potem zabrała się do skrzyni z książkami. Postanowiła zappełnić nimi półki w salonie, tuż obok ogromnego kominka. W domku nie było jadalni, toteż obie z panią Pennyfeather jadały odtąd przy wielkim drewnianym stole w kuchni. Ivy miała wielką pociechę ze swej towarzyszki. Pani Pennyfeather nie tylko bawiła ją anegdotkami o swoich poprzednich pracodawcach, ale doskonale gotowała! Zdana na własne siły Ivy umarłaby zapewne głodową śmiercią.

Hampton-in the-Moor okazało się niewielką miejsciną. Jej mieszkańcy nie przyjęli wprawdzie obcych dam z otwartymi ramionami, ale nie okazywali im wrogości. Ivy sprawiały przyjemność zarówno długie spacery po wrzosowisku, jak i spokojne popołudnia spędzone z książką w ręku. Nikt nie krytykował jej wyglądu, nikt nie lekceważył jej opinii, a przede wszystkim nikt nie zmuszał jej do niechcianego małżeństwa. Ivy upajała się wolnością. Brakowało jej Christophera, ale wcale nie tęskniła za hałaśliwym życiem rodzinnym: wieczne utarczki, pusta paplanina, ryki rozjuszonego ojca... Teraz dobiegał do niej tylko świergot ptaków gnieźdzących się w żywopłotach i kojący szmer strumyka.

Pierwszy tydzień po przyjeździe minął jak z bicza trząśł. Pani Pennyfeather nauczyła Ivy piec chleb. Wypróbowały też lokalny przysmak: słynną w całej Anglii bitą śmietankę z Devon. Ivy zabrała się znów do dawno zarzuconych ręcznych robótek i z prawdziwą satysfakcją oglądała swoje hafty. Zastanawiała się również nad budową kurnika; dobrze byłoby mieć własne, świeżutkie jajka! Postanowiła część otrzymanego wraz z domkiem gruntu zamienić w pastwisko i wynajęła kogoś, by ogrodził je płotem. Przy pomocy pani Pennyfeather wysprzątała i wywietrzyła cały dom; nie brakowało w nim teraz świeżego wiejskiego powietrza. Sielskie życie bardzo jej odpowiadało. Wspominała z wdzięcz-ością lorda Stanhope'a, który ją tak obdarował.

Ale w każdej wolnej od pracy chwili myśli Ivy biegingy do Tamberlake'a. Co porabia? Gdzie teraz przebywa? Czy myśli o niej?

Podczas spaceru przypominała sobie ich wspólne przechadzki w Walii. Kiedy czytała, mimo woli wracała myślą do biblioteki księcia. A w nocy, leżąc bezsennie w łóżku, wspominała pieszczoty Auburna, każde dotknięcie jego ręki.

Trapił ją lęk, że gdy na dobre się zadomowi w Devon, będzie miała więcej wolnego czasu na takie rozpamiętywania; wynajdowała więc sobie coraz to nowe zajęcia. Tego ranka miała na sobie najstarszy i najbardziej zniszczony strój: prostą brązową spódnicę i białą bluzkę. Niebo było zachmurzone. Chciała przed deszczem zasadzić kilka kwiatów; a gdyby zostało jeszcze trochę czasu, warto by przyciąć pędy róż, które całkiem zdziczały przez te kilka lat, gdy nikt nie zajmował się ogrodem. Wzięła więc z półki obok kuchennych drzwi motykę i nożyce ogrodowe oraz nieprzemakalną płachtę, w którą będzie można owinać odcięte gałązki.

- Proszę nakryć głowę, lady Ivy - upomniała ją pani Pennyfeather.

- Przecież nie ma słońca!

- Coraz to jakiś promień przedziera się przez chmury. I proszę mocno związać wstążki. To podstępne wietrzyło może jak nic zerwać czepek z głowy.

- Tak jest, kapitanie! - odparła Ivy z uśmiechem. Chwyciła kapelusik i wcisnęła go na głowę.

Gdy tylko wyszła na dwór, wietrzyskoomal nie zerwało jej czepka. Położyła więc narzędzia ogrodnicze na ziemi i mocno związała wstążki pod brodą. Kwietna rabatka biegła wzdłuż niskiego

murku z kamienia. Czekwały tu już na Ivy przygotowane przez panią Pennyfeather sadzonki: klematis, ogrodowe goździki i chryzantemy. Postanowiła zasadzić klematis przy samym ogrodzeniu w nadziei, że roślinka zacznie się po nim pięć i niebawem pokryje cały mur barwnym kwieciem.

Za pomocą motyki wykopała niewielki dołek w ziemi. Nigdy dotąd nie sadiła roślin; było to dla niej nowe, podniecające przeżycie. Jak słodko pachnie świeżo skopana ziemia...! Zgodnie z instrukcją pani Pennyfeather Ivy umieściła sadzonkę w dołku, podsypała ziemi i ubiła ją dokoła. Jeśli roślinka wyżyje, będzie to raczej szczęśliwy traf niż dowód jej ogrodniczych talentów.

Od strony polnej drogi do uszu Ivy dotarł tętent końskich kopyt. Zajęta sadzeniem następnego kwiatka nawet się nie obejrzała.

- Nigdy jeszcze nie widziałem równie czarującego obrazka! - odezwał się zza kamiennego muru męski głos.

Serce Ivy rozszalało się, zanim jeszcze spojrzała na przybysza.  
Tamberlake!

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało, potem Tamberlake roześmiał się.

- Pędziłem tu co koń wyskoczy, a teraz nie wiem, co powiedzieć!

Przełożył ostrożnie prawą nogę przez koński grzbiet i zsunął się po końskim boku na ziemię. Zaczepił cugle o furtkę.

- Przyjechałeś! - Ivy wstała z ziemi i otrzepała spódnicę. - Nie śmiałam nawet marzyć o tym...

Auburn odczepił przytroczoną do siodła laskę i wszedł na dziedziniec.

- Widziałem się z twoim ojcem.

- I jeszcze żyjesz?! - zaśmiała się Ivy. - Jakiś go zaczarował? Przydałoby mi się takie zaklęcie!

- Obeszło się bez zaklęć. Przemówiły nagie fakty. - Tamberlake wziął ją za rękę. - Wybacz mi wszystko...

- Teraz już wiem, że jesteś w zмовie z nieczystą siłą! Kiedy wyjeżdżałam, ojciec wzywał wszystkie moce piekielne, by starły cię na proch!

- ... A co więcej, wyraził zgodę na nasz ślub.

Ivy skamieniała. Wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczyma. Auburn widział niemal rój pytań kłębiących się w jej piwnych źrenicach. W końcu wykrztusiła:

- Naprawdę chcesz się ze mną ożenić? Tamberlake wybuchnął śmiechem.

- Zazwyczaj mężczyzna zadaje to pytanie swojej wybrance. Wybacz, Ivy! Powinienem spytać cię o to, zanim zwierzyłem się twojemu ojcu ze swych zamiarów. - Położył ręce na ramionach Ivy, spojrzał jej prosto w twarz i zapytał: - Wyjdiesz za mnie?

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Tak! O, tak!

Zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała go.

Był zachwycony spontaniczną reakcją Ivy. Przyciągnął ją do siebie i oddał pocałunek z procentem. Jego ciało zareagowało na bliskość Ivy tak jak zawsze, tylko jeszcze gwałtowniej z powodu niezaspokojonej tęsknoty ostatnich kilku tygodni.

Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, spojrzała na nie-go i spytała:

- Ale jakim cudem skłoniłeś mego ojca do zmiany zdania? - Chyba muszę ci wyznać prawdę...

- Prawdę? - Cofnęła się i spojrzała na niego podejrzliwie. - Te plotki o nas... Zerwanie zaręczyn przez Wynbroke'a... Wyjazd Christophera do Huntingdon... To wszystko moje sprawki.

Ivy była zaszokowana.

- Jak...? To znaczy... dlaczego?!

- Bo nie mogłem pozwolić, byś wyszła za Wynbrooke'a. On by cię unieszczęśliwił.

- Ach, tak...?

Między brwiami Ivy zarysowała się zmarszczka.

- Ty nigdy byś nie złamała przyrzeczenia, więc dałem Wynbrooke'owi pretekst do zerwania zaręczyn. Wiedziałem, że mój powrót do wielkiego świata wywoła sensację. Musiałem się tylko postarać, żeby nasze imiona zaczęto łączyć ze sobą. Resztą zajęli się londyńscy plotkarze.

- Przecież Wynbrooke wcale się nie przejmował tymi plotkami!

- Wiem. - Tamberlake zamilkł na chwilę. - Ale znałem jego sekrety, więc mogłem go... skłonić do zerwania.

- Jakie sekrety?

- No... kłopoty finansowe... I coś jeszcze. -Co?

Książę znów się zawahał.

- Wynbrooke i Thorndike są kochankami.

Ivy zrobiła wielkie oczy. Potem marszcząc brwi, mruknęła:

- To wiele wyjaśnia.

- Dzięki plotkom na nasz temat mógł wyjść z tego z honorem, ale gdyby nie zerwał zaręczyn, wyjawilibym i tę tajemnicę.

- A mój ojciec...?

- Kiedy mu udowodniłem czarno na białym, że Wynbrooke nie miał ani pensa, uznał mnie za bohatera. O tej drugiej sprawie nawet mu nie wspomniałem.

Ivy odwróciła się.

- Ale dlaczego...? Dlaczego chcesz się ze mną ożenić?

-Zastanowił się przez chwilę. Nie mógł jej przecież powiedzieć, że byłaby wprost idealną żoną, że jej koneksje towarzyskie to cenny atut, że pragnął jej tak, jak nigdy dotąd nie pragnął żadnej kobiety...

- Bo doskonale do siebie pasujemy. No i co ty na to, Ivy? Pobierzemy się?

- Wcale nie jestem pewna, czy naprawdę pasujemy do siebie. Zawsze będę ci wdzięczna za to wszystko, co razem przeżyliśmy... ale nie chcę, byś czuł się zobowiązany do małżeństwa ze mną. - Stali teraz twarzą w twarz; oczy Ivy były pełne łez. - Łudziłam się, że jesteś inny niż wszyscy!

Tamberlake osłupiał.

- O czym ty mówisz? Przyjechałem tu, żeby prosić cię o rękę!

- Pamiętasz, jak mnie prosiłeś, żebym ci zaufała?

- Oczywiście!

- No i zaufałam. Ale ty nie okazałeś mi swego zaufania.

- Ależ ja...

- Czy ty wiesz, ile wycierpiałam przez te ostatnie tygodnie?

Byłam przedmiotem plotek, szyderstw i niesmacznych spekulacji! Krzyczano na mnie, wyśmiewano mnie, wytykano mnie palcami, gapiono się na mnie! Znosiłam to wszystko z największą godnością, na jaką było mnie stać, ale z sercem pełnym nienawiści. A tobie nawet nie przyszło do głowy, że zniosłabym to wszystko mniej boleśnie, gdybyś mi powiedział prawdę!

Auburn chciał do niej podejść, ale powstrzymała go ruchem ręki.



- Przez całe życie byłam wykorzystywana. Najpierw mój ojciec posługiwał się mną jako przynętą, by zyskać sojuszników i protektorów; potem Wynbrooke uznał mnie za wygodny parawan i podporę finansową. A teraz dowiaduję się, że i ty wolałeś mną manipulować, niż okazać mi trochę zaufania i poprosić mnie o pomoc!

- Ocaliłem cię od małżeństwa z Wynbrookiem!

- Istotnie. Będę ci za to dozgonnie wdzięczna. Słusznie przewidywałeś, że małżeństwo z nim nie przyniosłoby mi szczęścia. - Odsunęła się jeszcze bardziej. - Dziękuję, milordzie. Wyświadczyłeś mi ogromną przysługę.

Wezbrał w nim gniew.

- Nie tylko ja posunąłem się do manipulacji dla własnych egoistycznych celów!

- O czym ty mówisz?

- Tamtej nocy w Walii, pamiętasz? Odrzuciłaś zasady obowiązujące w naszym środowisku, by zdobyć to, na czym ci zależało: noc absolutnej wolności i skarb wspomnień, którym chciałaś radować się do końca życia. Nie liczył się nikt oprócz ciebie. Nawet jednej myśli nie poświęciłaś temu, kim się posłużyłaś, a którego potem porzuciłaś bez słowa. Mnie!

Policzki Ivy były czerwone jak ogień.

- Ja... ja nie miałam zamiaru...

- Ty pierwsza zabawiłaś się marionetką na sznurku!

- Nigdy nie traktowałam cię w ten sposób!

- Doprawdy? Zlitowałaś się nad kalekim potworem...

- Nie jesteś żadnym...

- Oszczędź mi tych pustych frazesów! Daphne Coville przynajmniej szczerze przyznaje, że uważa mnie za potwora!

Książę wyszedł przez furtkę i zarzucił odplątane cugle na koński kark.

Niebo było teraz ciemnoszare. Tamberlake z pewnym trudem umieścił lewą nogę w strzemieniu, a prawą, okaleczoną, przełożył przez koński grzbiet. Z wysokości siodła spojrzął na Ivy.

- Pomyśleć tylko: uwierzyłem Styksowi, kiedy mnie przekonywał, żeś się we mnie zakochała! Jak mogłem aż tak zgłupieć?!

- Christopher ci to powiedział?

Ivy już chciała za nim biec, ale w tej chwili na dziedzińcu huknął grom. Szyba okienna tuż za jej plecami rozprysła się na tysiące odłamków.... Ale przecież nie było błyskawicy?..

- Padnij, Ivy! - krzyknął Tamberlake, rozglądając się na wszystkie strony. Nie dostrzegł wśród drzew nic podejrzanego.

Zahuczał następny strzał. Ivy krzyknęła. Auburn od-wrócił się błyskawicznie, by sprawdzić, czy nic się jej nie stało. Ujrzał, że dziewczyna pada na ziemię.

- Ivy!

Koń stanął dęba i książę poczuł, że zsuwa się z siodła. Nie mógł chorą nogą ścisnąć jak należy końskiego boku. Spadając, usłyszał jeszcze wołanie Ivy: „Auburn!” i wylądował na ubitej ziemi. Uderzył

głową w coś jeszcze twardszego. Ostry ból przeszył mu czaszkę. Potem pochłonęła go ciemność.

Widocznie trafił do nieba!

Leżał na mięciutkiej chmurce. Jak tu ciepło i bezpiecznie! Ostrożnie otworzył oko, ale nie dostrzegł niczego prócz bieli. Jakaś anielska ręka ocierała mu czoło. Było to takie przyjemne, że aż westchnął.

- Bogu dzięki! Odzyskuje przytomność. Tamberlake zamrugał i w polu jego widzenia znalazła się twarz pani Pennyfeather. Potem, gdy jego wzrok nabrał ostrości, przekonał się, że leży w łóżku pod ogromną białą pierzyną. Odwrócił głowę i ujrzał Ivy: ścisnęła w rękę jakąś moką szmatę i walczyła ze łzami. Z drugiej strony łóżka stał Fletcher. Diabli wiedzą czemu, osoba majordoma jakoś nie pasowała księciu do reszty obrazu.

- Fletcher? Co ty tu robisz, u licha?!

- Robię wszystko, co w ludzkiej mocy, by utrzymać waszą książęcą mość przy życiu.

- Mnie? Przy życiu?!

Książę chciał się zerwać z łóżka, ale opadł z jękiem na Poduszki. Głowa omal mu nie pękła. Sięgnął ręką i wymacał ogromny guz na potylicy. Potem zerknął na Ivy o przypomniał sobie scenę w ogrodzie, dziwną burzę bez błyskawic, wystrzały... Usiadł na łóżku i chwycił Ivy za ręce, nie zwracając uwagi na gwałtowną falę mdłości.

- Jesteś ranna?!

- Nic mi się nie stało. - Uwolniła jedną rękę z jego uścisku i pogłaskała go po twarzy. - Proszę, połóż się!

Zrobił, co mu kazała, ale nadal trzymał ją za drugą rękę.

- Gdzie ja jestem?

- W moim domku.

Ivy otarła mu czoło wilgotną szmatką.

- Od jak dawna...? - Raz jeszcze rozejrzał się po pokoju.

Majordomus nadal nie pasował mu do otoczenia. - Skądęś się tu wziął, Fletcher?

- Pani Pennyfeather sprowadziła mnie tutaj z oberży, milordzie.

Książę przeciągnął się ostrożnie. Bolało go przy każdym ruchu, ale był to całkiem znośny ból. Miękką pościel pieściła nagą skórę.

Nagą...? Tamberlake zmarszczył brwi.

- Gdzie moje ubranie?

- Tutaj, milordzie. - Fletcher wskazał gestem szafę.

- Kto mnie...?

- Ja rozebrałem waszą książęcą mość.

Tamberlake spojrział na Ivy. Policzki miała czerwone jak wiśnie. Wzruszyła ramionami.

- Po co udawać? Zdjęłam z ciebie, co mogłam, zanim się zjawił Fletcher. Ale sama nigdy bym cię nie rozebrała... Tym bardziej, że nie chciałam zadać ci więcej bólu.

- Dziękuję! - Uniósł się na łokciach. - Zaraz wstanę.

- Mowy nie ma! Zostaniesz w łóżku, póki doktor cię nie zbada! - oświadczyła kategorycznie Ivy.

- Po co doktor? Za kilka minut będę zdrow jak ryba! -Znów się obejrzał na Fletchera. - A nasze pokoje w oberży.

- Zrezygnowałem z nich, milordzie. Lady Ivy zaoferowała nam gościnę w swoim domu. Pańskie rzeczy niebawem tu będą.

- Chyba nie...

Książę urwał nagle. Żołądek podszedł mu do gardła. Fletcher zwinnie uskoczył w bok i w samą porę podsunął nocnik pod obrzydliwą fontannę.

Pani Pennyfeather powiedziała:

- Wyjdźmy stąd, lady Ivy. Lord Tamberlake z pewnością chce odpocząć w samotności. Przygotujemy mu coś do zjedzenia. Mam wrażenie, że gdy tu wrócimy, będzie leżał spokojnie. - To rzekłszy, wyprowadziła Ivy z pokoju chorego.

W kuchni Ivy zajęła się krajaniem chleba, a pani Pennyfeather włożyła dwa jajka do garnuszka z gorącą wodą, który stał na kuchennym piecu.

- On... wyzdrowieje, prawda?

- Na pani miejscu, lady Ivy, nie martwiłabym się o zdrowie księcia. Jak tylko coś zje, zaraz się poczuje lepiej.

Ivy przykryła serwetką chropowatą drewnianą tackę i postawiła na niej masło i konfitury. Obok umieściła talerz z kromkami chleba, a pani Pennyfeather wzbogaciła tę martwą naturę o dwa jajka na miękko. Wreszcie Ivy zaniosiła tacę Auburnowi.

- To dobre dla inwalidów! - skrzywił się.

- Jedz, nie marudź! Musisz nabrać sił. Posmarowała kromkę chleba masłem.

Z miną niegrzecznego chłopca, którego dorośli zmuszają do czegoś „dla jego dobra”, Auburn wgryzł się w kromkę.

- Pamiętam tylko tyle, że upadłaś na ziemię, a ja zaraz potem zsunąłem się z siodła. Myślałem, że cię zastrzelili.

- Nikt mnie nie zastrzelił, a upadłam umyślnie, jak mi kazałeś. Potem twój koń stanął dęba... Myślałam, że to ciebie zastrzelili!

- Nie, zwyczajnie straciłem równowagę. Rzadko jeżdżę konno, bo moja noga jest za słaba na takie wyczyny. Ale tym razem chciałem jak najprędzej dotrzeć do ciebie. Kiedy ten przeklęty koń zaczął brykać, nie mogłem utrzymać się w siodle. Moja głowa...

- Uderzyłeś nią o kamień.

- No to już wiem, skąd mam takiego guza! - Spojrzał z obrzydzeniem na jajka. - Nawet mi tego nie pokazuj.

- Tak jest, milordzie - odparł służbiście Fletcher.

- Jak zdołaliście mnie zatańczyć do domu?

- Kiedy spadłeś z konia, zawołałam panią Pennyfeather. Skoro tylko do nas podeszła, otwarłeś oczy. Pomogłyśmy ci stanąć na nogi, ale zachowywałeś się jakoś dziwnie. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej położyć cię do łóżka. Pani Pennyfeather domyśliła się, że nie podróżowałaś w pojedynkę. Pobiegła do oberży i znalazła tam Fletchera.

- Czemu ja tego wszystkiego nie pamiętam?!

- Z powodu tego guza na głowie.

Ivy próbowała wmusić w księcia jeszcze kawałek chleba, ale odwrócił głowę.

- A ten strzelec...? Znaleźli go?

- Nie, milordzie - odparł Fletcher. - Natychmiast zawiadomiłem o tym wydarzeniu, kogo trzeba. Ale miejscowy sędzia pokoju jest przekonany, że to był nieszczęśliwy wypadek: jakiś myśliwy wystrzelił przez pomyłkę.

- Żaden wypadek! Strzelił dwa razy. Pierwsza kula rozbiła okno. Jeden wystrzał może być przypadkowy, ale dwa już nie. - Auburn odsunął od siebie tackę. - Może by tak kawałeczek boczku...?

- Poczekamy z tym, aż poczujesz się lepiej - orzekła Ivy. - Już się czuję lepiej! - Urwał i zmienił temat. - Jak długo byłem nieprzytomny?

- Bardzo krótko - odparła. - Ale potem kilka razy przysypiałeś. Trudno było się z tobą dogadać. Po raz pierwszy mówisz całkiem logicznie.

- Jeśli mówię logicznie, to co z tym boczkiem?

- Proszę: nie dręczyć lady Ivy, milordzie - wmieszała się pa ni Pennyfeather, ocierając oczy chusteczką. - Czuwała bez wytchnienia, (odkąd ułożyliśmy waszą książęcą mość w łóżku.

W tym momencie pamięć całkiem mu wróciła. Spojrzał na Ivy. Była taka mizerna i zmęczona... I piękna jak nigdy! Książę zwrócił się do starszej pani, podsuwając jej tackę:

- Pani Pennyfeather, niech pani okaże choremu trochę miłosierdzia i zabierze to paskudztwo sprzed oczu! Fletcher z przyjemnością pani pomoże.

Lokaj spojrzął znacząco na panią Pennyfeather.

- W tej chwili, milordzie. Oboje wyszli z pokoju. Ivy przygryzła dolną wargę.

- Myślałem, że mnie nienawidzisz - powiedział Tamberlake.

Łzy, które od dłuższej chwili zbierały się w jej oczach, teraz przelały się na policzki.

- Byłam na ciebie wściekła i wygadywałam okropne bzdury...

- Tak samo jak ja! Gniew robi głupca z najporządniejszego mężczyzny.

- Z kobiety też. - Ivy uśmiechnęła się przez łzy. - Ależ się na ciebie wściekałam!

- A mnie poniosła pycha i koniecznie chciałem mieć ostatnie słowo! - Wziął ją za rękę. - Miałś rację: powinienem był ci zaufać.

- Powinieneś! - przytaknęła, ale po namyśle dodała: -Choć muszę przyznać, że tak się uparłam przy tym honorze i obowiązku, że mogłabym ci pokrzyżować plany!

Auburn pogładził ją kciukiem po wierzchu ręki.

- Chętnie bym powiedział, że to przewidziałem i właśnie dlatego ukryłem przed tobą prawdę... ale wcale tak nie było. Tak sobie wbiłem do głowy, że muszę cię ocalić, tak mi się spodobała rola bohatera, że nie zastanawiałem się nad tym, co ty przeżywasz.



- Ale naprawdę mnie ocaliłeś! - Ivy wzdrygnęła się. -

Wyobrażasz sobie, jakby wyglądało moje małżeństwo z markizem?!

- Wolę o tym nie myśleć. - Tamberlake opadł na poduszki. - Do wyjścia za mnie też cię nie będę zmuszał, jeśli nie masz na to ochoty.

- Wolisz mieć wolne ręce i ożenić się z wesołą wdówką?

- Daphne?! Broń mnie, Boże! - Znow siadł raptownie i skrzywił się z bólu. Ivy chciała mu obetrzeć czoło, ale powstrzymał ją gestem ręki. - Skąd ci coś takiego przyszło do głowy?!

- Powiedziała mi, że zamierza wyjść za ciebie.

- Tak, mnie również to oznajmiła. Wyjątkowa idiotka! Jak mogła przypuszczać, że ożenię się z podłą egoistką, która porzuciła mnie w najcięższej chwili mego życia?!

- Ale lady Coville...

- Do diabła z lady Coville! - Książę wyrwał Ivy z rąk szmatkę i otarł jej łzy z policzków. - Tylko ty, Ivy, patrząc na mnie, dostrzegasz człowieka pod maską potwora.

- Nie jesteś żad...

Z uśmiechem przyłożył jej palec do ust.

- Wiem, wiem...

Wziął ją w objęcia. Ponad jej ramieniem dostrzegł swoją opaskę na oko zwisającą ze słupka baldachimu. Odsunął Ivy od siebie i dotknął swej twarzy. Nic nie zasłaniało blizn. Nakrył dłonią miejsce, gdzie niegdyś było oko, i powiedział z wyrzutem:

- Czemu nikt mnie nie uprzedził, że jestem... całkiem nagi...?

Ivy jęknęła - głośno i dramatycznie.

- O, wielkie nieba! Jak mogłeś mi się ukazać w takim stanie?!  
Jestem nieodwołalnie skompromitowana...! No cóż... będziesz musiał się ze mną ożenić!

Tamberlake wybuchnął śmiechem.

- Nie omyliłem się: pasujemy do siebie! - Pogłodził żyłki na jej przegubie - Mam ci udowodnić, jak dobrze pasujemy...?

- Zaczekamy z tym, aż wrócisz do sił.

- A jeśli ci powiem, że siły mi wracają z każdą chwilą...?

- To pomyślę, że bredzisz w malignie, i każę wezwać doktora!

Auburn uśmiechnął się szeroko.

- Niech ci będzie, moja pani! Tym razem dostosuję się do twoich życzeń.

- Ciekawe, czemu to oświadczenie wcale mnie nie uspokaja...?

- Bo dobraliśmy się w korcu maku i potrafisz czytać w moich myślach. No, wyjdź za mnie, Ivy! Wyjdź za mnie i wyprowadź biednego potwora z wiecznych ciemności!

Oczy Ivy znów się napęłniły łzami.

- Nie jesteś żadnym potworem! Widzę, że będę musiała wyjść za ciebie, żeby ci to bezustannie wbijać do głowy!

Auburn pocałował ją w policzek.

- Idź spać, Ivy! Potrzebujesz wypoczynku tak samo jak ja.

Skinęła głową i wyszła z pokoju. Dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi, przyłożyła rękę do policzka, jakby szukała na nim śladu pocałunku. Naprawdę znakomicie pasowali do siebie...! Gdyby się dopasowali jeszcze bardziej, chyba by doszło do samozapłonu...!

Ivy nie odrywała wzroku od talerza. Tydzień temu była w swoim domku w Devon. Dzisiaj goszczono ją przy ojcowskim stole. Czowała się jak w dziwnym śnie: jadła Potrawy, nie czując ich smaku, i nosiła nowe nazwisko, do którego jeszcze nie przywykła. Starą znajomą była tylko suknia. O, tak: nowo zaślubiona księżna Tamberlake zamiast nowiuteńkiej kreacji ślubnej miała na sobie suknię w której wystąpiła niegdyś na swym balu zaręczynowym. Ale cóż to szkodzi? Z pewnością nie wywoła skandalu. Wścibscy reporterzy nie mieli pojęcia o tym wydarzeniu. Na ślubie była tylko najbliższa rodzina panny młodej i matka pana młodego. No i, oczywiście, Fletcher i pani Pennyfeather. Gazety rozpiszą się o tym ewenemencie dopiero wówczas, gdy poniewczasie ukaże się oficjalne zawiadomienie o zawarciu małżeństwa.

Ceremonia była krótka, a i tak Ivy zapamiętała z niej tylko oderwane scenki i obrazy. Wnętrze małej, prześlicznej kaplicy. Nie wiedzieć czemu utkwiły jej w pamięci barwne plamy tworzące się na posadzce od witrażowych okien. Natomiast ze słów łączącego ich węzłem małżeńskim pastora ani jedno nie dotarło do jej świadomości. Przypominała sobie jak przez mgłę, że oboje z Auburnem składali przysięgę małżeńską... Ale poza tym już nic nie zapamiętała... oprócz przemarszu nawą główną. Wszystko przez te nerwy! - pomyślała Ivy. Jednak w żaden sposób nie mogła pojąć, czemu właściwie była taka zdenerwowana?

- Wybieracie się chyba w podróż poślubną? - dotarło do Ivy pytanie matki. - Dłuższe wojaże po kontynencie to teraz ostatni krzyk mody.

- Nigdzie się nie... Chciałem powiedzieć, że przedtem musimy załatwić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę - odparł Tamberlake.

- Kiedy ja będę wychodziła za mąż, dopilnuję, żeby mój małżonek zabrał mnie w podróż poślubną!

- To są wyjątkowe okoliczności, Georgino! - przedkładała jej matka.

- Wyjątkowe czy nie wyjątkowe, zupełnie nie rozumiem, czemu na ślubie rodzonej siostry nie wystąpiłam w nowej sukni! - nie ustępowała Georgina.

- Nie było na to czasu! - odburknął jej ojciec, po czym odwrócił się do Tamberlake'a. - Zapamiętaj sobie moją radę, synu: nigdy nie daj się wciągnąć w gadaninę o babskich szmatkach! Założę się, że nawet taki bohater jak książę Wellington nie ważyłby się stawić czoła kobiecie, gotowej na wszystko w obronie ukochanych... fatalaszków! - Lord Dunleigh roześmiał się serdecznie z własnego dowcipu.

Ivy pożałowała, że nie może łyknąć sobie czegoś mocniejszego niż stojące przed nią wino... albo przynajmniej chować się pod stołem.

-No, tak, Ivy nie interesuje się strojami ani modą -przypomniała sobie jej siostra. - Gdyby choć trochę zna-a się na tych sprawach, poczekałaby ze ślubem, aż odpowiednia suknia będzie gotowa!

-Jestem pewien, że Ivy ma inne sprawy na głowie, Georgie - wtrącił się Christopher. - O wiele ważniejsze od fatalaszków!

- Na przykład jakie? - spytała z niebotycznym zdumieniem Georgina. Cóż mogło być ważniejszego niż odpowiedni strój?!

Na przykład wykrycie tego, kto próbował zabić Auburna i mnie!  
- pomyślała Ivy, sącząc wino z pozornym spokojem.

- Nie łam sobie nad tym ślicznej główki, Georgino -uspokoił córkę lord Dunleigh. - Już ja ci znajdę męża, który będzie cię rozpieszczał tak, jak na to zasługujesz.

Ivy spojrzała przez całą długość stołu na swego męża. Ciekawe, czy już żałuje, że się z nią ożenił...? Powinna go była ostrzec przed swoją rodziną! Dobrze chociaż, że wyraźnie polubił Christophera, a i z jej ojcem też umiał sobie poradzić. Ot, choćby wczoraj... Spojrzenie Ivy spoczęło na teściowej. Księżna Tamberlake... Nie, księżna wdowa, nie wyrzekła ani słowa od zakończenia ceremonii ślubnej. Ivy doszła do wniosku, że raczej Auburn powinien był ją ostrzec przed starszą lady Tamberlake!

Wlokące się w nieskończoność przyjęcie weselne dobieg-wreszcie końca. Powóz czekał już na nowożeńców. Matka Ivy urządziła wielką scenę pożegnania, całując z płaczem córkę opuszczającą dom rodzinny. Ojciec natomiast był zajęty dawaniem dobrych rad nowemu zięciowi, by pożegnać się z własnym dzieckiem. Ivy wsiadła do powozu z westchnieniem ulgi. Uśmiechnęła się do teściowej i przysunęła się do okna. Christopher stał pod nim i pomachał siostrze ręką. Tuż przed ceremonią kościelną kochające się rodzeństwo zdołało zamienić kilka słów. Christopher mówił wyłącznie o swojej pracy i nowych obowiązkach, a także związanej z

nimi odpowiedzialności. Opowiadając siostrze o Huntingdon i o innowacjach, które zaczął już tam wdrażać, dosłownie promieniał. Ivy pomyślała, że nieczęsto będą się teraz spotykali. Bardzo będzie jej brakowało Christophera... Wiedziała jednak, że brat jest szczęśliwy jak nigdy dotąd. Pomachała mu więc na pożegnanie, życząc, by odtąd wszystko układało mu się jak najlepiej.

Powóz zakołysał się, gdy wsiadł do niego Tamberlake. Zajął miejsce obok żony i postukał laską w dach, by ponaglić stangreta do odjazdu.

Przez pierwsze pół godziny żadne z nich nie odezwało się. Auburn oparł głowę o wyściełaną ściankę powozu i zdrzemnął się. Gdy Londyn został już za nimi, Ivy nie odrywała wzroku od sielskich widoków za oknem, ale mimo to dostrzegła, że lady Tamberlake równie uparcie przygląda się jej, nowo upieczonej księżnej. W końcu zwróciła się do teściowej z dość obcesowym pytaniem:

- Mam sadzę na nosie czy coś podobnego? Księżna wdowa roześmiała się.

- Nie, nie! Ale uczciwie przyznaję, że gapiłam się na ciebie, moja droga. Nie brałaś chyba udziału w życiu towarzyskim, prawda? Dałabym głowę, że nigdy dotąd nie spotkałyśmy się.

Tamberlake poruszył się niespokojnie.

- Obiecałaś zachowywać się przyzwoicie, matko! Księżna spojrzała na syna ze zniecierpliwieniem.

- Nie wolno zadać kilku pytań swojej synowej?

- Lepiej nie zapominaj, że to ona jest teraz księżną.

Ivy spoglądała to na jedno, to na drugie.

Starsza dama machnęła lekceważąco ręką.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Strasznie humorzasty!

Teraz z kolei Ivy spojrzała na teściową z wyraźnym zainteresowaniem.

- Wiem o tym.

- Doprawdy, Ivy, zdumiewasz mnie! Mogę mówić ci po imieniu?

- Oczywiście! Inaczej te wszystkie „lady Tamberlake” i „ich książęce mości” zupełnie by się nam poplątały.

- Jesteś naprawdę zdumiewająca! Opowiedz, jak poznaliście się z moim synem.

- Lord Stanhope zlecił mi wykonanie pewnego zadania w Walii.

- Stanhope? Przecież on zmarł kilka miesięcy temu!

- Tak, ale umieścił w swym testamencie zapis dla mnie, związany z pewnym warunkiem. Miałam przekazać niewielki pakiet osobie, którą lord Stanhope również wymienił w swej ostatniej woli.

- I skoro tylko przybyłaś do Walii, zauroczyłaś mego syna, co?

- „Zauroczyłaś” to chyba nie najlepsze określenie.

- A jakiego powinnam użyć?

Ivy zastanawiała się przez chwilę.

- Chyba „zadręczyłam”... Albo „ogłupiłam”.

- Może mnie „poskromiłaś?” - podsunął Tamberlake.

- Nie, to mi wcale nie pasuje, milordzie - odparła Ivy. - Raczej „ścięłam cię z nóg”.

Starsza lady Tamberlake uniosła brew i zrobiła minę, którą Ivy widywała już nieraz na twarzy jej syna.

- Sprytna jesteś!

Ivy wzruszyła ramionami.

- Staram się, jak mogę.

Powóz skręcił w aleję wiodącą wprost do dworu. Ivy Zamilkła. Co prawda, raz już tu była, ale tym razem przyjeżdża do Marsgrove jako pani domu! I znów, tak samo jak przedtem, fasada domu zachwycała ją: była równie imponująca, jak elegancka.

Powóz zatrzymał się i lokaj otworzył drzwiczki. Tamberlake wysiadł pierwszy i pomógł wysiąść matce. Ivy wzięła głęboki oddech i wygramoliła się z powozu bez niczyjej pomocy. Cała służba zebrała się na schodach przed głównym wejściem do dworu. Na widok Ivy zaczęli wiwatować.

- Witaj w swoim nowym domu, księżno! - szepnął do niej mąż.

Ivy przedefilowała między dwoma rzędami służby. Każdemu podawała rękę i dziękowała za serdeczne powitanie. Na widok Beakera i jego żony rozjaśniła się uśmiechem.

- Jak to miło zobaczyć dwie znajome twarze wśród tylu obcych!

- No pewnie, panienko... to znaczy... milady.

Na twarzach Beakerów ujrzała szczerą radość, która była odbiciem jej radości.

Fletcher stał na najwyższym stopniu schodów. Zaraz po zakończeniu ceremonii kościelnej wyjechał z powrotem do Marsgrove. Gdy Ivy zbliżyła się do niego, ukłonił się jej.



- Czy i mnie wolno będzie złożyć najserdeczniejsze gratulacje?

- Bardzo dziękuję, Fletcher.

Otworzył drzwi przed Ivy i wprowadził ją do frontowego hallu.

Tamberlake wszedł zaraz za żoną. Ivy sapnęła z wysiłku.

- Jak się spisałam?

- Zauroczyłaś wszystkich.

- Bo ja wiem...? Może ich tylko ogłupiłam?

- A może poskromiłaś?

Roześmiali się oboje.

Starsza lady Tamberlake weszła za nimi.

- No, cóż... Chyba żadna para nowożeńców nie tęskni za widokiem teściowej, niepokojąco krążącej wokół nich - Wobec tego zmykam do moich apartamentów i zobaczymy się dopiero jutro.

Dobrej nocy, moi kochani! - Ucałowała Ivy w policzek. - Jestem pewna, że będziesz miała zbawienny wpływ na mego syna!

Pomknęła niemal ku schodom i znikła na końcu korytarza.

Ivy błędziła wzrokiem po głównym hallu. Jego ogrom przytłaczał ją.

- Kiedy chcesz zapoznać się z całym domem: dziś czy jutro? - spytał Auburn.

- Jutro, bardzo proszę! Chyba dziś nie miałabym dość sił na takie zwiedzanie.

- No to chodź, pokażę ci twoje apartamenty! - Tamberlake wzięła żonę za rękę i doprowadził do schodów wiodących na górę. Nim jednak zaczęli wspinać się po nich, zwrócił się do Fletchera.

- Dziś wieczorem zjemy z księżną obiad w moim pokoju.

- Tak jest, milordzie.

Pokoje Ivy okazały się jeszcze wspanialsze, niż przewidywała.

Weszli najpierw do buduaru. Róże pyszniły się na wszystkich ścianach. Przy jednej z bocznych stał przepiękny marmurowy kominek. Znajdujące się obok niego drzwi wiodły do sypialni. Tu również pełno było róż. Nad obszernym łóżem rozpięty był baldachim z zielonego aksamitu. Ubrania Ivy wisiały w oddzielnym pomieszczeniu zwanym gotownią. Wstyd się jej zrobiło, że jej suknie zajmują ledwie czwartą część szafy. Księżna powinna mieć bardziej urozmaiconą garderobę! Kolejne drzwi prowadziły do łazienki, a jeszcze jedno, najmniejsze, do toalety. Ivy nigdy dotąd nie widziała najnowszych osiągnięć techniki w dziedzinie wodnokanalizacyjnej. Z zapalem więc ciągnęła za łańcuszek i przysłuchiwała się, jak woda z szumem Wylewa się z umieszczonego pod sufitem rezerwuaru i spływa wartkim strumieniem do muszli klozetowej, by następnie zniknąć w rurze odpływowej. Niech no tylko jej ojciec zobaczy te cuda! Z pewnością bezzwłocznie przystąpi do unowocześniania rezydencji Dunleighów.

Ostatnie drzwi, do których dotarli, zaintrygowały nowo upieczoną księżną najbardziej. Otworzywszy je, stwierdziła z pewnym rozczarowaniem, że prowadzą do sypialni jej męża. A więc nie będą spali razem...

Obiad zjedli we dwoje, w salonie Tamberlake'a. Potem Ivy wróciła do swoich apartamentów, by przygotować się do spania.

Wkładając cieniutką jak pajęczyna nocną koszulę, zorientowała się, że drży.

Myślałby kto, Ivy, że jesteś dziewicą i nie masz pojęcia, co cię spotka tej nocy! Zakończyła przygotowania w paskudnym humorze. Nie była przecież tchórzem! A dzisiejszą noc spędzi z ukochanym mężczyzną...! Może właśnie dlatego nerwy tak ją zawodzą...? Auburn nigdy nie wyznał, że ją kocha. Była jednak prawie pewna, że tak jest. Czyż nie dowiódł tej miłości całym swoim postępowaniem? Ale widocznie nie dorósł jeszcze do tego, by porzucić swą rzekomą niezależność, by odstąpić od demonstrowanej przez całe lata postawy: „Nikogo nie potrzebuję, poradzę sobie sam!” Zresztą, tak czy owak, Ivy wiedziała, że szczerze ją polubił... A teraz był w dodatku jej mężem. Nie wahając się już ani chwili, otworzyła wewnętrzne drzwi.

Stał przy kominku, z kieliszkiem wina w ręce. Usłyszawszy kroki żony, odwrócił się do niej. Jego długi szlafrok rozchylił się na piersi. Była pokryta delikatnymi spiralkami włosów. Poły szlafroka zachodziły na siebie na jego sprężystym brzuchu. Gdy oparł się o gzyms kominka, spod fałd szlafroka wyjrzała muskularna łydka. Ivy była niemal pewna, że pod szlafrokiem Auburn jest całkiem nagi. Długie włosy zwisały luźno wokół szyi, a czarna opaska na oku budziła podniecenie i lęk.

Ivy wciągnęła raptownie powietrze.

- Mój ty piracie! - szepnęła ze zbożnym podziwem-

Jego niski śmiech przyprawił ją o drżenie.

- Jeśli ja mam być piratem, to ty musisz być moim skarbem, bo naprawdę zauroczyłaś mnie jak żadna inna kobieta!

Odstawił kieliszek na gzyms kominka i odwrócił się do żony z szeroko otwartymi ramionami.

Wpadła z impetem w jego objęcia. Ramiona Auburna zacisnęły się wokół niej, a ona znów upajała się jego siłą. Działo się właśnie to, na co czekała: mąż uniósł jej głowę ku sobie i pocałował ją w usta. Ręce Ivy same wślizgły się w wycięcie jego szlafroka; obie rozwarte dłonie spoczęły na gorącej piersi ukochanego.

Rytm serca Ivy przyspieszył, gdy małżonek czubkiem palca powędrował od jej pleców do piersi. Przez cieniutki materiał nocnej koszuli objął miękki wzgórek. Koniuszek wyprężył się pod jego dłonią. Druga ręka Auburna zsunęła się po plecach Ivy w dół, by ostatecznie spocząć na jej pośladkach. Przycisnął ją do siebie. Jedwabny szlafrok nie był wystarczającą barierą, za którą mógłby ukryć niezbity dowód rosnącego pożądania.

Kontakt ich pobudzonych ciał, ocierających się o siebie sprawił, że Ivy cichutko jęknęła. Auburn cofnął się o krok i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź!

Wsunęła rękę w jego dłoń, on zaś podprowadził ją do łóżka. Stojąc przy nim, rozwiązał pasek szlafroka i jedwabne okrycie zsunęło się na podłogę. Stał naprzeciw Ivy - nagi i piękny.

Pochwycił obiema rękami cieniutką koszulę żony i ściągnął jej przez głowę. Delikatna tkanina opadła na podłogę między nimi. Oparł

się kolanem prawej nogi o materac, wziął Ivy na ręce i położył ją na łóżku. Potem ukląkł obok niej na oba kolana, a w końcu nakrył ją sobą.

Odczuła jego ciężar na swym ciele; spowijał je niczym draperia z grubego aksamitu. Pochylił głowę ku piersi żony, ssał ją i drażnił jej koniuszek, który stwardniał jak mocno zwinięty pęk. Jedna z rąk Auburna zakradła się pomiędzy nogi

Ivy i objęła kędzierzawy wzgórek. Pieścił to wzniesienie nasadą dłoni, palce zaś zapuściły się głębiej, w niedostępne regiony. Oddech Ivy rwał się. Uniosła biodra i przycisnęła się mocniej do ukochanego. Kiedy poczuła w swoim wnętrzu jego palec, krzyknęła i zacisnęła się wokół niego.

- Jeszcze nie, najmilsza - szepnął, cofając rękę.

Całe jej ciało tęskniło do następnych jego dotknięć, łaknęło dalszych pieszczot. Próbowwała znów unieść się ku niemu, lecz Auburn tylko zaśmiał się i wtulił usta w jej drugą pierś. Przycisnął biodra do jej bioder, jego członek to wysuwał się spomiędzy jej ud, to ukrywał się pomiędzy nimi, drażniąc za każdym razem najbardziej czułe miejsce w jej ciele.

Ivy nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie w stanie znosić te rozkoszne tortury. Otoczyła rękoma biodra męża, starając się przyciągnąć go do siebie jeszcze bliżej, ale był uparty i zbyt silny. W rozpaczliwej próbie zaspokojenia trawiącego ją głodu sięgnęła ręką pomiędzy ich niemal zespolone ciała i objęła palcami jego męskość.

Auburnowi zabrakło nagle tchu.

- Wprowadź mnie!

Zrobiła to, czego pragnął. Przez wąski przedśionek oplatających go palców Auburn wniknął do jej wnętrza. Pochwycił jej pomocną dłoń i uwięził w silnym uścisku swojej ręki, wysoko ponad głową Ivy. Zanurzył się w niej, wnikał coraz głębiej i głębiej, wypełniał ją po brzegi, aż biodra zetknęły się całkowicie z biodrami. Raz po raz wynurzał się po to tylko, by znów zanurkować w głębi jej ciała.

Ivy reagowała na każdy jego ruch, naśladowała go, aż cały świat przestał dla niej istnieć. Pozostały jedynie doznania i uczucia. Targały nią gwałtowne emocje i wreszcie zawładnęły nią całkowicie - i nie zostało się nic oprócz rozkoszy. Wznoszący się nad nią Auburn po raz ostatni wtargnął w nią, pozostawiając we wnętrzu życiodajny posiew.

Przez długi czas żadne z nich nie odzywało się. Leżeli spleceni uściskiem, oddychając głęboko. Czułe, delikatne pocałunki męża starły z warg Ivy ostatnie ślady namiętych uniesień.

- O, moja księżno! - westchnął - Widzisz, jak cudownie pasujemy do siebie...?

Nie było to wyznanie, o którym Ivy marzyła, ale dobre i to... Na początek!

Oprowadzenie Ivy po Marsgrove zajęło cały ranek. Tamberlake nie zabrał żony tylko do części domu zamieszkaną przez służbę, ale poza tym zapoznał ją z całą rezydencją, włącznie z podziemiem, gdzie niegdyś wznoszono zręby nowego dworu na katakumbach średniowiecznego opactwa.

- Ależ to kolos! - powiedziała Ivy, gdy po zwiedzeniu dworu przyszła pora na inspekcję budynków gospodarczych.

- Moim przodkom szczęście dopisywało. Kiedy do władzy doszedł Cromwell, ówczesny książę Tamberlake stał się nagle prostym człowiekiem, jednym z ludu. Ale gdy wybiła godzina powrotu Stuartów na tron Anglii, tamtego ludomana już nie było, a następny książę Tamberlake okazał się zagorzałym i oddanym rojalistą, zdecydowanym zwolennikiem powrotu monarchii.

- To mi dziwnie przypomina mojego ojca - stwierdziła Ivy.

- No, chodź! W stajni jest coś, co koniecznie musisz zobaczyć.

Gdy weszli do stajni, powitał ich miły zapach czystej słomy i świeżego siana. Najlepszy dowód troski i umiejętności stajennych! Stojący na ich czele koniuszy powitał ukłonem księcia i księżnę. Z szeregu boksów wychynęły nad niewysokimi drzwiami końskie łby. Na drugim końcu wielkiego pomieszczenia chłopiec stajenny wymiatał śmieci z końskich „apartamentów”. Książę sięgnął do kieszeni i wyjął z niej coś owiniętego w papier. Owo „coś” okazało się kawałkiem ryby.

Ivy aż otworzyła buzię w radosnym zdumieniu.

- Shylock tu jest?!

Tamberlake umieścił przysmak na jednej z belek.

- Nie mogłem przecież zostawić go samego w Walii! Przez chwilę czekali, co będzie dalej, ale niczego nie zobaczyli.

- Ja... bardzo przepraszam, milordzie... - Chłopiec stajenny podszedł do książęcej pary.

- Hej, ty tam! Nie zwracaj księciu panu głowy! - skarcił dzieciaka jeden ze stajennych.

- Nic nie szkodzi - zapewnił go Tamberlake i zwracając się do chłopca, spytał: - Co chciałeś powiedzieć... I jak ci na imię, chłopcze?

- Jim, milordzie.

- No więc, Jim, co masz nam do powiedzenia? Chłopiec ściągnął czapkę z głowy i obracał ją nerwowo w rękach.

- E, nic... Tylko jakby jaśnie pan chciał zobaczyć Shylocka, to może ja mógłbym pomóc...?

- Jakim sposobem, Jim?

Chłopiec przestępował z nogi na nogę.

- No bo ja... ja żem go chyba oswoił, milordzie. Tamberlake uniósł brew.

- Doprawdy?

- A juści! Jak ino świsnę, zara tu jest!

- Musiało ci to zabrać sporo czasu.

- Jeszcze by nie! Z początku to mi nie ufał. Nic a nic!



- To ty się bawisz z jakąś gadziną, a robota czeka?! -zagrzemiał koniuszy.

- Ale gdzie ta, panie Bates! Ja ino...

- Ino co?! - warknął Bates.

- No bo... jaśnie pan wiele konno nie jeździ - tłumaczył chłopiec.

- A jak już wymięte ze stajni to końskie gówno... - urwał stropiony. -

Tak mi się ino wysnęło, jaśnie pani wybaczy...?

Ivy uśmiechnęła się.

- No więc, mówiłeś, że jak wymieciesz...?

- Jak już... znaczy się, jakem już wszędzie wysprzątał, tom próbował zaprzyjaźnić się z tym żyjątkiem - wyjaśnił Jim.

- I udało ci się? - spytała Ivy.

- Cięgiem jeszcze nie idzie do mnie na ręce... Ale jak świsnę, zara leci. Zawsze mu coś dobrego przyniesie, widzi panienka. - Jim poczerwieniał jak burak. - Znaczy się, widzi księżna pani?

- Możesz nam to pokazać? - dopraszała się Ivy.

Jim stulił wargi i cichutko gwizdnął. Zaraz potem ciemna mordka Shylocka wyjrzała spod sterty siana.

- Udałeś mi się, chłopie! - pochwalił go Jim, podtykając zwinnemu zwierzątku pod nos kawałek ryby.

Shylock stanął słupka na swej jedynej tylnej nodze, obwąchał poczęstunek i pochwycił go w przednie łapki. Jim wyciągnął rękę i pogłaskał zwierzaka po łebku. Shylock przez chwilę grzecznie to znosił. Potem wraz ze swą zdobyczą zniknął znów w kupie siana.

- Niesamowite! - zdumiewała się Ivy.

- Naprawdę umiesz sobie radzić ze zwierzętami - pochwalił chłopca Tamberlake.

- Moja matula ciągiem się użala, że ściagam do domu Bóg wie jakie stwory! - Jim uśmiechnął się niepewnie.

- Tylko tak dalej, Jim! Jeśli nie zaprzepaścisz swego talentu, to może w przyszłości zostaniesz koniuszym. -Tamberlake żartobliwie zmierzwił czuprynę chłopca.

- Jaśnie pan nie buja?! - Jim uśmiechnął się od ucha do ucha i zaraz się zreflektował. - Znaczy się... pokornie dziękuję, milordzie!

Gdy opuścili stajnię, Ivy rzekła do męża:

- Nie wiedziałam, że tak dobrze sobie radzisz z dziećmi!

- Ja też nie wiedziałem. Jim to pierwszy dzieciak, który nie uciekł z wrzaskiem na mój widok. - Przez chwilę Auburn milczał, a potem spytał: - Umiesz jeździć konno?

- Wiem, jak to się robi, ale rzadko mi się to zdarza.

- Dawniej codziennie jeździłem konno. Chyba tego mi najbardziej brakuje po wypadku. - Tamberlake zerknął w kierunku stajni. - Marsgrove słynęło ze swych stajni. Nadal trzymamy w nich sporo koni. Jeśli tylko będziesz miała ochotę na konną przejażdżkę, stajenni znajdą dla ciebie odpowiedniego wierzchowca.

Ivy wzięła męża pod ramię.

- Nieczęsto wspominasz o swoim wypadku.

- Nie ma sensu wracać ciągle do tego, co się stało i nie odstanie.

- Książkę wzruszył ramionami. Nie zamierzał opowiadać żonie o koszmarach, które nadał go nękały.

Wyczuwając niechęć męża do mówienia o tamtym wydarzeniu, Ivy zmieniła temat i spytała:

- Jeśli przywiozłeś tu Shylocka, to pewnie i Humphrey jest gdzieś w pobliżu?

Auburn uśmiechnął się.

- Chlapie się w fontannie przed oranżerią. Ivy wybuchnęła śmiechem.

- Co powiedziała twoja matka na widok twojego zoo?

- Powiedzmy, że nie była nim zachwycona.

Obeszli dom od tyłu i zawędrowali do ogrodu kwiatowego, za którym mieściła się cieplarnia. Na ich widok Humphrey zaczął kwakać i wyskoczył spod fontanny Tamberlake schylił się, by pogładzić piórka na grzbiecie kaczora.

- Z Humphreym jest ich pięć - orzekła tajemniczo Ivy.

- Czego pięć? - Księżę spojrzał na żonę z ciekawością-

- Pięć znajomych twarzy w Marsgrove. A właściwie sześć, jeśli mam liczyć i ciebie.

Księżę wyprostował się i wziął żonę w ramiona.

- Licz i mnie, jak najbardziej. Prawdę mówiąc, powinnaś chyba liczyć mnie podwójnie! - To rzekłszy, pocałował ją.

Trzy dni później Ivy podawała właśnie herbatę swojej teściowej.

- Zauważyłam zawiadomienie o waszym ślubie w dzisiejszej porannej gazecie - oznajmiła lady Tamberlake. -Przygotuj się: lada chwila nastąpi frontalny atak!

- Naprawdę tak uważasz, księżno?

- Nie bądź taka zdegustowana! Cały wielki świat strzyże już uszami, czekając na jakieś sensacje. Wszyscy wiedzieli o twoich zaręczynach z markizem Wynbiookiem i o późniejszym zerwaniu. Nawet ja się o tym dowiedziałam, choć muszę przyznać, że to mój syn mnie o tym poinformował.

- Miałam nadzieję, że minie sporo czasu, nim znów będę musiała udzielać się towarzysko.

- Nie pleć bzdur, dziecko! Wszyscy będą się do ciebie czulić. Nikt ci nie zacznie wypominać minionych skandali, kiedy wreszcie pobraliście się z Auburnem jak należy. A poza tym, któż by się ośmielił plotkować o księżnej Tamberlake?!

Ivy pożałowała, że nie ma takiej pewności siebie jak księżna wdowa.

Whitson wszedł do salonu.

- Baronowa Coville pragnie się widzieć z lady Tamberlake.

Ivy nie miała pojęcia, do której z nich dwu zwrócił się majordomus.

Księżna wdowa poklepała synową po kolanie,

- Wprowadź ją tutaj, Whitson.

Lady Coville weszła do pokoju z taką pewnością siebie, jakby była właścicielką Marsgrove. Policzki miała zaczerwienione, oczy jej pały gniewem.

- Proszę mi powiedzieć, że to nieprawda!

Lady Tamberlake spojrzała na baronową ze zdziwieniem.

- To ty, Daphne? Co za miła niespodzianka! Napijesz się z nami herbaty?

- Nie przyszedłam tu na herbatę! Gdzie jest Auburn? -spytała lady Coville.

Ivy splotła palce obu rąk spoczywających na jej kolanach. Usiłowała za wszelką cenę zachować zimną krew i nie poddawać się ogarniającej ją panice. Lady Coville była piękna nawet w ataku furii.

- Jestem pewna, że niebawem przyłączy się do nas. Może byś jednak usiadła?

Baronowa spojrzała na starszą damę jak na wariatkę.

- Nie przychodzę tu z grzecznościową wizytą, księżno!

- Domyśliłam się tego od razu, gdy wpadłaś tu w takim wzburzeniu. Rozumiem, że doznałaś przykrego rozczarowania.

Księżna wdowa nalala jednak herbaty do trzeciej filiżanki i podała ją gościowi.

- Rozczarowania?! Powiedziałaś mi, księżno, że Auburn rozgląda się za żoną. I dodałaś, że będziesz bardzo szczęśliwa, jeśli zostanie nią właśnie ja! - rzuciła oskarżycielskim tonem lady Coville.

-I mówiłam szczerą prawdę. Auburn istotnie szukał żony. Nie mogłam przecież podejmować za niego takiej decyzji!

Daphne rzuciła mordercze spojrzenie w stronę Ivy. Ale ona bynajmniej się nie skuliła pod jej wzrokiem.

- Coś ty mu zrobiła?! Dlaczego wybrał właśnie ciebie?!

- Nie wiem - odparła Ivy z absolutną szczerością. -Chyba dlatego, że tak dobrze go rozumiem.

- To niemożliwe! Jesteś zwykłym zerem! Po cóż miałby się obarczać kimś takim jak ty, kiedy mógł liczyć na wzajemność kogoś takiego jak ja?! - Lady Coville zamilkła. Po chwili usta jej wykrzywił złośliwy uśmiech. - Oszukałaś go, prawda? Jesteś bardziej chytra, niż sądziłam. Auburn z pewnością nie ożeniłby się z takim zerem jak ty, chyba że honor by go do tego zmusił. Coś ty mu nagadała?! Zwabiłaś go do swego łóżka i dopilnowałaś, żeby twój ojciec tam go przyłapał?

- Doprawdy! Myślałam, że zna pani Auburna na tyle, by wiedzieć, iż jest za sprytny, by dać się tak głupio przyłapać na gorącym uczynku - odparła Ivy lodowatym tonem.

- Chciał się ożenić ze mną! To ja miałam zostać księżną!

- Opanuj się, Daphne! Nie chciałabym żałować naszej dawnej przyjaźni - ostrzegła ją lady Tamberlake.

- Czy ty tego nie rozumiesz, księżno?! Zamydliła nam oczy swymi niegustownymi kieckami i twarzą bez wyrazu! Kto by zwracał uwagę na taką... mysz!

- Dość tego! - przerwała jej Ivy. Wstała od stołu. Odkryła ze zdumieniem, że nie czuje gniewu, raczej litość... Podobne uczucia ogarniały ją w stosunku do młodszej siostry, kiedy Georgina czegoś ani rusz nie mogła zrozumieć.

- Co pani sobie myśli, baronowo? Wdziera się pani do mego domu, obraża mnie, a potem domaga się, bym sama skłoniła mego męża do ubiegania się o unieważnienie małżeństwa...? A może jeszcze gorzej... o rozwód?! Niech pani wraca do domu, lady Coville. Z taką

urodą bez trudu złapie pani innego męża. Bo mojego pani nie dostanie!

Lady Coville dosłownie opadła szczęka.

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób? Nie wiesz, kim jestem?!

- Wiem, wiem! To raczej ty nie wiesz, z kim masz do czynienia, baronowo! Jestem Ivy Seaton, księżna Tamberlake!

- Brawo! - We drzwiach stanął Auburn. Uśmiechnął się szeroko do żony i dziarskim krokiem wszedł do pokoju.

- Dzień dobry, Daphne. Mam nadzieję, że będzie dla ciebie naprawdę dobry!

Lady Coville nadała się uroczo.

- Nie mogę uwierzyć, że mówisz poważnie!

- Cóż to znowu? Nie wierzysz, że ci życzę miłego dnia? -

Auburn wyminął baronową, zmierzając do Ivy. Gdy stanął już obok niej, dorzucił: - Powinnaś przeprosić moją żonę, Daphne!

- Co takiego?! - Twarz baronowej była teraz maską wściekłości. Nie wydawała się wcale ładna. - Mieliśmy się przecież pobrać! To ona ukradła mi ciebie!

- To nieporozumienie. Nie miałem najmniejszego zamiaru zenić się z tobą.

- Mówiłeś przecie...

- Nie, Daphne! To ty wieszcznie mówiłaś. Ja tylko obiecałem, że się nad tym zastanowię. Zastanowiłem się i doszedłem do wniosku, że nasz związek nie byłby udany.

- Twoja matka powiedziała mi, że wyraża zgodę na nasze małżeństwo i bardzo się z niego cieszy!

- Matka nie ma prawa decydować o moim małżeństwie. Sam sobie wybrałem żonę. - Tamberlake zamilkł na chwilę. - Ale przyznam, że twoja oferta mnie zaintrygowała. Skąd u ciebie ta nagła ochota do poślubienia kogoś, czyjego widoku nie możesz znieść? No i... powiedzić ci, co odkryłem?

Lady Coville zbladła.

- Cóż takiego?

- Ze twój mąż zostawił ci marną rentę, a nowy baron nie przepada za tobą. Szkoda, że nie byłaś miłsza dla swego pasierba!

- Wcale nie chciałam wyjść za ciebie dla pieniędzy! Nigdy nie przestałam cię kochać...

Księżę potrząsnął głową.

- Nie kochasz mnie i nigdy mnie nie kochałaś, nawet wtedy, gdy byliśmy zaręczeni. Owszem, ciągnęło nas do siebie, ale nigdy mnie nie kochałaś, Daphne.

-Jak możesz mówić coś takiego?!

- Mogę, bo to prawda. Nie znosisz nawet mojego widoku, a ja mam uwierzyć, że mnie kochasz? - Tamberlake usiadł na kanapie. - Wracaj do domu, Daphne, zanim zrobisz z siebie jeszcze większą idiotkę!

Baronowa poczerwieniała.

- To nie ja robię z siebie idiotkę, tylko ty wystawiasz się na dumnia! Ty i tylko ty! Przekonasz się, kiedy ta twoja żonka przyprawi



ci rogi z pierwszym lepszym, byle był w jednym kawałku! Ja przynajmniej nigdy cię nie oszukiwałam!

- Wynoś się stąd. - Zażądała stanowczym tonem Ivy. Lady Coville rzuciła jej mordercze spojrzenie.

- Jeszcze tego pożałujesz! - syknęła, obróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju.

Przez chwilę żadne z Tamberlake'ów nie odzywało się. Potem księżna wdowa podała synowi filiżankę herbaty, której baronowa nawet nie tknęła.

- No cóż... To było trochę... niesmaczne, prawda?

- Myślałem, matko, że lubiłaś Daphne - zauważył Auburn.

Stara księżna wzruszyła ramionami.

- Owszem.

- I chciałaś, żebym się z nią ożenił.

- Póki nie poznałam Ivy. - Lady Tamberlake usiadła wygodniej i westchnęła głęboko. - Nie tak dawno, jeszcze przed twoim powrotem, zjawił się w Marsgrove ten twój okropny kuzyn Raymond. Gdy spytałam, co go tu sprowadza, odparł, że chce się rozejrzeć i zdecydować, jakich zmian tu dokona, kiedy odziedziczy po tobie tytuł i majątek. Wyobrażasz sobie tego bufona jako księcia Tamberlake?! Wierzył święcie, podobnie jak cały wielki świat, że umrzesz bezpotomnie, a wszystko przypadnie jemu.

- A ty, matko? Czy także w to wierzyłaś? - spytał Auburn.

- Ja również tak myślałam, nie przeczę. Sądziłam, że nigdy nie znajdziesz kobiety, która by za ciebie wyszła. I dlatego, gdy wróciłeś

do domu, a Daphne okazała ci zainteresowanie, zachęcałam ją, jak mogłam. Byle tylko Raymond nie odziedziczył tytułu!

- Bałaś się, że cię stąd wyrzuci?

- Może i o to mi trochę chodziło... Nie miałabym gdzie się podziąć. Ale przede wszystkim dlatego, że on się nadaje na księcia jak wół do karety! - Księżna podniosła się z miejsca i podeszła do syna. - A choć jestem egoistką, cieszę się, że znalazłeś sobie Ivy. Pasuje do ciebie stokroć lepiej niż Daphne! - Z tymi słowy księżna wdowa opuściła pokój.

- No, no! Interesujące. - Tamberlake skosztował herbaty i skrzywił się. - Całkiem wystygła.

Ivy nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy oburzać się na księżną wdowę za jej brak wiary w syna, czy cieszyć się z aprobaty, którą teściowa wyraźnie jej okazywała. Ten konflikt wewnętrzny odbił się widocznie na twarzy młodej księżnej.

- Nie przejmuj się tym, co wygaduje moja matka. Jest zawsze szczerą. Do przesady! Kłócimy się z nią zęb za zęb, ale to chyba lepsze od wiecznego kamiennego milczenia. - Auburn napił zimną herbatą najbliższą stojącą roślinę doniczkową, po czym nalał sobie cieplejszej. - A poza tym ma świętą rację!

Ivy od razu się nastroszyła.

- Kompletnie nie ma racji! Zupełnie nie pojmuję, jak mogła pomyśleć, że nie znajdziesz sobie żony!

Tamberlake wybuchnął śmiechem.

- Nie o to mi chodziło, tylko o Raymonda. Naprawdę pasuje do książęcego tytułu jak wół do karety!

Scandalous

Koszmar zaczął się tak samo jak zawsze. Zanim jeszcze obrazy napływające do mózgu nabrały ostrości, Tamberlake już pojękiwał z przerażenia.

Wracał do domu z jakiegoś przyjęcia, rozparty na miękkich poduszkach eleganckiego ekwipażu.

Łagodny blask powozowej lampy oświetlał wnętrze. Czuł się senny i bardzo szczęśliwy. Dlaczegoż by nie? Czego mu brakowało do szczęścia? Był młody, przystojny, bogaty i zaręczony z piękną dziewczyną!

Tamberlake poruszył się niespokojnie na łóżku. Obserwując rozgrywające się przed jego oczyma zajścia, próbował ostrzec tamtego młodzieńca, żeby się ocknął, żeby miał się na baczności! Ale głupi młokos zamknął oczy uśmiechał się coraz szerzej, gdy nawiedziło go wspomnienie niedawnych, skradzionych ukradkiem pocałunków.

Zgaś chociaż lampę, ty dumniu! - wrzeszczał bezgłośnie Tamberlake, ale tamten go nie słuchał.

Powóz nagle podskoczył i zatrzęsł się. Widać koło uwięzło na wybojach. Rozespany młodzieniec nie zwrócił na to uwagi. Powóz nadal się chygotał i trząsł, a wreszcie zaczął chylić się na bok. Młody człowiek ocknął się. W jego oczach błysnął paniczny strach, gdy powóz najpierw przewrócił się, a potem zaczął osuwać się po nasypie. Gdy tak razem koziołkowali - elegancki ekwipaż i uwięziony w jego wnętrzu dżentelmen - głowa młodzieńca zderzyła się z czymś

twardym. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła, a potem własny krzyk, gdy straszliwy ból przeszył mu twarz. Chwycił się odruchowo za bolące oko i poczuł pod palcami coś mokrego i śliskiego... Krew...?

Zastanawiał się nad tym tylko przez sekundę; w następnej kolejny skok powozu oderwał jego rękę od rozoranego policzka. Miotło nim niczym piłką we wnętrzu spadającego powozu. Obijał się o ściany, dach, podłogę... W pewnej chwili rozległ się trzask, a ból wybuchł w nim jak nagły pożar i rozprzestrzenił się na całe udo.

Tamberlake jęknął. Wiedział, że zaraz stanie się to najgorsze...

Powóz wreszcie znieruchomiał. Leżał na boku. Młody człowiek również znieruchomiał w dziwacznej pozie, z rozrzuconymi rękoma i nogami. Bał się wykonać najmniejszy ruch. Spojrzał na bolącą nogę i o mało nie zemdlął. Z rozdartej nogawki spodni sterczał ułamek białej kości, a noga była zgięta pod jakimś dziwnym kątem. Patrzył na to tylko jednym okiem. Drugie gdzieś znikło.

Rusze się! - nalegał patrzący na to we śnie Tamberlake.

We wnętrzu przewróconego powozu u góry zaczął zbierać się dym. Młodzieniec jęknął i rozkasłał się. Pomarańczowe języki ognia lizały już zasłonki na rozbitych oknach, ale ranny dżentelmen jeszcze ich nie dostrzegał.

Rusz się wreszcie! - krzyknął znowu Tamberlake, ale nawet on nie słyszał własnego głosu.

Płomienie pełzły ku niemu. Skradały się ku głowie, opaliły mu włosy... Odwrócił się, by zobaczyć, co tam się dzieje, i wrzasnął, gdy ognisty żywioł z całym impetem zaatakował jego twarz.

- Auburnie, obudź się! Auburn!!!

Tamberlake przetoczył się na plecy i zaczął mrugać półprzytomnie. Ivy pochylała się nad nim, potrząsała nim, wrzeszcząc wniebogłosy.

- Auburn! Ocknij się! Nie śpij! Usiadł na łóżku.

- Już nie śpię.

Pot spływał mu po szyi, serce tłukło się jak szalone. Ivy usiadła obok męża na łóżku i odgarnęła mu włosy z twarzy.

- Źle się czujesz?

- Nie. Nic mi nie dolega - wymamrotał, odwracając oczy.

- Krzyczałeś przez sen... i to nie raz. Usłyszałam mimo zamkniętych drzwi. Kiedy tu weszłam, jęczałeś... a potem tak strasznie krzyknąłeś! Przeraziłam się...

- To tylko zły sen. - Nadal nie patrzył jej w twarz. - Wracaj do łóżka!

- Jesteś pewien? Mogłabym przecież... Odwrócił się raptownie.

- Wracaj do łóżka! Słyszysz?!

Ivy zerwała się na równe nogi, zasłaniając usta ręką, szepnęła: „Przepraszam...” i ruszyła ku drzwiom.

- Nie, nie... Zaczekaj! Zatrzymała się.

- Proszę... - Tamberlake odetchnął głęboko. - Nie gniewaj się! Tak mi przykro... Widzisz... nikt jeszcze nie oglądał mnie... w takim stanie. - Wyciągnął do niej rękę i Ivy przysiadła znów na skraju łóżka. Auburn przygarnął ją do siebie. - To był koszmar senny. Ciągle do mnie powraca.

- Więc to... to się powtarza...? Skinął głową.

- Co ci się wtedy śni?

- Tamten wypadek. - Auburn zasłonił twarz rękoma. -

Przeżywam to od nowa, ze wszystkimi szczegółami. Ból i strach...  
takie same jak wtedy. Powóz płonie... a ja uwięziony w środku myślę:  
tym razem się stąd nie wydostanę...!

- Przecież się wydostałeś! I ze snu też się budzisz w porę.

- Tak, ale sen ciągle powraca. - Tamberlake zamilkł na chwilę,  
bijąc się z myślami, czy opowiedzieć jej o wszystkim. - Zaraz po  
wypadku śniło mi się to zawsze. Ilekroć przymknąłem oczy.

- A teraz?

- Teraz śni mi się o wiele rzadziej. Ale za każdym razem sen jest  
taki wyraźny... Jakby to było naprawdę.

Ivy oparła głowę na jego ramieniu. Auburn objął ją.

- Zostań ze mną dziś w nocy...

Skinęła głową. Książę odrzucił kołdrę, a Ivy wsunęła się do  
łóżka i położyła obok niego. Jej główka spoczywała na jego ramieniu;  
plecami opierała się o jego pierś i brzuch.

Leżący na boku Auburn objął wtuloną w niego żonę ramionami.  
Kiedy przymknął oczy, nie ogarnął go zwykły strach przed  
zaśnięciem. A więc odkrył cudowny lek na senne koszmary! Musi to  
jutro przedyskutować z Ivy. Koniec z oddzielnymi sypialniami! Od tej  
pory księżna i książę Tamberlake będą zawsze spać razem.

Następnego dnia Fletcher znalazł swoich państwa w bibliotece.  
Skłonił się księciu.

- Proszę wybaczyć, milordzie, ale zjawił się pan Savernake.

Zaprowadziłem go do gabinetu waszej książęcej mości.

- Dziękuję, Fletcher. - Tamberlake wstał i wyciągnął rękę do żony.

- Chyba i ty powinnaś posłuchać tego, co Savernake ma nam do powiedzenia.

Kiedy weszli do gabinetu, gość wstał z krzesła. Księżę powitał go skinieniem głowy.

- Chyba się jeszcze nie znacie? Ivy, to pan Savernake. A to moja żona.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, lady Tamberlake - powiedział przybysz i się uklonił.

- Proszę, niech pan siada! Czego się pan dowiedział?

- Niewiele tego, milordzie. - Savernake wyciągnął arkusz papieru. - Markiza Wynbrooke'a rzeczywiście nie było tamtego dnia w Rosmartin Park, ale nie znalazłem żadnych dowodów jego pobytu w hrabstwie Devon. Może tam był, ale nie zdołałem tego ustalić.

Ivy odwróciła się do męża i spojrzała nań z ukosa.

- Myślisz, że to Wynbrooke bawił się w strzelca wyborowego?

- Uważam, że to całkiem możliwe.

- To takie niepodobne do markiza! - powiedziała Ivy, potrząsając głową.

Tamberlake zwrócił się do gościa.

- Znalazł pan coś jeszcze?



- Nic, co pomogłoby w zidentyfikowaniu tego strzelca- odparł Savernake. - Życzysz sobie, milordzie, bym szukał dalej?

-Tak.

- Może mógłbym zadać kilka pytań? - Savernake zwrócił się do Ivy. - Czy zna pani kogoś, lady Tamberlake, kto chciałby wyrządzić pani krzywdę?

Książę wyprostował się.

- Myśli pan, że ktoś usiłował zabić moją żonę?

- Na razie, milordzie, nie mamy żadnej pewności, czy oddający te strzały istotnie chciał zabić waszą księżecą mość lub księżną panią. Albo was oboje.

Auburn otwierał już usta, by coś powiedzieć, lecz Ivy go ubiegła.

- Może... baronowa Coville?

Savernake zapisał coś w notesie.

- Czy chodzi o tę samą lady Coville, milordzie, o której zbierałem nieco wcześniej informacje?

- Tak, o nią. - Tamberlake westchnął. - Zjawiała się wczoraj, by wyrazić swe... niezadowolenie z powodu naszego małżeństwa. Ale wówczas, gdy wybrałem się do Devon, nie byłem nawet zaręczony z moją obecną żoną.

-Niemniej jednak, baronowa mogła, jak to się mówi, »wyczuć pismo nosem". Zajmę się tą sprawą - obiecał Savernake. - Czy księżnej pani nie przychodzi na myśl nikt inny?

Ivy milczała przez chwilę, potem potrząsnęła głową.

- Absolutnie nikt.  
- A panu, milordzie?  
- Moim jedynym wrogiem jest ostatnio Wynbrooke. -Książę poczuł na sobie wzrok żony. - Prawda! Jest jeszcze lady Coville.  
- A co z tym twoim kuzynem? - spytała natychmiast Ivy.  
- Z Raymondem? - zdumiał się Tamberlake.  
- Co to za Raymond? - zainteresował się Savernake.  
- Mój kuzyn, Raymond Seaton. Odziedziczyłby po mnie tytuł książęcy i rodowy majątek, gdybym zmarł bezpotomnie.

Ivy również zwróciła się do Savernake'a:

- Księżna wdowa powiedziała nam, że niedawno przyjechał do Marsgrove, by obejrzeć dokładniej swoje przyszłe dziedzictwo. A wkrótce potem mój mąż wrócił na łono wielkiego świata, pojmując pan?

- Tak, to rzeczywiście całkiem możliwe. - Savernake zamknął swój notatnik i wstał. - W porządku. Dowiem się, gdzie lady Coville i pański kuzyn przebywali podczas pańskiej wizyty w Devon, milordzie. I, oczywiście, będę nadal miał na oku markiza Wynbrooke'a. - Żegnam wasze książęce mości.

Fletcher odprowadził Savernake'a do drzwi. Ivy podbiegła do męża i objęła go ramionami.

- Myślisz, że ktoś naprawdę chce nas zamordować...?  
- Nie widzę innego wytłumaczenia. - Auburn pocałował ją w czubek głowy.  
- Boję się... - Zadrżała lekko. - Sądziś, że spróbuje raz jeszcze?

Tak bardzo chciał jej oszczędzić strachu... Wiedział jednak, że nie powinien ukrywać przed nią prawdy.

- Tak, Ivy. I chyba właśnie dlatego miałem dziś ten koszmarne sen. Początkowo nawiedzał mnie noc w noc, ale ostatnio powraca tylko wtedy, gdy dręczy mnie jakaś obawa lub niepokój. Chyba tamta strzelanina podpada pod tę kategorię, nieprawdaż?

- Jak możesz stroić sobie z tego żarty?!

- A cóż mam robić? W tej sytuacji mogę tylko trząść się ze strachu od rana do nocy, czego sobie z pewnością życzy ten przeklętnik, albo gwizdać na wszystko!

- Ja tak nie potrafię.

- Więc postaraj się nie myśleć o tym! - Tamberlake rozejrzał się dokoła i wręczył żonie stosik opatrzonych pieczęciami listów. - Spójrz lepiej na to! Te przysłano nam dzisiaj.

Ivy spojrzała na kopertę leżącą na samym wierzchu. Przypominała jakiś czcigodny pergamin, ozdobiony skomplikowanym monogramem. Złamała pieczęć.

- To zaproszenie od diuka Granthama.

- Poczciwy Kozuszek!

- Kozuszek...?

- To przezwisko z dawnych lat. Chodziliśmy razem do szkoły. Z Kozuszką był największy niezguła, jakiego ziemia wydała! A miał odziedziczyć nie tylko tytuł, z którym wiąże się mnóstwo powinności, ale i niesamowitą wprost fortunę, do czego też potrzebna mocna głowa. Rodzice Kozuszką nieraz rozpaczali, że ich chłoptaş nigdy nie

dorośnie do czekających nań splendorów. No i spadły wreszcie na niego te splendory... przed rokiem, czy coś koło tego.

- Bardzo się przyjaźniliście w szkole?

- Bo ja wiem, czy to można tak określić...? Nieraz dałem w łeb temu czy owemu za znęcanie się nad Kozuszką, więc się znarowił i włóczył za mną jak cień. Ponieważ to w gruncie rzeczy dobry chłopak, chociaż namolny, pomyślałem: a niech sobie łązi!

- Ale dlaczego Kozuszek?

Tamberlake zastanowił się przez chwilę.

- Miał taki okropny zimowy płaszcz, podbity kożuszką. Takie stare okropieństwo, jakby je odziedziczył po przodkach. Niektórzy utrzymywali, że toto śmierdzi, jak nie wiem co. Ale Kozuszek uparł się przy kożuszku i nie dał się z nim rozłączyć. Po prostu lubił ten żalony łach, i tyle. Więc przezwisko przyłgnęło na amen. I całkiem dobrze do niego pasowało!

- No więc twój Kozuszek wydaje bal i zaprasza nas oboje. Jak myślisz, pójdziemy?

- Jeśli chcesz, to pójdziemy.

- Ale jeżeli naprawdę ktoś dybie na nas... na ciebie... no, wszystko jedno na kogo!... to czy balowanie nie będzie zbyt ryzykowne?

Tamberlake wziął żonę za obie ręce.

- Możemy zakopać się tu lub w mysiej dziurze i trząść się ze strachu, albo wyjść na światło dzienne i zmusić naszego wroga do zdjęcia maski. Savernake jest bardzo sumienny. Jeśli w ogóle ocalał

jakiś trop, to on z pewnością go zwietrzy. A my tymczasem zachowamy środki ostrożności.

Ivy przez chwilę rozważała sprawę.

- Chyba chciałabym poznać tego twojego Kozuszka.

- To może być nawet zabawne... ale nie mów potem, że cię nie ostrzegalem!

Ivy przejrzała pozostałe listy.

- To dalsze zaproszenia. Wygląda na to, że twoja matka miała rację!

- W jakiej sprawie?

- Powiedziała, że wielki świat zapomniał już o skandalu i umiera z ciekawości, jak nam służy stan małżeński. Przeczuwam, że jutro posypią się następne zaproszenia. Czy musimy wszędzie się pokazać?

- Skądże znowu! Nikt się nie spodziewa, że będę się aż tak udzielał! W dalszym ciągu uchodzę za dziwaka i odludka. Ty będziesz ustalać, dokąd pójdziemy. Pozostawiam decyzję w twoich rękach. - Urwał nagle. - Co cię tak dziwi?

- Ojciec nigdy nie pozwolił mamie decydować w sprawie zaproszeń. Jeszcze by, nie daj Boże, odrzuciła jakieś zaszczytne... albo, co gorzej, przyjęła nic nie warte! - Ivy roześmiała się. - Wobec tego wybierzemy się do jaśnie oświeconego Kozuszka, a potem osobiście rozpatrzę resztę zaproszeń!

Drżącymi rękoma Ivy wygładziła suknię. Stara księżna pomogła jej w wyborze materiału i fasonu. Ivy miała wrażenie że wszystko wygląda jak należy, ale wolałaby zasięgnąć opinii pani Pennyfeather w tej materii. Młoda księżna zerknęła na olbrzymi żyrandol wiszący nad jej głową. Ściany hallu oświetlały płomyczki kinkietów gazowych. Ciekawe, jak długo trwało, nim służba to wszystko pozapalała...? Ivy gotowa była rozważać każdy, nawet najbliższy temat, byle nie myśleć o tłumie ludzi, którzy zaraz zaczną się na nią gapić! Księżę i księżna Tamberlake.

Ivy wstrzymała dech. To był jej pierwszy występ w eleganckim świecie od ślubu z Auburnem. Ścisnęła mocniej ramię męża.

-Nie martw się, wszystko pójdzie jak z płatka! Dotarli wreszcie na salę balową w ogromnej rezydencji diuka.

- Gdzież on się podziewa, u licha? Nie widziałem Tamberlake'a od lat! - rozległ się w tłumie czyjś tubalny głos.

-Otóż i diuk we własnej osobie! - szepnął księżę do ucha żony.

Niski i pękaty człowieczek o okrągłej, poczciwej twarzy niemal biegł ku nim.

- Tamberlake, ja... Rany boskie, chłopie! Co się stało z twoją gębą?!

Ivy skamieniała u boku męża. Już miała odwzajemnić się diukowi równie jadowitą i brutalną uwagą, ale on najwyraźniej nie wyczerpał jeszcze tematu.

- Słyszałem, żeś miał -wypadek, ale nie miałem pojęcia, że aż tak ci dało w kość! Ależ z ciebie teraz brzydał, no, no!

- Nigdy nie grzeszyłem urodą, wasza wysokość - odparł z uśmiechem Tamberlake.

- Nie łżyj, psiajucho! Wszystkie baby za tobą szalały! I przestań mnie tytułować, bo oberwiesz po pysku. Dla ciebie jestem Kożuszek, jak zawsze! - Diuk chwycił przyjaciela za rękę i zaczął nią potrząsać z zapalem. - Chciałem cię odwiedzić po wypadku, ale kiedy zebrałem się w sobie, już się drapnął z Londynu. Ale co tam - było, minęło! Grunt, że wróciłeś. Cholernie się cieszę!

- Ja też się cieszę, że cię widzę, stary!

Kożuszek zwrócił się do Ivy. Była całkiem zbita z tropu. Nie wiedziała, co o nim myśleć. Z jednej strony zareagował na kalectwo jej męża w wyjątkowo gruboskórny sposób... Ale z drugiej strony powitał go z taką szczerą sympatią i radością... Auburn zaś zupełnie się nie przejął nietaktowną uwagą diuka.

- A to musi być twoja żona, no nie? - Kożuszek pochwycił dłoń Ivy i skłonił się głęboko. - Ogromnie się cieszę, że mogę panią poznać, lady Tamberlake!

Ivy doszła do wniosku, że uprzejmość nie zawadzi.

- Ja też się ogromnie cieszę, wasza wysokość.

- Proszę mi mówić Kożuszek, bo się obrażę! Kożuszek i kwita! Pani mąż to mój najlepszy przyjaciel. Nigdy nie zapomnę, jak mi pomagał w tej przeklętej budzie! Mówił pani, żeśmy byli w tej samej budzie?

Unosząc się na fali wspomnień, diuk ni stąd, ni zowąd zrobił krok do tyłu i potknął się o własne nogi. Zatoczył się i wpadł na ozdobny postument, na którym znajdowała się wyszukana dekoracja kwietna. Postument zachwiał się. Stojący w pobliżu goście z głośnym piskiem rozbiegli się na wszystkie strony. Najpierw posypały się na posadzkę kwiaty. Potem runął sam postument - coś w rodzaju antycznej kolumny na chwiejnej (niestety!) podstawie. Kiedy opadł pył, wszyscy ujrzeli dwa potężne kawały gipsu na parkiecie sali balowej. Z grubsza przypominało to ruiny Pompei. Kozuszek aż sapnął z wrażenia.

- Założę się, że to mnie mocno trzepnie po kieszeni! Całe szczęście, że na biednego nie trafiło.

Ivy nie odrywała oczu od diuka. Kozuszek zupełnie się nie przejął wypadkiem. Podobnym tonem mógłby opowiadać o polowaniu na muchy z packą.

- Cóżeś ostatnio porabiał, Kozuszkule? - spytał Tamberlake.

- W zeszłym roku po śmierci taty zostałem diukiem. Ale byłem w żałobie, więc dopiero dziś wydaję pierwszy bal. Musiałem, ma się rozumieć, wytrzasnąć ludzi, którzy odwałą za mnie całą robotę. Sam bym sobie z tym za cholere nie poradził!

Obserwując uważnie diuka pogrążonego w rozmowie z przyjacielem, Ivy zauważyła, że Kozuszek nie ma żadnych problemów z patrzeniem na okaleczoną twarz jej męża. Czuł się zupełnie swobodnie w jego towarzystwie i był naprawdę wielce rad, że go widzi.



- Mamie strasznie zależy na tym, żebym się ożenił... ale boję się tych podfruwajek jak ognia - zwierzał się Kożuszek. - A i one chyba się mnie boją, bo jak z nimi chwilę pogadam, to od razu przestają się mną interesować. Wolałbym znaleźć sobie jakąś młodą wdówkę... Taka już wie, jak wziąć chłopca w garść!

W tym momencie Ivy z pewnością opadłaby szczęka, gdyby nie mąż, który pospiesznie szepnął jej do ucha:

- Nie bierz tego dosłownie! Kożuszkowi zebrało się na metafory.

Gospodarz zerknął na Ivy i z podniecenia zaczął wywijać palcem.

- Jak ty, nawet z taką gębą, znalazłeś sobie żonę, to może i mnie się uda...! I to jaką żonę, szczęściarzu! Śliczna jak z obrazka, a założę się, że rozumu jej też nie brak! Jak myślisz, może warto sobie kupić taką opaskę na oko, co...? -

Kożuszek zmrużył lewe oko, zakrył je dłonią i spróbował rozejrzeć się po sali. Aż skrzywił się z wysiłku. Tamberlake parsknął śmiechem.

- Nie, nie, stary. Opaska nic ci nie pomoże! Wiesz co? Na twoim miejscu mówiłbym każdemu, głośno i wyraźnie, jaki jestem bogaty.

- Myślisz, że to mi pomoże znaleźć żonę?

- Bez wątpienia.

- A co pani o tym myśli, lady Tamberlake? Pani złapała się na tę jego opaskę, nie? Chociaż, jak pamięcią sięgnę, ten chłop miał zawsze wyjątkowy dryg do babeczek!

Ivy uratowało od odpowiedzi pojawienie się lokaja, który zaanonsował następnych gości.

- Znowu kogoś diabli niosą! Chyba muszę się z nimi przywitać...  
- użalił się nad swym losem diuk. - Ale potem was odnajdę i pogadamy sobie! Musisz mi opowiedzieć dokładnie, jak ci leci, Tamberlake! - To rzekłszy, pokłusował do nowo przybyłych gości.

- Chciałaś Kozuszkę, to go masz! - stwierdził Auburn. -Taki sam jak dawniej: kochany głupek!

Ivy spojrzała za odchodzącym.

- Zawsze tak się zachowuje?

- Tylko w gronie przyjaciół.

Obeszli bez pośpiechu salę balową. Tamberlake przedstawił żonie kilku innych przyjaciół, ale żaden z nich nie zachowywał się wobec niego tak naturalnie jak Kozuszek. Ivy również spotkała paru znajomych. Ogólnie rzecz biorąc, ciekawość odniosła zwycięstwo nad urażoną moralnością. Nikt już nie pamiętał o skandalu z ubiegłego miesiąca. Lady Tamberlake miała słuszność!

- A więc postanowiliście pokazać się publicznie i udowodnić, jaka z was para szczęśliwych gołąbków! - odezwał się za nimi kobiecy głos.

Ponieważ wydał się jej znany, Ivy odwróciła się i ujrzała lady Coville z kieliszkiem szampana w ręku. Ciemnobłękitna toaleta podkreślała mleczną biel karnacji i złoty połysk włosów.

- Dobry wieczór, Daphne - powitał ją Tamberlake.

- No, no! Ale jesteśmy dziś grzeczni! - zauważyła z ironią. -  
Myślałam, że publiczny afront jest bardziej w twoim stylu!

- Nie mam wcale ochoty poniżyć cię czy ranić - odparł Auburn.

- Teraz już by ci się to nie udało - odparowała Daphne.

- A, tu jesteście! - Jowialny ryk Kozuszką zagłuszył dyskretny szept baronowej. - Szukałem was... no i znalazłem! O czym to gadaliśmy...?

- O znalezieniu dla ciebie żony - podpowiedział księżę z podejrzanym błyskiem w oku. - Zakładam, stary, żeś jeszcze nie miał okazji poznać lady Coville, co?

Kozuszek odwrócił się, ujrzał Daphne i zgłupiał do reszty.

- O rany...! Ależ pani piękna... Naprawdę panią zaprosiłem?!

- O, tak, wasza wysokość - odparła baronowa, wykonując niemal dworski dyg.

- No to fajnie! Zapowiedziałem memu sekretarzowi, żeby sam pospraszal wszystkich, co trzeba, bo ja się na tym nie rozumiem ani w ząb! Muszę go pochwalić, że się dobrze spisał!

- Lady Coville jest wdową - dodał znacząco Tamberlake.

- Co ty powiesz? - zainteresował się Kozuszek, jakby nagle przypomniały mu się wypowiedziane niedawno słowa. - Co ty powiesz... Widać to naprawdę moja szczęśliwa noc! Czy mogę panią prosić do tańca, lady Coville?

Wyrzucił oba ramiona przed siebie, jakby już chciał objąć partnerkę, i trącił Daphne w łokieć. Szampan z kieliszka, który

trzymała w rękę, chlusnął na stanik jej sukni. Baronowa wrzasnęła. Na jej błękitnej sukni pojawiła się i wciąż rosła ciemna plama.

- Co za niezgrabiasz ze mnie! Po prostu oferma! - kajał się Kozuszek.

Wyciągnął z kieszeni chustkę i zaczął ścierać krople szampana z biustu Daphne.

- Ależ, wasza wysokość! - jęknęła jedna ze znajdujących się w pobliżu dam.

- O co chodzi? Czy i panią pochlapałem? - spytał diuk; jego ręka nadal uwijała się przy staniku baronowej.

Tamberlake pochylił się i mruknął do przyjaciela:

- Może byś wreszcie przestał obmacywać publicznie lady Coville...?

- Co takiego...? - Kozuszek zagapił się na własną rękę i na jego twarzy odbiło się przerażenie.

Ivy nie umiałyby powiedzieć, które z nich spłonęło krwawszym rumieńcem: Kozuszek czy Daphne...? U boku diuka pojawił się lokaj.

- Jeśli wasza wysokość pozwoli, zaprowadzę milady tam, gdzie będzie mogła uporządkować swą toaletę.

- Tak, tak... Jak najbardziej!

Kozuszek zmiażdżył w rękę mokrą chustkę i omal jej nie wetknął do kieszeni. Potem jakby się rozmyślił, przełożył wilgotną szmatkę do drugiej ręki i spróbował szczęścia z drugą kieszenią.

- Jeśli mi wasza wysokość wybaczy raz jeszcze... - Lokaj wyciągnął rękę.

Kożuszek położył na niej ociekający szampanem kawałek płótna.

- Dziękuję, wasza wysokość - rzekł lokaj i zwrócił się z ukłonem do lady Coville. - Proszę za mną, milady.

Ze strapioną miną Kożuszek przyglądał się uprowadzeniu baronowej przez lokaja.

- Znowu się zbłądziłem, co?

- No cóż... z pewnością wryłeś się jej w pamięć, a to podobno połowa zwycięstwa - odparł z uśmiechem Tamberlake.

- Co ty powiesz? Naprawdę? - dopytywał się diuk z wyraźną nadzieją w głosie. - Jaka ona śliczna...!

- Nie zapomnij wspominać jak najczęściej w rozmowie, że siedzisz na workach z pieniędzmi - doradził cynicznie książe.

- I radzę posłać jej na przeprosiny jakiś absolutnie niepraktyczny prezent, milordzie - dodała Ivy. Uśmiechnęła się w odpowiedzi na pełne rozbawienia spojrzenie, jakie przesłał jej mąż.

- Świetny pomysł! - Kożuszek zatarł ręce. - Ale co to właściwie znaczy „niepraktyczny prezent”?

- Bo ja wiem... - zastanawiała się Ivy. - Perfumy albo jedwabny szal, albo...

- Może coś z biżuterii? Biżuteria będzie w sam raz, prawda? Kobiety chyba lubią takie błyskotki, co?

- Genialny pomysł, chłopie! Widzisz, już się w tym połapałeś! - zawyrokował Tamberlake.

- Racja! Lepiej od razu powiem memu sekretarzowi, w czym rzecz. Przepraszam na chwilę... - Kozuszek oddalił się niemal tanecznym krokiem, nie dostrzegając ludzi, którzy usiłowali zastąpić mu drogę.

- A jeśli to Daphne zostanie diuszesa...? - zafrasowała się Ivy.

- Jak zostanie, to widać jej to było sądzone.

- Uważasz, że to odpowiednia pokuta za jej grzechy?

- A ty uważasz, że nie?

- Majątek i tytuł... to ma być kara za grzechy?! Auburn uśmiechnął się.

- Skakałaś ze szczęścia, gdybyś miała spędzić resztę życia z Kozuszkim?

- Po godzinie wrzeszczałabym wniebogłose! - roześmiała się Ivy, lecz zaraz spoważniała. - Ale Kozuszek jest słodki!

- Owszem, porządne chłopisko z kośćcami.

- Nie chciałabym, żeby mu się stała jakaś krzywda. A jeżeli Daphne za niego wyjdzie...

- Daphne nie jest taka zła. Trochę egoistka, przyznaję, ale nie zepsuta do cna. Z kolei Kozuszek nie jest może geniuszem, ale wpojono mu pewne zasady, których mocno się trzyma. Gdyby Daphne... choć lepiej nie wybiegać myślą aż tak daleko... no, ale gdyby Daphne rzeczywiście została diuszesa, będzie musiała zachowywać się przyzwoicie! Kozuszek nie znosi dwulicowości.

- Ale jego łatwo by jej było omamić... Tak bym chciała, żeby był szczęśliwy...!

- Utrafiłaś w sedno! Kozuszek budzi w ludziach opiekuńcze instynkty. Jego służba doskonale wie, jak o niego dbać, i wywiązuje się z tego znakomicie. Z pewnością nie dopuszczą do tego, by ktoś zrobił z niego pośmiewisko! -Tamberlake ujął rękę żony. - Widzisz, siła Kozuszka opiera się na jego słabości: on wie, że jest niemądry, i z rozmysłem otacza się ludźmi, którym nie brakuje rozumu.

Ivy przez chwilę rozważała słowa męża, potem znów się roześmiała.

- Naprawdę możesz sobie wyobrazić Daphne jako diuszese?

- Jak najbardziej! A jeśli ona jest choć w połowie tak sprytna, jak podejrzewam, to z pewnością starannie przygotowuje się do tej roli. -

Auburn ucałował rękę żony. - Czy naprawdę musimy przez cały wieczór dyskutować o Kozusku i jego przyszłej małżonce?

Ivy poczuła dreszcz podniecenia.

- Chyba nie... A co proponujesz?

- Proponuję wymknąć się stąd. Dość już mam tych ciekawskich i wścibskich!

Księżę poprowadził żonę przez zbity tłum do wyjścia.

Tamberlake nie miał nic przeciwko długiej drodze powrotnej do Marsgrove, gdy Ivy tuliła się do jego boku. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby spróbował uwieść ją w powozie...? Postanowił wstrzymać się z eksperymentem do chwili, gdy wyjadą z Londynu.

Kiedy światła wielkiego miasta zostały już za nimi, noc stała się strasznie ciemna. Latarnie powozowe oświetlały co prawda drogę, ale ich zasięg był niewielki, wszystko poza nim tonęło w mroku. Księżę w zasadzie lubił ciemności, ale tej nocy - nie wiedzieć czemu - wydały mu się groźne. Może był to spóźniony efekt sennego koszmaru z ubiegłej nocy? A może uświadomił sobie, że dawny wypadek wydarzył się w identycznej scenerii? Tak czy owak, Auburna ogarnął niepokój i chęć na miłosne eksperymenty całkiem go opuściła.

- Czy coś się stało? - spytała Ivy.

- Nie, nie - odparł miękko i pogładził ją po ramieniu.

- Jak tu cicho... Zaczynam żałować, że nie zostaliśmy dłużej na balu u Kozuszka!

Księżę zerknął na żonę mimo ciemności. Noc była istotnie cicha. Niepokojąco cicha... Słyszeli tylko głucho uderzenia końskich kopyt o ubitą nawierzchnię polnej drogi.

- Co u diabła?! - zagrzemiał z wysokiego kozła głos stangreta.

Powóz zwolnił.

- Co się stało, Rufusie?

Tamberlake przysunął się do okna powozu.



- Rączki do góry i dawać forszę! - ozwał się obcy głos. Ktoś im zagroził drogę.

Rozbójnik? Tutaj? O tej porze? Bandydzi nie grasowali po brytyjskich drogach od kilku dziesiątków lat! I jeszcze to idiotyczne: „Rączki do góry i dawać forszę!” Czyżby napastnik uczył się swego fachu z powieści grozy?!

- Róbcie, co każę, to włos wam nie spadnie z głowy! - wyrecytował znów rozbójnik.

- Co się tu dzieje?! - spytała szeptem Ivy. Ona również przysunęła się do okna. Auburn odciągnął ją na dawne miejsce.

- Jeszcze nie wiem, ale siedź spokojnie!

W następnej sekundzie rozległ się świst bicia. Powóz zatrząsnął się i ruszył z miejsca. Tamberlake chwycił żonę i opadł z powrotem na siedzenie. Z zewnątrz dotarło do jego uszu przekleństwo, a zaraz potem wystrzał. Coś (pewnie kula) uderzyło w bok powozu. To nie był żaden „rycerz gościńca”! Ktoś znów przygotował na nich zasadzkę!

Powóz nadal się toczył, ale z kozła doleciał krzyk Rufusa. Konie zarżały. W nocnej ciszy pisk hamulców blokujących koła powozu wydawał się przeraźliwie głośny. Ekwipaż trząsnął się i turkotał, i nagle podskoczył wysoko, jakby miał wzbić się w powietrze.

Trzask!

Książę mógłby przysiąc, że uderzył w nich piorun, gdyby nie to, że nocne niebo było przejrzyste, bez chmur. Nie był to również wystrzał. Przypominało to raczej trzask pękającego drewna.

Powóz zatrzymał się tak raptownie, że Ivy spadła z ławki na podłogę. Krzyknęła ze strachu.

- Ivy! - zawołał również Auburn.

Z powodu ciemności nie mógł dojść, co się właściwie stało. I nagle poczuł zawrót głowy tak silny, że miał wrażenie, iż cały świat wiruje wokół niego. Znał to uczucie. Raz doświadczył już czegoś podobnego. Powóz się wywracał.

- Trzymaj się z całej siły! - wrzasnął do Ivy. Powóz przewrócił się na bok. Książę starał się przytrzymać Ivy, ale wyslizgnęła mu się z rąk. Ze zdławionym okrzykiem uderzyła o boczną ściankę powozu, która stała się nagle dnem. Tamberlake utrzymał się w górze kilka sekund dłużej, ale i on runął w dół. Prosto na żonę.

Powóz przez chwilę jeszcze dygotał, potem znieruchomiał na boku. Bardzo ostrożnie Tamberlake podniósł się. Ivy leżała jak kupka nieszczęścia. Jej zmięte, splątane halki i krynolina przesłaniały ją tak, że Auburn nie mógł się zorientować, czy odniosła jakieś obrażenia.

- Ivy!

Nie odpowiedziała.

- Ivy! - wrzasnął. - Przykląkł obok żony i uniósł jej głowę.

- Tu... jestem... - wyszeptała.

- Leż spokojnie.

Ponieważ nic nie mógł zobaczyć, powiódł dłońmi po jej kończynach. Nie znalazł śladów krwi.

- Możesz nimi poruszyć?

- Chyba tak...

Ivy podciągnęła pod siebie nogi, a potem uniosła się na rękach i kolanach.

- Tylko głowa mi pęka i wszystko się kręci wokół mnie...

- To się nie ruszaj!

Tamberlake wyprostował się i dotknął czubkiem głowy drugiego boku powozu, który udawał teraz strop. Drzwiczki znajdowały się dokładnie nad nim. Udało mu się odsunąć rygiel i otworzyć je na oścież. Bez większego trudu zdoła podnieść Ivy do góry i najpierw ją wypchnie, a potem wyślizgnie się sam.

Wystawił głowę na zewnątrz i rozejrzał się dokoła. Księżycyca ubywało, toteż nie dawał wiele blasku. Stangreta nigdzie nie było widać.

- Rufus! - zawołał.

Coś błysnęło zza drzew po prawej stronie. Ułamek sekundy później huknął kolejny strzał. Kula odłupała drzazgę z drewnianej ściany pojazdu. Tamberlake zanurkował do wnętrza powozu.

- Auburn! - wrzasnęła Ivy.

- Nic mi się nie stało. Ale chyba ten, co chce nas zabić, czai się gdzieś w pobliżu.

- No to co zrobimy?

- Jeszcze nie wiem.

Musiał się zastanowić. Jeśli znów spróbuje wydostać się z powozu, tamten ze strzelbą znowu będzie do niego strzelał... Ale z drugiej strony, jeśli tu zostanie, morderca uzna go za łatwą zdobycz i nie będzie się z nim patyczkował.

Nagle poczuł drażniącą woń... Tak, to był zapach, który budził w nim większe przerażenie niż przewracający się, a potem staczający się z urwiska powóz. Dym! Od latarni powozowych zajęło się widocznie drewno.

Opadły go znowu koszmarne wspomnienia. Oddech zaczął mu się rwać, a dawny ból odezwał się z taką siłą, jak wówczas, gdy rozharatał sobie twarz, Z najwyższym wysiłkiem zmagał się z ogarniającą go paniką.

- Auburn! - odezwała się znowu zaniepokojona Ivy. Upadł widocznie na kolana, bo gdy odwrócił się do żony, ich twarze znalazły się na tym samym poziomie.

- Powóz się pali.

Ivy wsparła policzek na dłoni.

- No to trzeba się stąd wydostać!

Książę odzyskał jasność myśli. Musi ją ocalić!

- Słuchaj uważnie, Ivy! Podciągnę się i wyjdę pierwszy na dach; zaraz potem wyciągnę ciebie. (W ten sposób osłoni ją własnym ciałem. Byłoby ten bydlak nie zabił go, zanim Ivy będzie bezpieczna!).

- Ale jeśli tam czai się na nas...

- Nie mamy wyboru. - Tamberlake chwycił ją za ramiona. - Jak tylko znajdziesz się na górze, skacz czym prędzej na ziemię, a potem biegnij co sił w nogach! Zrozumiano?

- Nie zostawię cię tu samego!

- Nie pora na sprzeczki. Rób, co ci mówię!

Dym przedostał się już do wnętrza powozu. W niewielkiej przestrzeni było go coraz więcej. Ivy kasłała i mamrotała coś niezrozumiale. Auburn pojął, że nie można dłużej zwlekać.

- Wstawaj, Ivy!

Podciągnął się na dach - a raczej coś, co w tej chwili było dachem - i położył płasko na brzuchu obok otwartych drzwiczek. Sięgnął ręką do wnętrza. Ivy próbowała się podnieść, ale znów się przewróciła.

- Wstawaj! - huknął tak ostrym tonem, jakby ją karmił. - Musisz wstać! Rozumiesz?!

Próbowała wstać i podciągnąć się do otworu. Mimo mroku w zadymionym wnętrzu powozu Auburn zobaczył łzy spływające jej po twarzy.

- Tak mi się kręci w głowie...

Widocznie uraz był poważniejszy, niż początkowo sądził.

- Zbierz wszystkie siły, Ivy! Będziesz musiała ustać na własnych nogach tylko przez króciutką chwilę.

Ivy zacisnęła zęby i zrobiła to, co mąż kazał. Gdy tylko ukazała się w otworze drzwiowym, Tamberlake nachylił się, wysunął ramiona jak najdalej, schwycił żonę pod pachy i wyciągnął ją na zewnątrz. Objął Ivy mocno ramionami i razem z nią zeskoczył z „dachu” wywróconego powozu.

Jego okaleczona noga ugięła się pod nim w chwili lądowania. Tamberlake z premedytacją skoczył tak, żeby na nim skrupiły się wszelkie konsekwencje ryzykownego skoku. Mimo to Ivy pojękiwała.

Języki ognia wydobywały się już z wnętrza powozu. Stanowiąca dach boczna ściana też się paliła.

- Tak bardzo boli? Może cię przygniotłem...?

- Chyba nie - szepnęła. - Ale strasznie mi się kręci w głowie...

- Musimy natychmiast stąd uciekać! - Auburn wziął Znow Ivya na rękę, ale jego chora noga najwidoczniej ucierpiała w chwili skoku, bo zwalił się na ziemię.

- Nie udźwignę cię, Ivy. Musisz biec sama. Potrafisz?

- Spróbuję.

- No to leć! Do tych drzew. Tam! - Wskazał palcem miejsce najbardziej odległe od kępy drzew, z której strzelano do nich.

Ruszyła biegiem, oddalając się coraz bardziej od powozu. Tamberlake zdołał jakoś wstać i niepewnym, chwiejnym krokiem pospieszył za żoną. Nie mógł się nawet podeprzeć laską: trawił ją teraz pożar wraz z resztą powozu. Okaleczona noga oczywiście dawała mu się we znaki, ale Auburn nie zważał na ból.

Łuna pożaru oświetlała nierównym, migotliwym światłem drogę i jej pobocza. Tamberlake zrozumiał, czemu Rufus tak raptownie zahamował. Na drodze leżało zwalone w poprzek wielkie drzewo. Jedno z kół powozu zostało strzaskane. Konie miały się w jakimś szaleńczym tańcu, ogarnięte paniką, nadal uwiązane do buchającego ogniem powozu. Rżały, kwiczały i tupwały. W oczach miały grozę.

Nie może ich tak zostawić!

- Ivy, schowaj się czym prędzej! I trzymaj się z dala od ognia! - wrzasnął książe.

Ruszył w stronę koni najszybciej jak mógł. Po drodze dostrzegł leżącego w poprzek drogi stangreta.

Kolejny głośny wystrzał zmałił nocną ciszę. Ziemia i kępki trawy wyleciały w powietrze tuż obok Tamberlake'a.

- Auburn!!! - wrzasnęła Ivy.

- Nic się nie stało! Zostań tam, gdzie jesteś!

Nie miał pojęcia, ile jeszcze razy pechowy strzelec nie trafi do celu... ale musiał przecież zatroszczyć się o Rufusa!

Stangret leżał z rozrzuconymi rękami i nogami. Tamberlake chwycił go pod pachy i pociągnął z całej siły. Był to wielki ciężar i chroma noga księcia nie wytrzymała go. Auburn zatoczył się do tyłu. Jęczał z bólu, ale z uporem odciągał Rufusa - jak najdalej od pożaru! Kiedy znaleźli się już poza zasięgiem blasku padającego od ognia, zatrzymał się i ułożył stangreta na ziemi.

Trzask! Z pobliskiego drzewa posypał się istny deszcz odłamków kory. Ostatni wystrzał był bardziej donośny niż poprzednie. Napastnik jest widać coraz bliżej. Tamberlake wiedział, że dotychczasowe szczęście (nie był nawet draśnięty!) lada chwila go opuści.

Konie rżały i kwiczały ze strachu. Było to równocześnie przerażające i żalosne. Wiedział, że musi je ocalić! Ruszył w stronę ognia. Trzask i huk płomieni pożerających łąpczywie powóz ogłuszył go.

Poczuł na twarzy ognisty podmuch w chwili, gdy sięgał do sprzączki pierwszej uprzęży. Wciągnął gwałtownie powietrze:

rozpalony metal sparzył go w palce. Rozpiął pierwszą sprzączkę i sięgnął do następnej.

Jeden z koni stanął dęba i omal go nie stratował kopytami.

Książę odsunął się nieco.

- Cicho już, mała... Dobra klaczka, dobra... Chcę ci tylko pomóc!

Konie zareagowały na dźwięk jego głosu nerwowym rzeniem.

Auburn sięgnął znów do uprząży i zabrał się do następnej sprzączki.

Ogień był coraz bliżej. Bijący od niego żar osmalił włoski na dłoniach Tamberlake'a. Spieszył się jak mógł, ale palce coraz bardziej odmawiały mu posłuszeństwa.

No, wreszcie! Jedna uprząż została odczepiona od powozu.

Książę klepnął klacz po zadzie.

- Zmykaj, mała!

Koń zarżał i pociągnął za luźno zwisające rzemyki.

Zrozumiawszy, że jest wolna, klacz ruszyła galopem, potrącając przy tym swego wybawcę. Ledwie się utrzymał na nogach. Drugi koń zarżał, jakby się żegnał z uciekającym kompanem. Książę przekuśtykał na drugą stronę i zabrał się do drugiej uprząży.

- Nie możesz po prostu zdechnąć, Tamberlake?

Lufa strzelby zaśniła w blasku ognia. Auburn odwrócił się raptownie. Thorndike...?

Roger Thorndike stanął przed nim.

- Gdzie Ivy?

- W bezpiecznym miejscu! - Zdołał powstrzymać naturalny odruch i nie spojrzał w jej kierunku.



- Jej ani myślę zabijać, ty głupku! - Thorndike uniósł strzelbę. Tamberlake ani na chwilę nie przestawał rozpinać uprzęży. Z pierwszą sprzączką już się uporał.

- Czemu się wreszcie nie zajmiesz sobą?! - Thorndike świdrował go oczyma. - Wiesz przecież, że zaraz cię zabiję!

Książę spojrział na niego. W ognistym blasku oczy Thorndike'a płonęły czerwienią jak oczy demona, ale on wyzbył się już strachu.

- I tak bym daleko nie uciekł, więc po co się fatygować?

- Wolisz ratować te bydłota?

- Nie zasłużyły na taką straszną śmierć. Ty też masz bzika: chcesz koniecznie zabić mnie własnymi rękoma. Nie wystarczy ci, że ogień zrobi to za ciebie? - Tamberlake musiał niemal krzyczeć, by jego słowa dotarły do Thorndike'a. Żar osmalił mu twarz, ale zmusił się do tego, by w dalszym ciągu rozpinać uprząż.

- Popatrz na mnie! - wrzasnął Thorndike.

Auburn podniósł wzrok i ujrzał wycelowaną w siebie lufę strzelby.

- Widzisz? Mamy jeszcze inny sposób oprócz pożaru! - Thorndike uśmiechnął się.

W tym właśnie momencie kilka iskier wystrzeliło z ognia i wylądowało na końskim zadzie. Zwierzę zaczęło rzeć i tupać kopytami. Thorndike odruchowo zerknął w jego kierunku. W tejże sekundzie książę chwycił za lufę. Wyrwał broń z rąk Thorndike'a i rzucił ją w sam środek płomieni. Nie zużyte naboje eksplodowały. Języki ognia strzeliły w powietrze. Koń znów się spłoszył i stanął

dęba. Potrącił kłębem Tamberlake'a, zbijając go z nóg. Upadłszy na ziemię, książę odtoczył się jak najdalej od ognia. Kiedy odwrócił się, ujrzał, jak koń wierzga w powietrzu podkutymi kopytami, a potem uderza nimi z całej siły o ziemię. Gdy po raz trzeci stanął dęba, rzemienna uzda pękła. Koń zarżał i popędził za klaczą, jak najdalej od płonących resztek powozu.

Tamberlake opadł znów na ziemię. Brakło mu tchu, próbował oddychać powoli i miarowo, ale tylko się rozkasłał. Ramiona miał poparzone, noga bolała jak diabli. Leżał bez ruchu, choć wiedział, że powinien zmykać stąd jak najprędzej: lada chwila zjawi się Thorndike i zabije go.

Pojękując z wysiłku, podniósł się najpierw na czworaki. Potem zebrał resztę sił, wstał i zaczął się rozglądać za swym prześladowcą. Nigdzie go nie było. W końcu spojrzenie księcia padło na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał drugi koń. Teraz leżał tam Thorndike, niepokojąco blisko ognia. W tym właśnie momencie część powozu zawałiła się, syjąc deszczem iskier i drobniutkich żarzących się odłamków. Kilka z nich padło na ramię Thorndike'a. Krzyknął przeraźliwie i próbował odtoczyć się dalej od ognia.

Auburn pokuśtykał w stronę powalonego wroga. Krew lała się z rany na głowie Thorndike'a, oddychał z wielkim trudem. Złamana noga sterczała pod dziwacznym kątem. Przez dziurę w rozdartej koszuli Tamberlake ujrzał wyraźny znak podkowy na jego piersi. Koń widać go powalił i stratował.

Spojrzenie Thorndike'a spoczęło na księciu.

- Niech cię piekło pochłonie!

Tamberlake puścił tę uwagę mimo uszu. Krzywiąc się z bólu, odciągnął Thorndike'a jak najdalej od płomieni. Ranny jęczał przy każdym poruszeniu. Kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości, książkę ułożył swego prześladowcę na ziemi i sam zwałił się obok niego.

- To ty...! - chrypiał z wysiłkiem Thorndike. - Ty... zepsułeś wszystko... Doprowadziłeś Wyna... do ruiny...

- Sam się doprowadził do ruiny.

- Pieniądze Ivy... mogły go ocalić... A gdyby owdowiała... to i twoje pieniądze... - Thorndike rozkasłał się. Z ust pociekł mu strumyczek krwi.

- Pierwszy raz próbowałaś w Devon?

Nie było to właściwie pytanie, tylko stwierdzenie faktu. -Tak.

- Marnowałaś tylko czas. Ivy wie o tobie i Wynbrooke'u. Nigdy by za niego nie wyszła.

Oczy Thorndike'a napełniły się łzami.

- Niech cię diabli! Czym ci Wyn zawinił?! On... nie umie pracować! Nie umie... i nie może!

- Ale ty mogłeś wziąć się do pracy.

- Chciałem go ratować... - Thorndike znów się rozkasłał. - Kochałem go, rozumiesz? Naprawdę go kochałem!

Tamberlake'a ogarnęło nagle współczucie. Choć Thorndike próbował go zabić... Choć wyrządził tyle złego tej nocy... Naprawdę było mu go żal.

- Powiedz... Wynowi... Powiedz mu... - Słowa Thorndike'a były ledwie dosłyszalne, oddech się rwał.

- Powiem - obiecał księżę, spoglądając w twarz umierającego.

- Dziękuję... - wyszeptał Thorndike.

Odetchnął po raz ostatni i martwymi oczyma zapatrzył się w gwiazdy.

Tamberlake dźwignął się jakoś na nogi. Ivy! Musi natychmiast zobaczyć Ivy! Nie uszedł nawet metra i już ją zobaczył. Niepewnie, potykając się co krok, włókł się do niej. Wybiegła mu na spotkanie i objęła go ramionami. Oboje wylądowali na ziemi.

- Mówiłem ci: nie podchodź!

- Zapomniałeś dodać „proszę”!

Łzy spływały po jej usmolonej twarzy, zostawiając jasne smugi.

Auburn roześmiał się, chociaż tej nocy przeszedł przez piekło.

Ivy spojrzała na leżące na ziemi zwłoki.

- Thorndike...?

Księżę skinął głową.

- Czy on...?

- Nie żyje.

- Chciał cię zabić!

- Wiem... - Pogłaskał żonę po włosach.

Blask ognia niemal oślepił Ivy. Z trudem podniosła się.

- Ranił cię?

Auburn objął ją ramionami i przytulił do piersi.

- Mnie nie, ale ciebie tak! - Przebierał palcami w jej włosach.

Kiedy dotknął rany, Ivy skrzywiła się.

- To nic wielkiego!

- Nic wielkiego?! Szkoda, że nie możesz zobaczyć guza, który tu wymacałem!

Ivy potrząsnęła ostrożnie głową.

- Ale dlaczego...? Powiedział ci, dlaczego?

- Później ci to wyjaśnię. Teraz przejdźmy do innych tematów! -

Ucałował ją delikatnie, z wielką czułością. -Omal cię nie straciłem!

- Więc ci na mnie trochę zależy...?

Księżę spojrzał na żonę ze zdumieniem.

- Jak mogłaś w to wątpić?

- No bo... nigdy mi nie powiedziałaś... - Zmieszła się i spuściła wzrok.

Ujął jej twarz w obie ręce.

-Jesteś dla mnie światłem, moim szczęściem, powietrzem, bez którego nie mógłbym istnieć! Przywróciłaś mi do życia, gdy pragnąłem tylko śmierci. Zajrzałaś pod moją maskę i dostrzegłaś człowieka... mężczyznę... Uleczyłaś mnie.

Łzy Ivy lały się już strumieniem.

- Kocham cię, Auburnie... - szepnęła.

- Ja też kocham cię, Ivy. - Uczyniwszy to wyznanie, znów się zabrał do całowania.

Scandalous

- Wasza książęca mość ma gości - oznajmił Whitson.

- Dziękuję, Whitson - odparła Ivy.

Chwilę później do salonu weszły jej matka i siostra.

- Małżeńskie życie wyraźnie ci służy, Ivy - stwierdziła matka, która od razu oceniła wykwintne umeblowanie pokoju.

Ivy uśmiechnęła się. Od pamiętnych wypadków sprzed trzech dni, a raczej trzech nocy, jej małżeńskie życie raczej nie przypominało przysłowiowej sielanki. No, ale Rufus z czasem wróci do zdrowia, a na ramionach jej męża z pewnością wyrosną nowe włoski... Właśnie - mąż! Auburn przebywał w tej chwili w Rosmartin Park. Wynbrooke pojechał po ciało Thorndike'a i zabrał je ze sobą do domu. Większość osób z wielkiego świata wiedziała tylko tyle, że tamtej nocy miał miejsce nieszczęśliwy wypadek. Oboje z Auburnem doszli zgodnie do wniosku, że należy oszczędzić markizowi niepotrzebnego śledztwa i skandalu. Thorndike działał w pojedynkę.

- Doszłaś już do siebie po tym wypadku? - spytała lady Dunleigh.

- Tak, mam. Czuję się doskonale.

- A Tamberlake?

- On też. - Ivy wskazała gościom fotele. - Co was tu sprowadza?

- O, wybrałyśmy się po sprawunki i przy okazji postanowiłyśmy zajrzeć do ciebie - odparła Georgina.

Ivy uniosła brwi.

- Marsgrove nie znajduje się w Londynie. Raczej trudno tu „zajrzeć po drodze”, wracając z Bond Street\*. No, o cóż chodzi?

- Mówiłam, że Ivy jest zbyt sprytna, żeby się na to nabrać! - bąknęła Georgina, marszcząc czoło.

- Chodzi o panią Pennyfeather - wyjaśniła hrabina.

- Cóż się z nią stało?

- Już jej nie ma!

Ivy zerwała się na równe nogi.

- Zaginęła bez wieści?!

- Nie, nie! - Lady Dunleigh zamachała rękoma, odpędzając od siebie taką ewentualność. - Wczoraj złożyła wymówienie.

Ivy spojrzała na matkę ze zdumieniem i usiadła.

- No więc?

- Ona po prostu nie może nas opuścić! Potrzebuję jej pomocy!

Wyřęczała mnie we wszystkich tych sprawach, które mnie tak nużą... i dzięki temu mogłam się skoncentrować na szukaniu męża dla Georginy!

- Musisz zatrudnić kogoś innego na jej miejsce - doradziła Ivy.

- Ale ja się tak przyzwyczaiałam do pani Pennyfeather! Nawet jej powiedziałam, że w tej sytuacji nie dostanie ode mnie referencji... lecz ona tylko się uśmiechnęła i odrzekła, że nie będą jej potrzebne. Więc przyszło mi do głowy... -Hrabina Dunleigh urwała.

*\*Londyńska ulica znana z najokazalszych, najwykwintniejszych i najdroższych sklepów.*



- Co ci przyszło do głowy, mamó?

- No cóż... ona najbardziej lubiła ciebie, zawsze umiałyście się dogadać... Może gdybyś z nią porozmawiała, dałaby się skłonić do powrotu?

Ivy potrząsnęła głową.

- Jeśli pani Pennyfeather chce odejść, nie możesz jej zatrzymać siłą, matko. A poza tym nie mam pojęcia, gdzie ona teraz jest.

- Mogłabyś ją odnaleźć, gdybyś tylko chciała! - stwierdziła z urazą hrabina.

- Po prostu nie chcesz, żebym wyszła za mąż! - nadała się Georgina. Pociągnęła nosem i wyjęła chusteczkę.

- Nie potrzebujesz pani Pennyfeather, żeby wyjść za mąż - odparła sucho Ivy, nie dając się nabrać tanim sztuczkom siostry.

- Ależ, Ivy... - zaczęła matka. Ivy uniosła rękę do góry.

- Jeśli przypadkiem spotkam panią Pennyfeather, na pewno z nią porozmawiam, ale wątpię, czy się jeszcze spotkamy. A na razie może porozmawiamy o fatalaszkach? Myślę, że powinnaś sobie sprawić kilka nowych sukien.

Buzia Georginy od razu się rozjaśniła.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo Tamberlake i ja wydajemy wkrótce bal. A ty, siostra świeżo upieczonej księżnej, powinnaś prezentować się wyjątkowo uroczo.

Specjalnie zadbam o to, by nie zabrakło na balu młodych, interesujących kawalerów.

- Och, Ivy! Jaka z ciebie dobra siostrzyczka! - Georgina rzuciła się jej na szyję.

Lady Dunleigh otarła chusteczką całkiem suche oczy.

- Moje kochane dziewczynki! Jestem z was taka dumna!

- Chyba powinnyście pochodzić po sklepach - powiedziała Ivy, wstając z miejsca.

- Doskonały pomysł! - poparła ją matka. - Wracajmy zaraz do miasta. Rozejrzemy się i może akurat coś nam wpadnie w oczy? Potem ci pomożemy zorganizować ten bal... Zaraz, zaraz... jaką by tu wybrać myśl przewodnią...?

Ivy stała z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

- Znakomicie. Będę wam bardzo wdzięczna.

- Może by tak „bal na dzień morza”? Co o tym sądzisz, Georgino? - spytała córkę hrabina, gdy opuściły salon. - Zawsze ci było do twarzy w niebieskim ze srebrnymi dodatkami.

- Mogłabym się przebrać za syrenę...

Kiedy głosy obu pań ucichły w oddali, Ivy potrząsnęła głową. Przynajmniej udało się jej odwrócić uwagę matki i siostry od pani Pennyfeather... i pozbyć się ich stosunkowo szybko. Tylko co powie Auburn na ten pomysł balu pod wodą?!

Tamberlake wyciągnął przed siebie swoją „gorszą” nogę. Od tamtego wypadku sprzed trzech dni dawała mu się okropnie we znaki... ale nic dziwnego, bo strasznie ją sforsował. Skrzywił się

lekko, gdy odezwał się jeden z mięśni. Bolało, owszem... ale to był dobry ból: zapowiedź zmiany, i to na lepsze.

Czuł się zupełnie wyczerpany po rannym spotkaniu z Wynbrookiem. Opowiedział markizowi całą prawdę o zamachach na swoje życie. I powtórzył mu ostatnie słowa Thorndike'a. Wynbrooke miał łzy w oczach. Podziękował księciu za dyskrecję. I znów Tamberlake'a ogarnęło współczucie. Żal i smutek markiza były szczerze. Książę był rad, że postanowili ukryć prawdę przed całym „wielkim światem”. Bez wahania wręczył Wynbrooke'owi wszystkie obciążające go dowody.

Drzwi gabinetu otwały się.

- Jesteś już! - zawołała Ivy i podbiegła do męża. Ucałowała go i przytuliła się do niego - pierś w pierś.

Dopiero po dłuższym czasie Auburn odzyskał mowę.

- Jeśli za każdym razem będziesz mnie tak witać, gdy z jakiejś eskapady wrócę do domu, to może zacznę częściej znikać ci sprzed oczu! - powiedział ze śmiechem.

- Ani się waż! - odparła tym samym tonem. - Przyszedł list od Christophera. Dobrze mu idzie. Chciałby tylko wiedzieć, czy wyrazisz zgodę na remont obory, by można było znowu z niej korzystać.

- Sam do niego napiszę i wbiję mu wreszcie do głowy, że on tam teraz rządzi i on powinien decydować. – Książę przyciągnął żonę, by siadła obok niego. - Wiedziałaś, że była u nas pani Pennyfeather? Ivy zdumiała się.

- Nie miałam o tym pojęcia. To dziwne: dziś rano odwiedziła mnie matka w tej właśnie sprawie.

Zanim Tamberlake zdążył coś powiedzieć, do gabinetu wślizgnął się Fletcher.

- Bardzo przepraszam, milordzie...

- O co chodzi, Fletcher?

- O dwie rzeczy, wasza książęca mość. Po pierwsze: oto list do pana, milordzie, i do lady Tamberlake.

Podał księciu na tacce złożony pergamin. Auburn wziął list do ręki.

- Dziękuję, Fletcher.

- Po drugie: chciałbym oznajmić, że nadszedł czas, bym opuścił Marsgrove.

- Co takiego?! O co ci chodzi, Fletcher? Jeśli moja matka sprawia ci kłopoty, to...

Lokaj uśmiechnął się.

- Nic podobnego, milordzie. Zapewne wasza książęca mość pamięta, że pracowałem u lorda Stanhope'a. Zostawił mi dość pieniędzy, bym mógł odpocząć, i to w doskonałych warunkach. Chętnie objąłem służbę u księcia pana, gdyż było mi to na rękę... Teraz jednak nie jestem już potrzebny, milordzie. Whitson to wspaniały majordomus, a dwóch majordomów w jednej rezydencji to doprawdy niepotrzebna ekstrawagancja.

- Ale ja...

- Sądzę, że ten list wiele wyjaśni, milordzie. Praca dla waszej księżęcej mości była dla mnie prawdziwą przyjemnością. Życzę księciu panu i księżnej pani wiele szczęścia. - Skłonił się i opuścił gabinet.

Tamberlake spoglądał za odchodzącym.

- Zawsze myślałem, że z niego oryginał... Ale czegoś takiego wcale się nie spodziewałem.

- Pani Pennyfeather też odeszła od mojej matki. Ivy zmarszczyła brwi.

- Może lepiej przeczytajmy ten list? Auburn skruszył pieczęć i rozwinął pergamin. Drogi przyjacielu, kochana Ivy

- To list dla nas obojga... - Auburn objął żonę i przyciągnął ją do siebie - ... więc czytamy wspólnie!

Ivy przytuliła się do męża i spojrzała na zapisany arkusz.

Jeśli w tej chwili razem czytacie ten list, z pewnością jesteście już szczęśliwymi nowożeńcami i moi doradcy prawni przesiali wam moją epistołę zgodnie z instrukcją. (To wyjątkowo głupie zdanie, gdyż jeśli się nie pobraliście, list ten nigdy do was nie dotrze i nie będziecie mieli pojęcia, że został w ogóle napisany. Tak czy owak, zakładam, że czytacie razem, i w tym duchu piszę dalej).

- Stanhope'a zawsze żarty się trzymały - skomentował Tamberlake.

Mam nadzieję, że do tej pory zdążyliście mi wybaczyć, że wtrącałem się w wasze prywatne sprawy. Jakiś czas temu doszedłem do wniosku, że jesteście po prostu stworzeni dla siebie. Wiedziałem

jednak, że bez mojej ingerencji nigdy się ze sobą nie spotkacie.

Dlatego właśnie uknułem cały ten spisek. Wielka szkoda, że nie będę mógł przekonać się na własne oczy, jaki plon wydały moje starania.

- Jaki on kochany! - westchnęła Ivy.

- Byłem wręcz odmiennego zdania, gdy po raz pierwszy zawitałaś do Gryphon's Lair - wyznał Auburn i roześmiał się.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparła Ivy i uśmiechnęła się do męża.

Pani Pennyfeather i Fletcher nadal pracują dla mnie. Załatwiłem to formalnie z pomocą moich doradców prawnych i z pełną ich aprobatą. Widzicie więc, że w gruncie rzeczy zawsze byli wyrazicielami i wykonawcami moich życzeń. Ich zadanie polegało na tym, by was

ze sobą jak najbardziej zbliżyć. A teraz, kiedy stało się to, co miało się stać, czeka ich kolejne zadanie.

- To wyjaśnia rezygnację Fletchera - zauważył Auburn.

- I pani Pennyfeather - dodała Ivy.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że Stanhope był taki podstępny - wyznał Tamberlake.

- A ja jestem bardzo rada, że był!

Cieszcie się wspólnie życiem, kochane dzieciaki. Mam nadzieję, że nigdy nie zapomnicie, iż przyczyniłem się -po części - do waszego szczęścia. Oby miłość zawsze wam towarzyszyła!

Wasz na całą wieczność - Lord Stanhope Mały arkusik papieru wypadł spomiędzy kartek długiego listu i sfrunął na podłogę.

- Co to takiego? - zaciekała się Ivy i podniosła kartkę. Zerknęła na charakter pisma. - O, mój Boże! To liścik od pani Pennyfeather.

- Co pisze?

Ivy przebiegła wzrokiem notatkę.

- Ma nadzieję, że przebaczymy jej niecny postępek. To ona w trakcie podróży do Walii wykradła z powozu kilka istotnych części. Twierdzi, że zrobiła to tylko w tym celu, by nam ułatwić zbliżenie.

- No, zagadka wreszcie się wyjaśniła! Będę mógł spokojnie spać! - roześmiał się Tamberlake.

- Jest jeszcze coś! Fletcher podążył za nami do Walii i przekupił woźnicę, by uciekał, gdzie pieprz rośnie. - Ivy położyła karteczkę na kolanach. - To również wiele wyjaśnia.

- Co za spryciarz z tego Stanhope'a!

- Aż trudno uwierzyć, prawda? - spytała Ivy.

- Nie znałaś go tak dobrze jak ja... - Książę wstał z kanapy i podszedł do kredensu. Nalał kseresu do dwóch kieliszków. Podał jeden żonie, a drugi uniósł do góry, jak do toastu.

- Słyszysz nas, Stanhope? Twoje zdrowie - i dzięki ci, przyjacielu!

Ivy uniosła swój kieliszek.

- Ja też dziękuję... z głębi serca! Oboje wypili łyk wina.

- Ogromnie żałuję, że nigdy go nie poznałam - powiedziała Ivy. Auburn skinął głową.

- Z pewnością byś go polubiła!

Chciał jeszcze coś dodać, ale jakiś ruch za oknem przyciągnął jego uwagę. Podszedł do okna. Pani Pennyfeather wsiadała właśnie do powozu przy pomocy Fletchera. Jakże się ten człowiek odmienił! Garb gdzieś znikł, zapodziały się również jego dziwaczne buty... Włosy wyglądały znacznie porządniej... I nie nosił okularów! Tamberlake spoglądał na niego ze zdumieniem. Gdyby nie wiedział, że to niemożliwe, przysięgłby, że Fletcher wygląda zupełnie jak...

- ... Stanhope...?

- Co z nim? - spytała Ivy.

Księżę potrząsnął głową. Niemożliwe...! Ale gdy spoglądał za odjeżdżającym powozem, jego usta wyginały się w coraz szerszym uśmiechu...